

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



MARIA KURECKA

Jan Chrystian Andersen

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

1

Kto jest poetą? W jaki sposób nim się staje? Kim jest geniusz? Co sprawia, że spośród współczesnych on jeden tylko najpełniej potrafi wyrazić własną epokę, a ponadto umie jeszcze sięgać myślami w daleką przyszłość?

W 1795 roku, w stolicy niemieckiego romantyzmu, Weimarze, pisał Schiller słynną swoją rozprawę *O poezji naiwnej i sentymentalnej*.

Przedmiotem poezji – twierdził zgodnie z Herderem, który zresztą przeglądał rękopis przed wydaniem – jest zawsze ideał: natura lub ludzkość. Poeta albo sam będzie naturą, albo zacznie jej poszukiwać. Ideał wyczuć może w sposób dwojaki: albo jako realnie istniejący, uchwytne – wówczas powstaje poezja naiwna, albo jako odległy, daleki, który dopiero należy osiągnąć – to fundament poezji uczuciowej, sentymentalnej. Dopiero bowiem oddaliwszy się od natury, zaczynamy tęsknić za nią.

„Naiwny – pisze Schiller – musi być każdy prawdziwy geniusz, inaczej nim nie jest. Naiwność bowiem jedynie czyni go genialnym, a tego, czym jest w sferze estetyki i intelektu, nie może również zaprzeczyć się w dziedzinie moralnej. Nie znając reguł, tych podpórek słabości i strażników przewrotności, wiedziony wyłącznie przez naturę lub instynkt, swego anioła – stróża, śmiało i pewnie przebywa wszelkie pułapki złego smaku, w które – jeśli nie jest dość mądry, żeby uniknąć ich już zawczasu – artysta nie będący geniuszem nieuchronnie wpaść musi. Jedynie geniuszowi dana została zdolność zawsze swobodnego poruszania się nawet poza granicami tego, co znajome, i r o z s z e r z a n i a natury, bez p r z e k r a c z a n i a jej granic.” „...Geniusz z łatwością i prostotą rozwiązuje najbardziej zawile zadania... Legitymuje się jako geniusz tym, iż naiwnością swoją triumfuje nad zawiłościami sztuki. Nie postępuje według uznanych zasad, kieruje się jedynie własnymi pomysłami i uczuciami, ale idee jego są natchnieniem boskim (wszystko, cokolwiek czyni boska natura, jest boskie), uczucia zaś jego są prawem dla wszystkich czasów i wszystkich ludzkich pokoleń.”

Dziecięcy charakter, jaki geniusz przejawia w swoich dziełach, cechuje go również w życiu osobistym: jest wstydlivy, choć niepowściągliwy, rozumny, choć pozbawiony chytrności. Jest także „skromny, a nawet przygłupi, ponieważ geniusz, sam dla siebie zawsze pozostaje tajemnicą, nielekliwy jednak, gdyż nie zna niebezpieczeństw drogi którą podąża”.

Umie też w formie najkrótszej znaleźć właściwą nazwę dla rzeczy, których na ogół wcale nazwać nie można lub które nazywa się tylko w sztuczny jakiś sposób. Tak zazwyczaj wyrażają się dzieci. Kontrast ich słów z powszechnie przyjętymi określeniami pobudza do śmiechu, lecz w głębi serca każdy skłonny będzie przyznać słuszność dziecku.

Jan Chrystian Andersen, duński poeta i baśniopis, życiem swoim i twórczością zdawał się w pełni potwierdzać tę charakterystykę, spisana przez Schillera dziesięć lat przed przyjściem

Andersena świat. Lecz losy jego cechuje jeszcze pewien rys szczególny: zespolenie ze światem mitu. Mit kształtował dzieciinną wyobraźnię, mit podsycił ambicje ubogiego, brzydkiego chłopca, wyruszającego z małego miasta na Fionii w obce strony. Mit, od lat najmłodszych znany i bliski: dzieje „naiwnego geniusza” – bohatera *Baśni z 1001 nocy*, Aladyna z czarodziejską lampą, nieustraszenie zwalczającego wszelkie przeszkody. W realnym życiu Andersena przeszkód było wiele. Wbrew pozorom należał jednak do tych nielicznych, którzy, przeświadczeni o duszności obranej drogi, potrafią dotrzeć do upragnionego celu. Lecz chociaż tak gorąco pragnął pełnej identyfikacji z ulubionym bohaterem, własne jego losy niczym nie przypominały pogodnej baśni.

Czy był geniuszem? Na to pytanie odpowiedź daje czas.

Czy był poetą? Wystarczy otworzyć którąkolwiek z jego baśni. Zna je cały świat. Z biegiem lat namnożyło się wprawdzie wokół nich sporo nieporozumień. Ale bodaj więcej jeszcze nagromadziło się ich wokół osobliwej biografii samego autora. Do niektórych głównie on sam się przyczynił, kamuflując, przemilczając, upiększając różne okresy, uparcie i na próżno pragnąc przekształcić swoje dzieje w jeszcze jedną – najwspanialszą – baśń. A przecież istotę twórczości Andersena pojąć można wówczas dopiero, gdy zna się prawdziwe jego życie. I więcej jeszcze: gdy zna się Danię. Nie tylko tę, której zarys obejrzyć można na każdej mapie: Półwysep Jutlandzki, przypominający szkielet gęsiej głowy na wyciągniętej szyi, „kragłą jak róża” Fionię, rozległą Zelandię i około pięciuset większych i mniejszych wysp, rozsianych wzdłuż morskich wybrzeży. Znać trzeba jeszcze, choćby w najogólniejszym skrócie, dzieje kraju, który ukształtował tego „najbardziej duńskiego spośród duńskich pisarzy”.

„...Warto mieć wstępne wiadomości – mogą się okazać użyteczne” – stwierdzał Andersen w jednej ze swoich baśni.

Język duński ukształtował się wcześniej. Pierwsze jego ślady to kute w kamieniu lub metalu runiczne epitafia królów, wojowników i kapłanów. Na przełomie XII i XIII stulecia powstaje, spisane po łacinie, największe dzieło literackie tego okresu, szesnastotomowe *Gesta Danorum Saxo Grammaticusa*, zawierające prehistoryczne dzieje Danii: najstarsze mity, podania, legendy – wśród nich także opowieść o duńskim księciu Amlecie, która przez Francję dociera później do Anglii, stając się osnową Szekspirowskiego dramatu.

„Prawem budować trzeba kraj.” W 1241 roku, spisane już po duńsku, zbiory ustaw zostają przyjęte jako prawa państwowe.

W 1482 pojawia się w Danii pierwsza prasa drukarska.

Rimkrøniken – rymowana kronika, w której każdy król opowiada własne dzieje, to pierwsza książka drukowana (w 1495 roku) w języku duńskim.

Pod koniec średniowiecza, obok historycznych i miłosnych, zaczynają pojawiać się również ballady satyryczne, niekiedy mocno nieprzyzwoite i frywolne.

Bogaty zbiór tych ballad, głównie epickich, choć zaczynających i kończących się liryczną stancją, pojawia się w druku w 1591 roku.

W pierwszej połowie XIV wieku wybucha w Danii gwałtowna walka o władzę pomiędzy królem i starymi rodami arystokratycznymi. Obie strony zwracają się w końcu o pomoc do książąt północnych Niemiec. Książęta Holsztynu zajmują duńskie tereny, zagarniając sąsiadującą z Holsztynem prowincję Szlezwik jako swoje dziedzictwo. Lecz w 1340 roku Waldemar IV, znany z dyplomatycznych zdolności dzięki umiejętnej polityce ponownie jednoczy kraj.

Córka jego, Małgorzata, zostaje żoną króla norweskiego, a po jego śmierci – jedyną dotąd w dziejach królową Danii. Od jej rządów rozpoczyna się unia duńsko – norweska, trwająca nieprzerwanie do 1814 roku. Stary język norweski zanika. Wykształceni Norwegowie mówią odtąd i piszą po duńsku. Rodzima kultura przetrwała wśród ludu w starodawnych śpiewach i legendach. *Folkeviser* – to tradycyjne pieśni, w których ozywają zamierzchłe mity, *Folkesagn*

– opowieści o wydarzeniach aktualnych, z realnymi przeważnie postaciami bohaterów. Istnieją i *Folkeeventyr* – fantastyczne historie o karłach, olbrzymach, trollach. Nieustraszeni ich bohaterowie to Tyrihans i Askeladden – przypominający postać Aladyna z *1001 nocy*.

W 1536 roku dociera do Danii reformacja. Pojawia się mnóstwo pism polemicznych *pro i contra Ecclesia*. Lecz w ogniu sporów i walk religijnych zacieśniają się horyzonty umysłowe. Renesans ujawnia się w Danii głównie w naukach przyrodniczych i medycynie, które zdecydowanie zrywają z naukami kościoła. Inne dziedziny nauki i życia przesłania gęsta mgła. Obok ślepego zaufania do religijnych, politycznych i estetycznych autorytetów krzewi się bujnie mistycyzm, wiara w gusła, zabobony, czary. „Tycho Brahe, który imię Danii wzniosł ku gwiazdom i któremu odpłacono za to krzywdą i cierpieniem, wyrusza do obcych krajów: «Niebo jest wszędzie, a czegoż mi więcej trzeba?»” Założył pod Kopenhagą, na wyspie Hven, fundament europejskiej astronomii: obserwatorium Uranienburg, lecz smutno spogląda na wygwieżdżony firmament w dalekiej Pradze. Nie znalazł uznania wśród swoich i musiał opuścić rodzinną ziemię.

W Błękitnej Wieży kopenhaskiej rozpacza przez długie dwadzieścia lat piękna Eleonora Krystyna, naturalna córka najpopularniejszego w legendzie i pieśni króla Chrystiana IV, żona królewskiego ochmistrza Korfitza Ulfelda, który oskarżony o zdradę uciekł z kraju. Zdołała zbiec razem z nim, lecz schwytana przez Anglików, wydana Danii, musiała spędzić resztę życia w mrocznych, wilgotnych murach więziennych, spisując dzieje swych cierpień – *Jammers Minde* – stylem barwnym i żywym.

W 1643 roku biskup islandzki Brynjolfur Sveinsson znalazł bezcenny skarb: rękopis ze zbiorem mitów o bogach i bohaterach dawnej Skandynawii. Nazwał go *Starsza Edda* i ukrywał zazdrośnie, nie pokazując nikomu. Dopiero gdy córkę biskupa spotkała zła przygoda z nieskorym do ożenku młodzieńcem i Sveinsson, szukając ratunku, zwrócił się do Fryderyka III, zapalonego bibliofila – stara księga przeszła w królewskie ręce.

Manuskrypt *Starszej Eddy* pochodzi z 1270 roku, lecz jego treść związana jest z erą przedchrześcijańską. Zawiera mnóstwo pradawnych przepowiedni, legend, opowieści, a ponadto kodeks moralno – społeczny:

Bydło ginie i człek ginie
I ty też niedługo zginiesz,
Jedno tylko nigdy nie zaginie:
Dobre imię tego, kto na nie zasłużył.

W mitologiczno – historycznych częściach *Eddy* bogowie i bohaterowie ukazani zostali w sposób realistyczny, z ludzkimi uczuciami, cierpieniami i namiętnościami. Ton tych opowieści jest pełen patosu, lecz przy tym groźny, tragiczny, ponury.

W poezji XVII wieku przeważają w Danii metra wymyślne: aleksandryn i heksametr. Autorzy zgrabnych wierszy i eleganckich sonetów celowo unikają prostoty. Posługują się nadmiarem alegorii, eufemizmów, metafor, nawiązując nieustannie do mitologii rzymskiej. Czas zwrócenia się ku bogactwom rodzimej literatury jest jeszcze daleki.

Nawet Andreas Bording, który w 1666 roku zakłada pierwszą gazetę – „*Merkuryusza Duńskiego*” – drukuje w niej wiadomości rymowanymi aleksandrynami.

Wiek XVIII charakteryzują w duńskiej literaturze dwie przeciwstawne tendencje. Jedna, racjonalistyczno–krytyczna, kształtuje się pod wpływem Anglii i Francji. Druga, emocjonalno–introspektywna, często zabarwiona mistycyzmem, wywodzi się z Niemiec.

Przedstawicielem pierwszej staje się Ludwik Holberg. Pochodzi z rodziny norweskiej, lecz w 1702 roku przybywa do Kopenhagi na studia i wkrótce potem na stałe osiada w Danii. Liczne podróże do Niemiec, Włoch, Holandii, a zwłaszcza lata spędzone w Anglii i Francji,

umożliwiają mu poznanie najnowszych poglądów. W 1711 roku pisze *Wstęp do historii narodów europejskich*, po czym przez trzy lata wykłada na uniwersytecie – metafizykę, której nie cierpi i z której zjadliwie się natrzęsa w swych literackich utworach.

Pod pseudonimem Hans Mikkelson wydaje satyryczny poemat: *Peder Paars*, żartobliwą parafrazę *Eneidy*. Wyśmiewa w nim tak ostro nie tylko panoszące się powszechnie naśladownictwo napuszonej epiki klasycznej, lecz także współczesne obyczaje i instytucje Danii, że omal nie dochodzi do publicznego spalenia utworu.

Gdy we wrześniu 1722 roku powstaje w Kopenhadze pierwszy teatr, Holberg zaczyna pisać dla duńskiej sceny. Tworzy w latach następnych trzydzieści dwie komedie – głównie obyczajowe. Naśladuje Arystofanesa i Rzymian, sporo zapożycza od włoskiej *commedia dell'arte*, lecz przede wszystkim wzoruje się na Moliere. Pisze jednak nie dla dworskiej publiczności, lecz dla ludzi prostych: rzemieślników, drobnych mieszczan, chłopów. Sztuki jego nigdy nie nużą banalnym moralizowaniem. Pełne humoru i celnego dowcipu, który Duńczycy szczególnie umieją docenić, wywołują zawsze żywą reakcję widowni.

Holberg tworzy nową epokę: wprowadza Danię do światowej literatury. Znany był również jako uczony krytyk, eseista i prozaik. Satyryczna jego powieść: *Podziemne podróże Nielsa Klima*, pisana po łacinie, wzorowała się na Swifcie i *Listach perskich* Monteskiusza. Od 1730 roku wykłada na uniwersytecie historię. Z tej dziedziny pozostawia również wiele prac. Epitafium na jego grobie: „Pożyteczny obywatel” zwięźle wyraża uznanie, jakim darzyli go współcześni.

Rewolucja francuska wpływu na duńską literaturę niemal nie wywiera: przeważają w tym okresie nowinki anglo – germańskie. Rozwija się dziennikarstwo zwłaszcza publicystyka, gdzie rej wodzi dwóch zaciekle wojujących radykałów: Bruun i Heiberg, którego gwałtowne wystąpienia polemiczne zmuszają w końcu do opuszczenia kraju – czterdzieści lat spędza we Francji.

Niezwykłe utalentowany, subtelny liryk Jan Ewald, pierwszy sięga po motywy średnio-wiecznych ballad: duńskich i Gesta Danorum. Pisze także dramaty, z których najbardziej znany – *Rybaczy* – zawiera słynne strofy: „Król Chrystian stał przy wysokim maszcie.” Stały się one duńską pieśnią narodową.

Tragicznie nieszczęśliwy w życiu, zawiedziony w miłości, zbyt często szukający zapomnienia na dnie kieliszka, Ewald umiera młodo, jako człowiek niespełna czterdziestoletni. Utwory jego pozostają niemal nie znane poza granicami państw skandynawskich.

Pod silnym jeszcze wpływem okresu Oświecenia i twórczości Holberga pozostaje Jens Baggesen. Pisze utwory komiczne, satyryczne, ale największą sławę przynosi mu *Labirynt*, relacja z podróży przez Niemcy i Szwajcarię do Paryża, uważana za idealny wzór klasyki. Z początkiem XIX wieku Baggesen wraca z zagranicznych wojaży do Danii i – zastaje już w kraju romantyzm. Rozpoczyna – wierszem! – zjadłą walkę z przywódcą nowego kierunku, Oehlenschlägerem, zarzucając mu zdradę klasycznych, pełnych harmonii kanonów.

Wiek XIX nieomyślnie zaczął się dla Danii. W 1801 roku flota angielska pod rozkazami Parkera i Nelsona wtargnęła niespodziewanie do duńskiej cieśniny Öresund. Długotrwały pokój, jaki w owych burzliwych czasach zdołało zachować małe królestwo, pilnie przestrzegając zasad neutralności, skończył się nagle i gwałtownie. Zbyt potężnych, zbyt chciwych miało sąsiadów. Bohaterski opór Duńczyków nie zdał się na nic. Kopenhaga płonęła. Chrystian VI był królem niedołężnym, o słabym umyśle. Rządy sprawowała za mego w istocie rada regencyjna. Stojący na jej czele następca tronu, Fryderyk, niebawem podpisał kapitulację. Wróg odstąpił. W małym królestwie znów nastał upragniony pokój. Kupcy duńscy radośnie zacierali ręce na myśl o nowych zyskach. Köbenhavn znaczy przecież: „kupiecki port”. Lecz radość ich trwała krótko.

W 1807 roku Napoleon zawarł pokój z Rosją. Anglia natomiast, w obawie, że zachłanny cesarz francuski gotów zagarnąć natychmiast silną flotę duńsko – norweską, czym prędzej sama wyciągnęła po nią rękę. Duńczycy odmówili wydania okrętów, niszcząc je i pałac. Lecz wojska angielskie, tym razem pod wodzą Wellingtona, niebawem wylądowały na Zelandii. Niewielka armia duńska zasłaniała jedynie południową granicę kraju. We wrześniu znów zaczęła płonąć bombardowana, oblężona Kopenhaga. Po trzech dniach bezskutecznej walki Fryderyk VI przystał na kapitulację.

Z kimże sprzymierzy się małe królestwo, szukając osłony przed zaborczością Anglików? Z Napoleonem. W oparciu o tak potężnego sojusznika, można podjąć walkę nawet z brytyjskim lwem. Lecz Francja wcale się nie kwapi z oczekiwaną pomocą. Sama pragnie korzyści od swoich sprzymierzeńców. Ogromna armia napoleońska stale potrzebuje nowych żołnierzy, skarbów – pieniędzy. Gdy sytuacja wikła się jeszcze bardziej i dochodzi do wojny duńsko – szwedzkiej, Napoleon wysłał do Danii jedynie korpus hiszpański pod wodzą Bernadotte’a. Ale w Hiszpanii wybuchła właśnie rewolucja przeciw narzuconej władzy cesarskiego familianta, Józefa Bonaparte. I żołnierze hiszpańscy uciekają z obcej, północnej ziemi. Wolą bić się we własnej ojczyźnie, o własną sprawę.

W 1813 roku gaśnie gwiazda Napoleona, a sprzymierzone mocarstwa całą swą siłą zwracają nagle przeciwko sojusznikowi cesarza Francuzów, który go nie opuścił po straszliwej klęsce w Rosji: przeciwko Danii. Znów wojna. Znowu opór zajądły, wściekły, daremny. I znowu – wobec przeważającej siły wrogów – kapitulacja. W styczniu 1814 roku król duński podpisuje pokój w Kilonii.

Źle dzieje się w duńskim królestwie. Źle i coraz gorzej. Kupcy od dawna już przestali myśleć o zyskach. Kraj wyniszczony, splądrowany. Utracona flota nie tylko wojenna, ale i handlowa. Zerwany związek z Norwegią, od stuleci złączoną z Danią personalną unią. W skarbie pustki. W miastach upadek rzemiosł i handlu. Na wsi straszliwy kryzys rolny, trwający później jeszcze niemal piętnaście lat.

Lecz jakby dla wyrównania wszystkich tych strat i klęsk, w Danii, kraju, który złośliwcy nazywali niekiedy „szlafmycą na głowie europejskiego kontynentu”, rozpoczął się okres nie spotykanego dotychczas rozwoju nauki i sztuki.

Literatura duńska czekała już w tym okresie na zmiany. Podatny grunt dla romantyzmu przygotował twórczością swoją Ewald. Filozofię Schellinga przeniósł do Danii norweski przyrodnik Steffens. Właściwy wyraz dla nowych idei znaleźli nowi pisarze.

Adam Oehlenschläger staje na ich czele. Młody, urodziwy, o płomiennych oczach, z kędzierzawą, ciemną czupryną nad wysokim, pięknie sklepionym czołem. Początkowo, zresztą nie bez sukcesów, próbował kariery scenicznej, występując w Teatrze Królewskim. Z kolei, po długiej, niemal dwie doby trwającej historycznej dyskusji ze Steffensem, urzeczony romantyzmem, został przywódcą nowego kierunku. „Oddałem mu jedynie jego samego” – mówił Steffens o tym spotkaniu.

W maju 1802 roku niezwykle wypadek wywołał sensację w duńskiej stolicy. Z pokojów królewskiego zamku skradziono skarb: dwa pitne rogi ze szczerego złota, pokryte runicznymi znakami. Pierwszy z nich znalazła w XVII wieku uboga dziewczyna na jutlandzkim pastwisku. Drugi wykopano na tym samym miejscu bez mała w sto lat później. Mit utraconego raj: świetnej, heroicznej przeszłości, stał się tematem poematu Oehlenschlägera *Złote rogi*. Bogowie obdarzyli nimi Duńczyków, pragnąc, żeby nowa epoka stała się początkiem powrotu do dawnych, bohaterskich czasów. Ale ludzie znaczenia owego daru nie pojęli i zagniewane bóstwa skarb im odebrały.

W tym samym jeszcze roku pisze Oehlenschläger najpiękniejszy swój poemat dramatyczny: *Sankt Hansftenspil*. W Dyrehavn, podmiejskim zwierzyńcu wśród rozległych bukowych lasów, ulubionym miejscu wycieczek i zabaw mieszkańców ówczesnej Kopenhagi, pojawiają

się w noc świętojańską przeróżne postaci. Para kochanków, ślepiec, arlekin z papugą, poeta, świetlik, stary dąb, śmierć. Luźno ze sobą powiązane sceny poematu zawierają elementy groteski i liryki, eposu i dramatu, dialogi i monologi. Romantyczny korowód, zatopiony w coraz głębszym mroku czarodziejskiej nocy, różnymi głosami śpiewa, szepcze i woła hymn na cześć miłości i boskiej siły poezji, protestując przeciwko oschłej wiedzy rozumu i szaryżnieniu życia.

W 1805 roku powstaje szczytowe dzieło Oehlenschlägera: baśniowy dramat *Aladyn*. Główny jego bohater, zgodnie ze swym pierwowzorem z Baśni z 1001 nocy, jest uosobieniem naiwnego geniuszu, wybrańcem bogów, śmiałym, czystym, szlachetnym młodzieńcem. Zwycięża wszelkie przeszkody i gdy wreszcie zostaje władcą kraju, rozpoczyna rządy na tym samym miejscu, gdzie niegdyś jako ubogi, nikomu nie znany chłopiec biegał ze swymi towarzyszami.

Pięć lat trwa młodzieńcze uniesienie Oehlenschlägera. Króluje i później jeszcze przez długi okres w literaturze romantycznej. Pisze dramaty, osnute przeważnie na heroicznej przeszłości Danii: *Hakon Jarl*, *Palnatoke*, *Axel i Walborg*, tworzy prozatorską wersję Eddy i długi poematy epickie, znajduje wielu zwolenników, naśladowców, wielbicieli.

Z czasem jednak płomienny jego zapał przygasa. Romantyczny wieszcz zostaje godnym profesorem literatury i po trochu – nudnym mantałą, którego nieustannie egzaltowane zachwyty nad niemieckim romantyzmem i własne tasiemcowe utwory doszczętnie się już wszystkim sprzykrzyły. Krytykują go w coraz bardziej bezlitosny sposób. Nastają nowe czasy, nadchodzą nowi ludzie.

Stolica Danii liczy z początkiem XIX wieku około stu tysięcy mieszkańców. Otoczona jest wieńcem zielonych wałów obronnych i wysokimi murami, których bramy przez cały dzień pozostają otwarte, lecz co wieczór, o zmierzchu, są skrupulatnie zamykane. Wielkie klucze odnoszą później do królewskiego pałacu, aby władca kraju mógł spać spokojnie, nie obawiając się żadnych nieproszonych gości. Sielsko – patriarchalne stosunki panują w tym niewielkim mieście, które wcale zresztą nie pretenduje do sławy wielkiej metropolii. A przecież w tych właśnie latach Kopenhaga zaczyna przeżywać złotą erę, w której nazwano ją „Atenami Północy”.

Od lat rośnie już w Rzymie rzeźbiarska skała Rertela Thorvaldsena, którego dzieła: posąg Chrystusa i dwunastu potężnych marmurowych apostołów, ozdabiają katedrę duńskiej stolicy. znakomity fizyk Jan Chrystian Ørsted słynie szeroko ze swoich odkryć w dziedzinie elektromagnetyzmu. Wykarmiany na heglowskiej filozofii krytyk i dramaturg Jan Ludwik Heiberg, syn nieprzejednanego radykała, którego krewkie polemiki zmusiły niegdyś do opuszczenia kraju, zapalczywie wojuje ze „słońcem duńskiej literatury”, Oehlenschlägerem. Heiberg pisuje cięte krytyki, przenosi do Danii lekki francuski wodewil, lecz we własnej twórczości potrafi dostosować się również do patriotyczno – romantycznych gustów: jego dramat *Etverhøj* po dzień dzisiejszy jeszcze należy do żelaznego repertuaru duńskich teatrów. Frue Heiberg, piękna Hanna Luiza, znacznie młodsza i bardziej dyplomatyczna od swego brzydkiego, popędliwego małżonka, to „Muza epoki”, primadonna Królewskiego Teatru, największa, najślawniejsza na całej Północy aktorka. Przez wiele lat przy zręcznej, dyskretnej pomocy hrabiny Gyllembourg, matki Heiberga, będą oboje dyktatorami estetycznych gustów stolicy. Na przyjęciach w ich domu spotyka się intelektualna elita. Nie jedyny to zresztą artystyczny salon Kopenhagi. Krytyk literacki Knud Lyhne Rahbek również, za wzorem innych, urządza w swej wiejskiej posiadłości Bakkehus spotkania, podczas których odbywają się koncerty, popisy poetyckie, dysputy. W kawiarniach, w klubach studenckich rojno i gwarno. Nikt bowiem nie chce teraz w Danii mówić o polityce. Po niedawnych bolesnych doświadczeniach wszyscy mają dość polityki. Ale aż huczy od zajadłych dyskusji na temat sztuki, muzyki, literatury, teatru.

Pedagog – reformator Mikołaj Fryderyk Seweryn Grundtvig zakłada nowe szkoły: uniwersytety ludowe. Pozbawione balastu wyłącznie teoretycznej wiedzy, podręczników i egzaminów, oparte głównie na wykładach, mają praktycznie przygotować do życia młodzież – zwłaszcza wiejską – wychować pożytecznych obywateli. Z czasem ośrodki te staną się także zalążkiem ruchu spółdzielczego, który stał się podstawą rozwoju gospodarczego życia Danii.

Czegóż zresztą nie robi ów niebywale dynamiczny, wszechstronnie uzdolniony gwałtownik o przenikliwie bystrych, jasnych oczach i potężnej, rozwichrzonej brodzie. Historyk i reformator religijny – usilnie zwalcza teologów–dogmatyków, domagając się absolutnej swobody dla ducha. Pisze wiersze i poematy, pieśni historyczne i biblijne, tworzy około półtora tysiąca poetyckich hymnów kościelnych, lecz jednocześnie bada i opisuje pogańskie mity, studiuje z zapalem dawne języki skandynawskie, staroangielski, staronordycki, islandzki, pisze *Mitologię nordycką*, tłumaczy przez długie lata *Eddę*, Saxo Grammaticusa, odcyfrowuje pradawne teksty. Duch wiecznie niespokojny, otoczony gromadą gorących zwolenników i przeciwników, w ciągu przeszło dziewięćdziesięciu lat pracowitego swojego życia nieustannie uwikłany we wściekle polemiki i tysiącne sprzeczności, okazuje się we wszelkich swych poczynaniach typowym przedstawicielem okolic, z których pochodzi: właśnie mieszkańców Zelandii cechuje praktyczny altruizm.

Sören Kierkegaard z ponurego swego dzieciństwa nie wyniósł natomiast uczuć życzliwości dla świata i bliźnich. Był najmłodszym z siedmioroga dzieci zamożnego kopenhaskiego kupca Michała Kierkegarda. Gdy się urodził, ojciec miał już lat sześćdziesiąt pięć, matka przeszło czterdzieści. Atmosfera rodzinnego domu była mroczna, surowa, osnuta cieniem groźnej tajemnicy, którą młody Sören poznać miał dopiero po wielu latach. Michał Kierkegaard pochodził z nędznej osady Saeding na piaskach Jutlandii. Jako dwunastoletni chłopiec, pasąc owce wśród skąpej trawy, głodując i marznąc, zaczął pewnego dnia w rozpaczynie przeklinać Boga. Lecz właśnie w tym dniu nastąpiła w jego życiu niezwykła zmiana. Po powrocie z pastwiska zastał w domu brata matki, który przyjechał, żeby zabrać go do stolicy, uczyć, wychowywać i z czasem uczynić swoim spadkobiercą: miał w Kopenhadze dobrze prosperujący sklep z wełną i pończochami. Siostrzeniec okazał się pojętny: nie tylko przejął interesy wujka, ale znacznie jeszcze je rozszerzył. Po latach otrzymał od króla zezwolenie na handel towarami kolonialnymi, sprzedawał syrop, cukier, kawę, doszedł do znacznego majątku, dorobił się wielkiej kamienicy tuż obok ratusza, przy Nytorv – Nowym Targu, jednym z najpiękniejszych placów w całym mieście. Ale wspomnienie straszliwego bluźnierstwa, jakiego dopuścił się w dzieciństwie, dręczyło go do końca życia. Nieustannie oczekiwał kary boskiej i pogrążony w chorobliwej wręcz melancholii wychował własne dzieci wśród lęku, pokutno–żałobnych nastrojów i przygnębiającego pesymizmu. Mały Sören już w szkole odczuł, że nie jest dzieckiem takim jak inne. Drobny, wątły, dziwacznie ubrany, gdyż ojciec przesadnie dbał o to, żeby nie budzić w dzieciach niezdrowej próżności, był nieustannie przedmiotem kpin wszystkich kolegów, którzy z gracji ojcowskiego zawodu przezywali go „Sören Skarpeta”. Znacznie odpowiedniejszy był jednak przydomek, który sam sobie wynalazł. Niegdyś, gdy miał zaledwie parę lat, zwrócono mu w domu uwagę, żeby nie jadł łapczywie i żarłocznie. Odparł wówczas ze złością: „Jestem widelec i będę was wszystkich kłuć.” Konsekwentnie trzymał się odtąd tej zasady: zarówno domownicy, jak i starsi uczniowie, a nawet nauczyciele obawiali się zjadliwie ostrych dowcipów małego „Widelca”.

Z rodzinną Kopenhagą związany jest Kierkegaard najmocniej. Zagraniczne podróże, nawet tak modne w owych latach wyprawy do Włoch wcale go nie nęcą. Nie znosił upałów ani ostrego słonecznego świata – stąd słynny, na niezliczonych karykaturach powtarzany jego parasol, z którym niemal się nie rozstawał. Wolał jesień od innych pór roku, a najmiłsze z całego dnia było mu późne popołudnie. Choć w Berlinie powstają później wszystkie ważniejsze jego dzieła, wyjeżdża tam nieczęsto, zawsze na krótko. Odpoczywa najlepiej odbywając po-

wozem przejażdżki po okolicach Kopenhagi. Za młodu studiuje na uniwersytecie teologię, filozofię i estetykę, często odwiedza teatr i modne salony, wszyscy widzą w nim na razie jedynie szyderczego kpiarza i – nienagannie eleganckiego dandysa. Przed południem, z nieodłącznym parasolem pod pachą, flanuje w centrum stolicy, a wieczorami błyska świetnym, choć zawsze nieco kostycznym humorem w najlepszych towarzystwach. Sława wielkiego filozofa, nieustrzonego perypatetyka, niezrównanego mistyfikatora zaczyna rosnać dopiero na przełomie czterdziestych lat nowego stulecia.

Z pism Kierkegaarda pochodzi też opis ówczesnej Kopenhagi: „Niektórzy z rodaków moich sądzą... że jest ona miastem nudnym i małym. Ja jestem innego zdania. Ożywiana tchnieniem morza, nad którym się znajduje, nawet zimą niezdolna zapomnieć o swych bukowych lasach, wydaje mi się miejscem najdogodniejszym, jakiego mógłbym życzyć sobie na mieszkanie. Dość duża na to, żeby być miastem wielkim, przecież wystarczająca mała, żeby nie mogła ukształtować się w niej rynkowa cena człowieka... Niektórzy z rodaków moich sądzą, iż ludność w tym mieście jest ospała. Mnie się tak nie wydaje... Właśnie dlatego, że indywidualności nie całkiem jeszcze utraciły tu swoją cenę... właśnie dlatego, iż ludność za mało jest jeszcze wykształcona... życie w tej stolicy jest tak niezmiernie interesujące dla każdego, kto umie znajdować radość w obcowaniu z ludźmi...”

2

Odense, było w początkach XIX stulecia drugim pod względem wielkości, choć zaledwie pięcioletnim miastem duńskim. Stolica żywej, zielonej wyspy Fionii, zwanej „ogrodem Danii”, nazwę swoją wywodziła z mroków prastarego mitu. Według legendy było niegdyś siedzibą pogańskiego boga Odyna. W mitologiach nordyckich Odyn jest opiekunem wojowników, zarówno na tym, jak i na „tamnym” świecie. W strofach Eddy i poematów na jej tle osnutych powraca często jego imię. Nigdy jednak sam nie bierze udziału w walce. Posiada natomiast mnóstwo magicznych przymiotów: jest wszechobecny, w każdej chwili może dowolnie zmieniać swoją postać, umie oślepić, ogłuszać, paraliżować swoich przeciwników, odbierając im broni wszelką skuteczność. Jest panem życia i śmierci, ojcem wszystkich innych bóstw, władcą straszliwym, groźnym „bogiem sznura”. W zamierzonych czasach odbywały się na jego cześć rytualne misteria, których uczestnicy, z powrozami na szyjach, naśladowali wisielców.

Z początkiem XIX wieku Odense wydawało się miastem cofniętym w historii o całe niemal stulecie. Na ulicach jego można było wówczas często spotkać postaci staroświeckich perukach, trójgraniastych kapeluszach, krótkich, pod kolanami spinanych spodniach, od dawna niemodnych już surdutach z wielkimi, metalowymi guzikami.. Od XVII wieku Odense rozbudowało się znacznie. Stało się ośrodkiem komunikacji całej wyspy, a wokół pałacu gubernatora gdzie czasami gościł nawet sam król, wyrosły liczne nowe siedziby arystokracji, wyższych urzędników cywilnych i wojskowych: domy solidne, mocne, nieco przyciężkie, lecz ozdobione kolumnami i tarasami, otoczone zielenią starannie utrzymanych ogrodów. Od 1796 roku miasto miało już nawet własny teatr.

Nowoczesne było jednak jedynie centrum. Szeroka Overgade, kupiecka Verstergade, na północ od niej położony Fisketorvet – Targ Rybny, i Norregade. Z drugiego końca miasta biegly wąskie uliczki, ciasne i krzywe zaułki. Tłoczyły się przy nich małe domki, sklecone licho,

najczęściej z pruskiego muru, bajecznie kolorowe: niebieskie z czerwonymi okiennicami, zielone z żółtą facjatką lub przybudówką dolepioną pod szczytem niczym jaskółcze gniazdo. Dachy ich, kryte grubą dachówką barwy cynamonu, opadały nisko, niczym wielkie czapy. Dorosły człowiek nie potrzebował nawet wspinać się na palce, chcąc ręką dosięgnąć ich krawędzi. Tam mieszkała ludność najuboższa: prządki, praczki, najemnicy, drobni rzemieślnicy i handlarze, wysłużeni żołnierze. Tam niepodzielnie panował jeszcze świat mitu. Znachorki, kabalarki, wróżki zaglądały tam znacznie częściej niż do jakiegokolwiek innej dzielnicy. W dzień Wielkanocy stamtąd właśnie ludzie biegli skwapliwie na zamiejską wzgórze, żeby przekonać się na własne oczy, czy słońce istotnie tańczy pośród nieba, radując się ze zmartwychwstania Pana. Przetrwały i nowsze tradycje. W dni świąt cechowych odbywały się uroczyste pochody, poprzedzane przez czerwono-nosowego arlekina z różdżką obwieszoną dzwoneczkami. Przed Popielcem rzeźnicy oprowadzali po ulicach najtłustszego wolu, uwiecznionego kwiatami: na jego grzbiecie jechał w białej koszulce mały chłopiec z parą ogromnych skrzydeł.

W poklasztornych budynkach franciszkanów, braci szarych i czarnych, gdzie znajdowały się miejskie szpitale i przytułki dla ubogich i starców, przy wtórze kołowroteków powracały przekazywane od wielu pokoleń legendy, podania, opowieści.

Oto w podziemiach starego zamku Kronborg siedzi, zakuty w stal i żelazo, narodowy heros, Holger Danske. „Głowę podparł silnymi ramionami, długa jego broda zwisa nad marmurowym stołem, do którego przyrosła. Śpi i śpi, lecz w śnie widzi wszystko, co dzieje się na górze, w Danii.” I w latach wojen pocieszano się, że Holger Danske śpi nadal jeszcze, kraj więc nie znajduje się w największym niebezpieczeństwie. Gdy bowiem istotnie zagrozi katastrofa... „stary Holger podniesie się tak gwałtownie, że aż stół pęknie, oderwie od niego swoją brodę wyjdzie z lochów i uderzy na wroga tak, że we wszystkich krajach świata będzie słychać”.

W Odense zerwał się niegdyś ze sznura ogromny dzwon i spadł do rzeki. Odtąd miejsce to nazywano Głębią Dzwonu. Niedobre miejsce: w rzece czyhał wodnik, zwabiając dzieci i dorosłych. A głos dzwonu, dochodzący z głębin, był zawsze zwiastunem śmierci.

Nocami łopocą w powietrzu upiorne kruki z dziurą w lewym skrzydle: dusze pokutujące, które szukają spokoju i nigdzie znaleźć go nie mogą. Trójnogie stwory w postaci konia lub świni (te bowiem zwierzęta musiano dawniej żywcem zakopywać pod fundament każdego nowego kościoła) wbiegają do wąskich, ciemnych sieni: znak nieomylny, że w domu tym niebawem ktoś umrze.

Krąży także nocą po ulicach Odense duch burmistrza, który niegdyś kazał usunąć ruiny starego kościoła: teraz sam zbiera rozproszone szczątki, na próżno usiłując od lat sklecić choć jedną ścianę świątyni.

Rzeczywistość okazuje się znacznie bardziej przerażająca od wszelkich legend. W kraju panuje bieda, papierowe banknoty, których nadmiar wyprodukowano po wojnie, tracą z dnia nadzień wszelką wartość. Gmina miejska nie może już nadażyć z załatwianiem prośb o pomoc, wsparcie, o umieszczenie w szpitalu lub przytułku najbiedniejszych mieszkańców ciasnych, wąskich uliczek. Nazwiska tych ludzi z gminu, w odróżnieniu od szlachetnie urodzonych, przeważnie kończą się na „sen”.

W tych właśnie chyba krętych uliczkach Anna Sørensen jako młoda dziewczyna spotykała się wieczorem ze swymi kawalerami. Trzech z nich zapamiętać miała na zawsze: każdy porzucił ją z dzieckiem. Czasy były surowe; gdy tylko przestała karmić najmłodsze niemowlę, zamknięto ją na cały tydzień o chlebie i wodzie w ratuszu, żeby odpokutowała owe grzechy. Wkrótce potem znalazła zresztą męża. Był nim niedawno wypuszczony z więzienia Jens Pedersen. Szczęścia zaznała z nim pewno niewiele. Gdy zmarł, ponownie wyszła za mąż. Jörgen Rasmussen, którego tym razem poślubili, imał się kolejno różnych zajęć: był rękawicz-

nikiem, dragonem, murarzem, stróżem nocnym. Ale pieniędzy przy żadnej z tych prac się nie dorobił. Głód i bieda panowały w domu i Anna często wysyłała nieślubną swoją córkę, Annę Marię, na żebry. Dziewczynka, wstydząc się wyciągać rękę po prośbie, chowała się pod mostem i dopiero wieczorem wracała z płaczem do domu. Przyrodnia jej siostra, Chrystiana, gdy podrosła, umiejętniej pokierowała własnym losem. Wyjechała do Kopenhagi i, udając wdowę po bogatym kapitanie, założyła dom publiczny.

Anna Maria znalazła w Odense kawalera, garniarza nazwiskiem Bosevind czy Rosevind, lecz ponieważ nie miała posagu, doczekała się zamiast ślubu jedynie córki. Dopiero gdy wyraźnie już było widać, że spodziewa się drugiego dziecka, nieoczekiwanie wyszła za mąż. Szewc Jan Andersen miał wprawdzie dopiero dwadzieścia pięć lat, a jego narzeczona już prawie czterdzieści, lecz gdy sakrament małżeństwa przypieczętował ich związek, plotki sąsiadek przycichły. Córkę oddała Anna Maria pod opiekę matki.

Drugiego kwietnia 1805 roku urodził się owej parze syn: Jan Chrystian Andersen. Rodzice jego rok prawie jeszcze szukali mieszkania. Wprowadzili się wreszcie do niewielkiej izby z kuchnią przy Munkemöllestraede.

„Jedna tylko, miła izdebka, doszczętnie niemal zastawiona szewskim warsztatem, łóżkiem i składaną ławą, na której sypiałem, byli domem mego dzieciństwa – wspomina po latach Andersen w jednej z licznych swych autobiografii. – Ale ściany obwieszane były obrazkami, na skrzyni stały piękne miedziane naczynia, szklanki i figurki, z drugiej zaś strony, nad warsztatem, przy fienie, umocowana była półka z książkami i nutami. W malutkiej kuchence wisiała nad kredensem półka pełna cynowych talerzy i niewielkie to pomieszczenie wydawało mi się duże i bogate. Nawet drzwi, na których wymalowany był jakiś krajobraz, miały dla mnie wówczas tak wielkie znaczenie, jak dzisiaj cała galeria obrazów!

Z kuchni można się było za pomocą drabiny dostać na strych, gdzie na dachu, w rynnie, pomiędzy domem naszym i sąsiadów, stała skrzynka z ziemią, pełna pietruszki i szczypiorku. Był to jedyny ogródek mojej matki...”

Częstym gościem w małej, później tak rzewnie wspominatej izdebce była bieda. Jan Andersen nie należał do cechu i nie lubił swego zawodu. Był rzemieślnikiem z musu. Marzył niegdyś o skończeniu szkoły łacińskiej : pragnął być wykształconym człowiekiem, nie łaciarzem-partaczem. Nigdy zresztą nie miał wiele roboty, gdyż ludzie, na równi z nim samym, niezbyt ufali jego zawodowym umiejętnościom. W długie wieczory najchętniej czytał głośno: Biblię, bajki Lafontaine’a, dramaty Szekspira, *Baśnie z 1001 nocy* i ulubione komedie Holberga.

Z natury był małomówny, cichy, skłonny do melancholii. Poglądy wyczytane w książkach i gazetach, jakie przypadkowo trafiały w jego ręce, przetrawiał w samotności, pogrążony w długotrwałej zadumie. A racjonalistyczne swoje przekonania wyrażał nieraz tak otwarcie, że gorszył nawet własną żonę, która zaczynała wątpić, czy dusza jego dostąpi zbawienia. „Chrystus był człowiekiem takim samym jak my, tylko niezwykłym” – mawiał, albo: „Nie ma innego diabła, prócz tego, którego każdy z nas nosi we własnym sercu.” Gdy w 1811 roku pojawiła się na niebie wielka, jasno świecąca kometa i w uliczkach jęły krążyć pełne lęku pogłoski o rychłym już końcu świata, odczytany szewc kpił z przesądów, usiłując w naukowy sposób wyjaśnić sąsiadom pochodzenie tego zjawiska. W rezultacie osądzono, że ma źle m głowie.

Podejrzenia sąsiadów mogły być uzasadnione. Ojciec szewca Andersena był znanym w całym mieście pomyślnym. Pojawiał się na ulicach w trójkątnym kapeluszu z gazety, przybranym kwiatami i zielenią, pohukując i wyśpiewując na całe gardło. W stroju tym krążył również po okolicznych wsiach, obdarowując dzieci zabawkami, które sam rzeźbił w drewnie: ludzkimi postaciami o zwierzęcych łbach, osobliwymi ptakami, uskrzydłonymi zwierzę-

tami. Wiejskie gospodynie dawały mu w zamian kawał sera lub kilka jajek. A w Odense gromady uliczników często ścigały staruszka z wrzaskiem i śmiechem.

Mały Jan Chrystian raz tylko w życiu rozmawiał z dziwnym swoim dziadkiem. Panicznie bał się go i wstydził. I gdy znów dostrzegł go pewnego razu na ulicy, skrył się czym prędzej pod schodami. „Wiedziałem – pisał później – że pochodzę z jego ciała i krwi.”

Drugiej babki, matki własnej matki, nie znał prawie. Odwiedził ją tylko raz, gdy już została umieszczona w przytułku dla biedaków w Bogense, na północy Fionii. Przyrodniej siostry także unika. Zbyt wczesnie zrozumiał, jaki cień rzuca na całą rodzinę dziecko „nieślubne”, o którym tak lubią plotkować sąsiedzi. Ale uwielbia matkę ojca, „miłą, cichą staruszkę o łagodnych, niebieskich oczach i drobnej postaci, ciężko doświadczoną przez los”. Cierpiała ona na coś w rodzaju nieszkodliwej megalomanii czy też po prostu na własny użytek snuta pocieszające legendy o minionych latach. Przy lada okazji opowiadała, że babka jej była bogatą arystokratką w niemieckim mieście Kassel, lecz uciekła z domu, poślubiając jakiegoś „komedianta”. Mezalians ten miał fatalnie zaważyć na przyszłych losach całej rodziny. Sama z mężem też zresztą żyła niegdyś w dostatku. Dopiero później spadły na nich klęski: było wyginęło, dom się spalił, a mąż postradał rozum. Mit ów przesłaniać miał na wskroś prozaiiczną prawdę: matka szewca Andersena, z domu Nommesen była po prostu córką ubogiego rajtra pocztowego, a mąż jej, dopóki mu się nie pomieszało w głowie, by wiejskim szewcem.

Tę właśnie babkę darzy mały Jan Chrystian największą miłością. „Ona jedna była dobra.” I odpłacała ukochanemu wnukowi równie serdecznym uczuciem. Odwiedzała go niemal co dzień, opowiadała najpiękniejsze baśnie, pielęgnowała w chorobach, uszyła mu kiedyś kamizelkę z resztek lśniącego jedwabiu. Powtarzała nieustannie, że pragnie dla tego dziecka najświetniejszej przyszłości. Opiekowała się ogrodem przy miejskim szpitalu. Często przynosiła stamtąd kwiaty, a czasami zabierała malca, żeby się bawił wśród zieleni. Chłopiec lubił te wycieczki. Przynosiły mu realną korzyść w postaci jedzenia znacznie smaczniejszego i obfitszego niż w domu i mnóstwo wrażeń, których nie zapomniał do końca życia.

Po szpitalnym ogrodzie często spacerowali chorzy. W osobnym budynku, pod strażą, trzymano jedynie niebezpiecznych furiatów. Lecz właśnie to miejsce nieodparcie wabiło Jana Chrystiana. Zakradł się tam wreszcie pewnego razu i przeżył niecodzienną przygodę:

„Długi korytarz wiódł wzdłuż ich cel. Strażnik odszedł, a ja położyłem się na podłodze i zajrzałem przez szparę w drzwiach: zobaczyłem nagą kobietę, siedzącą na wiązce słomy, włosy spadały jej na plecy, śpiewała prześlicznym głosem. Nagle zerwała się, pędząc z krzykiem ku drzwiom, właśnie tam, gdzie leżałem. Mała klapka, przez którą podawano jej jedzenie, odsunęła się, ona zaś zaczęła patrzeć na mnie przez ten otwór – i wyciągnęła ku mnie długą swoją rękę; wrzasnąłem z przerażenia, poczułem, że czubki jej palców dotykają już mego ubrania – byłem w półżywy, gdy wreszcie nadszedł strażnik. Nawet w dojrzałym wieku widok ten i wrażenie nie zatarły się w mej pamięci.”

Obok szpitala znajdował się przytułek dla ubogich, a przy nim izba, w której przesiadywały stare prądki. Chłopiec i tam bywał częstym gościem. Plótł wówczas najróżniejsze głupstwa, zmyślał najdziwniejsze historie, bo rade z odwiedzin staruchy zawsze uważnie i chętnie go słuchały. A on potrzebował audytorium. Niezmiernie lubił się popisować. Pewnego razu podsłuchał rozmowę dorosłych o wnętrzu ciała ludzkiego i choć nic prawie z niej nie zrozumiał, już nazajutrz wyrysował kredą na drzwiach izby prądek mnóstwo zawitych zakrętasów i wygłosił uczony wykład o wnętrznościach, płucach i sercu.

– Za mądre to dziecko! Nie uchowa się! – wyrokowały staruszki.

Odwzajemniały mu się – zwłaszcza stara Johanna opowieściami o duchach, strachach, wiedźmach, upiorach, topielicach, zaczarowanych krainach, źródłach żywej wody, bohater-skich czynach śmiałych i mądrych prostaczków, którzy zawsze umieli zwyciężyć głupich, zarozumiałych bogaczy, a wszystkie te baśnie najeżone były takimi okropnościami, że wystra-

szony dzieciak nie tylko bał się później sam wracać do domu, lecz o zmierzchu nie ważył się wyjść nawet za próg.

Do najwcześniejszych, dzieciennych wspomnień, należało również zawarcie znajomości z miejskim więzieniem:

„Rodzice znali tam odźwiernego i zostali przez niego zaproszeni w gościnę, a ja musiałem im towarzyszyć; byłem wówczas jeszcze tak mały, że, jak zaraz posłyszycie, w powrotnej drodze niesiono mnie do domu. Więzienie w Odense było dla mnie równoznaczne z jaskinią złodziei i zbójców, często obok niego przy stawałem, oczywiście w znacznej odległości, i słuchałem, jak w jego wnętrzu śpiewają mężczyźni i kobiety przędąc na kołowrotkach.

...Wielką, okutą bramę otworzono jednym z kluczy z ogromnego, brzęczącego pęku i zaraz znowu zamknięto; po stromych schodach weszliśmy na górę, zabrano się do jedzenia i picia, dwóch więźniów obsługiwało przy stole – lecz ja nie dawałem się namówić do skosztowania czegokolwiek, odsuwałem nawet najśłodsze potrawy. Matka orzekła, że jestem chory, położyła mnie na łóżku, ale tuż obok znowu słyszałem turkot kołowrotka i wesołe piosenki; nie potrafię już dzisiaj powiedzieć, czy działo się to naprawdę, czy tylko w mojej wyobraźni, wiem jedynie, że byłem przejęty lękiem, pełen napięcia i jednocześnie w jakimś przyjemnym nastroju, tak jakbym wtargnął do zamczyska zbójców. Późnym wieczorem rodzice ruszyli do domu, nieśli mnie, pogoda była brzydka, deszcz chlapał mi prosto w twarz.”

Nie tylko zaczarowana, niedostępna, daleka kraina baśni – lecz i realny świat, najbliższe otoczenie, pełne są dziwnych, tajemniczych spraw, podniecających wyobraźnię, przejmujących lękiem.

Towarzyszy ojcu w jego częstych, milczących, długich wędrówkach po lesie. Zaciekawia go wszystko: szerokie liście łopuchów, kwiaty, z których splata wianki, czepliwe pędy jeżyn, zielona rześa na wodzie, drobne listki agrestu na jedynym wątłym krzaczku rosnącym na podwórzu koło domu. Przywiązuje do krzaka stary fartuch matczynej i zadumany, godzinami przesiaduje w tym namiocie.

Nad brzegiem wartkiej Munke Mølle wpatruje się w wodę z pienistym szumem spadającą z wielkich kół młyńskich. Czy to prawda, co mówią, że pod dnem rzeki znajduje się „druga strona ziemi”, dalekie Chiny, i że pewnego dnia może pojawić się królewicz, który zabierze go do tego nieznanego kraju?

Chodzi po ulicach z mocno zamkniętymi oczami. Jakże inny jest świat, gdy się go tylko słyszy – nic nie widząc!

– Słaby wzrok ma widocznie – ubolewają sąsiadki.

Ale chłopiec widzi dobrze. Obserwuje bystro. I pamięć ma doskonałą. Jak przez mgłę – miał wówczas trzy lata – przypomina sobie nawet czarnych ludzi, Hiszpanów, którzy byli, wtedy w mieście. Jeden z nich podniósł go, przycisnął mu do ust srebrny krążek. Matka niepokoiła się i gniewała. Lęk ją ogarniał na myśl, że ukryta w medaliku zła siła obcej wiary zaszkodzi dziecku. Później było wielkie zbiegowisko: prowadzono Hiszpana, skazanego na śmierć za zamordowanie jakiegoś Francuza. Zaplątany w tłumie malec zapamiętał i tę scenę.

„Wychowałem się w atmosferze pobożności i zabobonu” – napisze później. W świat znaków, czarów i wróżb wprowadza go matka. Jakże triumfowała, gdy ojciec już nazajutrz po uczonych wywodach, którymi zamierzał dowieść, że diabeł nie istnieje, obudził się z widocznym znakiem jego egzystencji: miał na ramieniu trzy wyraźne szramy. Twierdził wprawdzie z uporem, że zadrapał się o gwóźdź, ale zarówno Anna Maria, jak i wszyscy sąsiedzi doskonale wiedzieli, że złe moce chciały w ten sposób przestrzec sceptycznego samouka. Anna Maria czytać umie zaledwie drukowane litery, pisać nie umie wcale. Cała jej duma to czysto wysprzątana izba, wyszorowana kuchnia, śnieżnej białości pościel i starannie połatana odzież. Ale jest krzepka, energiczna, zaradna. Ze wszystkich sił stara się wspierać ubogie swe gospodarstwo: najmuje się do posług, do prania, do zbierania chmielu i kłosów po żniwach. „Ufać

sobie i Bogu” – to przewodnie hasło jej życia. Bóg ów w jej wyobrażeniach znacznie bardziej jest wprawdzie podobny do groźnego praojca Odyna niż do łagodnego Pana, o którym prawi w niedzielnych kazaniach pastor. Ale zalecana z ambony uległość i pokora również nie na wiele przydają się w codziennym życiu. Dziecko jest wątłe, dorywcze zarobki szewca Andersena nie wystarczają nawet na opędzenie najpilniejszych potrzeb. I Anna Maria, dobrze pamiętając własne dzieciństwo, lata nędzy, głodu, nieustannych upokorzeń, pogodnie stara się zaradzić biedzie. Idąc na wieś zabiera ze sobą chłopca.

„Pewnego dnia – wspomina taką wyprawę Jan Chrystian – przyszedliśmy do miejscowości, gdzie ekonom znany był jako zły człowiek; zobaczyliśmy nagle, że idzie ku nam z wielkim harapem w rękę. Matka i wszyscy inni rzucili się do ucieczki, ale moje nogi tkwiły w drewnianych chodakach, które biegnąc pogubiłem, kluto mnie rżysko, i dlatego nie mogłem szybko biec pozostałem więc sam jeden. Ekonom już podniósł bat, gdy spojrzałem mu prosto w twarz i zawołałem: «Jakże śmiesz mnie bić, skoro Bóg może to zobaczyć?» I srogi ów człowiek nagle całkiem złagodniał, pogłaskał mnie po twarzy, zapytał, jak się nazywam, i dał mi pieniądze; gdy pokazałem je matce, powiedziała do innych ludzi: «Dziwne dziecko ten mój Jan Chrystian, wszyscy są dla niego dobrzy i nawet ten zły człowiek podarował mu pieniądze.»”

Dziecko, podobnie jak człowiek prymitywny, nie dostrzega granicy pomiędzy czynem i słowem, pomiędzy realnym i nierealnym światem. Tym bardziej nie mógł dostrzegać jej ów chłopiec, dla którego rzeczywisty świat złączony był najściślej z krainą baśni, wróżebnych zaklęć i mitów. Chłopiec nad wiek wyrosnięty, niezręczny, brzydki, już od najwcześniejszych lat stroniący od rówieśników w obawie przed ich kpinami z pomyłonego dziadka, dziwnego ojca, wiecznie zaharowanej matki, która nawet w największe święta wystroić się może zaledwie w suknię z taniutkiego perkalu. Chłopiec zadumany, rozmarzony, żyjący we własnym świecie. Lecz mimo nędzy, jaka panuje w domu, otoczony przez najbliższych serdeczną opieką.

„Ojciec... pozwalał mi na wszystko, kochał mnie całym sercem. Żył tylko dla mnie. I dlatego też poświęcał każdą wolną chwilę, całe niedziele, na robienie dla mnie zabawek i obrazków. A wieczorami często czytał mi na głos.” Zabawki są rozmaite: śmieszne wycinanki z papieru, teatrzyk kukielkowy, skacząca żabka z gęsiej kości. Gęś jada się wprawdzie jedynie raz do roku: na Boże Narodzenie, lecz kukielkami można bawić się co dzień. Najpierw sam ojciec maluje dekoracje, szyje z przeróżnych strzępów kostiumy teatralne. Później Jan Chrystian z coraz większym zapałem sam się do tego zabiera.

– Może wyrośnie na dobrego krawca – pociesza się matka.

Lecz poza rodzinnym domem wcale nie wszyscy są dla niego „dobrzy”. Podczas szkolnych przerw wystraszony trzyma się kurczowo ręki nauczyciela, żeby nie przewróciła go gromada rozdokazywanych urwisów. Za nic w świecie nie zdołałby odwzajemnić im się tęgim kuksańcem albo zjadliwie uszczypliwym słowem jak mały, czupurny Kierkegaard. Usiłuje pozyskać sobie kolegów w inny sposób: opowiada, że jest „zamienionym” dzieckiem bogatych rodziców, którzy, gdy dorośnie, odnajdą go, że ma własny wspaniały pałac, a gdy i to nie skutkuje – że z nieba schodzi w nocy aniołowie i rozmawiają z nim. Ale dzieciarnia bezlitośnie wykpiwa wszystkie te fantazje. A w domu nadal bieda. W 1813 roku otrzymała wprawdzie matka niewielką zapomogę od miasta, lecz i tych pieniędzy na długo nie wystarczyło. Jan Chrystian nie pójdzie więc do łańciskiej szkoły, o której tak marzyli babka i ojciec. Uczęszcza najpierw do szkoły Carstena dla chłopców, a później już tylko do szkoły dla ubogich, gdzie oprócz religii uczą jedynie czytać, pisać i rachować. Z pisaniem najgorzej. Nie potrafi poprawnie sklecić ani jednego ulania. A przecież na urodziny dobrego nauczyciela, pana Welhaven, wypisuje niezdamnymi literami wierszowana laurkę i dołącza do niej bukiet kwiatów uzbieranych na łąkach. Tak bardzo pragnie ludzkiej życzliwości.

Zdobywa wreszcie przyjaciela. Przyjaciół ów chodzi po mieście z wielkim kubłem kleju i rozlepia teatralne afisze. Jan Chrystian był parę razy w teatrze z rodzicami. Nic wprawdzie nie rozumiał z tego, co mówiono na scenie, ponieważ według mody ówczesnej sztuki grano po niemiecku. Ale teatr go urzekł: światła, dekoracje, kostiumy, a nade wszystko głosy i gesty aktorów. Po powrocie do domu próbuje z pamięci odtwarzać całe sceny. Mruczy niezrozumiałe, niepojęte słowa. Rozlepiacz plakatów, ilekroć wystawiają nową sztukę, daje mu afisz. Chłopiec zaszywa się w kąt z tą zdobyczą. Z tytułu i ze opisu osób usiłuje odtworzyć treść dramatu. Albo na oczekaniu wymyśla nową.

W Niemczech tymczasem wrze wojna. Szewc Andersen jest wielbicielem Napoleona i chciwie czyta gazetach wiadomości wojenne. Skoro na Fonii rozpoczyna się werbowane żołnierzy, Jan Andersen ochotniczo zgłasza się do wojska. Sam zapewne nie wie, czy bardziej kusi go marzenie o randze oficerskiej, której nie tak trudno było się w owych latach dośłużyć, czy chęć ucieczki od pustego, nie lubianego warsztatu i obejrzenia kawałka świata. Sąsiedzi kręcą głowami: któż widział, żeby dobrowolnie iść pod kule? Lecz z początkiem 1814 roku zawarty zostaje pokój w Kilonii. I Andersen, doszedłszy zaledwie do Holsztynu, nie biorąc udziału w żadnej bitwie, wraca do domu bez sławy, jedynie ze zrujnowanym zdrowiem. Niedomaga odtąd stale, a w dwa lata później wpada w ciężką chorobę. W gorączce majaczy o bohaterskich czynach: sam „mały cesarz” wydaje mu rozkazy, które niezwłocznie należy wypełnić.

Przerażona Anna Maria posłała syna do znachorki, która wypytała chłopca dokładnie o objawy choroby, zmierzyła jego ramiona wełnianą nicią, mruczając zaklęcia położyła mu na piersi zieloną gałązkę i kazała wracać do domu brzegiem rzeki:

– Jeśli ojciec twój ma umrzeć, duch jego wyjdzie ci na spotkanie!

Chłopiec, drżąc ze strachu, wypełnił zlecenie. Po drodze nie spotkał nikogo. Lecz na trzeci dzień (świerszcz w izbie – zły omen – cykał nieustannie), gdy zbudził się wołając ojca, matka odpowiedziała z płaczem:

– Nie żyje. Zabrała go Lodowa Dziewica.

Był taki zimowy wieczór, kiedy wszyscy siedzieli w izbie. Jan Chrystian przykładł do zamrożonego okna nagrzaną przy piecu pieniążkę, żeby przez okrągłe, przejrzyste miejsce móc wyjrzeć na ulicę. Ojciec pokazał mu wówczas dziwną postać, jaką zamróż wyrysował na szybie. – Lodowa Dziewica – powiedział i dorzucił żartem: – Zobaczysz, że kiedyś przyjdzie po mnie!

Po śmierci ojca ubogie gospodarstwo podupadło już doszczętnie. Matka spędzała całe dni nad rzeką, przy praniu. Jan Chrystian wałęsał się samopas po łąkach albo przesiadywał przy ulubionym teatrzyku kukielkowym. Od ludzi stronił coraz bardziej. I miał obecnie znacznie poważniejsze po temu powody. Opisał je wiele lat później:

„Burmistrz stał przy otwartym oknie. Miał koszulę z koronkowymi mankietami, szpilkę wpiętą w żabot i był bardzo starannie ogolony.

– Hej, mały! – zawołał nagle.

A ten mały był synem praczki: przechodził właśnie tamtędy i z szacunkiem zdjął czapkę, której daszek był specjalnie przelamany tak, żeby można było schować ją do kieszeni. W ubogim, ale czystym i niezwykle porządnie połatany ubraniu, w ciężkich drewniakach, stał przed burmistrzem w postawie pełnej uszanowania, jakby to był sam król.

– Dobry z ciebie chłopiec – powiedział burmistrz. – Greczny chłopiec. Twoja matka pierze bieliznę tam, w rzece, a ty niesiesz jej to, co masz w kieszeni. Trudna sprawa z tą twoją matką. A ile tego masz?

– Pół miarki – odparł chłopak cichym, przerażonym głosem.

– Czy – dziś rano też tyle jej zaniósłeś? – pytał dalej.

– Nie, wczoraj.

– Dwie półmiarki to razem cała miarka. Nic niewarta kobieta! Niełatwo poradzić sobie z takimi ludźmi. Powiedz matce, że to wstyd. I sam przynajmniej nie bądź pijakiem, chociaż pewnie nim się stajesz. Biedne dziecko! No, idź już sobie.”

Nie mógł ukryć faktu, o którym wiedzieli wszyscy: Anna Maria piła. Woda w rzece, gdzie stać musiała godzinami, była lodowata, a rozgrzewająca wódka tania. Pełne politowania spojrzienia, złośliwe docinki, kwaśne uśmieški ścięgały odtąd jeszcze częściej Jana Chrystiana na ulicach miasta.

Życzliwą sąsiadką okazała się wdowa po pastarze Bungeflod, mieszkająca niedaleko wraz ze swą szwagierką. Chłopiec, początkowo nieufny i nieśmiały, zaczął odwiedzać ich dom coraz częściej. Po raz pierwszy zetknął się z ludźmi prawdziwie wykształconymi. Pastor pozostawił sporą bibliotekę, sam nawet pisywał wiersze i pieśni. Andersen sięgnął po dzieła Szekspira, w marnym wprowadzie przekładzie duńskim, lecz od tej chwili nic już innego nie mógł grać w swym kukielkowym teatryku. Po raz pierwszy również usłyszał u pani Bungeflod słowo „pisarz”, wymawiane z niezmiernym szacunkiem. Kto może zostać pisarzem? W jaki sposób układa się dramat?

Nie czeka odpowiedzi. Niecierpliwy i przejęty siada i pisze własny utwór: wierszowaną tragedię, zakończoną gwałtowną śmiercią wszystkich bez wyjątku postaci, stokroć krwawszą od Szekspirowskich dramatów. Temat zaczerpnął ze starej ludowej pieśni i – małego katechizmu (zwłaszcza z rozdziału *O obowiązkach względem bliźniego*). Wbiega potem do sąsiadów i czyta głośno swego *Abora i Elwirę*. Śmieją mu się prosto w nos albo poważnie strofują, że doprawdy za duży już jest na takie błazeństwa. Wzięłyby się lepiej do jakiejś pracy.

Rozpacz. Więc nie może zostać pisarzem?

Matka pociesza, że sąsiedzi z pewnością mu zazdroszczą: ich dzieciom ani w głowie pisanie dramatów. Jan Chrystian łaknie tej pociechy, wierzy jej natychmiast i – zasiada do pisania nowego utworu. Ale znów wpada w tarapaty. W sztuce występują król i królowa. Jakim językiem przemawiają monarchowie?

–Trzeba sprawdzić u Szekspira – radzi pani Bungeflod.

Nie. Szekspir, mimo całą swoją wspaniałość, popełnił tu z pewnością niedopuszczalny błąd. Gdzieżby królowie mogli mówić tak jak zwykli śmiertelnicy?

Jan Chrystian pożycza gruby słownik: niemiecko–angielsko–francusko–duński. Przeplatając własny tekst najróżniejszymi słowami we wszystkich tych obcych językach, tworzy wreszcie jakąś iście babilońską mowę, i dopiero wtedy czuje się zadowolony:

– To jedynie odpowiedni język dla tak wysoko postawionych osób.

Znowu próbuje znaleźć słuchaczy: „Głośne czytanie – wyzna później – było dla mnie zawsze szczęściem i nigdy nie przychodziło mi do głowy, że słuchanie go może nie być przyjemnością dla innych.” Nie było jednak. Sąsiedzi opędzają się od niego jak od uprzykrzonej muchy, jawnie już wzruszając ramionami nad nieszczęsnym pomyślnem, a rówieśnicy dokucają na każdym kroku:

– O, patrzcie patrzcie, biegnie nasz komediopisarz!

– Zobaczysz, że zwariujesz, tak jak twój dziadek!

Na wszystkie te przykrości i docinki reaguje obecnie tak samo, jak przez całe dalsze życie: boleśnie urażony, kryje się po kątach, szlocha, rozpacza, zanosí gorące modły do Boga i... przy najbliższej okazji znowu zaczyna improwizować najfantastyczniejsze opowieści lub deklamować z patosem.

W 1818 roku, dwa lata po śmierci męża, Anna Maria ponownie wychodzi za mąż. Szwec Niels Gundersen, znacznie od żony młodszy, spokojny i cichy człowiek, nie ma zamiaru wtrącać się do wychowania dorastającego już pasierba. Rodzina jego zresztą uważa to małżeństwo z podstarzałą, nie najlepszą opinią cieszącą się wdową za mezalians: Anna Maria ani jej syn nie mają prawa wstępu do domów swoich nowych krewnych. Matka chce posłać

chłopca na naukę do krawca. Ale Jan Chrystian gwałtownie protestuje. Rozlepiacz plakatów umożliwił mu niedawno statystowanie w przedstawieniu, które stołeczni aktorzy dali w Odense. Zaczarowany świat teatru uchylił przed nim na chwilę swoje drzwi. I stanowcza decyzja zapadła: zaraz po confirmacji wyjedzie. Do Kopenhagi. To największe w świecie miasto. Zostaje tam aktorem. Sławnym. Najsławniejszym.

Lecz w domu nadal panuje okrutna bieda i chłopiec ulega wreszcie namowom natki. Idzie do pracy. Lecz ani w fabryce tytoniu, gdzie niebawem zaczyna go dręczyć suchy, uporczywy kaszel, ani w fabryce sukna, gdzie z kolei go umieszczono, długo miejsca nie zagrzewa. Pierwszego dnia, pragnąc zaskarbić sobie życzliwość nowego otoczenia, deklamuje głośno utwory Szekspira i Holberga. I śpiewa. Głos ma jeszcze dziecinny: wysoki, dźwięczny, czysty. Robotnicy śmieją się i nawet wyręczają zabawnego dzieciaka w pracy, byle im umiłał czas. Lecz wyśmiewają go także: słuchając ich rubasnych żartów, rumieni się jak delikatna panienka. Nie przywykli do tak wrażliwych niewiniątek.

– A może to doprawdy przebrana dziewczyna? woła pewnego dnia jakiś wesołek. – Trzeba się o tym przekonać!

Brutalne, mocne ręce chwytają chłopaka – próżno szarpie się i wyrywa z praczem. Gdy wreszcie prześladowcy dają mu spokój, Jan Chrystian co sił w nogach zmyka do domu. Opowiada całą tę przygodę matce żąda od niej uroczystej obietnicy, że nigdy już nie pośle go do żadnej fabryki.

W Odense ma zresztą ów dziwaczny chłopiec już paru życzliwych i zamożnych protektorów. Gorliwie zabiega o ich laski. Aptekarz Andersen (nazwisko to jest bardzo częste w Danii), biskup Plum, radca Falbe, którego żona była niegdyś aktorką Królewskiego Teatru, chętnie słuchają jego deklamatorskich popisów i śpiewu. Anna Maria po zamążpójściu przeprowadziła się do innego mieszkania na tej samej uliczce, tuż obok pięknego domu pana radcy. I w dni, gdy u sąsiadów zbiera się większe grono gości, Jan Chrystian chodzi nad rzekę, staje na wielkim kamieniu i wyśpiewuje jak najgłośniej. Lecz oprócz zdawkowych pochwał występy te nie przynoszą mu żadnych korzyści.

Inny protektor, pułkownik Höegh Guldberg, zabiera pewnego razu chłopca do pałacu i przedstawia ówczesnemu gubernatorowi Fionii, następcy duńskiego tronu, Chrystianowi Fryderykowi. Ale i ta audiencja nie daje spodziewanych rezultatów. Dzięki wskazówkom pułkownika Jan Chrystian zdołał wprawdzie wstrzymać się od śpiewu, musiał jednak koniecznie popisać się egzaltowaną deklamacją i zamiast, jak go pouczono, prosić pokornie o pomoc w dalszym kształceniu się, jął z naiwnym zapałem zwierzać się księciu ze swych zamiarów wyjazdu do stolicy i zostania aktorem. Gubernator, patrząc na śmieszna, chuda i niezgrabna postać brzydkiego niedorostka, zbył go radą, którą powtarzali wszyscy: pora zrezygnować z niedowarzonych, dziecinnych marzeń i nauczyć się jakiegoś rzemiosła.

Na razie, jak wszyscy w jego wieku, musi Jan Chrystian przystąpić do confirmacji. Uczęszczając na lekcje religii, poprzedzające tę ceremonię, przyłącza się do grupy dzieci z bogatych rodzin, mimo że ze względu na niskie swoje pochodzenie powinien raczej należeć do gromady biedaków, przygotowujących się nie u proboszcza, lecz u wikarego.

„Nie tylko próżność – wyznaje później – skłoniła mnie do tego bałem się ubogich chłopców, ponieważ mnie wyśmiewali, i zawsze czułem wewnętrzny pociąg do zbliżenia się ku uczniom ze szkoły łacińskiej, ponieważ uważałem ich za coś znacznie lepszego od innych... Co dzień jednak doznawałem uczucia, że wepchnąłem się na nie swoje miejsce. Jedną tylko dziewczyną (...Laura Tönder-Lund) ...spoglądała na mnie zawsze przyjaźnie i życzliwie, a raz nawet podarowała mi różę. Wróciłem do domu pełen szczęścia, że oto przecież istnieje ktoś, kto nie omija mnie i nie odpycha.”

Z okazji confirmacji, oprócz ubrania, przerobionego z rzeczy pozostałych po zmarłym ojcu, doczekał się Jan Chrystian także pierwszej w życiu pary prawdziwych butów.

„Bałem się tylko – wspomina – że może nie wszyscy je zauważą, i dlatego wciągnąłem cholewki na nogawki spodni i tak szedłem przez cały kościół; buty skrzypiały, a ja cieszyłem się niesłychanie, bo cała gmina mogła przekonać się teraz, że są nowe.” Sumienie gryzło go wprawdzie szkaradnie, że w tak podniosłej chwili zbyt wiele myśli o nowych butach, a za mało o Bogu, lecz uparte myśli mimo wszystko nieustannie powracały do butów.

W ciągu ostatnich lat uciulał trzynaście talarów. Wydawało mu się to niezmiernym bogactwem. I natychmiast po confirmacji znowu zaczął molestować matkę, żeby pozwoliła mu wyjechać do Kopenhagi.

– Czymże chcesz tam zostać? – zapytała.

– Chcę zostać sławny – odparłem i opowiedziałem jej wszystko, co czytałem o wybitnych ludziach: najpierw trzeba przejść niesłychanie wiele przeciwności, a później zostaje się sławnym...

Kierował mną jakiś absolutnie niewytłumaczalny popęd... Błagałem, prosiłem i matka wreszcie ustąpiła, kazała mi jednak zawołać przedtem «mądrą» staruszkę ze szpitala, żeby z kart i fusów od kawy wywróżyla przyszłe moje losy.

– Syn pani zostanie wielkim człowiekiem – oświadczyła stara. Na jego cześć Odense będzie kiedyś iluminowane.”

Se non è vero... Bo relacja ta, choć prawdziwa, ścisła nie jest. Identyfikując się z bohaterem ulubionego mitu Jan Chrystian nie wie nawet jeszcze, jakich to bohaterskich czynów zamierza dokonać. I nie to jest ważne. Ważny jest rezultat ostateczny, w który wierzy z niezachwianą pewnością: sława. Efektowny epizod z przepowiednią wróżki został nieco przesunięty w czasie. Skrupulatność późniejszych badaczy ustaliła, że matka Andersena przy innej okazji, jak zresztą zapewne często, zasięgała porady „mądrej” staruszki. I sam główny bohater w najwcześniejszej swej autobiografii, *Księżde życia*, mimochodem tylko o tej przepowiedni wspomina. Natomiast w 1837 roku, jako znany już pisarz, opowiedział o niej francuskiemu literatowi, Ksaweremu Marmier, który w artykule dla „Revue de Paris” powiązał ją zrzęcznie z momentem opuszczenia rodzinnego miasta. I w autobiografii późniejszej, *Baśni mego życia*, Andersen sam tak odmienioną wersję zaakceptował: ileż bardziej baśniową od prozaicznej rzeczywistości!

Przekonawszy ostatecznie matkę, udał się Jan Chrystian do jednego z najhardziej szanowanych w mieście obywateli, drukarza i wydawcy Iversena. Nie znał go wcale. Lecz okazało się, że dla tego wpółdzikiego, nieobytego chłopaka zawieranie znajomości z najwyżej nawet postawionymi osobami, mogącymi ułatwić mu dalszą drogę, było rzeczą najłatwiejszą pod słońcem. Śmiało poprosił o list polecający do stolicy. Do Madame Schall, słynnej solistki królewskiego baletu. I Iversen list ów, napisał, choć także usiłował namówić chłopca do pozostania w dom i nauki rzemiosła.

–Byłaby to doprawdy niepowetowana szkoda! – odpowiedział Jan Chrystian z nieco teatralnym patosem. Wyjaśnił zresztą zaraz dlaczego: przeświadczony jest, że w Kopenhadze czeka go świetny, wspaniały los. Wie, że jedzie na spotkanie z własnym szczęściem. Na takie argumenty zdumiony pan Iversen nie znalazł już żadnej odpowiedzi.

I wreszcie nadszedł upragniony dzień wyjazdu:

„Matka spakowała niewielki tobolek odzieży i pogadała z pocztylionem, żeby zabrał mnie do Kopenhagi na gapę... Udało się, za całą podróż miałem zapłacić tylko trzy talary... Ze smutkiem odprowadziła mnie aż do miejskiej bramy, czekała tam już babka staruszka, przesłizne jej włosy posiwiały ostatnio, z płaczem rzuciła mi się na szyję, nie mówiąc ani słowa – i tak rozstaliśmy się, nie zobaczyłem jej już nigdy, w rok później umarła – nie wiem nawet, gdzie jej grób, pochowano ją na cmentarzu dla ubogich.

Pocztylion zagrał na trąbce popołudnie było piękne, słoneczne i słońce rozjaśniło też niebawem płocze, dziecinne moje serce: cieszyłem się wszelkimi nowościami, jakie oglądałem

po drodze, jechałem przecież do celu moich pragnień, lecz gdy koło Nyborg dotarłem do Wielkiego bełtu i statek odbił już od rodzinnej mojej wyspy, poczułem wyraźnie, że jestem samotny i opuszczony, że nie mam nikogo oprócz Boga na niebie. Ledwo więc stanąłem na ładzie Zelandii, poszedłem za jakąś szopę stojącą na piasku, padłem na kolana i zacząłem prosić Boga, żeby wspomagał mnie i prowadził; poczułem się pocieszony tą modlitwą, mocno wierząc w Boga i szczęście swoje – a później, przez cały dzień i noc następną, jechałem przez wsie i miasta, samotnie stojąc koło dyliżansu i jedząc chleb, gdy ładowano pakunki. Wydawało mi się, że już bardzo daleko odjechałem w szeroki świat.”

3

Szóstego września 1819 roku, w poniedziałek rano, dotarł Andersen do Kopenhagi. Lecz pierwsze spotkanie z duńską stolicą, którą uważał za „centrum świata”, bynajmniej nie wypadło tak, jak się spodziewał.

Na ulicach miasta kipiał gniewny, wzburzony tłum. Sypały się rozbijane kamieniami szyby. Pod nogami, na bruku, chrzęściło szkło i produkty z rozprutych, rozrzuconych skrzyń i worków. Chciwe, drapieżne palce rwały na strzępy aksamity, jedwabie, płótna, wyrzucone ze zdemolowanych sklepów. Fanatyczne wrzaski mieszały się z płaczem dzieci i żalonym zawodzeniem kobiet.

Kopenhaga ma wiele twarzy. Na razie poznał jedną z nich. Wieli pogrom Żydów, który właśnie tego dnia wybuchł w stolicy, wstrząsnął wpółwiejskim, prowincjonalnym czternastolatkiem. Ojciec i nauczyciele w Odense uczyli go tolerancji, szacunku dla wszelkiej religii. Wytęsknione wielkie miasto zaraz na wstępie ukazało mu obraz najdzikszego fanatyzmu. Oszołomiony, przerażony, uciekł jak najdalej od wyjącego tłumu.

Pobiegł prosto pod teatr. Kilkakrotnie obszedł budynek. Manewry te obserwował jakiś człowiek w dziwnym stroju z błyszczącymi guzikami. Podeszedł ku chłopcu: w rękę trzymał bilet. Uszczęśliwiony Jan Chrystian sadił w swej naiwności, że dobry nieznajomy chce mu ów bilet ofiarować. Ale portier teatralny zaczął podniesionym głosem domagać się pieniędzy. Zawstydzony chłopak uciekł czym prędzej i spod teatru.

Znalazł nocleg w jakiejś taniej gospodzie. A nazajutrz, z polecającym listem w rękę, ruszył do Madame Schall. Wspominał później tę doniosłą chwilę z niemałym poczuciem humoru:

„Włożyłem konfirmacyjne ubranie, o butach też, oczywiście, nie zapomniałem, wciągając cholewki na nogawki spodni, i tak, wystrojony najparadniej, w kapeluszu spadającym aż na oczy, poszedłem do Madame Schall, wręczyć mój polecający list. Zanim pociągnąłem za sznur od dzwonka, padłem na kolana, prosząc Boga, żebym zdołał znaleźć tu pomoc i opiekę; w tej samej chwili szła, po schodach z koszykiem w rękę jakaś służąca. Uśmiechnęła się życzliwie, wsunęła mi do ręki pieniądź i oddaliła się w podskokach. Popatrzyłem w ślad za nią, a dopiero później na szyling, który mi podarowała: miałem przecież na sobie konfirmacyjne ubranie i przypuszczałem, że bardzo elegancko się prezentuję, jakże więc mogła przypuszczać, że przychodzę żebrząc; krzyknąłem za nią, ale ona zawołała: «Zatrzymaj to sobie!», i znikła.

Wreszcie zostałem wpuszczony do mieszkania tancerki, która z ogromnym zdumieniem spoglądała na mnie i wysłuchiwała moich słów: absolutnie nie знаła autora listu, starego Iversena,

a cała moja postać i zachowanie wydały jej się niesłychanie dziwne. Wyraziłem gorące pragnienie występowania w teatrze, a na pytanie, jakie partie mógłbym wykonywać, odparłem:

–Kopciuszka! Tak bardzo go lubię!

Sztukę tę grali w Odense królewscy aktorzy, a główna jej rola przejęła mnie tak niezmiernie, że potrafiłem ją całą odtworzyć z pamięci. Chciałem dać tej pani próbkę moich umiejętności, a ponieważ była tancerką, uznałem, że najbardziej zainteresuje ją scena, w której Kopciuszek gra i tańczy – prosiłem tylko o pozwolenie zdjęcia butów, gdyż inaczej za ciężki będę do tej roli, po czym wzięłem wielki mój kapelusz zamiast tamburyna i, uderzając weń, zacząłem tańczyć i śpiewać:

Czymże zbytek, czym bogactwo,

Gdy ich troska nie omija?

Dziwaczne gesty, cała moja zdumiewająca ruchliwość sprawiły, że tancerka, do czego znacznie później sama mi się przyznała, wzięła mnie za wariata i czym prędzej postarała się odprawić.”

Fiaskiem kończy się także śmiała próba rozmowy z dyrektorem teatru, Holsteinem. Andersen dowiaduje się od niego jedynie, że nowych uczniów do szkół tańca i śpiewu przyjmuje się tylko raz do roku – na wiosnę, a ponadto – że za chudy jest na to, żeby występować na scenie. „Och: – odpowiada nie zmieszany gdybym tylko został przyjęty z gażą stu talarów rocznie, przytyłbym z pewnością!” Lecz na razie nic nie zapowiada bliskiej realizacji takich projektów – dyrektor jak najszybciej pozbywa się dziwaczego Petenta.

18 września chłopak jest już niemal bez grosza. W gazecie wyczytał ogłoszenie: stolarz Madsen poszukuje ucznia. Idzie pod wskazany adres, zdecydowany za wszelką cenę pozostać w stolicy, lecz znowu powtarza się historia, jaką przeżywał w Odense. Słuchając niewybrednych dowcipów, jakie od rana rozlegają się w warsztacie, dłużej niż pół dnia nie może tam wytrzymać. Ze łzami w oczach oświadcza zdumionemu majstrowi, że rezygnuje z nauki.

Z kolei – o czym w żadnej autobiografii nie wspomina – wpada na rozpaczliwy pomysł odszukania rodzonej ciotki. Znajduje ją. Ale właścicielka stołecznego lupanaru niechętnym wzrokiem obrzuca postać brzydkiego, chudego, nad wiek wyrosniętego siostrzeńca: „Gdybyś przynajmniej był dziewczyną!” – mruczy, wyprawiając go za drzwi.

Z początkiem roku koncertował w Odense znakomity wioski śpiewak, Giuseppe Siboni. Andersen zapamiętał jego nazwisko z plakatów. Prasa doniosła niebawem, że Siboni został w Kopenhadze dyrektorem konserwatorium. Jan Chrystian postanawia z kolei u niego spróbować szczęścia. W rodzinnym mieście wszyscy przecież tak chwalili dźwięczny i czysty głos chłopca.

Znowu staje u obcych drzwi. Służącej, która je otwiera, mówi najpierw, że przyszedł z zamiarem zaangażowania się jako śpiewak. A potem, na oczekaniu, streszcza jej cały swój życiorys. Mówi przekonująco, bezładnie, żarliwie. Wzruszona tą opowieścią dziewczyna sprowadza do dziwnego chłopca nie tylko gospodarza, lecz i innych gości, którzy zebrali się u niego tego wieczoru. Są wśród nich przedstawiciele kulturalnej elity stołecznej: poeta Baggesen, kompozytor Weyse, który także pochodzi z ludu i w młodości ciężko borykał się z losem.

Wprowadzony do pięknego salonu z fortepianem, Jan Chrystian i tu daje próbkę swych umiejętności. Śpiewa deklamuje wiersze, parę scen z Holberga. Lecz jest już u kresu sił: znużony, wyczerpany, wybucha wreszcie dziecinnym płaczem. Eleganckie towarzystwo nagradza jego występ oklaskami.

Szczęśliwie nie kończy się na oklaskach. Siboni obiecuje zająć się kształceniem głosu chłopca i pozwala mu przychodzić do swego domu na posiłki. Weyse organizuje doraźną zbiórkę pieniędzy. Siedemdziesiąt talarów to już suma, za którą można wynająć skromny pokoj.

Wiele twarzy ma Kopenhaga. Komórka przy Ulkegade jest ciemna, wąska i tak ciasna, że chcąc się w niej poruszyć trzeba krzesło stawiać na łóżku. Gospodyni ma chytre oczka: najpierw żąda za ową klitkę szesnastu talarów, ale już niebawem domaga się dwudziestu.

Na myśl o tym, że oto znowu pozostanie bez dachu nad głową, Jan Chrystian ponownie wybucha gorzkim płaczem. A potem rezolutnie ucieka się... do magii:

„...i gdy tak łzy płynęły mi po policzkach, zacząłem tymi łzami zraszać oczy portretu męża mej gospodyni, aby ów zmarły poczuł, jak mi ogromnie smutno, i zmiękczył serce swej żony. Musiała pojąć, że więcej pieniędzy ze mnie nie wycisnie, bo gdy wróciła, powiedziała, że gotowa zatrzymać mnie za szesnaście talarów; podziękowałem Bogu i nieboszczykowi.”

Tak będzie już odtąd zawsze: za przykładem matki wierzy prymitywnie i najszczerzej „w Boga i szczęście swoje”, ale równie gorąco ufa siłom tajemnym: dla bohaterów mitu czary też zawsze okazywały się przecież najskuteczniejszą pomocą.

Zbyt dziecinny, zbyt naiwny jest jeszcze, żeby pojąć, w jak podejrzaną zabrnął okolice. Żyje we własnym świecie: wyobraźni, książek i teatru. Bo już i tutaj zmajstrował sobie teatrzyk kukielkowy. Chodzi po sklepach: wyprasza ścinki i skrawki kolorowych materiałów na kostiumy. Spotykając na ulicach strojne damy w jedwabiach i aksamitach, obmyśla wspaniałe szaty dla królów i rycerzy, które mógłby wykroić z wielkich ilości materiałów, zużytych na owe suknie. W epoce Freuda zaczęto starannie roztrząsać kwestię tej „kukielkowej manii” Andersena, dopatrując się w niej nawet przejawów skłonności homoseksualnych. Psychiatra Hjalmar Helweg w przekonujący sposób rozwiął te podejrzenia: bawiąc się kukielkami Jan Chrystian czuł się przede wszystkim autorem licznych dramatów, które kazał odgrywać niemym, posłusznym wykonawcom, sam jednocześnie z największym przejęciem głośno mówiąc wszystkie ich role. O realnej, otaczającej go rzeczywistości nic nie wie i wiedzieć nie chce. „Znajdowałem się wśród tajemnic Kopenhagi, lecz nie umiałem ich odczytać. U gospodyni mieszkała oprócz mnie pewna miła, młoda pani, która miała pokój od podwórza, żyła sama i niekiedy płakała. Nikt nigdy jej nie odwiedzał poza starym ojcem, który zjawiał się tylko wieczorami, gdy już było ciemno; wpuszczałem go przez kuchenne drzwi; zawinięty był aż pod samą szyję w skromny płaszcz i kapelusz miał głęboko nasunięty na czoło...”

Dopiero wiele lat później, w eleganckich salonach stolicy spotka Andersen starszego wyorderowanego pana i pozna w mim rzekomego „ojca”, który niegdyś tak często wieczorami zaglądał do słynnej prostytutki dzielnicy.

Na razie Jan Chrystian nie ma nawet czasu oglądać się na innych. Z zapalem uczy się śpiewu, chodzi też na bezpłatne lekcje niemieckiego, żeby poznać oficjalny język sceniczny. Liczy dni, które mogą go jeszcze dzielić od wymarzonego debiutu teatralnego. I dopiero teraz pisze pierwszy list do matki, pełen radości i najświetniejszych planów na przyszłość.

Mija zaledwie pół roku i wszystko się kończy. Kończą się pieniądze i, co gorsze, lekcje z Sibonim. Jan Chrystian stracił głos. Albo przechodzi początki mutacji – choć w życiu tego dziwnego chłopca trudno ustalić okres dojrzewania – albo po prostu nabawił się chronicznej chrypy, chodząc przez całą zimę w dziurawych butach i bez płaszcza. Grunt znowu usuwa mu się spod nóg. I znów rozlegają się uprzykrzone rady: najlepiej wracaj do domu i naucz się jakiegoś rzemiosła.

Wracać nie chce, nie może. Naraziłby się zresztą tylko na śmiech i drwiny. A jedyne rzemiosło, którego z całej duszy pragnie się nauczyć, to tylko teatr. Musi wytrwać. Musi zostać. Ale z czegoż wyżyje?

Przypomina sobie, że w Kopenhadze mieszka literat, Fryderyk Höegh Guldberg, rodzony brat pułkownika z Odense. Pół roku spędzone w stolicy robi swoje. Już nie idzie stukać bezpośrednio do nieznajomych drzwi. Siada i pisze list. Barwnie i przejmująco opowiada w nim dotychczasowe swe przygody. Jedyne ortografia (z którą zresztą wojował przez całe życie) tej epistoły jest wręcz rozpaczliwa. Ale sukces odnosi. Guldberg zostaje jego nowym protek-

torem. Za jego radą Jan Chrystian układa podanie subskrypcyjne. Stylem napuszonym i egzaltowanym mówi o trudnej swojej sytuacji i prosi o wsparcie: „Potrzeby własne zmuszają mnie do złożenia na pewien czas losów moich w ręce szlachetnych przyjaciół ludzkości, ponieważ żywię głębokie przywiązanie do sztuki aktorskiej i urodziłem się jedynie po to, żeby służyć Thalii... Mam nadzieję wytrwać w balecie, dopóki nie zostanę aktorem... jednak na razie otrzymywać będę tylko pończochy i buty. Proszę więc... o drobną sumę co miesiąc, dopóki sam nie zdołam się utrzymać. Pracować będę ze wszystkich sił, żeby okres ów, o ile możliwości, jak najbardziej skrócić.”

Datki na ubogich uczniów zbierano wówczas często. Weyse znowu zajął się kwestą, dołożył swój grosz i inni „szlachetni przyjaciele ludzkości” – Guldberg, Siboni i nawet... obie jego służące, pamiętające jeszcze dobrze niespodziewaną wizytę dziwnego chudeusza.

Na rok szkolny 1820/21 Jan Chrystian istotnie zostaje przyjęty do szkoły baletowej. Całe popołudnia spędza pilnie na powtarzaniu trudnych ćwiczeń przy drażku. Dociera wreszcie nie tylko za kulisy Królewskiego Teatru: czternastego września 1820 roku z mocno bijącym sercem staje wreszcie po raz pierwszy na scenie. Ale i tutaj przejść musi „niesłychanie wiele przeciwności”. I tutaj narażony jest nieustannie na upokorzenia i złośliwości. W gronie elewów szkoły na jego widok rozlegają się śmiechy i drwiny. Kpią z jego brzydkiej, nadmiernie długiej i chudej postaci, wielkich stóp, niezręcznych, nieskoordynowanych ruchów, na próbach popychają, depczą mu po piętach, chichocą radośnie, gdy pewnego razu wybiega statystować na jasno oświetlonej scenie w spranym, przykusym i pękniętym z tyłu trykocie. Połyka łzy, hamuje wybuchy rozpacz, cierpliwie znosi wszystko. I w końcu nastaje dzień upragnionej nagrody.

12 kwietnia 1821 roku teatr daje premierę nowego baletu Armida. Na afiszu, obok słynnych nazwisk Madame Schall i baletmistrza Dahlena, przy błażej rólce trolla wydrukowano wyraźnie: Andersen. Nazwisko zaledwie, bez imion. A tyłu w Danii Andersenów! Mimo to chłopiec jest uszczęśliwiony. Setki razy odczytuje ów afisz, zabiera go do łóżka, ogląda znowu przed zaśnięciem i jak zawsze, gdy los się do niego uśmiechnie, zaczyna snuć marzenia o bliskiej już świetnej przyszłości. W balecie tym występuje wraz z Andersenem także niezwykle utalentowana, zaledwie ośmioletnia tancereczka: Hanna Luiza Pätges, córka ubogiej straganiarki z Dyrehave.

Guldberg, który udziela Janowi Chrystianowi lekcji duńskiego i niemieckiego, namawia znanego aktora Lindgreena, żeby zajął się aktorskim wykształceniem chłopca.

Lecz po pewnym czasie Lindgreen z edukacji tej rezygnuje. Nie chcąc urazić nadmiernie wrażliwego chłopaka i powiedzieć mu wprost, że wyjątkowa brzydota i dziwaczne ruchy uniemożliwiają mu sceniczną karierę, stwierdza jedynie: „Uczucie pan ma! Ale aktorem zostać pan nie powinien. Bóg jeden wie, czym właściwie powinien pan zostać. Niechże pan pomówi z Guldbergiem i postara nauczyć się trochę łaciny. To zazwyczaj droga do zostania studentem.”

Studentem? O takiej możliwości Jan Chrystian nigdy dotąd nie myślał. Pasja teatru przesłaniała mu w, istocie potrzebę jakiegokolwiek innej nauki. Ale posłuchał rady i Guldberg wystarał mu się również o bezpłatne lekcje łaciny. Uczęszczał na nie nader nieregularnie, niechętnie: skomplikowane zwroty, retoryczne figury, zawiłości gramatyki i składni nudziły go niesłychanie.

I znowu grozić zaczyna katastrofa. Niebawem usuwają go z baletu z opinią potwierdzającą zdanie Lindgreena: „Brak mu zarówno zdolności, jak i warunków zewnętrznych.” 4 czerwca 1821 roku figuruje już wprawdzie na liście uczniów szkoły śpiewu. I w teatrze także pozwalają mu jeszcze niekiedy postatystować. Ale w maju 1822 roku dyrekcja teatru daje mu ostateczne wymówienie.

Niepewny grunt znów usuwa mu się spod nóg. Tym bardziej że psują się stosunki z Guldbergiem, który ponieważ Andersen przestał się uczyć łaciny – grozi odmową dalszej opieki. Tym bardziej że słynne buty i konfirmacyjne ubranie przywiezione z Odense, od dawna rozleciały się już na strzępy, a różne części garderoby, jakimi obdarzają go przygodni dobroczyńcy: dwaj zegarmistrze Jürgensenowie, Guldberg, Siboni czy Weyse – raz są za ciasne, raz przykrótkie, a zawsze nadają nad wiek wyrosniętemu chudzielcowi wygląd jeszcze bardziej żaloszny i komiczny.

Najwcześniejszy i wierny zapewne jego portret z tego okresu skreślił jeden z ówczesnych mieszkańców Kopenhagi Just Mateusz Thiele:

„Pewnego popołudnia – w czerwcu chyba – siedziałem przy biurku, zwrócony plecami ku drzwiom, gdy rozległo się pukanie. Zawołałem: «Proszę!», i nie zdążyłem jeszcze odwrócić głowy, lecz już podniosłem wzrok znad papierów, gdy zaskoczył mnie widok niezwykle wyrosniętego chłopca o bardzo dziwacznym wyglądzie, który złożył mi głęboki teatralny ukłon do samej ziemi. Czapkę rzucił tuż przy drzwiach, a kiedy wyprostował długą swoją postać w podniszczonym szarym płaszczu, którego rękawy nie sięgały nawet do wychudzonych przegubów jego rąk, zza wielkiego, sterczącego nosa spojrzała na mnie para malutkich chińskich oczek, którym przydałby się zabieg chirurgiczny, żeby mogły swobodnie spozierać. Na szyi miał kolorową perkalową chustkę, zasuplaną tak ciasno, iż długa owa szyja zdawała się dążyć do wydostania się z tej matni, słowem, była to postać zdumiewająca, a stała się nią bardziej jeszcze, gdy postąpiła ku mnie parę kroków i, ponownie składając ukłon, tymi słowami rozpoczęła swą patetyczną przemowę:

«Czy wolno mi dostąpić zaszczytu wyrażenia uczuć moich dla teatralnej sceny w wierszu, który sam ułożyłem?»

W zaskoczeniu nie zdołałem wykonać nawet jednego ruchu, gdy chłopak deklamował już w najlepsze, a kiedy kolejnym ukłonem rzecz zakończył, natychmiast zapowiedział scenę z Hagbarta i Signe (tragedii Oehlenschlägera) i odegrał w tym przedstawieniu wszystkie role.

Siedziałem w milczeniu, czekając na chwilę przerwy, która umożliwiłaby mi zadanie choćby jednego pytania i uzyskanie odpowiedzi. Lecz daremnie; występ ów wiódł mnie od sceny jednej tragedii ku nowej scenie innej komedii, a gdy deklamator dotarł wreszcie do epilogu, który sam napisał, zakończył go kilku teatralnymi pokłonami, schwycił czapkę, która niczym zagapiony widz leżała przy drzwiach, i – już go nie było, zbiegł pędem ze schodów!”

Wiele twarzy ma Kopenhaga. I Andersen umie już teraz rozróżniać je coraz lepiej. Przez pierwszych swoich protektorów poznaje z czasem inne jeszcze, wybitne osobistości. I coś przecież musi w tym dziwacznym chłopcu ujmować ludzi, skoro coraz częściej zapraszają go do siebie. Prawda: bywa nieznośny, wpada do znajomych i nieznajomych domów w czas i nie w czas, nerwowy, natarczywy, przejęty nieustannie własnymi tylko sprawami, zadreczający nieustanną gadaniną. W szesnaste swoje urodziny składa nieoczekiwaną wizytę nawet jednemu z dyrektorów teatru, surowemu radcy Collinowi, przynosząc mu w darze wiersz, który sam ułożył – wiersz nieszczerólny. Ale utwory prawdziwych poetów, mimo rażącej jeszcze ciągle przesady ruchów i dykcji, recytuje również z zapalem i, przyznać trzeba, coraz lepiej. „*Der kleine Deklamator*”, obdarzony w salonach kopenhaskich takim przydomkiem chyba tylko dla zabawnego kontrastu z tyczkowatą postacią – zapraszany bywa już nawet do słynnego Bakkehus, domu Rahbeków. Poznaje tam uwielbianego Adama Oehlenschlägera, Bernarda Seweryna Ingemanna – poetę i autora poczytnych historycznych powieści, wielkiego swego imiennika Jana Chrystiana Örsteda. Znakomity fizyk od pierwszej chwili odnosi się do niego ze szczególną życzliwością.

Lecz nikt na razie nie podejrzewa, że mały deklamator przeistoczył się już tymczasem – w dramaturga. Jedyne łagodna, wyrozumiała pani Kama Rahbek, która pierwsza – wpół żartem

– nazwała go kiedyś poetą, zostaje dopuszczona do sekretu i zdumiewa się niebawem, słuchając głośnej lektury pierwszej jego sztuki o romantycznym tytule *Kaplica w lesie*:

– Ależ tu są całe fragmenty dosłownie przepisane z dzieł Ingemanna i Oehlenschlägera!

– Owszem, ale oni przecież cudownie piszą! – brzmi rozbijająca odpowiedź autora, który skwapliwie czyta dalej.

Andersen niczego bowiem teraz bardziej nie pragnie, jak wstąpić w ślady Oehlenschlägera. Napisać dramat. Wielki, wspaniały. Taki, jak słynny Aladyn! Nie – Lepszy! Z następnym swoim scenicznym utworem wyrusza do znanego tłumacza Szekspira, komandora Wulffa:

„Prosił mnie – pisze później o tym pierwszym spotkaniu, dodając zresztą, że sam Wulff relacjonował je z pewną żartobliwą przesadą – żebym wpięrow zjadł z nim śniadanie, lecz ja nie chciałem przełknąć ani kęsa, tylko czytałem galopem, a skończywszy zapytałem podobno: «Czy będzie coś ze mnie? bo ogromnie chciałem, żeby było!»” A gdy Wulff, z którego córka, garbata, lecz mimo kalectwa niezmiernie pogodną, mądrą i miłą Henrietta, przyjaźnił się potem Jan Chrystian przez długie lata, zachęca chłopca do ponownych odwiedzin, obiecuje, że zjawi się z pewnością, gdy tylko napisze nową tragedię. A kiedy to nastąpi? Najdalej za dwa tygodnie!

I w przewidzianym terminie istotnie powstają pod niecierpliwym autorskim piórem *Zbójcy z Wissenbjergu* (niewielkiej wioski na Fionii). Jakże jest z nich dumny! 19 marca 1822 roku przesyła utwór teatrowi anonimowo. Otrzymuje jednak odpowiedź – nie tylko odmowną, lecz i ostrzegawczą: „Na przyszłość – brzmi stanowczy tekst listu – dyrekcja teatru nie życzy sobie otrzymywać utworów, które by w stopniu równym, co nadesłany, zdradzały brali nawet elementarnego wykształcenia autora.”

Prawda: rozpaczliwa ortografia, błędy gramatyczne, składnia... Powinien był zasięgnąć czyjeś rady, dać komuś te tak spieszenie zapisywane kartki do przejrzenia i poprawienia. Ale przecież nie miał już na to czasu! Nie kapituluje zresztą bynajmniej. Następną tragedię, *Słońce elfów*, wysła teatrowi podpisaną już własnym nazwiskiem. Dramat, oczywiście, znowu odrzucają, lecz negatywnej opinii towarzyszy tym razem wnikliwa recenzja:

„Kopenhaga, 3 września 1822 r.

O Alfsol Andersena łatwo wydać opinię: jest to zbiór stów i tyrad bez jakiegokolwiek akcji dramatycznej, bez planu, bez charakterów, pełen najrozmaitszych reminiscencji: Ewald i Oehlenschläger, Irlandia i Młode Niemcy – wszystko pomieszane, zdania potoczne w rymach popolitych, słowem, na scenę nie nadaje się wcale.

Z drugiej jednak strony, zważywszy, że sztuka ta jest utworem człowieka, który zaledwie potrafi pisać w sposób zrozumiały, pojęcia nie ma o gramatyce, a w głowie ma ponadto dziwaczną mieszaninę złych i dobrych wzorów, z których bezładnie czerpie – parę takich wzorów można przecież wykryć w owej pracy trudno wstrzymać się od chęci dokonania próby z tą osobliwą głową przy pomocy nauki. Nie wiem, czy bardziej wpływowi koledzy moi osądzą, że zdołamy uzyskać dla niego bezpośrednią, królewską czy inną jakąś publiczną pomoc, czy też może lepiej będzie przeprowadzić subskrypcję, do której także rad będę swój grosz dorzucić. Przeświadczony jestem jednak, że coś z nim zrobić trzeba, a to pragnienie moje polecam bliższemu rozpatrzeniu i wpływowemu poparciu moich kolegów.

Rahbek”

Ocena Rahbeka przeważała szalę: przekonał pozostałych członków teatralnej dyrekcji, że zbyt wiele „ziarek złota” znalazł w owej nieskładnej, wpółdziecinnej próbie: młody autor potrzebuje pomocy. I znajduje ją. Wezwany 13 września przed oblicze teatralnego kolegium, dowiaduje się ze zdumieniem, że sztukę jego odrzucono, lecz on sam otrzymał królewskie stypendium i został zaliczony w poczet uczniów znanej szkoły łańciskiej w Slagelse. Radca

Collin będzie odtąd jego opiekunem. Od niego otrzyma co kwartał pieniądze, jemu ma przysłać wiadomości o wszystkich swoich potrzebach i postępach w nauce.

Jonasz Collin, racjonalista starej daty, o wąskich wargach i bystrym, przenikliwym spojrzeniu, skąpy w słowach, poważny i rzetelny, sumiennie spełniał liczne swoje obowiązki. Był wysokim urzędnikiem państwowym, tajnym radcą, jednym z dyrektorów teatru, a prócz tego sekretarzem królewskiego funduszu „*ad usus publicos*”, przeznaczonego na rozwój nauki, sztuki i podrózne stypendia. Od lat opiekował się ubogą zdolną młodzieżą. Tym razem przypadł mu jednak dość niezwykle podopieczny.

Patrycjuszowska, wielka i mroczna, pełna tajemniczych zakamarków, wygodna rezydencja Collinów niechętnie uchylała swych drzwi przed obcymi. Wystarczała spora gromadka własnych dzieci: był wśród nich Edward, trzy lata tylko młodszy od Andersena, żywa, złośliwie dowcipna Ingeborga, młodziutka, łagodna Luiza. I dzieci zresztą tworzyły zamknięty klan. Miały własny domowy żargon, sobie tylko znane anegdoty, porzekadła, zabawy, tajemnice. I Andersen, mimo iż z biegiem lat ten właśnie dom nazywać zaczęli „domem domów”, czuć będzie się tam zawsze jednak przybyszem z zewnątrz. Wobec starego radcy i jego żony, mimo całą ich wyrozumiałość i życzliwość, nigdy nie zdoła pozbyć się wspomnień z tych lat najpierwszych, palnych przykrych, upokarzającej zależności. A młode pokolenie Callinów, wychowane w dobrobycie, starannie wykształcone, nigdy także nie zdoła zrozumieć rozpaczliwie trudnej drogi, jaką przebył Jan Chrystian, zanim trafił pod ich dach. Razi w nim wszystko: brak obycia i ogłady, niespodziewane wybuchy niepokohamowanej radości i równie nagłej rozpacz, nawet dziecięco natrętna poufałość, z jaką do nich się garnie, wiecznie spragniony serdeczności, pomocy, przyjaźni. Konflikty z biegiem lat narosną. Ale wszelkie próby adaptacji spełzną na niczym: w systematyczny ład tej solidnej mieszczańskiej rodziny wtargnął dziki, prymitywny, niespokojny chłopak, który raczej oswoi z własną impulsywnością swych protektorów, niż sam zacznie stosować się do ich wymagań.

Choć lata najbliższe zabezpiecza uzyskane stypendium, nie jest to przyszłość, o jakiej marzył Andersen: pisarskich jego prób nikt nie potraktował serio. Sam więc gorliwie stara się jeszcze przedstawić duńskim czytelnikom. 9 sierpnia 1822 roku tygodnik „*Harfa*” drukuje parę Scen ze *Zbójców w Viserjergu*, a tragedia *Słońce elfów* zostaje włączona do pierwszego tomiku, który Jan Chrystian zamierza wydać pod tytułem: *Młodzieńcze próby*. Biega po całym mieście z arkuszami subskrypcyjnymi, za przykładem wszystkich początkujących poetów, nie mających jeszcze żadnych znajomości wśród wydawców, a więc i możliwości druku. Lecz nawet ten autor, z minimalną dawką krytycyzmu traktujący przez całe życie własną twórczość, nie zdoła później nazwać owej publikacji inaczej niż „ogromnie niedojrzałą”. Chociaż opatruje ją krótkim autobiograficznym wstępem i pseudonimem nie byle jakim: „Wiliam Chrystian Walter.” Wiliam – po Szekspirze, a Walter – na cześć Scotta, którego grube tamy pożyczają mu w stolicy bibliotekarz, ziomek z Odense, bezpłatnie, jedynie pod warunkiem punktualnego ich odnoszenia. Lecz mimo tak potężnych panów *Młodzieńcze próby* nie zdobywają wielu czytelników.

Debiutant nie ma już czasu tym się martwić: pisze do matki list pełen triumfu: – jedzie do szkoły łacińskiej! Otrzymał królewskie stypendium! Że też ojciec ani babka nie dożyli tego triumfu! I, zawsze chciwy nowych wrażeń, uszczęśliwiony tą kolejną odmianą losu, 6 października 1822 roku opuszcza Kopenhagę.

Źródłem ciężkich kompleksów, a przynajmniej trwałych urazów psychicznych nazwałaby współczesna psychiatria i medycyna lata, które Andersen spędził w szkole. Przeżycia, jakich wciągu owych lat zaznał, mogły złamać niejedną indywidualność znacznie bardziej zrównoważoną i dojrzałą.

Jechał przecież pełen nadziei... „Do miasta Slagelse! Zniknął już las, otaczający stary klasztor, znikły bogate zamkowe sale... ale stary drewniany krzyż stoi jeszcze na wzgórzu, na które w legendarnych czasach święty Andrzej, proboszcz Slagelse, przeniesiony został w ciągu jednej nocy z Jerozolimy.”

Przybył późnym wieczorem i zapytał w zajeździe, co w miasteczku jest godne widzenia. „Nowa angielska sikawka i biblioteka pastora Bastholma” – brzmiała zwięzła odpowiedź. Mieścina istotnie była niewielka, oddalona od lasów i morza przebiegał obok niej jedynie trakt pocztowy i dźwięk trąbki towarzyszył turkotowi dylizansów. Był również jeszcze w Slagelse mały prywatny teatr, gdzie na próby generalne wolno było przychodzić służbie domowej i uczniom szkoły łacińskiej.

Rektor szkoły, Szymon Meisling, przysadzisty, krępy, niechlujnie ubrany, miał twarz gniewnego buldoga i odznaczał się popędliwym, cholerycznym usposobieniem. Był znanym tłumaczem klasyków, sam także pisał wiersze. Uczniowie jednak przed nim drżeli. Stwierdziwszy żalostną ignorancję nowego przybysza, rektor aż poczerwieniał z pasji. Andersen nie umiał wskazać na mapie nawet Kopenhagi, przed przyjazdem do Slagelse nigdy nie słyszał o nauce zwanej geometrią, wymowa jego jest jeszcze ciągle mocno zabarwiona fiońskim dialektem (a w Odense mawiano, że dialekt fioński to język, którym rozmawiają ze sobą aniołowie, i to tylko w niedzielę!), pojęcia nie ma o gramatyce, tym bardziej o ortografii, a już ulubione przedmioty rektora – łacina i greka – wydają mu się najeżone wręcz niewiarygodnymi trudnościami. Szewski syn z Fionii – protegowany cenionego u dworu radcy Collina – królewski stypendysta! Sterczy w ławce drugiej klasy, pomiędzy chichoczącymi dwunastolatkami, chudy, długi, z wystraszoną miną, wiecznie jakby nieprzytomny.

Ma siedemnaście lat. Z rozpaczliwym uporem kuje po całych nocach. Usiłuje zapamiętać i zrozumieć trudne reguły, twierdzenia, wyjątki. Żałuje gorzko, żałuje gorąco ostatniego roku zmarnowanego w Kopenhadze, gdy nieszczęsny brak wytrwałości, który tak mu wymawiał Guldborg, nie pozwalał mu przysiąc fałdów nad łaciną. Zanurza obolałą głowę w misce wody. Kuje dalej. Matematyka, duński, historia ujdą jeszcze, ale starożytne języki nadal straszą jak zmary. Z każdym dniem bardziej traci wiarę we własne siły. Nie dokuczają mu już teraz wprawdzie żadne troski materialne: chłód, głód, niepewne jutro. Ale czuje się głęboko nieszczęśliwy, niczym „dziki ptak, zamknięty w klatce”. I co dzień na nowo paraliżuje go lęk przed szyderstwami rektora.

Meisling nie bije chłopców. Ocenia nawet sprawiedliwie ich postępy. Lecz przy każdej okazji smaga ich drwiną, sarkazmem, złośliwym wyzwiskiem. Andersen najczęściej pada teraz ofiarą tych niewybrednych rektorskich popisów. Cóż dopiero, gdy w szkole rozchodzi się pogłoska, że ten dziwny chudeusz, nie umiejący ani jednego zdania złożyć poprawnie w ojczystej mowie – pisze wiersze! Meisling zabrania mu tego najsurowiej, a gdy ów „Szekspir o oczach wampira”, jak go nazywa rektor, wybucha płaczem, pedagog wysyła jednego z uczniów na podwórze, każąc mu przynieść cegłę, aby wierszokleta mógł nią otrzeć łzy – będzie to wówczas już z pewnością prawdziwie poetycka cegła.

Jedynymi chwilami wytchnienia są wyjazdy do pobliskiego Sörö. „Piękne Sörö, otoczone lasami... ciche miasto wyziera spośród drzew, porośniętych mchem; młodzieńczym spojrzeniem wybiega z akademii ponad jezioro, na drogę, w świat... Sörö, perło twórczości, przechowująca prochy Holberga. Jak wspaniały biały łabędź leży twój zamek wiedzy nad głębo-

kim leśnym jeziorem i jak biały gwiazdzisty kwiat mchu błyska w lesie mały domek, którego szukamy wzrokiem... Jak zielony las nierozzerwalnie związany jest ze śpiewem ptaków, tak imię Ingemanna łączy się z Sörö.”

Ingemann został niedawno profesorem w ufundowanej właśnie przez Holberga akademii rycerskiej. Meisling po cichu może nawet zazdrości Andersenowi zażyłej znajomości ze znanym już wówczas poetą. Życzliwość łagodnego Ingemanna i jego młodej żony, przejażdżki po jeziorze łodzią, na której maszcie według ówczesnej romantycznej mody zawieszono harfę eolską, gorące dyskusje, jakie nieustannie toczą studenci akademii, uspokajają roztrzęsionego chłopaka. Zyskuje nowych przyjaciół: poetę Karola Baggera, żywego jak iskra młodego Ludwika Petit, który zawsze bierze udział we wszelkich dysputach i rozmowach. Ingemann pisze powieść z czasów króla Waldemara. I Andersen zaczyna poważnie zastanawiać się, czy nie pójść jego śladem. Interesuje go zwłaszcza wiek szesnasty – okres rządów Chrystiana II. „Twardą duszę przeciwstawiał twardym czasom”, lecz wśród ludu pozostawił najlepsze wspomnienia: starał się ulżyć ciężkiej doli chłopstwa, zwalczał możnych feudałów. Romantyczne dzieje miłości tego króla do biednej prostej dziewczyny Diuweke stanowią także temat wdzięczny, pociągający.

Po powrocie do Slagelse zaczyna Jan Chrystian myszkować w bibliotece pastora Baltholma, poszukując historycznych materiałów, lecz koszmar szkoły odrywa go, niebawem od ambitnych, dalekosiężnych planów. Koszmar, który jeszcze po wielu latach będzie mu spędzał sen z oczu. Długie noce, przesłęczane nad książką. Popłoch, w jaki wpada na sam widok groźnego rektora. I lęk. Lęk przed grzmiącymi drwinami na każdej niemal lekcji greki lub łaciny, lęk, że zawiedzie zaufanie tych, którzy przysli mu z pomocą, że nie wytrzyma próby, nie sprostą zadaniu, a przede wszystkim – nigdy nie dojdzie do wymarzonego celu.

Nie porzucił bowiem, wbrew rektorskim zakazom i listownym perswazjom kopenhaskich opiekunów, pisania wierszy. Jest poetą – a raczej uparcie nadal pragnie nim naprawdę zastać. I to – nie byle jakim. Podręcznym miejscem, okruczem stawy nigdy się nie zadowoli. Zawsze chce być najlepszy. Najbardziej podziwiany. Najślawniejszy. Uczy się zresztą coraz lepiej. I ponadto pochłania ogromne ilości książek, choć nie są to nigdy systematycznie planowane lektury. Goethego i Schillera, Tiecka, który tak wielki wpływ wywarł na twórczość Oehlenschlägera, Vossa, Wielanda, Woltera i Jean Paula, *Księgę pieśni i Obrazki z podróży* Heinego, zaczytuje się nadal Walter Scottem, urzeka go fantastyka E. T. A. Hoffmanna. Poznaje utwory Calderona w niemieckim przekładzie Schlegla, czyta dzieła Smolletta. A tak jest ciągle jeszcze dziecinny, że pewnego razu gorąco usprawiedliwia się w liście przed Collinem, gdyż z zachowania otrzymał tylko „bardzo dobrze” zamiast, jak dotychczas, „wzorowo”. O prawdziwych swoich udrękach napomyka częstych i długich swych korespondencjach nieśmiało i tak niewyraźnie, że radca przypisuje je tylko nadmiernej wrażliwości chłopca.

Ferie wielkanocne 1823 roku to kilka dni niczym nie zmałowanej radości. Po czterech latach, w ciągu których znosił tak niesłychanie „wiele przeciwności”, jedzie wreszcie po raz pierwszy do Odense. Matka nie poznaje w spotkanym na ulicy elegancie własnego syna. Przed rokiem owdowiali i ma teraz tak małą, ciasną izdebkę, że nawet nie może przenocować najmilszego gościa. Ale oprowadza go z dumą po sąsiadach i znajomych. Stary Iversen zaprasza chłopca, by zamieszkał w obszernym jego domu. Po całym mieście błyskawicznie rozchodzi się zresztą wieść o przyjeździe królewskiego stypendysty:

„W wąskich uliczkach – wspomina Andersen widziałem ludzi otwierających okna, żeby mi się przypatrzeć, bo wszyscy już wiedzieli, jak dobrze mi się powodzi i że studiuje za pieniądze króla... A gdy księgarz Sören Hempel, który zbudował na swoim domu wysoką wieżę... prowadził mnie na nią, gdy spojrzałem z wysoka na miasto i okolice, a w dole, na placu, dostrzegłem parę ubogich staruszek ze szpitala, znajdujących mnie od dziecka i wskazujących ku mnie palcami, poczułem się doprawdy tak, jakbym stanął na najwyższym szczycie szczęścia.”

Zimowe ferie spędza w Kopenhadze, odwiedzając kolejno domy wszystkich swych profesorów: Guldberga, Wulffów, Læssøe, Ørstedów. W gronie Collinów nawet złośliwa Ingeborga mniej już wykpiwa teraz jego fińską wymowę, która sprawia, że stale „połyka” spółgłoskę d, a stary radca chwali go za postępy w nauce. Lecz mimo dobrych ocen widać najwyraźniej, że dawny „mały deklamator” nie wyrośnie na uczonego profesora, nafaszerowanego grecko – łacińskimi sentencjami. Nadal przy każdej sposobności czyta głośno swoje wiersze i ma nawet okazję zaprezentować je samemu Oehlenschlägerowi, skoro na jego autorytet powołuje się później w liście, który niebawem wysyła do Odense.

„Slagelse, 16 stycznia, 1824

Drogi Panie Iversen,

W ostatnim liście wspominałem panu o paru wierszach, które napisałem w Kopenhadze; teraz, podczas ferii, przeczytałem je kilku osobom, wybrałem najlepsze i odczytałem je głośno Oehlenschlägerowi i paru innym ludziom, którzy potrafią ocenić takie rzeczy, oni zaś orzekli, że mogę już odważyć się na przedłożenie ich publiczności. Z tego powodu przesyłam je panu, a jeśli je pan przeczyta i zechce drukować, może pan (jeśli nie wcześniej, to wówczas, gdy już zostaną rozprzedane) dać mi za nie, ile pan zechce, gdy już trud pański będzie opłacony. Proszę tylko o przestanie mi szesnastu egzemplarzy, którymi pragnę obdarować przyjaciół, resztę pozostawiam panu.”

I jeszcze, w postscriptum:

„Jeśli nie może pan albo nie zechce drukować ich sam, zdoła je pan zapewne umieścić gdzie indziej i zechce, mam nadzieję, powiadomić mnie o tym.”

Lecz ciche, małe Slagelse żyje nie tylko pracowitą atmosferą łacińskiej szkoły. W tym samym 1824 roku, z rozkazu rektora, starsi uczniowie asystują odbywające się pod miastem egzekucji. Widok ma być budujący, lecz przede wszystkim jest straszliwy. Skazańcy stoją przy otwartych trumnach, podczas gdy zgromadzony tłum głośno śpiewa pobożny hymn. Siedemnastoletnia dziewczyna, jej kochanek oraz parobek z niewielkiego chłopskiego gospodarstwa muszą za chwilę zginąć: obaj młodzi, ulegając namowom dziewczyny, zamordowali jej ojca, nie zgadzającego się na małżeństwo z ukochanym. Sprawiedliwy wyrok jest wykonany na oczach przejętych widzów. A później kubek ciepłej jeszcze krwi ludzkiej wlewają do gardła jakiemuś epileptykowi: najskuteczniejsze to podobno lekarstwo na tę groźną chorobę. Tym razem nie skutkuje: nieszczęsny pacjent już chwilę później wije się w konwulsjach. Publiczność rozchodzi się powoli, żywo komentując niedawne wydarzenia. Trumny ze zwłokami spieszenie zakopują: zbrodniarze, jak przystało, zostali pochowani w nie poświęconej ziemi.

Wszystko tu jeszcze łączy się i przeplata: pradawne wierzenia, sądowy wyrok i wzniosłe słowa religijnego hymnu. Choć tak niezwykle wydarzenia należą raczej do rzadkości. Inni płyną zazwyczaj jednostajnie, nużące niemal w sennej, prowincjonalnej szarzyźnie. Jan Chrystian potajemnie zaczął prowadzić dziennik. Odnotowuje w nim skrupulatnie wszelkie sprawy i myśli:

„Niedziela. Dobry, zwyczajny dzień. Czytałem gazety, trochę źle się czułem. Gospodyni, pokojowa i Tina poszły na bal; na dworze straszliwa wichura, stół nawet się kiwał, ale ja lubię taką zawieruchę. To doprawdy życie wśród otaczającej nas przyrody, a najprzyjemniej, gdy tak jak dzisiaj mam wieczorem kluski, jabłka i poncz tylko dla siebie (napisałem do Ørsteda).”

Nagle wstrząsy, przerażające przeżycia nie zawsze jednak przychodzą z zewnątrz. Na szkolną akademię trzeba było skomponować okolicznościową pieśń. Zwrócono się do Andersena: ucieszony, ułożył odpowiedni tekst, do którego dobrano melodię. Ale w dzienniku przy tej właśnie okazji zapisał:

„Dawniej cieszyłbym się, że oto należę do gromadki tych, którzy mogli wziąć w tym czynny udział, ale... akurat teraz odczułem po raz pierwszy chorobliwy wprost smutek, który później ściagał mnie przez wiele lat. Podczas samej uroczystości poszedłem na mały cmentarzyk koło kościoła, przystanąłem przed zapadniętym grobem, znałem wypisane na nim nazwisko, spoczywał tam lekarz i poeta Franckenau... Dziwnie żałośnie było mi na duszy i jałem prosić Boga, żebym albo został poetą takim jak ów Franckenau, albo czym prędzej, tak jak on, znalazł się w ziemi.”

Przyptyw zniechęcenia u przemęczonego, znużonego chłopca? Romantyczny sztafaż – grób albo sława wszystko albo nic? Raczej coś więcej jeszcze: choć z całej duszy pragnie utożsamiać się z legendarnym, zwycięskim Aladynem – jednocześnie nie ufa szczęśliwej chwili i gdy wreszcie chwila taka nastaje, cieszyć się nią nie umie. Nie jest to bynajmniej poza ani uleganie modnym gustom epoki. Ów smutek, przyptywy nagłej gorzkiej melancholii towarzyszyć będą mu odtąd przez wszystkie lata, snuć się przez najpiękniejsze karty przyszłej jego twórczości. Może tylko – odratowując po raz pierwszy te właśnie doznania w dzienniku zaczynał niejasno rozumieć, jak bardzo wysoka bywa cena spełnienia pragnień, dla których urzeczywistnienia nie wystarcza już naiwnie dziecienna wiara „w Boga i szczęście swoje”.

Kolejne ferie zimowe spędza w Kopenhadze. Cóż za kontrast ze szkolną zmorą w Slagelse! Mieszka u Wulffów, w królewskim pałacu Amalienborg, i za przykładem ulubionego Aladyna rozpamiętuje, stojąc przy oknie, niedawne czasy, gdy biegał ulicami duńskiej stolicy w dziurawych butach, przemoczony, zziębnięty, głodny, nikomu nie znany. Ale na wspaniałym balu kadetów, gdzie i król jest obecny, głęboko upokorzony Jan Chrystian kryje się za kotarą: wszyscy pojawili się w czarnych frakach, a tylko on, jeden jedyne, ma na sobie frak popielaty! Takie drobiazgi potrafią zawsze zatruć, zamącić mu wszelką radość. Gotów niemal klęknąć przed Oehlenschlägerem, który odnajduje go w ukryciu, zamienia z nim kilka stów i uścisk dłoni. Pędzi do pokoju, drżącą ręką zapisuje w dzienniku: „Poszedłem spać, przeklinając własny los i to, że nie mam żadnych pięknych ubrań, w dole turkotały karety, w głowie mojej huczały myśli, i tak zasnąłem...”

Wiosną 1825 roku Szymon Meisling otrzymał od dawna upragnioną nominację na rektora szkoły łacińskiej w Elsynchron. Finanse .ego przedstawiały się opłakanie, napisał więc do Collina, proponując mu przeniesienie Andersena do nowej szkoły gdzie wzięby go do własnego mieszkania na stancję. Obiecywał w zamian przygotować chłopca do matury w skróconym, półtorarocznym terminie. Stary radca, nadal nie zorientowany w prawdziwych stosunkach panujących między rektorem a nieszczęsnym jego uczniem, przyjął propozycję. Lecz po przeprowadzce do pięknego Elsynoru sytuacja stała się już doprawdy nieznośna. Mowy nie ma, żeby Andersen mógł po szkolnych zajęciach choć przez chwilę swobodnie odetchnąć, obejrzeć szare mury potężnego zamku ze zwodzonym mostem i rozległym wewnętrznym dziedzińcem otoczonym krużgankami, gdzie po dzień dzisiejszy na kamiennych płytach pojawiają się aktorzy, odtwarzający legendę królewicza Amleta. Zaraz po lekcjach zamykają chłopca w dusznej klasie albo w domu rektora. Wychodzić nie wolno mu nigdzie: nawet do kościoła. Niedojada, trzęsie się z zimna: od morza dmie ostry wicher, a opału i żywności wydzielają mu bardzo skąpo. Ponadto musi zabawiać gromadę nieznośnych, wiecznie rozwrzeszczanych i umorusanych rektorskich dzieci, znosić złe humory gospodarza. I jeszcze – odpierać bynajmniej niedwuznaczne ataki pani rektorowej. Tłusta, kłótniwa, podstarzała madame z przyprawionymi rudymi lokami znana była ze swych skłonności do niewybrednych przygód miłosnych i codziennie przyrządzanego mocnego ponczu. W przeznaczonej tylko dla najbliższych przyjaciół *Księdze życia* opisał Andersen swoje utrapienia z Meislingową (w znacznie już złagodzonych barwach oddane później w *Baśni mojego życia*, dowcipnie wykpione w postaci Senty w *Improwizatorze* i niemal idyllicznie wystylizowane w ostatniej powieści: *Szczęśliwy Peer*):

„Pani ta mówiła również: «Nie jest pan prawdziwym mężczyzną!» Pewnego wieczoru przysłała do mnie i zaczęła opowiadać, że ostatnio ogromnie schudła i suknia całkiem luźno na niej wisi; prosiła, żebym namacalnie o tym się przekonał. Złożyłem kilka pełnych szacunku ukłonów przed małżonką mojego rektora – ona zaś poczęstowała mnie sporą ilością wyśmienitego ponczu, byle wyjątkowo uprzejma i miła, ale sam nie wiem dlaczego, doznawałem uczucia, jakbym stał na szpilkach; z pewnością ją krzywdziłem – tak mi się przynajmniej wydawało – ale niedobre myśli przychodziły mi do głowy na jej temat, postarałem się więc czmychnąć, gdy tylko było to możliwe, i drżałem na całym ciele.”

Collinowie, pojęcia nie mając nawet o wszystkich tych perypetiach, nadal zachęcają go do wytrwania: „W trudnych chwilach niechże pan sobie powtarza na pociechę, że zna pan przecież wielu dobrych ludzi którzy doprawdy pana lubią.” I jeszcze: „Niechże pan zachowa zimną krew i zdrowy rozsądek, biorąc rzeczy takimi, jakimi są w istocie, nie takimi, jakie je pan sobie wyobraża! Zdrażnienia, przykrości – bez nich trudno się obejść w życiu i nie wolno z takich jedynie powodów porzucać szarawy raz zaczętej... Niechże pan nie traci głowy... Szczerze panu oddany Collin.” Pani Wulff pisze serdecznie: „Duszę ma pan tak piękną, żadna matka nie mogłaby pragnąć piękniejszej dla swojego syna...” A w innym liście po macierzyńsku przestrzega: „Drogi Andersenie, ale niechże pan porzuci myśl o zdobyciu nieśmiertelnej sławy – obawiam się, że obstając przy takich myślach narazi się pan jedynie na śmieszność...” A stary pułkownik Guldberg napomina: „Miejże odwagę i cierpliwość, synu mój! Doprawdy – nie rób z muchy słonia!”

Lecz on wpada doprawdy w skrajną już rozpacz.

„Cóż by ze mnie być mogło – notuje w dzienniku. – A co będzie? Bujna wyobraźnia doprowadzi mnie do domu wariatów, a gwałtowność uczuć sprawi, w stanę się samobójcą.”

Całkiem poważnie i coraz częściej myśli o rozstaniu się z życiem. Notes, pełen własnych utworów, opatruje napisem: „wiersze Jana Chrystiana Andersena, zmarłego w 1828 roku.” Przez cały okres pobytu w Elsynchronie pisze zresztą zaledwie dwa wiersze. Drugi z nich nosi tytuł: *Umierające dziecko*, i rozpoczyna się od słów: „Matko, jestem zmęczony i chciałbym zasnąć...”

Do własnej matki pisać o wszystkich tych przeżyciach nie może i nie chce. Wie, że obcy odczytują jej głośno jego listy, a nieczęste na nie odpowiedzi – chociaż dyktowane przez nią – spisywane są także cudzą ręką. Po cóż zresztą odbierać jej szczęśliwe złudzenia, dumę i radość z rzekomych sukcesów syna. Ale przed dobrym Ingemannem żali się otwarcie:

„16 maja 1826

„Rycerze smutnego oblicza mają szczęście jedynie w powieściach, mnie zaś Bóg tylko w cudowny sposób dopomógł iść naprzód i nie zechce chyba teraz mnie opuścić – robię, co mogę. Odwagi tedy: «aut Caesar – aut nihil» – oto moja dewiza. Niech się dzieje wola boska!

Być może, zobaczę pana podczas letnich ferii w mieście, a teraz żegnam. Przyszłość moja może będzie wspaniała, a może smutna, w tym zaś ostatnim wypadku także jest jeszcze nadzieja: śmierć.”

Niespełna cztery miesiące później ton Listu jest już znacznie żałośniejszy:

„Elsynor, 4 sierpnia 1826

Albo jestem uosobieniem życia, albo płacę jak dziecko, wiem, że to nie przystoi człowiekowi tak już wyrosniętemu i dorosłemu, lecz przecież tylko w samotności folguję moim smutom; języków uczę się z trudem, gramatyki, które ich trzon stanowią, szczerzą ku mnie zęby niczym ohydne szkielety, czuję słabość moją, a to mi wiarę odbiera, każda suma, jaką dostaję, ciężarem losu spada mi na duszę i zadreczam się myślą, że mógłbym zawieść okazane mi zaufanie. Ale naprzód iść muszę! Cofnąć się już nie mogę, gdyż pojąłem, że istnieje coś znacznie lepszego nad to, co jedynie przeczuwałem w sytuacji, w jakiej znalazłem się wskutek mojego pochodzenia, i teraz muszę iść dalej. Och, gdybym już zdał egzaminy i jako

student znajdował się w murach Kopenhagi, jakże byłbym szczęśliwy – lecz może nigdy to nie nastąpi...”

Wobec surowego Collina powściąga tak szczere wybuchy żalów. Pragnie, mimo wszystko, zachować sobie życzliwość możnego protektora, chociaż pośród czterdziestu zachowanych do dzisiaj listów do niego z tych czasów, niektóre dość wyraźnie oddają obraz szkolnej udętki:

„Elsynor, 24 października 1826

Codziennie [Meisling] okazuje mi swoją niechęć, a gdy w niedzielę rano przynoszę mu moje łacińskie ćwiczenia, przy każdym błędzie wstrząsa moją duszą, mówiąc mi najstraszliwsze prawdy. Nie śmiem wątpić, że tylko moje dobro ma przy tym na względzie, ale każdy drobiazg pobudza go do gniewu, tak iż żyję ciągle w najokropniejszym napięciu... Poprzedniej niedzieli przyniosłem moje zadania, a on, rozgniewany błędami, zawołał: «Przy maturze dostanie pan pałę za takie zadanie. Sądzi pan, że jedna litera nic tu nie znaczy, że to obojętne, czy napisze pan e czy też i? Gdybym to wiedział, nigdy nie zabierałbym pana do Elsynoru. Ma pan najbardziej tępy łeb, jaki kiedykolwiek widziałem, i w dodatku jeszcze pan sobie wyobraża, że pan coś wart...» A ostatniej niedzieli powiedział: «Dość mam już pana po uszy! A ponadto wiem, że zawsze mnie pan będzie nie cierpiał, ponieważ mówiłem panu prawdę: Jest pan wstrętnym, głupim stworzeniem!» itp.

Ale w szkole jest jeszcze gorzej... Nie mogę jednak wszystkiego opowiadać panu, nie mogę wyraźnie przedstawić panu mojej tu sytuacji. Łajany jestem wiecznie i stale, nigdy nie słyszę ani sowa zachęty, ponuro więc patrzę w przyszłość; przy stole muszę siedzieć w milczeniu, a on ledwo patrzy w mają stronę, w szkole zaś, wobec innych uczniów, nieustannie na mnie krzyczy i zawsze zawstydzają... Lecz pewnie pogniewa się pan za ten mój długi list, bo mogłem przecież krócej to wszystko przedstawić, choć pragnąłbym jeszcze powiedzieć tak wiele: nie śmiem ufać, że zainteresuję tym pana, ale niechże się pan nade mną zlituje, bo inaczej zginę z rozpacz.”

Wreszcie młody nauczyciel Werliin, ze współczuciem obserwujący już od dłuższego czasu męczarnie chłopca, pojechał do Kopenhagi i opowiedział Collinowi, jak w istocie przedstawia się sytuacja. Doszło do wymiany ostrych listów pomiędzy starym radcą i rektorem i w kwietniu 1827 roku Andersen ostatecznie opuścił łacińską szkołę. Przy pożegnaniu Meisling, w ostatnim wybuchu gniewu, kazał mu się wynosić do wszystkich diabłów, przepowiadając, że nigdy nie zostanie studentem, wiersze jego zbutwieją gdzieś na księgarskim strychu, a ich autor zakończy życie w domu wariatów. Lecz były uczeń tym razem nie przejął się już tymi proroctwami. Był wolny.

W Kopenhadze wynajął mansardę przy Vingaardstraede i zaczął uczęszczać na prywatne lekcje, opłacane z nadal jeszcze otrzymywanego stypendium. Młody nauczyciel, Ludwik Chrystian Maller, okazał się nie tylko zdolnym pedagogiem, pod którego kierunkiem uczeń poczynił wkrótce znaczne postępy. Był również człowiekiem głęboko wierzącym, a jego dogmatyczna wiara, wsparta na solidnym fundamencie wiedzy teologicznej, skłaniała go do długich dysput z nieporadnie broniącym swych prymitywnych, współczesnych przekonań Andersenem.

W stolicy duńskiej nastąpił zresztą wówczas właśnie okres ogólnych ożywionych dyskusji. W 1825 roku powrócił z zagranicy Jan Ludwik Heiberg. Pamiętano jeszcze doskonale ostre jego napaści sprzed lat dziewięciu, gdy śladem Baggesena, choć nie z klasycznych, lecz racjonalistycznych pozycji, krytykował Grundtviga i Ingemanna, broniąc praw rozumu przed niebezpieczną wszechwładzą uczuć. Obecnie Heiberg postanowił dokonać radykalnego przewrotu w teatrze. Założył literacko-krytyczne pismo: „Lotna Poczta Kopenhagi” i wprowadził na duńską scenę importowany z Francji wodewil.

Praktykę uzasadnił również teoretycznie. W grudniu 1826 roku wydał broszurę: *O wodewilu jako gatunku dramatycznym i jego znaczeniu dla sceny duńskiej*. Podstawę jej stanowił cytat z Woltera: „Wszelkie rodzaje sztuki są dobre oprócz nudnego.” Dość więc ckliwych niemieckich melodramatów! Dość koturnów! Dość heroiczno–romantycznych tragedii! „Nie należy przeciwstawiać się temu – pisał Heiberg – żeby publiczność, zmęczona problemami polityki, religii i nauki, mogła wieczorem zaznać lekkiej rozrywki w teatrze.” Nowe sztuki powinny być osnute na ile dobrze znanego, codziennego życia a przy tym być dowcipne, obfitować w piosenki i komiczne sytuacje bawić, a nie przytłaczać, nie nudzić banalnym morałem!

Publiczność gorąco poparła manifest nowego dyktatora: wodewile, których autorem, zwłaszcza początkowo, był przeważnie sam Heiberg, cieszyły się nie słabnącym powodzeniem. W jednym z nich główną rolę zagrała piętnastoletnia Hanna Luiza Patges, ta sama uczennica szkoły baletowej, która niegdyś występowała wraz z Andersenem w balecie *Armida*. Śliczna, młodzianka, utalentowana aktorka podbiła już od dawna serca nie tylko widzów, ale i teatralnej dyrekcji; Jonasz Collie i dla niej uzyskał stypendium. Wielbiciele składali jej kwiaty, kosztowne upominki, a nawet korzystne i poważne propozycje małżeńskie. Była piękna, zgrabna i – bardzo biedna. Ale było też jednocześnie nieprzeciętnie ambitna, trzeźwa, rozsądna. I ona także nie zamierzała zadowolić się krótkotrwałą jedynie sławą. Surowością nie potrafiła wprawdzie odstraszyć coraz liczniejszych adoratorów, ale nie wdawała się w żadne przygodne miłosne awanturki. Zaufała radom doświadczonej swojej opiekunki, hrabiny Gyllembourg: według jej wskazówek ubierała się nawet i urządziła mieszkanie. Matka Heiberga otaczała ją pieczołowitą, choć bynajmniej nie bezinteresowną troskliwością: Jan Ludwik, mimo zbliżającej się czterdziestki, dotychczas trwał w kawalerskim stanie i dobrze pamiętała, jakim spojrzeniem obrzucił uroczą Hannę Luizę, gdy po raz pierwszy ją zobaczył, choć dziewczynka miała wówczas zaledwie jedenaście lat.

Heiberg, pozyskawszy publiczność, ruszył do głównego ataku na przywódcę duńskiego romantyzmu, Oehlenschlägera. W „Lotnej Poczcie” zaczęły pojawiać się artykuły bezlitośnie krytykujące aladynowski mit „nawnego geniusza”. Czas już, żeby poeta piszący jedynie pod wpływem boskiego natchnienia ustąpił miejsca artyście w pełni świadomemu zadań sztuki, z największą starannością cyzelującemu każde zdanie, każde słowo. W utworach Oehlenschlägera widać wyraźnie zgubne skutki ufania w żywiołową siłę samego tylko talentu: potknięcia formalne, chropawe rymy, niedociągnięcia kompozycji i – nudę, nudę!

Urażony do żywego Oehlenschläger odpowiedział poematem, w którym bezceremonialny gość, Rozum, wtargnąwszy do świętej krainy Muz, poczyną sobie „jako jakobini – śląc niewinnych na gilotynę”.

Andersen nadal z głębi serca podziwiał niemieckich romantyków i „słońce duńskiej literatury”, starzejącego się mistrza Oehlenschlägera. Ale bynajmniej nie zrezygnował również z marzeń o karierze autora teatralnego. Zresztą Heiberg, choć atakuje romantyzm, temat baśniowej swojej sztuki zaczerpnął niedawno z noweli Ludwika Tiecka *Elfy*. Trudno jedynie zgodzić się z jego tezą, że chłodna rozważa powinna w poezji mówić nad uczuciem. Inna sprawa, że Andersenowi niezbyt podobają się już wiersze, które sam pisał w Slagelse. Rzewne, sentymentalne, płaczliwe. Jedynie *Umierające dziecko* – prosta, wzruszająca opowieść, ocenione zostaje należycie – nie tylko przez autora. W 1827 roku drukuje ów wiersz po duńsku, dwa lata później, gdy „Pocztą Kopenhaska” zamieszcza grenlandzki jego przekład, przesyła rękopis uczoneму pastrowi Bastholmowi, którego biblioteka była mu tak wielką pociechą podczas smutnych szkolnych dni w Slagelse.

Z nowym dyktatorem literackich gustów warto nawiązać i utrzymywać dobre stosunki. Andersen pisze kilka wierszy satyrycznych i Heiberg, który czytał już *Umierające dziecko*,

zaliczane później do najlepszych utworów młodego poety, zamieszcza dwie jego satyry, podpisane jedynie literą h, w „Lotnej Poczcie”.

Cóż, kiedy nawet najżyczliwsi protektorzy – z wyjątkiem Öersteda i bystrej Jetty Wulff – ciągle jeszcze nie traktują poważnie tych prób literackich. W domu Wulffów, po głośnym odczytaniu dowcipnych wierszy, w obecności Andersena (który jedynie Henriecie zwierzył swój sekret), wszyscy dochodzą do wniosku, że napisać mógł je tylko – sam Heiberg. A gdy Jetta wyjawia wreszcie tajemnicę, pochwały cichną natychmiast. I o cóż ten parweniusz tak uparcie pcha się na Parnas? Nie dość, że umożliwiono mu naukę, udzielono stypendium i przyjęto do grona stołowych rezydentów? Wzorem wielu ubogich studentów został bowiem teraz Andersen dochodzącym stołownikiem zamożniejszych znajomych i opiekunów: w poniedziałki i środy jadał u Wulffów, w czwartki u Collinów, w piątki u Örstedów, w soboty u Olsenów.

23 września 1828 roku zdaje wreszcie maturę: świadectwo dojrzałości podpisuje Oehle-nschlagër, ówczesny dziekan uniwersytetu, składając abiturientowi najlepsze życzenia. Lok później „z doskonałymi wynikami” zdaje też Andersen egzamin uniwersytecki. Zostaje studentem filozofii. Jest nim jednak raczej nominalnie niż w rzeczywistości. Uwolniony od utraczonego ślęczenia nad szkolnymi podręcznikami, pragnie przede wszystkim zająć się pracą literacką.

A jednak waha się jeszcze. Prosi o radę starego Collina: czy doprawdy powinien studio-wać, przygotowując się do naukowej lub urzędniczej bariery, czy też „pójść za głosem naturalnych skłonności i płynąć naprzód jedynie na skrzydłach poezji”? Z wdzięcznością zapisuje później w *Księdze życia* słowa, które usłyszał w odpowiedzi: „Niechże pan w imię boże rusza drogą, dla której z pewnością został pan stworzony – wyrokuje Jonasz Collin. – To z pewnością będzie dla pana najlepsze.”

Kamień spadł mu z serca, gdy usłyszał ów wyrok. I chociaż nie widzi już tak jasno owej drogi jak w dzieciennych latach, gdy odważnie i ufnie wyruszał na podbój „największego miasta świata”, zabiera się w skromnym swym pokoiku na poddaszu do pierwszej poważniejszej pracy. Sam nazwie ją później w autobiografii „fantastycznie kolorową tapetą”. Temat jej zawdzięcza zarówno długim i częstym spacerom do mieszkającego w opisanym tam okolicach nauczyciela swojego, Müllera, jak i pilnej lekturze dzieł E. T. A. Hoffmanna. *Piesza podróż od kanału Holmes na wschodni cypel Amager w 1828 i 1829 roku* roi się od błyskotliwych, hoffmannowskich fantazji, przyprawionych sporą dawką humoru, a pointa polega na tym, że cała „podróż” odbywa się na terenie Kopenhagi w ciągu jednej tylko nocy: od sylwestrowego wieczoru do noworocznego poranku.

Książka ukazała się z początkiem stycznia 1829 roku, a już w kilka tygodni później pojawiła się życzliwa recenzja Heiberga: chwalił świeżość i fantazję młodego autora, inwencję, dowcip, lekkość stylu. Pochwała taka równała się pasowaniu na „rycerza pióra”: utwór zyskiwał coraz więcej czytelników, głośno rozprawiano o nim w kopenhaskich salonach. Ośmielony tą przyjazną atmosferą, Andersen debiutuje w kilka miesięcy później – 25 kwietnia 1829, niemal w dziesięć lat po przybyciu do Kopenhagi – także nareszcie i w teatrze, „heroicznym”, a w istocie parodystycznym wodewilem: *Miłość na Wieży Mikołaja*, albo *Co mówi parter*, kpiąc po trochu z Schillerowskich tragedii, których się podczas szkolnych lat naczytał. Sztuka jest zręcznie napisana, zabawna: córka starego strażnika kopenhaskiej Wieży Mikołaja odrzuca oświadczyzny zamożnego konkurenta, strażnika wieży sąsiedniej. Mimo sprzeciwów ojca postanowiła oddać serce i rękę ubogiemu krawczykowi. Do akcji zostaje wciągnięta cała publiczność: widzowie sami powinni rozstrzygnąć, kogo dziewczyna ma poślubić.

Wodewil wprowadzie już po trzech przedstawieniach schodzi ze sceny, lecz Andersen mimo to czuje się wniebowzięty: nazwisko jego – tym razem już z obu imionami! – figuruje

przecież na teatralnym afiszu. *Piesza podróż do Amager* cieszy się także coraz większym powodzeniem i niebawem zostaje wydana po raz drugi. I krytycy nadal łaskawie odnoszą się do młodego debiutanta: nie tylko autorytatywny Heiberg, ale nawet wybredny, uczony Molbech o drobnej, wiecznie skrzywionej twarzyczce płacznego niemowlęcia. Czyżby tak łatwo sprawdzić się miały wróżby „mądrej” staruszki z Odense? Uszczęśliwiony Jan Chrystian pisze do Ingemanna:

„Kopenhaga, 18 listopada 1828

Drogi Panie Profesorze!

Wie pan już zapewne, że przez parkan matury zdołałem się precyzyjnie na nie znany mi teren filozofii... a ponieważ wykłady jeszcze się nie rozpoczęły, wykorzystałem ów czas dla spisania mnóstwa myśli, jakie od dawna kołają mi w głowie, i tak powstała *Piesza podróż do Amager*, zyskując uznanie znawców, którym ją czytałem. W piątek zamieszczono parę fragmentów z «Lotnej Pocztą», przypuszczam, że już je pan czytał, a jeśli nie proszę, żeby zechciał pan to zrobić... Poszczególne drukowane wyjątki wzbudziły zainteresowanie na mieście i przyjaciele radzą mi wydać tę książkę własnym kosztem, rozesłano już arkusze subskrypcyjne po całym kraju, nawet do Norwegii, ja zaś pomyślałem sobie, że i w Sörö z pewnością kilka osób zechce ten mój utwór przeczytać, lecz pan jest jedynym, którego znam bliżej, i dlatego pozwalam sobie przesłać panu ów arkusz, przekonany, że zechce pan zająć się trochę tą sprawą i nie pogniewa na mnie za kłopot, jaki sprawiam.

...Pracuję obecnie nad sztuką [Miłość na Wieży Mikołaja], która, mam nadzieję, będzie przyjęta; doktor Heiberg sądzi, że to jeden z najoryginalniejszych moich pomysłów – mianowicie, żeby publiczność także brała udział w akcji.”

Pod koniec 1830 roku wydaje Andersen jeszcze tom *Wierszy* zawierający również liryki, pisane wbrew rektorskim zakazom pod szkolną ławką, i zakończony ludową opowieścią *Umarły*, którą w dzieciństwie słyszał na Fionii.

Cały ten młodzieńczy dorobek nie posiada zresztą jeszcze ani wyraźne indywidualnych cech, ani szczególniejsze wartości. Jedyny wyjątek to *Piesza podróż do Amager*, gdzie miejscami spotkać już można zapowiedzi żywej, potocznej frazy, tak charakterystycznej dla późniejszej prozy tego autora. Ale pierwszy krok został dokonany. Debiutant szlocha ze szczęścia przy fotelu pani Collin po teatralnym sukcesie swego wodewilu i grzeje się w promieniach ludzkiej przychylności, której zawsze tak bardzo łaknie. Debiut przynosi mu zresztą również realne korzyści: bezpłatny wstęp do teatru na cały sezon 1829/30 i skromne wprawdzie, ale nareszcie wyłącznie własną pracą zdobyte honoraria.

Młody autor staje się modny, rozchwytywany: wieczory spędza w teatrze, a oprócz tego nieustannie otrzymuje zaproszenia na kolacje i obiady, zabawy, przyjęcia, szarady, pikniki. Rozważny Ingemann, choć wraz z nim cieszy się z tych sukcesów, napomina w listach, żeby nie ulegał im nadmiernie, nie zważał zanadto na cudze opinie, pozostał wierny sobie. Ależ jest wierny sobie, a przynajmniej wrodzonej głębokiej potrzebie podziwu, pochwały, uznania, jakich obecnie nie oszczędzą mu już nie tylko Ørsted czy rodziny Wulffów; Læssøe, Collinów, lecz i coraz szersze kręgi krytyki i publiczności.

„Byłem szczęśliwy – wspomina. – wszystkie domy zaczynały mi drzwi swoje otwierać, przelatywałem od jednej gromadki do drugiej... Życie rozpościerało się przede mną, opromienione blaskiem słońca.”

Pogrążony w euforii, zachwycony pozorną łatwością błyskotliwej literacko-teatralnej kariery, samodzielności, swobody, ani przeczuwał, jak krótko potrwa ten radosny czas.

Latem 1830 roku, zebrawszy nieco pieniędzy, wybrał się Andersen w krótką podróż po Danii. statkiem pojechał do Aarhus (miejskowa prasa zamieściła nawet króciutką wzmiankę o tej jego wizycie!), stamtąd do Randers, później na Jutlandię i brzeg Morza Północnego. Nic przecież nie zna jeszcze, niczego nie widział poza rodzinną Fionią, Kopenhagą i jej okolicami. I zachwyca się pięknem własnego kraju: „Jutlandia... położona między Morzem Północnym a Bałtykiem i zakończona lotnymi piaskami przy Skagen, ma osobliwy charakter: nad brzegami Bałtyku rozległe lasy wzgórza, w okolicach Morza Północnego wydmy i lotne piaski... a pomiędzy nimi bezkres brunatnych równin, kędy wędrują dyganie i z żalną skargą przelatują ptaki, cisza pełna samotności...”

Jedzie z kolei na Fionię, do Odense. Gnębią go osobiste troski. Przesyłał matce pieniądze. Ale już w 1826 roku Guldberg powiadomił go, że pogrążona coraz bardziej w ponurym nałogu pijaństwa, sterana, schorowana kobieta potrzebuje stałej opieki. Andersen napisał do gminy miejskiej, prosząc o umieszczenie matki w przytułku dla ubogich. Nic więcej zrobić dla niej nie mógł. Po paru latach, gdy następcą tronu odwiedzał ów zakład, zdołał jeszcze pogratulować Annie Marii, że ma „tak wielką pociechę ze swego syna”, i na szczęście, powiedział to tak głośno, że słowa jego dosłyszeli wszyscy obecni. Ale syn ten nie ma przecież sam dachu nad głową: niespokojnie przenosi się z miejsca na miejsce, zdany jedynie na skąpe i nieregularne dochody ze swego pisarstwa, na nie ustaloną, nie zabezpieczoną żadnym intratnym stanowiskiem egzystencję.

W Odense mieszka też jeszcze, otoczona gromadą wnuczek, wdowa po starym Iversenie. Andersen zamieszkał u niej w Mariehøj; zna ten piękny dom od najwcześniejszego dzieciństwa, nieraz przyglądał mu się wtedy z daleka, przejęty podziwem. W ogrodzie na każdym niemal miejscu umieszczono napisy i wiersze, pouczające zarówno domowników, jak i gości, jakich nastrojów i uczuć powinni tam doznawać. Młode panny są odcytane, kulturalne i z należyty szacunkiem traktują poetę przybyłego ze stolicy. On również nie czuje się obecnie onieśmielony. Mimo wszystko swobodniej oddycha w atmosferze tych pierwszych w życiu prawdziwych wakacji. Z młodą krewną Iversenów, Henriettą Hanck, przejawiającą pewne zdolności i ambicje literackie, zaprzyjaźniła się serdecznie: korespondują odtąd przez wiele lat. A ponadto bawi się wreszcie beztrąsko: deklamuje, czyta głośno, robi ulubione zabawne wycinanki, rozśmiesza całe towarzystwo nieco niesamowitymi, naprędce skomponowanymi opowieściami. Porządkuje też nadal materiały do historycznej powieści o Chrystianie II – i nawet zabiera się już do jej pisania. Lecz nigdy nie będzie mu sądzone dokończyć tego utworu, bo oto... „uczucie, z którego tak często się naigrywałem – wyznaje – postanowiło się zemścić. Dotarłem w mojej podróży do pewnego bogatego domu i nagle nowy świat otworzył się przede mną, świat ogromny, który wszakże mógł się pomieścić w czterowierszu, jaki wówczas napisałem:

Dwoje ciemnych oczu nagle zobaczyłem,
W nich ojczyzna i szczęście ku mnie się zbliżyły,
Niewinność, mądrość, spokój w nich lśni,
Ach, nigdy o nich dość myśleć mi!

Pełen byłem nowych planów, chciałem zaprzestać pisania wierszy, bo do czegoś miałyby to doprowadzić!

Pragnąłem studiować, zostać kaznodzieją – opanowała mnie jedna tylko myśl, a myślą tą była ona – lecz oszukiwałem sam siebie: kochała innego i jego poślubiła. Dopiero wiele lat później zrozumiałem i odczułem, że to, co się stało, było najlepsze dla mnie i dla niej. Nawet nie przeczuwała, jak głębokie żywiłem dla niej uczucie i jaki wpływ ono na mnie wywarło. Została doskonałą żoną uczciwego człowieka i szczęśliwą matką; niechże jej Bóg błogosławi.”

Tyle *Baśń mojego życia*. Czas młodości ukazany już retrospektywnie, po wielu latach, literacko zaokrąglony. Znacznie więcej szczegółów na temat tej pierwszej miłości zawiera spisana ledwo dwa lata później *Księga życia*. A prawda – jak zwykle – była wcale nie tak bardzo romantyczna:

Andersen pojechał na południu Fionii, do starego, ukrytego wśród lesistych wzgórz miasteczka Faaborg, odwiedzić kolegę uniwersyteckiego, syna bogatego kupca. Młody Chrystian Voigt miał kilka siostr. Dla prowincjonalnych, nudzących się w małym mieście dziewcząt przyjazd gościa ze stolicy był niemałym wydarzeniem. Brat zdołał im zresztą opowiedzieć już o sukcesach literackich Andersena, przyjęto więc nowego przybysza życzliwością i zainteresowaniem. Starano się na wszelkie sposoby uprzyjemnić mu pobyt; jeżdżono na wycieczki, czytano poezje, na wieczornych spacerach rozprawiano przy księżycu o wzniosłych uczuciach i pokrewieństwie dusz. I Andersen nagle a gwałtownie zakochał się w Riborg Voigt, szczupłej pannie o wielkich, ciemnych oczach, wąskich wargach i niezbyt klasycznym nosku. Riborg była dziewczyną wykształconą: interesowała się literaturą, muzyką, teatrem a nawet filozofią. Lecz w codziennym życiu bynajmniej nie hołdowała romantycznym ideałom i trzeźwo patrzyła na przyszłość. Jak zwykle w ówczesnych zamożnych rodzinach kupieckich przyszłość ta była już od dawna ustalona. I Chrystian lojalnie ostrzegł przyjaciela, że siostra jest zaręczona. Ona sama zresztą nie robiła wielbicielowi żadnych nadziei, mimo iż z pewnością schlebiały pannie egzaltowane komplementy. Mimo to Andersen po kilku zaledwie dniach opuścił Faaborg zakochany rozpaczliwie. Pisał do swej wybranki długie listy, przysyłał jej wiersze. Jesienią tego samego roku spotkał się z nią jeszcze w Kopenhadze, a nazajutrz po jej wyjeździe Chrystian przyniósł mu króciutki pożegnalny liścik, zawierający – niestety – obietnicę siostrzanej jedynie przyjaźni. I rozważna Riborg wkrótce po powrocie do swego miasteczka została istotnie „doskonałą żoną uczciwego człowieka” – aptekarza z Faaborg.

Andersen widział ją później dwa razy w życiu: po raz ostatni na ludowym festynie, na Fionii, z mężem i dziećmi, w trzynaście lat od pierwszego spotkania. Po tej konfrontacji napisał baśń *Narzeczeni* – tragikomicznie, bardziej jednak żartobliwie groteskowe niż żalodne „pożegnanie pierwszej, nieszczęśliwej miłości”. Zapewne: „Miłość wygasa, gdy ukochana przez pięć lat leży w rynnie i moknie, i nawet poznać jej nie można, gdy spotka się ją na śmietniku...” Ale warto pamiętać, że autor tej szyderczej opowiadki do końca życia nosił na szyi w małym skórzanych woreczku kartkę skreśloną dziewczęcym pismem Riborg i kazał spalić tę relikwię – nie czytana – po swej śmierci.

Banalna historia nie odwzajemnionej miłości ubogiego, brzydkiego konkurenta do bogatej panny? Któż wie, czy nie odwrotnie: czy uczucie Andersena do ledwo poznanej dziewczyny nie wybuchło z tak wielką siłą właśnie dlatego, iż wiedział, że nie była już wolna, że (mimo wszelkie szaleńcze plany: „chciałem zaprzestać pisania wierszy... zostać kaznodzieją!”) nie miał żadnych szans, żeby ją zdobyć? Czy nie tu rozpoczyna się już droga jego wiecznej samotności, zawsze wzgardzonego, choć tak bardzo spragnionego czulej wzajemności serca? Po powrocie do Kopenhagi pisze do Henrietty Hanck:

„Sądzi pani iż w y o b r a z a m sobie tylko, że jestem nieszczęśliwy? Owszem, ma pani powody tak sądzić, a świat z pewnością zgodzi się z panią, lecz zechce pani zważyć, że nie tylko w sercu, lecz także w rzeczywistości rozgrywają się pewne sceny, w które nikt nie bywa wtajemniczony, których mi odsłonić n i e w o l n o ...sprawy, które wtargnęły w dramat ludz-

kiego życia i nie są wcale fantazją. Powiada pani, że oprócz sztuki i oprócz przyrody mam jeszcze wspomnienia mogące mi wszelkie wyrzeczenia ozłocić, ale może to właśnie one przekształciły na wskroś całą moją istotę; duchowe moje «ja» na tym zyskało – teraz jestem pisarzem i mogę odczuć to i stwierdzić wobec całego świata, jakkolwiek chciano by nazywać ową świadomość.”

Istotnie: pisarski plon miłosnych cierpień był bogaty. W 1831 roku wydał Andersen zbiór wierszy: *Fantazje i szkice*, a część ich zatytułowana: *Melodie serca*, gdzie zamieścił również wiersz o ciemnych oczach, jest niemal w całości inspirowana przez wspomnienia o Riborg. Napisany sześć lat później dramat: *Spotkania i rozstania*, początkowo drukowany tylko i za ledwie parę razy wystawiony w teatrze, jest także relacją sercowych przeżyć z Faaborg.

W *Baśni mojego życia* notatki o pierwszym zawodzie miłosnym sąsiadują, już później zresztą, z ... zachwytem nad poezją Heinego, którą Andersen zaczyna w tym okresie coraz lepiej poznawać i cenić. Nie brak i całkiem innych wrażeń. List do Ludwika Lässöe zapowiada najpierw, że z początkiem 1831 roku ukaże się następna książka Andersena: *Garnek juttlandzki*, złożona w połowie z wierszy, w połowie z prozy i zawierająca opisy wakacyjnej włości; wyraża także żal, że w zamian za pracowite swoje korespondencje otrzymał od przyjaciela odpowiedź „krótką jak kichnięcie”, a później donosi o nowych, interesujących przeżyciach:

„15 lipca 1830

W ostatnim dniu mego pobytu w Odense... przeżyłem rozkosz prawdziwą: widziałem mianowicie stworzonka infuzyjne – niechże pan sobie wyobrazi: jedna tylko, mała kropla wody na szkle, a w niej cały świat żywych istot, z których największe prezentowały się jak polne koniki, a najmniejsze jak łebki od szpilek; niektóre zresztą doprawdy wyglądały jak polne koniki, inne miały wprost niesamowite kształty, a wszystko to kłębiło się, kotłowało, i większe pożerały mniejsze. Widziałem też owe stworzonka w mej własnej krwi: roiło się tam od węgorzy i dorszy w niebywałych ilościach, a gdy końcem szpilki, umaczanym poprzednio w jakimś kwasie, dotknięto materii, w której się znajdowały, wszystkie zaczynały natychmiast uciekać w przeciwnym kierunku i ginęły w tejże chwili. Biała pleśń na atramencie stanowiła cały las ziela, porostów, drzew i krzaków – słowem – otwarła się przede mną nieskończoność, która przyprawiła mnie o zawrót głowy.”

Nie darmo wielki fizyk Ørsted stał się z biegiem lat najlepszym jego przyjacielem i mistrzem. Andersen, gdyby nie urodził się poetą, z pewnością zostałby przyrodnikiem. Świat jest dla niego nie tylko wielką sceną, na której ogląda siebie i innych, lecz także „kroplą wody na szkle” preparatem, nad którym przeprowadza nieustanne obserwacje.

Absolutnie obojętny na sprawy polityki („Polityka to rzecz nie moja. Do innych spraw przeznaczył mnie Bóg” – stwierdza w późniejszych latach), na wielkie dziejowe przemiany, które w jego epoce wstrząsały światem i starym porządkiem społecznym, pozostał przez całe życie czujnym, uważnym badaczem spraw z pozoru tylko drobnych, powszednich, znanych. Zachowywał przy tym nie tylko postawę romantyka – entuzjasty („świat jest pełen cudów”), lecz także chłodną pełną należytego dystansu dociekliwość realisty – naukowca. A ponieważ ponadto, czy raczej przede wszystkim, był poetą – właśnie ten rodzaj nigdy nie zaspokojonej „ciekawości świata” musiał wydać w jego twórczości najtrwalsze, najdojrzałe owoce.

Lecz tymczasem po pierwszych sukcesach o tym przykrzejszy zawrót głowy przygotowali go stołeczni krytycy. Ocknęli się z dotychczasowej wyrozumiałej pobłażliwości i hurmem ruszyli do ataku. *Fantazje i szkice* ostro skrytykował Molbech, niepochlebnie też ocenił życzyliwy dotychczas Heiberg. Pierwszy sygnał do natarcia dał zresztą niewiele starszy od Andersena przyjaciel i uczeń Heiberga, Henryk Hertz, poeta i dramaturg, wydając w 1830 roku – anonimowo – wierszowaną satyrę na literaturę współczesną. *Listy upiora* (upiozem był duch

Baggesena) domagały się przede wszystkim odpowiedniej formy literackiej. Ważne jest „jak”, mniej ważne, „co” się pisze. Andersen, obok innych, niemało ucierpiał przy tej okazji:

I Andersen tam skacze krzywo
Na wynędzniałym ośle swym,
Fantazji własnej stęchłe piwo
Przelewa w wiersze, brodzi w nim.

Wykzione zostały błędy gramatyczne w jego utworach, braki w ogólnym wykształceniu, przeróżne niedostatki formalne: to talent samorodny, niepoprawny dyletant, pozbawiony jakiegokolwiek dyscypliny artystycznej.

Złośliwa, cięta satyra Hertza cieszy się niesłuchanym powodzeniem i przez długi czas stanowi ulubiony temat rozmów całej Kopenhagi. Z krytyką jak z katarem: ledwo kichnął jeden, już za jego przykładem poszli inni. Jakaż to zresztą satysfakcja strącić nagle z piedestału niedawnego pupilka publiczności! Zwłaszcza że doskonale widać, jak ogromnie przejmuje się każdym niezyczliwym słowem. Biada, desperuje, szlocha. „Bezbronny olbrzym”, jak przezwie go później Kierkegaard, też często obierający go za cel swych zjadliwych dowcipów. Prześcigano się więc skwapliwie w wytykaniu drobnych nawet usterek i błędów, wyliczano np. skrupulatnie, ile razy w jednym ze swych utworów użył i nadużył Andersen przymiotnika „piękny”, słowem, bawiono się doskonale.

Andersen zniósłby może spokojniej tę nagłą odmianę losu, gdyby owe złośliwości pozbawione były kąśliwego żądła, wymierzonego w samą osobę autora. Z pewnością łatwiej zdołałby też wytrzymać te niespodziewane ataki, gdyby należał do jakiejś grupy czy koterii literackiej. Ale był sam.

Zdezorientowany, obolały, użala się nad srodze sponiewieraną swoją osobą, wpada w melancholię, w najgłębszą depresję. Przypominają mu się wszystkie najbardziej ponure przepowiednie Meislinga. Protektorzy, znajomi, przyjaciele? Oni także nie potrafią mu pomóc. Słowa pani Wulff czy Lässöe przypominają jedynie utrapione morały, jakich dość już nasłuchać się musiał przez pierwsze lata biedowania w stolicy i kurczowego czepiania się pańskich klamek.

Collinowie, zwłaszcza zrównoważony realista Edward, też nie mogą zrozumieć tej egzaltowanej, przeczulonej natury. Wzruszając ramionami, zarzucają Andersenowi nadmierną próżność. Owszem, bardzo lubi mówić o sobie, nadal największą radość sprawia mu głośne czytanie zwłaszcza własnych utworów, może niekiedy przesadnie zabiega o uznanie publiczności, skrajną drażliwością reaguje na każde słowo krytyki, lecz przede wszystkim ani na chwilę nie traci najgłębszego, niewzruszonego przeświadczenia, że istotnie jest poetą. I – mówi o tym. Prawda że niekiedy zbyt ostentacyjnie, zbyt donośnie, w najmniej odpowiednim otoczeniu i najmniej stosownej chwili. Cóż dziwnego, że inni dopatrują się w tych słowach przejawów pychy nieposkromionej zarozumiałości, dotychczas przecież jeszcze nie potwierdzonej żadnym oficjalnym stemplem aprobaty uznanych już znawców, światowej popularności i rozgłosu. I stąd osądy bezlitosne: histeryk, arywista, wariacki megaloman...

Stary Collin radzi mądrze: wyjechać, zmienić otoczenie. Pieniądzy jeszcze wystarczy (Andersen przez całe życie odznaczał się wielką oszczędnością – jedynym luksusem, na który sobie pozwalał oprócz podróży, było staranne, nawet eleganckie ubranie. Chociaż i w sprawach finansowych dualizm jego natury doprowadzał czasami do zabawnie kłopotliwych sytuacji: np. napiwki dawał zazwyczaj hojne, lecz potem często dręczyła go myśl, że z pewnością dał za mało lub... za dużo!). Ingemann i Ørsted piszą listy polecające do pisarzy niemieckich. Bo pierwsza podróż po której już niebawem rozpocznie się cykl niemal nieustannych, wieloletnich, długich wędrówek po świecie – to Niemcy.

Z początkiem maja 1831 roku rusza więc do Lubeki i Hamburga. Trzydzieści trzy godziny tłucze się pocztowym dyliżansem, a gwałtowny ból zębów doskwiera mu po drodze przez całe trzy dni i dwie noce. I skołatany, udręczony, pełen gorzkich myśli pisze z Hamburga do Edwarda Collina. Po długich wahaniach decyduje się wreszcie wyjawić pragnienie które już od dawna leży mu na sercu:

„Mam pewną prośbę do pana, może mnie pan wyśmiej, lecz jeśli doprawdy chce mi pan sprawić szczerą przyjemność i dać rzeczywisty dowód swego szacunku, o ile nań zasługuję – to – ale niechże pan się nie pogniewa! – niechaj mi pan mówi «ty». Ustnie nigdy nie zdołałbym prosić pana o to, musi to więc nastąpić teraz, gdy wyjechałem, a jeżeli jest pan temu przeciwny, niechże pan nigdy ze mną nie mówi na ten temat, a ja też oczywiście słowem już o tym nie wspomnę! Z pierwszego listu, jaki od pana otrzymam, dowiem się, czy zechciał mnie pan uradować, i całym sercem wypiję wówczas pańskie zdrowie. Nie gniewa się pan? Ani pan sobie wyobraża, z jak mocno bijącym sercem piszę te słowa, choć pana tutaj nie ma. Lecz teraz już nic więcej o tym!”

Czeka na odpowiedź chciwie i długo. Bardzo długo. I dopiero w Berlinie otrzymuje upragniony list, chyba najdłuższy, jaki młody Collin kiedykolwiek, w ciągu ich wieloletniej, późniejszej jeszcze korespondencji do niego napisał. List zawierający odmowę zdecydowaną, wyraźną, choć uzasadnioną w dość nowoczesny jak na ową epokę sposób:

„Różne bywają drobiazgi – pisał Edward Collin – wobec których ludzie odczuwają pewną, wrodzoną, jak mi się wydaje, idiosynkrazję; znałem na przykład kobietę, która odczuwała taki wstręt do szarego papieru, że robiło jej się niedobrze na sam jego widok. Czymże to można wytłumaczyć? Ja zaś... gdy długo znam już jakiegoś człowieka, którego lubię i cenię, a on proponuje mi przejście na «ty», doznaję właśnie tego przykrego, niczym nie dającego się wyjaśnić uczucia.”

Ostrożna, tyłoma zastrzeżeniami nawet jeszcze w liście obwarowana, nieporadna próba rozerwania kręgu własnej samotności, przyłgnięcia do osobowości cudzej, pogwałcenia nieuniknionego pomiędzy ludźmi dystansu, próba naiwna, spontaniczna, upokarzająco daremna. Gładkie, zgrabne, uprzejme wyjaśnienia Collina ostatecznie zamykają tę sprawę. Mimo że jest to przecież epoka łatwych wzruszeń, czułych westchnień, idealnie kultywowanych przyjaźni. W życiu tego samotnika wbrew własnej woli niemal na palcach jednej ręki zliczyć można osoby, którym mówił po imieniu. Andersen zresztą pozornie spokojnie przyjął tę odmowę wraz z alergicznym jej uzasadnieniem. Zgodnie z udaną obietnicą nigdy też już nie poruszał tego drażliwego tematu, lecz doznanego wówczas zawodu nie zapomniał i nie przebolewał do końca życia. W jego twórczości często powraca motyw niedoszęłego „braterstwa”: najbardziej gorzko i wiernie, niemal dosłownie, w – szesnaście lat dotrzymania tej fatalnej odpowiedzi.

W Dreźnie, z poleceniem Ingemanna, idzie do Tiecka. Wieczorem słyszy go czytającego głośno *Henryka IV* Szekspira a w dzień wyjazdu niemiecki romantyk żegna go serdecznie, całuje, ściska i pisze w podróжным albumie:

„Niechże pan spokojnie i radośnie kroczy dalej drogami poezji, na które wstąpił pan tak pięknie i śmiało. Niech pan nic traci otuchy, gdy trzeźwe głosy krytyków będą panu dokuczać... a niech pan znowu rychło nas odwiedzi, zdrów, rześki i hojnie obdarzony przez niemieckie Muzy.”

Życzliwe to przyjęcie po niedawnych bolesnych przeżyciach wywarło wielkie wrażenie na młodym duńskim poecie. Znacznie ważniejsze jest przecież spotkanie z Adalbertem Chamisso, do którego list polecający dal mu Örsted.

W *Baśni mojego życia* opowiada Andersen:

„Poważny ów człowiek o długich lokach i rzetelnym spojrzeniu sam otworzył mi drzwi, przeczytał list i nie wiem, jak się to stało, lecz od razu zrozumieliśmy się nawzajem; poczu-

łem do niego całkowite zaufanie i zwierzałem mu się szczerze, aczkolwiek w złej niemczyźnie. Chamisso rozumiał zresztą po duńsku, wręczyłem mu moje wiersze, był pierwszym, który kilka z nich przetłumaczył. W «Gazecie Porannej dla Sfer Wykształconych» („Morgenblatt für Gebildete Stände” nr 54 z 1833) tak o mnie napisał:

«H. C. Andersen, młody pisarz duński, zyskał już uznanie we własnym kraju i zasłużył na to, żeby jego imię wzbudziło echo również i u nas... Obdarzony dowcipem, lekkością, humorem, ludową naiwnością, włada jednak również tonami budzącymi znacznie głębszy oddźwięk. Umie zwłaszcza kilku lekkimi, celnymi pociągnięciami pióra tworzyć żywe scenki i krajobrazy, żeby przemówić do tych, którzy nie znają ojczystych stron tego pisarza. I może właśnie to, co można było przetłumaczyć lub już zostało przetłumaczone spośród jego utworów, najmniej nadaje się do ukazania jego prawdziwego wizerunku.»”

Chamisso tłumaczy m. in. także wczesny wiersz Andersena o hiszpańskim żołnierzu, prowadzonym na śmierć w Odense. I zawarta przy tym pierwszym spotkaniu przyjaźń trwa bez najmniejszych cieni i zgrzytów aż do końca życia „człowieka o długich lokach i rzetelnym spojrzeniu”. Dzięki niej początki pisarskiej stawy Jana Chrystiana zaczynają w latach następnych wyrastać właśnie w Niemczech, nie w Danii. Jadąc do Berlina znalazł już zresztą Andersen twórczość autora *Przedziwnej historii Piotra Schlemihla*, opublikowanej po raz pierwszy w 1814 roku i ponownie wydanej w 1827 w tomie rozszerzonym o zbiór ballad i pieśni.

Przedziwne były także osobiste dzieje Chamisso. Emigrant francuski (pochodził ze znanego, starego rodu i dopiero w Niemczech zmienił imię, a raczej przydługi szereg arystokratycznych imion: Louis–Charles–Adelaïde), urodzony w 1781 roku, miał życie barwne, bogate i nietatwe. W Niemczech uczył się stolarstwa i – malowania miniatur, był paziem na dworze królowej w Berlinie i – uczniem francuskiego gimnazjum, a z kolei –porucznikiem armii pruskiej. Język nocnej swojej ojczyzny poznawał z dzieł Klopstocka, Schillera, Goethego, Novalisa, Wielanda, lecz jednocześnie pozostawał pod silnym wpływem Rousseau i pisał za młodu na przemian wiersze francuskie i niemieckie, obok *Fausta* (w jambach) – francuską tragedię. Do Francji jednak długo nie mógł się dostać. Napoleon groził sądem polowym i natychmiastowym rozstrzelaniem każdemu Francuzowi, który z bronią w ręku stawał po stronie wroga. Lecz czy Chamisso był jeszcze w istocie Francuzem? Gnębiło go to pytanie. Gdy po upadku Napoleona spędził wreszcie trzy lata w Paryżu i w Coppet u Madame de Staël, stwierdził z goryczą: „Nie miałem już – czy też jeszcze – ojczyzny.”

Roztargnienie jest przywilejem poetów. Podróżując z Fouqué „człowiek o długich lokach” gubi kolejno rozmaite rzeczy: kapelusz, chustkę, sakwojaż, płaszcz, a gdy zniecierpliwiony przyjaciel zapytuje żartem, czy przypadkiem nie pozbył się także własnego cienia odpowiada jedynie tajemniczym uśmiechem. Anegdota jak wiele innych. Może istotnie pierwszy impuls do *Przedziwnej historii Piotra Schlemihla*. Ale wewnętrzny dramat ludzki sięga znacznie głębiej. I już wkrótce potem dwudziestosiedmioletni Chamisso pisze swą baśniową, fantastyczną, w gruncie rzeczy głęboko tragiczną opowieść o człowieku, który sprzedał własny cień.

W Berlinie studiuje medycynę i nauki przyrodnicze. Jako badacz przyłącza się do naukowej ekspedycji rosyjskiej i na statku „Ruryk” odbywa podróż dookoła świata: z Kopenhagi przez Plymouth i Teneryfę do Brazylii, wokół Cap Horn do Chile, przez Morze Południowe na Kamczatkę, Morze Polarne – i z powrotem przez Aleuty, Kalifornię, wyspy Sandwich i Karoliny znowu na północ. W 1818 roku wydaje tom dzienników z tej wyprawy.

Poglądy ma zdecydowanie demokratyczne: przy każdej okazji wyszydza racjonalistów, gardzi partią „ołtarza i tronu” i oświadcza: „Jestem człowiekiem przyszłości”, tak właśnie Béranger określił poetę. Rok później zostaje adiunktem Ogrodu Botanicznego w Schönebeugu, później członkiem Akademii Nauk, gdzie kandydaturę jego przedstawia Aleksander Humboldt, otrzymuje także honorowy tytuł doktora filozofii.

Przyjaźni się z Fonqué, Tieckiem, E. T. A. Hoffmannem. Wydaje za młodu i w późniejszych jeszcze latach „Almanach Muz”, gdzie popada w poważny konflikt z jednym z redaktorów z powodu zamieszczenia w piśmie – sylwetki Heinego. Dowcip, lekkość, ironia jego wierszy przypominają często najlepsze utwory Bérangera, nuty romantyczne – niekiedy tylko nadmiernie czułe, na modłę niemiecką mają w sobie coś ze wczesnej liryki Wiktora Hugo. Wprowadza Andersena w literackie towarzystwo, zbierające się w berlińskim Tiergarten. Ale duński podróżnik nie zachwyca się pruską stolicą i notuje na odjeździe: „...Berlin to nudne miasto, więcej tam nie pojedę – przecież to tylko dekoracja teatralna!” Rok później pisze do Chamisso:

„18 lipca 1832

Drogi Panie Profesorze !

...Ucieszyłem się niezmiernie z niemieckiego egzemplarza moich *Fantazji i szkiców*, z wielką radością zobaczyłem również znakomity pański przekład mojego wiersza *Grajek*, za który bardzo panu dziękuję.

...Spróbowałem przetłumaczyć pański wiersz: *Żebak i pies*; wydrukował go jeden z naszych miesięczników.

...Za rok lub dwa znowu, być może, wybiorę się w podróż i przyjdę do Berlina, gdzie pierwsze kroki skieruję do pana.

P. S. Pozdrowienia dla dobrej i miłej pańskiej małżonki i dla malców, o ile przypominają sobie jeszcze „tyczkowatego Duńczyka”.

Po powrocie do Danii pisze *Sylwetki z podróży do Harzu i Saskiej Szwajcarii*, wyraźnie zdradzające silne wpływy Heinego, lecz skreślone lekko, żywo i z zainteresowaniem przyjęte przez czytelników. Najmniej zadowolony jest sam autor. Utyskuje znów nieustannie na złośliwość krytyków, obojętność publiczności, małoduszność przyjaciół. Ale to jedynie pozorne przyczyny niezadowolenia. Prawdziwe ukryte są znacznie głębiej.

Andersen zbliża się już do trzydziestki, ciągle nie mając jeszcze w żadnym sensie ustalonego gruntu pod nogami. W domu Collinów, gdzie jest niemal codziennym gościem (zdarza się nawet, że wpada kilkakrotnie w ciągu jednego dnia!), zaszły w tych latach poważne zmiany. Wesola Ingeborga jest już poważną panią Drewsen, dochowała się nawet dwuletniego synka Viggo, dla którego Andersen układa piosenki i wierszyki. Edward także niebawem założy rodzinę, poślubiając zaradną, energiczną i pogodną Henriettę Thyberg. Nawet apodyktyczny Heiberg – znacznie od Andersena starszy, też przecież brzydki, kościsty, wielkonosy weźmie wkrótce ślub z ledwie osiemnastoletnią Hanną Luizą Pätges. Sława jej rozbrzmiała już pełnym blaskiem po premierze Heibergowskiego *Elverhøj*, w którym odegrała – jak zwykle – główną rolę. Szaleje za nią Dania, uwielbia ją Kopenhaga: wystarczyłoby, żeby zechciała skinać małym paluszkiem i najświetniejsi kawalerowie, urodziwi, młodzi, bogaci, czuliby się uszczęśliwieni, mogąc ją pojąć za żonę. Ale ona za radą niezawodnej swojej opiekunki rozsądnie wybrała mrukliwego, szorstkiego, szpetnego, przeszło czterdziestoletniego Heiberga. Hrabina Gyllembourg doskonale wie, co robi, kojarząc to małżeństwo. Odtąd, pod mądrym jej patronatem, oboje będą królować w kulturalnym życiu stolicy. Publiczną tajemnicą było przecież także, iż niejeden świetny artykuł Heiberga, drukowany w „Lotnej Poczcie”, pisała jego matka, autorka poczytnych powieści. A gdy „Muza epoki”, jak niebawem zaczynają nazywać młodą panią Heiberg, zaczyna już wyjeżdżać na zagraniczne występy, zapobiegliwa teściowa odwiedza jej matkę, ubogą straganiarkę żydowską, i w długich rozmowach nie może dość się nachwalić urody i niezwykłych talentów jej uroczej córki.

Andersen natomiast ciągle miejsca sobie znaleźć nie może. Coraz bardziej doskwiera mu samotność. Męczy go nieustanne kręcenie się po stołecznych salonach (choć nie wyrzekłby się ich za nic w świecie!) i gorączkowa praca literacka, przynosząca mizerne, niestale dochody. Drży też na myśl o spotkaniu z przyrodnią siostrą: wie, że dziewczyna jest w Kopenha-

dze, i chociaż wcale nie stara się go odszukać, on cierpnie wprost na myśl o kompromitacji, na jaką narazić aby go mogła jej nagła wizyta. Spędza długie godziny u Wulffów, Örstedów, Collinów, każdy niemal wieczór w teatrze, ale w końcu musi przecież gdzieś wracać. Dokąd? Nigdzie właściwie naprawdę „u siebie” nie jest, bo trudno uważać za własny nawet ów skromny, niebieski („niebiańsko błękitny”) pokoiik, podnajęty przy Store Kongensgade, gdzie oprócz smutnych myśli nigdy nic i nikt na niego nie czeka.

„Starzeję się – muszę pomyśleć o poważniejszej jakiejś pracy” – pisał już przed trzema laty do Henrietty Hanck. Lecz czuje się zmęczony, zniechęcony. Nie tak wyobrażał sobie los nowoczesnego Aladyna! Poznał trochę francuski, włoski, tłumaczy, adaptuje dla teatru komedię *Kruk* według Gozziego, *Naręczona z Lammermooru* według Scotta. I sam także pisze różne drobiazgi: *Winiety duńskich poetów*, *Dwanaście miesięcy*. Ale rezultaty wszystkich tych wysiłków są znikome, również i pod względem materialnym.

Ingemann z niepokojem obserwuje napiętą sytuację i znów przestrzega w liście:

„Drażni pan jedynie wyobraźnię i w męczącym napięciu utrzymuje uczucia, stale niczym somnambulik kręcąc się po redakcjach, towarzystwach i deskach teatru, zupełnie tak, jakby wyrwał pan co dzień na nowo drzewo z własnego życia, chcąc się przekonać, czy już zapuściło korzenie, zamiast pozostawić je w spokoju, żeby miało siłę rozkwitnąć i wydać owoce... Niechże pan nie ulega nieustannej pokusie produkowania, które wyniszcza pana duchowo... Mniej niechaj się pan troszczy o poetę i wieniec, lecz tym więcej o samą poezję! I niechże pan nie rozpruwa brzucha śpiewającego ptaka, żeby za jednym zamachem wydrzeć zeń wszystkie złote jajka!”

Dobrze to pisać Ingemannowi, który ma już ustaloną rangę cenionego powieściopisarza i poety, uroczą żonę, zapewniony byt i zaszczytne stanowisko rektora akademii w Sörö! Zresztą nawet Ingemann nie podejrzewa, że prawdziwą przyczyną depresji i melancholii Andersena jest jeszcze coś więcej: nowa i, oczywiście, znów nieszczęśliwa miłość.

Z pierwszym zawodom miłosnym, jaki przyniosło mu uczucie do Riborg, nie krył się wcale. Przeciwnie, mówił i, pisał o nim wiele. I znalazł powiernicę szczególnie miłą i cierpliwą: Luizę Collin. Długie rozmowy, wylewne listy, w których zalił się na nie odwzajemnioną miłość, na gorzką swoją samotność, zaczęły niepostrzeżenie przekształcać się w coraz czulsze zwierzenia, zwrócone już bezpośrednio do dziewczęcej pocieszycielki. Uczucie rosło: tajone, nieme, nigdy wyraźnie nie wyznane.

Kres idylli położyła Ingeborga. Wystąpiła w roli cenzora i postarała się, żeby Andersen również wiedział, iż odtąd wszelka korespondencja Luizy musi najpierw przechodzić przez ręce złośliwej starszej siostry. Czy i tym razem adorator młodej panny Collin sięgał po niedostępny owoc dlatego właśnie, że wiedział o jego nieosiągalności? A może jednak ufał w głębi serca, że zdoła na prawach zięcia wejść do tej starej mieszczańskiej rodziny i zostać wreszcie „prawdziwym bratem” Edwarda? Jeśli nawet krył w swoim niepoprawnie ufnym sercu cień takich nadziei, i on rozwiął się szybko. Luiza Collin około nowego 1833 roku zaręczyła się z adwokatem Lind, młodzieńcem ze swojej sfery, rokującym najlepsze nadzieje na przyszłość, i wkrótce została jego żoną. Collinowie, choć Andersen brał zazwyczaj udział we wszystkich domowych uroczystościach, tym razem zatroszczyli się o to, żeby wiadomość o zaręczynach Luizy przekazały mu inne osoby. Czy doprawdy przeżył gorzkie rozczarowanie? Baśniowo stylizowane autobiografie ani słowem o całej tej sprawie nie wspominają. Ale plon literacki wydała później i ta, nie wyznana, miłość: oprócz wiersza, wyrażającego rozterkę na widok czarnych i – niebieskich oczu, i opowiadki *Niegrzeczny chłopiec*, także jedną z najpiękniejszych baśni: *Małą syrenę*.

Lecz na razie Andersen czuje się znowu zmęczony, zniechęcony, dusi się w ciasnym świątku Kopenhagi, z każdym dniem bardziej traci wiarę we własne siły i ochotę do pracy... „Poeta albo sam będzie naturą, albo zacznie jej poszukiwać”, pisał Schiller. W swoich *Syl-*

wetkach z niemieckiej podróży, opisując piękno oglądanych krajobrazów, Andersen stwierdza żartobliwie: „Przyroda – to piękna dama, a przy tym mocno wiekowa: żyła jeszcze za czasów Matuzala... Ale ta sędziwa dama nadal pragnie nam się podobać, pragnie nas zachwycać.”

Ale srogi krytyk Molbech, który tak nieżyczliwie potraktował już zbiór wierszy *Fantazje i szkice*, tym bardziej nie okazuje zrozumienia dla biblijnych metafor w podróżniczej relacji: cóż za androny wypisuje ten zarozumiały niedouk! I w recenzji z powagą zadaje pytanie: „A czyż młode damy nie pragną się podobać?”

Nie znajdzie zrozumienia. Ani u krytyków, ani u przyjaciół, ani nawet w domu Collinów, gdzie wszyscy, mimo okazywaną mu życzliwość, w istocie traktują go z wyrozumiałą wyższością, tak właśnie jak zrównoważeni dorośli ludzie traktować zwykli kapryśne dziecko. Ścierpieć tego nie może. Już przed rokiem pisał w liście do starego radcy:

„O jedno tylko pragnę prosić pana z całego serca, gdy pisać pan będzie do mnie – wiem, że brzmi to dziwnie – ale – niechże nie będzie pan zbyt poważny, czy też raczej niechaj mi pan nie prawi morałów (nie potrafię znaleźć na to właściwego słowa), ale od czasu do czasu bywa w pańskich listach coś takiego – coś solidnego – coś na temat przyszłości etc., etc., co tak wielką mi przykrość sprawiało, a Bóg mi świadkiem, że znieść tego nie mogę – teraz znieść tego nie mogę.”

W głębokiej depresji, jaka go ogarnęła, nie widzi już żadnego dla siebie ratunku i stwierdza melancholijnie: „Życie moje jako poety podobne jest do spadającej gwiazdy, o której wszyscy niebawem zapomną!”

Edward Collin znajduje wreszcie wyjście: namawia Andersena, żeby złożył prośbę do króla o podróżne stypendium. Do podania należało dołączyć własne utwory. Poecie forma taka wydaje się niestosowna, niemożliwa: jakże to – wierszami domagać się wsparcia? Przekonują go wreszcie, że to jedynie zwykła formalność. Zabiera więc tomik z sylwetkami duńskich poetów, czeka w gromadzie petentów na audiencję.

– A pan z czym tu przybywa? – zwraca się do niego król.

– Przyniosłem cykl wierszy, wasza królewska mość – mruczy zmieszany Andersen.

– Cykl? Cykl? Cóż to takiego? – dziwi się Fryderyk VI, niezbyt dokładnie obeznany ze sprawami literatury.

– Wiersze. Wiersze o Danii. Pragnąłbym...

– Ach, o Danii! Doskonale! – uśmiecha się zdawkowo król i gotów już iść dalej. Ale Andersen już odzyskał zwykłą w tak decydujących chwilach przytomność umysłu i odwagę. Śmiało i wymownie zaczyna opowiadać królowi swoje dzieje: skąd pochodzi, jak znalazł się w Kopenhadze, jak wytrwale biedował, uczył się, pisał, jak bardzo pragnie rozszerzyć obecnie swoją wiedzę, poznać inne, dalekie kraje...

– Proszę złożyć podanie. Z chwilą gdy zostanie rozpatrzone, otrzyma pan odpowiedź. – Fryderyk, wyraźnie już zniecierpliwiony, chce pozbyć się natrętnego petenta.

– Ależ ja mam już podanie tutaj, przy sobie – nie daje za wygraną Andersen. Wyciąga papier z kieszeni i absolutnie wbrew przepisom dworskiej etykiety wsuwa go wprost do ręki zdumionego króla.

W rezultacie zamiast zwykłego, rocznego tylko, otrzymuje poeta dwuletnie stypendium podróżne. Do podania zażądano wprawdzie jeszcze załączników w postaci opinii o osobie i dotychczasowych osiągnięciach młodego pisarza. Lecz tu wszyscy chętnie przyszli z pomocą: Oehlenschläger, Örsted, nawet Heiberg. Srogi krytyk Hertz także w tym samym czasie otrzymuje podobne stypendium – nawet wyższe.

Andersen znów wie ma już czasu tym się martwić. Składa pożegnalne wizyty. Wysłuchuje macierzyńskich przestróg licznych swoich opiekunek: jedzie przecież do Paryża, siedliska moralnej zgnilizny i rozpusty. Szczególnie polecają mu unikać znajomości z liberynem He-

inem. I pisać listy. Długie, częste. Pod tym ostatnim względem z pewnością nie zawiedzie ich nadziei.

Ma lat dwadzieścia osiem, gdy na wzór wracających do zielonych, duńskich równin bocianów (ptaki te, tak charakterystyczne wówczas dla ojczyznoego krajobrazu i podobne do jego własnej sylwetki, lubił zawsze najbardziej), tylko w odwrotnym niż one kierunku rozpoczyna swoją Odyseję. I chyba ze zdumieniem, choć tym razem mile nareszcie zaskoczony – czyta już na statku list, który na pożegnanie przestał mu Edward Collin:

„Kopenhaga, poniedziałek, 22 kwietnia 1833 r.,
godzina 12 w południe

Drogi Przyjacielu!

Przyszło mi nagle na myśl, że może miło panu będzie otrzymać ode mnie ten list, zanim dotrze pan do Hamburga i będzie mógł spodziewać się poczty. Bardzo mi przykro, że pan wyjeżdża – doprawdy, będzie mi pana ogromnie brak; brak mi będzie pana wchodzącego do mojego gabinetu na pogawędkę, we wtorki puste będzie pańskie miejsce przy naszym stole, choć, oczywiście, wiem, że panu znacznie smutniej, gdyż pozostał pan zupełnie sam, lecz, prawda, pociechą jest myśl, iż w domu pozostawił się przyjaciół, którzy myślą o wyjeżdżającym, a pan posiada tę pociechę, ponieważ stale i serdecznie będziemy pana wspominać. Do widzenia drogi, drogi przyjacielu! Niechże nam Bóg dozwoli spotkać się znowu spokojnie i szczęśliwie za dwa lata!”

Nie wiadomo, czy spóźnione wyrzuty sumienia z powodu kategorycznej odmowy mówienia sobie po imieniu, przesłanej w poprzednim liście, czy współczucie dla zawiedzionego konkurenta Luizy podyktowały chłodnemu zazwyczaj, wcale nieskoremu do wylewnych uczuć młodemu Collinowi te pełne życzliwości pożegnalne słowa. Przyznać zresztą trzeba, że choć krańcowo różny od Andersena, Edward Collin usiłował być mu doprawdy wiernym przyjacielem. Załatwiał sprawy finansowe, służył pomocą i radą – choć wywoływało to nieraz szczególnie gwałtowne konflikty! – prowadził żmudne pertraktacje z wydawnictwami, redakcjami, dyrekcjami teatrów, przeglądał korekty kolejnych wydań Andersenowskich utworów, własnoręcznie nawet przepisał – (i niestety, również poprawił!) – tekst niemieckiej autobiografii poety. Przygotowywał się w tych właśnie latach do objęcia, za przykładem ojca, poważnego stanowiska w ministerstwie finansów i w trosce o utrzymanie jak najlepszych ze wszystkimi stosunków, dyplomatycznie usiłował łagodzić dawne zatargi. Andersen zresztą doceniał te jego zasługi. W *Baśni mojego życia* pisze, że gdyby godziło się numerować przyjaciół, Edward Collin niewątpliwie otrzymałby „numer pierwszy”, i dorzuca melancholijną sentencję: „Z przyjaciółmi, jak z górami – dopiero oddalwszy się od nich dostrzec można prawdziwą ich postać.” Nie dodaje tylko nigdy – bo sam nie zdaje sobie z tego sprawy – jak niezmiernie trudno było dochować przyjaźni względem człowieka tak przeczulonego, nerwowego, egzaltowanego jak właśnie on. Pedantycznie ścisły Collin – junior (o jego zamiłowaniu do akuracności i drobiazgowości, nużącej niemal dokładności świadczy już nagłówek listu, gdzie wymienia nie tylko miejsce, dzień i datę, ale nawet godzinę) precyzuje jednak przy pożegnaniu – z pewnością nie bez tajonej ulgi – że ponownie spotkają się dopiero za dwa lata.

I Andersen wyrusza w długą drogę: przez Niemcy i Francję do Włoch. Lecz to nie tylko pierwsza większa podróż. Wraz z nią rozpoczyna się okres przełomowy decydujący o całym jego przyszłym życiu i twórczości.

A przed wyjazdem, prześladowany przecuciem rychłej śmierci, spisuje jeszcze swoją *Księgę życia*, którą powierza Edwardowi, przeznaczając ją dla grona najbliższych przyjaciół. W tej właśnie chwili po raz pierwszy czuje potrzebę przekazania potomności historii dziwnych swoich losów.

„Podróżować – to żyć! ...Życie staje się wówczas bogate, pełne, człowiek nie karmi się już, jak pelikan, własną krwią, lecz wielką przyrodą!... Podróże stały się dla mnie najlepszą szkołą... Niczym kąpiel orzeźwiająca ducha, niczym wiecznie odmładzający trunek Medei są dla mnie podróże” – pisał.

Miał stać się jednym z największych podróżników swojej epoki. Żadna jednak wyprawa nie wywarła tak wstrząsającego wrażenia, nie wycisnęła tak decydującego piętna na całym dalszym jego życiu, jak właśnie ta pierwsza. Wstępnym jej etapem był Paryż.

Do Ludwika Müllera:

„Paryż, 14 maja 1833

A więc jestem tutaj! O, gdybyś był tu wraz ze mną, kochany, dobry mój Ludwiku! To mi miasto – Paryż!

Berlin, Hamburg i Kopenhaga razem wzięte niczym są w porównaniu z nim. Trzy dni dopiero jestem tutaj, a już czuję się na poły w domu i całkiem nieźle się orientuję.”

Istny potop listów – do znajomych, protektorów, przyjaciół. Listopisem był znakomitym. Wybór jego korespondencji, która z biegiem lat gromadziła się w pokaźne tomy, dzisiaj jeszcze z pewnością wierniej, żywiej i bardziej wszechstronnie ukazałaby jego sylwetkę niż baśniowo stylizowane autobiografie. Oprócz tego – notatki w podróznym dzienniku: we Frankfurcie kompozytor Alojzy Schmidt już go prosił o tekst do opery, a słynny Spohr wpisał mu nuty do albumu. A w Paryżu – najpierw kurz i gwałtowna burza z piorunami (zbudził się wówczas i wyskoczył z łóżka, panicznie przerażony, że w tym szalonym mieście wybuchła już oto znowu jakaś rewolucja!), a później nieustanne zachwyty. Rodaków spotkał sporo, pilnie chodzi do teatrów i do Grand Opéra, poznał kompozytora Cherubiniego, w Muzeum Artylerii oglądał wojenne maszyny, używane podczas oblężenia Antwerpii.

Od „ostrej” wody w Sekwanie choruje („a gdybym miał umrzeć tutaj, z dala od kraju, niechże Edward nie zapomni wydrukować moich wspomnień?”), lecz skąpi na lekarza, sam się kuruje jakimiś pigułkami i portweinem i choroba szczęśliwie ustępuje.

W Trianon, w sypialni Napoleona, wśród tłumu zwiedzających, dotyka ukradkiem stopni wiodących do cesarskiego łóża i poduszki („...Sprawiło to na mnie ogromne wrażenie!”). I, mimo wszelkie ostrzeżenia, czuje się straszliwie zgorzony:

„Paryż – to chyba najbardziej zepsute miasto pod słońcem. Myślę, że nie ma tu ani jednej niewinnej istoty... W biały dzień, na najprzystojniejszych ulicach proponowano mi «ładną szesnastoletnią dziewczynę», a jakaś młoda dama, z najniewinniejszą w świecie minką, niesłychanie grzeczna w obejściu, zatrzymała nas obu z S., wdzięcznie namawiając, żebyśmy ją odwiedzili, że jest zupełnie zdrowa itd...”

Ani mu w głowie z takich ofert korzystać. W tej dziedzinie nieustępliwie przestrzega zasady: wiedzieć i widzieć wszystko – lecz nie dotykać niczego. Zresztą – jest co oglądać!

Gottlieb Collin, brat Edwarda, otrzymuje list z entuzjastycznym opisem Luwru: „To mi dopiero galeria jak się patrzy! Całość to jedna tylko sala, lecz tak długa, jak cała droga do Røskilde!” „... Sklep przy sklepie: miedzioryty, drzeworyty, sklepy rzeźnicze, gdzie kielbasy zwisają w festonach, cukiernie z ciastami, spiętrzonymi kunsztownie niczym gotyckie zamki, a lustro tuż obok lustra, tak iż co chwila grozi niebezpieczeństwo rozbicia któregoś z nich, iść bowiem trzeba blisko, ponieważ ulicami także jeden powóz zaraz za drugim jedzie.”

Ruch, gwar, życie, jakże to odmienne od sennej, spokojnej Kopenhagi. W kawiarniach muzyka i zajadłe spory, dyskusje, głośne deklamacje, nierzadko i bójki. W centrum, wokół Palais Royal, wystawy bogate, pełne modnych towarów, nieco dalej snują się wędrowni sprzedawcy i przeróżne niebieskie ptaszki, zachwalają swoje umiejętności dentyści, pedicuryści, felczerzy, wszelkiego rodzaju szarlatani. (Jakże musiał przypaść do gustu duńskiemu przybyszowi, tak często nękanemu dojmującą fluksją, szyld dentystyczny, zgrabnie ułożony ze szczęk i zębów!) Popularne rozrywki znaleźć można w owych czasach przy Pont-Neuf i sąsiednich nabrzeżach: występują tam karły, tancerze na linie, bracia syjamscy, gromady widzów tłoczą się wokół teatrzyków marionetek, mali Sabaudzycy z tresowanymi małpkami na ramieniu bawią publiczność, rozlegają się przeciągłe okrzyki sprzedawców „coco”, ulubionego przez paryżan odwaru ze słodzonej lukrecji. Na Pont-des-Arts długowłosego wędrownego poety Charles Pradier czyta przechodniom swoje wiersze; często też można spotkać w tych okolicach obłąkanego Włocha Carnevale, w fantastycznym jaskrawym stroju, obwieszonym wstęgami równie fantastycznych orderów.

Wysłała do Chrystiana Voigta opis pokoju z kamienną posadzką, w którym zamieszkał przy rue Vivienne, opis jednego z licznych pasaży („jakbyś nad całą Östergade w Kopenhagie rozpiął szklane sklepienie”), kawiarni, gdzie czytuje gazety, nowej dzielnicy St. Antoine, gdzie często bandyci napadają przechodniów, wrzucając ich trupy do Sekwany, opis Pont d’Austerlitz i Jardin-de-Plantes, ulubionego miejsca niedzielnych spacerów paryskich („gdzie całą arkę Noego za darmo możesz oglądać!”).

I dalej, w tym samym liście:

„Paryż, 24 czerwca 1833

Heinego postanowiłem nie odwiedzać, los jednak zdarzył, że był on niemal pierwszym, którego tu spotkałem. Przywitał mnie bardzo życzliwie, z wielkim uznaniem mówił o naszej literaturze i głośno wobec wszystkich oświadczył, że Oehlenschläger jest z pewnością największym poetą w Europie.”

Przypadkowe spotkanie z Heinem nastąpiło w „Europe Littéraire”, kawiarni, do której zaprowadził go paryski znajomy, Paul Duport.

„Niewysoki człowiek o wybitnie semickim wyglądzie”, który z żywą serdecznością przywitał tam młodego duńskiego pisarza, okazał się autorem tak gorąco przez niego podziwianych wierszy i tym właśnie „groźnym libertynem”, przed którym tak usilnie ostrzegano go w Danii.

Heine odwiedza go jeszcze później w domu, nie zastaje, zostawia bilet u konsjerżki, lecz nadal nieufny Andersen bynajmniej nie kwapi się z rewizytą („wolę z nim się jednak nie dawać i sądzę nawet, że trzeba się wobec niego mieć szczególnie na baczności!”).

„Usilnie pracuję teraz nad wielkim poematem *Agnete* – pisze dalej do Vfligta. – Wyobraź sobie: połowa pierwszej części gotowa już i dobra! A przy reszcie jakoś mi chyba Bóg pomoże. Praca ta niejednemu z pewnością gębę zatka. I z boską pomocą tego roku w grudniu trafi już do kraju.”

W liście do pani Lässöe opis uroczystości przy odsłonięciu kolumny Napoleona na placu Vendôme i wielkiego balu, jaki odbył się później w Hotel de Ville, gdzie widział Ludwika Filipa „w świetnym humorze” i brzydka, „śmiertelnie błada” królową („Widać wyraźnie, że niedawne rewolucyjne wydarzenia były dla niej silnym wstrząsem!”). Zaproszenia na ów wieczorny bankiet wydają wprawdzie tylko dla wysoko urodzonych osób, lecz jakżeby Andersena miało w tym gronie zabraknąć: w mig wystarał się o bilet wstępu i pojechał wynajętym powozem, wystrojony „w jedwabne pończochy, białe rękawiczki i z paryską fryzurą”.

Henriecie Wulff już ze Szwajcarii opowiada ostatnie paryskie wspomnienia:

„Lozanna, 23 sierpnia 1833

...Heine pożegnał mnie bardzo mile, lecz ostatniego dnia nie widziałem jeszcze Wiktora Hugo, postanowiłem więc udać się do niego bez polecenia. Oznajmiono mi, że nie ma go w domu, ale ja na to: «Jutro już wyjeżdżam!», i wówczas zostałem przyjęty. Wygląda tak jak na tym portrecie, który pani ma, szczuplejszy tyko wydaje się i młodszy... Rozmawialiśmy, siedząc tak razem, o duńskiej literaturze, ale on nawet Oehlenschlägera nie zna... Był w szlafroku i eleganckich pantoflach, miałem wielką ochotę prosić go o jakiś wiersz do mego albumu, lecz przecież byłem mu całkiem obcy – skromnie więc poprosiłem tylko o podpis (jedynie po to, żeby pani mogła go zobaczyć!) i nabazgrał mi swoje nazwisko pośród innych «laurowych listków». Mówił, że dobrze mnie rozumie, ale to też chyba bardzo mądra głowa...”

Język francuski zna Andersen bardzo słabo i, mimo kurtuazyjnych zapewnień Wiktora Hugo, wie dobrze o tym. Z chęcią przyjmuje więc zaproszenie zegarmistrza Houriet, spokrewnionego ze znajomą duńską rodziną Jurgensów, i jedzie do Szwajcarii. Pragnie odpocząć od paryskiego zgiełku, poduczyć się francuszczyzny, a przede wszystkim – pracować.

Nie odwzajemnione porywy serca potrafił jakoś przeboleć. Nie odwzajemniona – choć przecież najwcześniejsza – miłość do teatru nadal tkwi ostrą drzazgą w głębi autorskiej duszy. Może tym razem zamysł się powiedzie? Może rodacy (i Heibergowi nie brak przecież snobizmu!) inaczej potraktują sztukę, nadesłaną z zagranicy przez królewskiego stypendystę?

Jakże bardzo czuje się znów osamotniony! Z Paryża wysłał listy do dwudziestu jeden osób. Odpowiedzi nie otrzymał od nikogo. Trudno przecież uważać za wiadomość z kraju jedyną, anonimową zresztą i nie ofrankowaną, grubą przesyłkę, na którą rzucił się skwapliwie – a która zawierała tylko numer duńskiego pisma – z paszkwilem na nieobecnego Andersena.

Tkwi w Szwajcarii pośród gór, w małej miejscowości Le Locle:

„...śnieg padał tam już w sierpniu, a chmury przepływały pod nami... i tam właśnie, w nordyckim krajobrazie, wśród czarnych, milczących lasów... zrodziła się *Agnete i wodnik*.” Przyjęty został gościnnie, o zapłacie nikt słyszeć nie chce, dwie starsze kobiety karmią go i obszywają, choć dziwaczny duński przybysz nie odwzajemnia im się ani słowem: nie rozumie dialektu, którym w tych stronach mówią wszyscy. Dzieci biegają za nim z wrzaskiem, ryczą mu w same uszy, przypuszczając, że chyba jest głuchy.

Ale on słyszy dobrze. Słyszy zjadliwy głos Heiberga, napuszone tyrady Molbecha, kpinki Hertza, złośliwe chichoty w kopenhaskich salonach. Słyszy, pamięta, wie: znowu go tam wysmiewają i obgadują. Z pasją schyla się nad papierem. Akcja poetyckiego dramatu oparta na ludowej pieśni o dziewczynie i wodniku, który zwał ją do swego królestwa, jest może wątpliwa, dialog miejscami szwankuje, lecz całość przecież zwarta, wiersz potoczysty – może tym razem odniesie zwycięstwo? I pełen nadziei wysłał do Kopenhagi drugą część *Agnete*, a sam przez Mediolan, Genuę, Pizę, Florencję, wyrusza w dalszą drogę.

Do Henrietty Wulff:

„Florencja, 12 października 1833

Mówią, że muzy mieszkają przy artystach na ciemnych, brzydkich poddaszach i jak takie ciemne, brzydkie poddasze wygląda Florencja. Nikt z nas, gdy tu wjeżdżaliśmy, nie wierzył, że to właśnie to miasto wydawało nam się niczym w porównaniu z Genuą! Lecz dotarliśmy do galerii, kościołów, do samego sedna i – o Boże! – cóż mam pani powiedzieć? Niechże pani zapyta zmarłego, gdyby się przecknął, co widział, gdy boga z aniołami i całe światy wokół siebie oglądał. ...*Meduzy* Leonarda da Vinci nie zapomnę nigdy. Głowa jej ma w sobie coś magicznego: przyciągała mnie. To piana przepaści, otchłani w najpiękniejszej postaci, piekła, które tu oto stworzyło głowę Madonny: gorąca trucizna paruje z jej ust i głowa węża zaczyna się poruszać, a człowiek sam kamienieje.

O, gdybym miał siedemnaście lat i podobne jak teraz uczucia i myśli, mogłoby ze mnie coś być; teraz widzę jedynie, że nic nie umiem, nic nie wiem, a życie takie krótkie – kiedyż i

jak zdołam nauczyć się tak niesłuchanie wielu rzeczy! Nigdy przedtem nie doznawałem tego uczucia i napawa mnie ono serdecznym smutkiem.”

Smutek ów, choć z całkiem innego powodu, zmienił się niebawem w najszczerzą rozpacz. W Mediolanie czekał już list od Edwarda Collina, potwierdzający najgorsze obawy: nikt w Danii nie przyjął życzliwie dramatu, pisanego w Paryżu i Szwajcarii z takim zapałem, nikt w całej Kopenhadze słyszeć nawet nie chciał o podpisywaniu subskrypcji na wydanie tego „brzydkiego dziecka”, jak później nazwał je sam rozgoryczony autor. „Co? To on znowu pisze? Dość nas już namęczył!” – brzmiały komentarze, które młody Collin dosłownie i bezlitośnie przekazał Andersenowi. Przynękał wprawdzie w liście, że postara się jeszcze znaleźć wydawcę, ale bynajmniej nie ukrywał, że będzie miał z tą sprawą mnóstwo trudności i kłopotów.

18 października 1833 roku przybywa Andersen do Rzymu. Pamiętna, przełomowa data. Obchodził ją odtąd co roku uroczystość jako dzień duchowych swoich narodzin... „Czym Niemcy i Północ dla serca, Francja dla rozumu, tym Italia dla wyobraźni – wszystko tu jest – malarstwem... – pisał. – Nowy świat utworzył się przede mną... Nauczyłem się pojmować piękno kształtów i ducha, który w tych formach się ujawnia. Życie ludu, przyroda wokół, wszystko było dla mnie nowe, a jednocześnie tak dziw nieznanym, jakbym trafił do kraju, w którym spędziłem dzieciństwo.” „Oczy mi ze śniegu odtajały!” – mógł powtórzyć za Thorvaldsenem, na które podobny urok rzuciło słoneczne piękno Włoch. Młody poeta doznał szoku, olśnienia, wstrząsu. I od tej chwili innym, już nowym spojrzeniem zaczął patrzeć na otaczający go świat.

Z Thorvaldsenem niebawem połączyła go serdeczna zażyłość. Sławny rzeźbiarz, syn islandzkiego kamieniarza, także przybył do Rzymu jako królewski stypendysta jeszcze w 1797 roku. Zżył się z Wiecznym Miastem od dziesiątków lat (mimo iż nigdy nie nauczył się dobrze mówić po włosku), niechętnie je opuszczał, stworzył w nim większość monumentalnych swoich dzieł. Do Danii zaglądał parokrotnie – na krótko. Pomylił epoki: powinien być żyć w dobie Renesansu. Krąży w blasku południowego słońca wokół potężnych, nie obciosanych jeszcze bloków, krępy, niski, o wielkich, mocnych dłoniach, nieustannie rozwichrzonych siwych włosach i oczach przenikliwie niebieskich, jak włoskie niebo w pogodny dzień. Raptus, impetyk, nie gardzący dosadnym słowem, pełen radości życia, prostoduszny przy tym i naiwny jak dziecko. Na poezji i literaturze zna się niewiele, lecz potrafi własnym przykładem zachęcić do upartej pracy i nieliczenia się z opinią publiczną. Gdy Andersen opowiada mu o paszkwilu, który osiągną go w Paryżu, zaciska zęby i po chwili odpowiada z gniewem: „A tak, tak, znam tych ludzi, i mnie nie powiodłoby się lepiej, gdybym wśród nich pozostał!... Dzięki Bogu, niepotrzebni mi już wcale, bo potrafią dogryzać i dręczyć!”

Thorvaldsenowi, który przewodzi sporej rzymskiej kolonii duńskiej, towarzyszy Andersen w pierwszych swoich wędrówkach po mieście. Wraz z nim zagląda do najstarszej rzymskiej kawiarni „Caffe Greco”, ulubionego miejsca spotkań całego świata autystycznego, istniejącej od 1760 roku przy jednej z najbardziej eleganckich ulic Rzymu, Via Condotti, koło Placu Hiszpańskiego. Bywał tam Goethe i Grillparzer, Byron, Shelley i Mickiewicz, Gogol i Goldoni, Berlioz, Gounod i Liszt. Wytworny Feliks Mendelssohn z niesmakiem opisał już w 1880 roku, w liście do ojca, tę słynną „jaskinię zbójców”: „Okropni to ludzie, gdy tak spojrzeć na nich, jak przysiadają w tym swoim «Caffe Greco». Nigdy też niemal tam nie chodzę, bo zbyt wielką odrazę budzą we mnie i oni, i to ich ulubione miejsce. Jest to izba mała i ciemna, szeroka na jakie osiem kroków, i po jednej stronie owego pokoiku wolno palić tytuń, ale po drugiej nie. Przysiadują tam oni na ławach, w szerokich kapeluszach, wielkie psy... trzymają obok siebie, twarze, policzki i szyje mają całkiem zakryte włosami, kurzą przeraźliwie (lecz tylko po jednej stronie izby) i wzajemnie grubiaństwa sobie prawią, a psy robactwo roznoszą... Nie zarośnięte miejsca na twarzach przesłaniają okularami i tak piją tam ławę i

rozprawiają głośno o Tycjanie czy Pordenone, jakby i oni tuż obok nich siedzieli, również nosząc brody i szerokoskrzydłe kapelusze?”

U Thorvaldsena czyta Andersen dwukrotnie i swoją *Agnete*, pocieszając się, że rzeźbiarz znajduje jej formę „piękną” i że lektura ta wprawia go w nastrój, „jakby chodził po rodzinnych lasach i słuchał szumu duńskich jezior”, mimo iż po raz trzeci, ku wielkiemu niezadowoleniu autora, za nic już nie chce zgodzić się na głośne czytanie.

Z Rzymu znów płyną do Danii niezliczone ilości listów: zwiedził Kampanię, we Frascati po raz pierwszy zajrzał do barwnej, gwarnej osterii, podziwiał freski w Kaplicy Sykstyńskiej, wędrował po mrocznych katakumbach, pełnych szkieleatów, jeździł do Tusculum; Genzano, Neni. W podróŜnym szkicowniku zapełnił już niemal wszystkie kartki.

„Przeobraziłem się całkiem w rysownika, a malarze chwalą celność mojego spojrzenia. W każdym razie liczne moje szkice (w sumie przeszło sto) są dla mnie skarbem, którym niejednokrotnie jeszcze cieszyć się będę w domu. Jaka szkoda, że nie nauczyłem się rysunku»

Ale pieniądze już się kończą – a czy z łaski królewskiej zechcą mu ich jeszcze dorzucić? Z humorem, choć nie bez ironii, pisze o tym do Henrietty Wulff:

„Rzym, 16 grudnia 1833

Niechże pani wspomóŜe tam dobrym słowem poetę u wszystkich, którzy mają wpływ na odpowiednie osoby: potraktujcie mnie tak jak chłop Ŝwinie, kiedy ją karmi Ŝloniną: «To się wróci!»”

Tego samego dnia nadchodzi list od Jonasza Collina: w Odense zmarła matka Andersena.

„Oto więc zostałem całkiem sam na Ŝwiecie – pisze w odpowiedzi. – Bóg ulitował się nad nią: niedołączna była już i chora; nie wie pan nawet, ile łez wyplakałem nad jej sytuacją, bo przecieŜ nic niemal nie mogłem zrobić, Ŝeby ulżyć jej doli, i często prosiłem Boga, Ŝeby zabrał ją wreszcie do siebie. Nie otrzymała już ostatniego mojego listu z Rzymu, ale wiem, Ŝe w ostatniej swojej godzinie modliła się za mnie i błogosławiła mnie. Pierwsza myśl moja, gdy dowiedziałem się o jej Ŝmierci, była: dzięki ci, BoŜe! ale potem nie mogłem jakoŝ oswoić się z dziwnym uczuciem, Ŝe oto pozostałem zupełnie samotny. Tutaj odczuwam to podwójnie i dlatego piszę te słowa, bo w ten sposób z panem przynajmniej mogę pomówić? Niechże pan będzie nadal tak dobry dla mnie jak zawsze, jeŜli pan tylko moŜe. Dotąd nie okazałem się tego niegodny.”

A w dzienniku jednoczeœnie notuje:

„BoŜe, dzięki ci! – wykrzyknąłem najpierw – Ŝeŝ położył kres jej cierpieniom, którym nie mogłem ulżyć. A jednak nie potrafię oswoić się z myślą, Ŝe oto jestem samotny, Ŝe nie ma na całym Ŝwiecie ani jednego człowieka, który m u s i mnie kochać, dzięki związkom krwi!

Nadesłano mi równieŜ krytyki Heiberga: jestem jedynie improwizatorem! Wielkie zastrzeŜenia mają takŜe krytycy do mojej *Agnete* i wydawca Reitzel nie chce ryzykować dla niej piędziesięciu talarów. Wyjdzie więc nakładem własnym!”

Sprawa fatalnego poetyckiego dramatu urasta do niebywałych rozmiarów, wikła się i plącze, przysparzając strapionemu autorowi coraz powaŜniejszych trosk. W jego przekonaniu *Agnete* to utwór w pełni dojrzały, Ŝwiadectwo, Ŝe stał się już wreszcie pisarzem naprawdę godnym uznania. A przecieŜ przełom dokona się inaczej, kiedy indziej. *Agnete* – to w istocie tylko poŜegnanie młodoœci.

Dwa dni póżniej nadchodzi znowu list od Edwarda Collina, pełen ostrych wymówek: „Przy tej Ŝaleńczej, poŜalowania godnej produktywności pozbawia pan swoje prace wszelkich walorów – i niebawem Ŝaden wydawca nie zechce ich nawet za darmo!”

Andersen, po przeczytaniu tych słów, dwa dni leŜy w gorączce, zdruzgotany, zmiażdŜony, przez cały następnny mieœiąc niezdolny do podjęcia pióra. Młodemu Collinowi mimo to odpowiada natychmiast gradem tak wœciekłych wyrzutów, Ŝe ostroŜny stary radca, na którego ręce adresowana była ta przesyłka, niszczy ją w obawie, Ŝe dojsć moŜe do ostatecznego ze-

rwania i tak już nie najlepszych pomiędzy obu młodymi ludźmi stosunków. Po ostatnich przykrych przeżyciach i rozczarowaniach Andersen nie ma także najmniejszej ochoty na spotkanie ze złośliwym Hertzem, który tymczasem także już przybył do Włoch. Ale Hertz ściska mu rękę, poważnie składa kondolencje z powodu zgonu matki, okazuje się wyrozumiałym, inteligentnym, wykształconym i miłym kompanem. W długich rozmowach, jakie często ze sobą prowadzą, dochodzą nawet do omówienia najbardziej drażliwego problemu nieustannych ataków krytyki na twórczość młodego poety. I Andersen z niejaką ulgą dosłownie notuje ocenę Hertza: „Nieszczęściem pańskim jest to, że musiał pan drukować wszystko, cokolwiek pan pisał, publiczność śledziła pana na każdym kroku; wydaje mi się, że nawet Goethe byłby narażony na podobne przykrości, znajdując się w pańskiej sytuacji.”

Jadą razem do Neapolu – właśnie wybuchł Wezuwiusz:

„Nowy strumień lawy tryskał w kierunku morza, na to miejsce chcieliśmy dotrzeć, lecz najpierw musieliśmy przejść przez dopiero co zastygłą warstwę: pod wpływem powietrza zaskorupiała jedynie jej powierzchnia, lecz w szparach migotał jeszcze czerwony płomień; ruszyliśmy w ślad za przewodnikiem, ogień parzył nas przez podeszwy butów, gdyby ta cienka zewnętrzna powłoka pękła, zapadlibyśmy w ognisty szlam... Opary siarki były gęste, żar pod nogami ledwo do wytrzymania i zaledwie kilka minut zdołaliśmy tam wytrwać, lecz widok, jaki ujrzeliśmy, wypalił się na zawsze w naszej pamięci. Dokoła ziały ogniste przepaści, z krateru dobywał się szum, jakby stado potężnych ptaków poderwało się w lesie do lotu. Godzinę niemal zmitrężyliśmy na tę krótką, lecz jakże uciążliwą wspinaczkę... a zejście nie trwało nawet dziesięciu minut, lecieliśmy jak na skrzydłach i musieliśmy hamować piętami, żeby nie paść na twarz, lecz raczej już na plecy osunąć się miękkimi popiołami... Gdy zeszliliśmy do Portici, domy i drzwi były już pozamykane... Hertz powiedział, iż wydaje mu się, jakbyśmy szli przez wymarłe miasto z *1001 nocy*. Rozmawialiśmy o poezji i – o jedzeniu; tak, byliśmy obaj nieludzko głodni, ale wszystkie osterie już zamknięto i musieliśmy wytrzymać aż do Neapolu... Po drodze przystawialiśmy jeszcze niejednokrotnie, pełni zachwytu, lecz rozmowa nasza nieustannie powracała do tak bardzo nam potrzebnego dobrego posiłku...”

Reportaż na wskroś współczesny i pełen humoru. Jakże niegroźny okazuje się podczas tej wspólnej wycieczki krytyk – formalista i jak szybko milkną wzniosłe dyskusje o poezji wobec głodu, który jednakowo dręczy obu duńskich stypendystów!

Ale w słonecznej, kipiącej od życia Italii inne jeszcze udręki trapiły przybysza z chłodnej, surowej Północy. Do Paryża jechał przygotowany, przynajmniej teoretycznie, na pokusy, jakie ze wszystkich stron czyhać będą na niego w słynnym z rozpusty mieście. Włochy były inne. Inna tu panowała atmosfera, inne było niebo, inni ludzie. I właśnie z Neapolu pochodzą krótkie notatki w dzienniku:

„Krew moja dziwnym ulega wzburzeniom. Czuję ogromny przyływ zmysłowości i walczę ze sobą. Czyż to istotnie grzech zaspokoić tę potężną żądzę? Jeśli tak – zwalczę ją może. Dotąd jestem niewinny, lecz krew moja płonie, a we śnie cała moja istota wrzeć zaczyna. Szczęśliwy, kto żonaty, zaręczony... O, gdybym to i ja w tych mocnych więzach się znajdował! Ale zwalczę tę słabość...”

I dalej, pod datą 20 marca 1834 roku:

„Mimo wszystko – niewinny opuszczam Neapol.”

Zahamowania, stłumienia – natura przeczulona, niemal chorobliwie wstydliva. Ciężkie przeżycia, jakie wstrząsnęły nim już w dzieciństwie, młode lata spędzane w podejrzanym dzielnicach wielkiego miasta. Nie. Nigdy nie znajdzie się w „mocnych więzach”, za którymi tak tęskni. Nie tylko warunki zewnętrzne, które niegdyś uniemożliwiły mu karierę teatralną, okazały się tu przeszkodą nie do przebycia. Oprócz dojmującego poczucia samotności, oprócz marzeń i tęsknot („szczęśliwy, kto żonaty, zaręczony...”) dręczy go także lęk. Lęk przed dziedzicznym obciążeniem umysłową chorobą, głęboki lęk przed „grzechem”, który tak surowo

potępiał już pastor podczas nauk confirmacyjnych, lęk przed nieuleczalną chorobą, jaką mogła go napiętnować chęć zapomnienia choćby na chwilę o własnym osamotnieniu, lęk – może najgłębszy – przed zejściem na „złe drogi” i straceniem z oczu najważniejszego celu, do którego uparcie dąży przez całe życie: „Niczym skąpiec brzęku złota – pisze – dusza moja pożąda już za życia sławy!”

Zwiedza Paestum, greckie miasto, założone przez Dorów w połowie VII wieku, podziwia grube siedmiometrowe mury, szczątki kolumn i świętych miejsc, przypadkowo odkrytych w ubiegłym zaledwie stuleciu: bazyliki, świątyni Posejdon, opiekuna miasta, świątyni Demeter. Tam właśnie, wśród pamiątek świetnej, odległej przeszłości, spotyka „biedną, ślepą dziewczynę. Szła, odziana w łachmany, lecz niezwykle piękna, niczym żywy posąg, dziecko nieomal jeszcze. W kruczoczarne swoje włosy wplotła kilka fiołków. Była to jedyna jej ozdoba...”

Zimowe miesiące spędza w Rzymie. Później przez Wenecję (gondole wydają mu się podobne do „pływających katafalków”) jedzie do Monachium, gdzie składa wizytę Schellingowi, do Wiednia, gdzie nie traci okazji do zawarcia osobistej znajomości z Grillparzerem, do Pragi. W podróży albumie coraz więcej stron zapisanych słynnymi nazwiskami. W pamięci: natłok obrazów, postaci, wrażeń, krajobrazów. Nieporadnymi, dziecinnymi prawie kreskami starał się utrwaląć je w szkicowniku. W słowach znacznie lepiej i pełniej potrafi oddać całe to bogactwo. Z Włoch jeszcze pisał do Henrietty Hanck:

„Pod wieczór niebo jest tu różanoczerwone, wyspy pływają po nim, niczym fioletowe chmury, góry zaś są całkiem jasnoliliowego koloru. Purpurowa lawa spływa z Wezuwiusza niczym potok krwi i przy świetle księżyca odbija się w seledynowej zatoce, gdzie rybacy wyciągają łodzie na ląd, a jakiś prosty chłopak głośno odczytuje marynarzom fragment *Orlanda szalonego*, improwizator zaś gromadzi wokół siebie tłum ludzi.”

Henrietta zwierza mu się z zamiaru drukowania swoich prób pisarskich. Lecz odpowiedź, jaką przesyła jej Andersen, raczej nikogo nie zdoła zachęcić do literackiego debiutu:

„Wiedeń, 16 maja 1834

Czy ma pani odwagę przeżywać chwile, w których najlepsze uczucia pani będą persyflovane, myśli, powstałe w najsposobniejszych chwilach, zostaną potraktowane jako głupstwo i szaleńczy bełkot, znosić krytyki ludzi ileż niżej od pani stojących, ich szyderstwa, ich brak szacunku? Jeśli tak – jest pani poetką, stanowi pani ogniwo w wielkim łańcuchu piękna, który niebo z ziemią łączy.

Nie mam prac pani, lecz sądząc z listów przypuszczam, że umie pani pisać tak, żeby ludzie odnieść mogli z tego radość i korzyść; niechże więc da nam pani posłyszeć swój śpiew, lecz niech pani pozostanie silna, gdy niezasażenie cierpieć za niego wypadnie. Ludzie to osobliwe stworzenia... O, obym nigdy nie brał kartki papieru do rąk, obym został dobrym, porządnym człowiekiem, który zadowolony z codziennego życia, je, śpi, pracuje, a później schodzi do grobu, nie zastanawiając się nad niczym!... Jestem na poły Turkiem i absolutnie wierzę w predestynację. Wolni jesteśmy – powiadają. A tak: niczym koń na malej, skalistej wysepce – wszystko rozgrywa się w obrębie wytyczonych już granic!”

W sierpniu 1834 roku, po przeszło rocznej nieobecności, wraca wreszcie Andersen do Kopenhagi. Na zaproszenie Ingemanna jedzie do Sörö. I tam, w małym pokoiku na poddaszu, wśród zapachu kwitnących jeszcze lip, dalej pracuje nad książką, której pierwsze rozdziały napisał w Rzymie. Ale pod piórem jego nie powstaje – jak pierwotnie zamierzał – impresyjna jedynie relacja z niedawnej długiej podróży. Siła doznanego wstrząsu była ogromna. Pragnie obecnie utrwalic wszystko, co świeżo zachował w pamięci: wspaniałość włoskich pejzaży, świetne typy rybaków, chłopów, gadatliwych oberżystów, zakonników, zalotnych dziewcząt, ludowych opowiadaczy i śpiewaków, bogactwo barw, światła, architektury. I pisze pierwszą w życiu powieść, a raczej przeniesioną na grunt włoski zbeletryzowaną autobiografię. Po-

etyckie uniesienie nie zatrzęsało realistycznych obserwacji: wynędzniałych wieśniaków w Kampanii, żebraków, kalek, wyniszczonych gorączką robotników. Naiwnie wzruszająca jest jedynie fabuła, ułożona zresztą według wszelkich reguł ówczesnego poczytnego „romansu”: miody Antonio, jedyny syn ubogiej wdowy, prawy, szlachetny i śmiały, zdobywa po najróżniejszych perypetiach łaski bogatego opiekuna, staranne wykształcenie i sławę najświetniejszego improwizatora w Neapolu.

Drugą część swojego *Improwizatora* (bo jakież inny tytuł mógł nadać powieści po niedawnej kąśliwej ocenie Heiberga?) pisze Andersen już w Kopenhadze. Wynajął mały pokoik po bezsłonecznej, więc tańszej, lecz „przyzwoitej” stronie portowej dzielnicy Nyhavn. Całość opatruje dedykacją:

„Radcy Collinowi i jego szlachetnej małżonce, w których znalazłem rodziców, których dzieci były mi siostrami i braćmi, których dom był moim domem, ofiarowuję najlepsze, co posiadam.”

Nieufny mimo tej dedykacji Edward Collin sprzedaje powieść taniutko i na raty – pocieszając się zapewne w duchu, że pisany prozą romans to jednak nie wierszowana nieszczęsna *Agnete*, o której teraz nikt nawet już i wspomnieć nie chce.

Ale wydawca Reitzel jeszcze się waha. Czyż nie krążą po Kopenhadze pogłoski, że „pomyłono się” w ocenie talentu tego właśnie autora? Wolałby zabezpieczyć się subskrypcją. Niełatwo znaleźć chętnych: na subskrypcyjnych arkuszach zdołano zebrać zaledwie osiemnaście podpisów. I w końcu Reitzel, choć niechętnie, postanawia tym razem ponieść ryzyko.

Otóż i baśniowe prawie odwrócenie tak trudnych dotychczas losów pisarza. Marzenia o sławie niespodziewanie przekształcają się w rzeczywistość. Improwizator staje się niebywałą sensacją, wydarzeniem roku, osiąga sukces wręcz zawrotny. „Książka ta – stwierdza później Andersen – dźwignęła mój dom z ruiny, ponownie zgromadziła wokół mnie przyjaciół, a nawet więcej ich jeszcze mi przysporzyła; po raz pierwszy doczekałem się prawdziwego, wywalzonego uznania.”

Krytycy – tym razem jednogłośnie – uznają powieść za rewelację w dziejach całej duńskiej literatury. Takim językiem – wartkim, potocznym – nikt dotąd nie przemawiał na kartach duńskich książek. Świeżość narracji, barwne opisy, z nieomylną celnością skreślone sylwetki bohaterów przesądzą o losie owego debiutu. W księgarniach tłok. W salonach – same superlatywy. Już w tym samym, 1835 roku, numer „Poczty Kopenhaskiej” z 22 września zapowiadał:

„Powieść H. C. Andersena *Improwizator* ukazać ma się w marcu, a jednocześnie prof. Kruse przygotowuje niemiecki przekład owego dzieła. Chętni, którzy zamierzają zakupić powieść, proszeni są o jak najszybsze nadsyłanie zgłoszeń do księgarza uniwersyteckiego Reitzla. Z uwagi na to, że rozmiary powieści znacznie przekroczyły przewidzianą początkowo objętość, cena jej przewyższy sumę, podaną na arkuszach subskrypcyjnych i dla tych, którzy subskrypcji nie podpisali, wynosić będzie o 1 talara i 64 szylingi więcej.”

Sukces, pieniądze, sława. W 1838 roku *Improwizator* ukazuje się po szwedzku, w 1844 po rosyjsku, wydają go w Anglii i w Ameryce, w 1846 roku pojawia się przekład holenderski, w 1847 – francuski, w 1857 czeski i polski.

Uszczęśliwiony Andersen wcale nie zamierza poprzestać na tym triumfie. Z gorzkiego doświadczenia wie już zresztą aż nadto dobrze, jak krótkotrwała bywa sława „modnego” pisarza. Na honoraria trzeba przy tym jeszcze poczekać, a tymczasem komorne znowu nie zapłacone, brak już ubrania i butów. Ale w promieniach życzliwego zainteresowania, jak zawsze, rozkwita. Bynajmniej nie czuje się wyczerpany, zmęczony długimi miesiącami wytężonej pracy i rażno zasiada do nowej roboty. W miesiąc po ukazaniu się duńskiego wydania *Improwizatora* w księgarniach kopenhaskich można obok rozchwytywanej nadal włoskiej po-

wieści nabyć również niewielki zbiorek, opatrzony nazwiskiem tego samego autora i skromnym tytułem: *Baśnie opowiedziane dla dzieci*.

Andersen idzie tu na najzupełniej za modą, za duchem czasu. Romantyzm to okres wielkiego renesansu baśni. Tępienie przez oschłych racjonalistów i pozbawionych wyobraźni pedantów, przetrwały od najdawniejszych czasów w zapisach i ustnej tradycji. Pierwotne baśnie, w których świat rzeczywisty zgodnie współistnieje z czarodziejską krainą wróżek, elfów, trollów, nieustraszonych i zawsze zwycięskich bohaterów, wywodzące się z mroków mitu, klechd, legend i pieśni. I baśnie wtórne, najczęściej nie zakończone żadnym dydaktycznym morałem, pełne sowizdrzalskiego humoru, rubaszne często nawet facecje, w których wykpione zostały nie tylko ludzkie wady, lecz również nadęta i zakłamana „przyzwoitość” statecznych hipokrytów, nad którymi triumfuje spryt, dowcip i beztroska wzgardzonych prostaczków, pospolitych obieżyświatów, a nawet hultajów spod najciemniejszej gwiazdy.

Wiek Oświecenia, epoka piękności słownego klasycyzmu odrzucały z oburzeniem i niesmakiem te gminne, prostackie opowieści. Odżyły one dopiero w okresie reakcji na sztywność klasycznych, a raczej już pseudoklasycznych kanonów. Niebawem odkryto niezmiernie bogactwa mitów i legend Wschodu. Rokokowe damy zaczytywały się już *Baśniami z 1001 nocy*, tłumaczonymi na francuski, później na inne języki europejskie. Utwory te wywarły duży wpływ na dalszy rozwój literatury i teatru: Crébillona, Diderota, fantastyczne dramaty Gozziego, filozoficzne opowiadki Woltera.

Pierwszy zbiór ludowych baśni wydał we Francji Charles Perrault: *Contes de ma Mère l'Oye*. Romantycy niemieccy – od Goethego zaczynając – wszyscy niemal pisali baśnie. Pisał je Brentano i Arnim, Tieck, Hauff i E. T. A. Hoffmann. W Danii również Oehlenschläger, Ingemann, a za ich przykładem inni podjęli „modny” gatunek literacki. Przestano jednak zwracać uwagę na nierozzerwalność dawnych treści i form. Stąd – nowy rodzaj baśni romantycznej, nie związanej już z prymitywnymi mitami ludowymi, przeistoczonej w feerię fantastyczno-demoniczną, niekiedy groteskową, którą zdołał w istocie stworzyć w Niemczech tylko E. T. A. Hoffmann. Wiernie i ściśle przekazać najdawniejsze ich treści na podstawie dosłownych zapisów umieli jedynie niestrudzeni ich zbieracze, uczeni bracia Grimm. Inni – rozbijając na rzecz swobodnych igraszek własnej wyobraźni zwięźle pierwotne konstrukcje – nie potrafili na ich miejsce stworzyć nic nowego.

Andersen także wcale nie zamierzał być nowatorem. W pierwszym zbiorze umieścił ludowe baśnie, słyszane jeszcze w dzieciństwie: *Krzesiwo*, *Mały Klaus i duży Klaus*, *Księżniczkę na ziarnku grochu* (żartobliwie dedykowaną wybrednej i kapryśnej Henriecie Wulff). Własnej inwencji autora są jedynie *Kwiatki małej Idy*, nadal jeszcze mocno spokrewnione z Hoffmannowską fantastyką. Anegdotyczno-autobiograficzne ich tło ukazane zostało zresztą już w pierwszych słowach:

„– Biedne moje kwiaty, całkiem jak nieżywe! powiedziała mata Ida. – Dlaczego? – zapytała siedzącego na kanapie studenta. Lubiła bardzo tego studenta, bo opowiadał jej najpiękniejsze historie i wycinał przezabawne obrazki: serduszka z małymi tańczącymi duszkami w środku, kwiaty, wysokie pałace, w których można była otwierać drzwi.”

Sześciolatnia wówczas córeczka duńskiego poety Thiele, którego Andersen często odwiedzał, naprawdę miała na imię Ida. Jej, jak niegdyś małemu Viggo albo Jonnie, dzieciom Ingeborgi Drewsen, albo innym malcom w zaprzyjaźnionych domach mógł poeta opowiedzieć tę historię. W gronie dzieci czuł się zawsze swobodniej i bezpieczniej niż w otoczeniu krytycznie względem niego nastawionych dorosłych. Podziwiała jego zręczność w sporządzaniu wycinanek lub kukielek w naprędce zaimprovizowanym teatrzyku i zawsze z ciekawością słuchały fantastycznych opowieści, których miał mnóstwo na podorędziu. Najmłodsze audytorium nie zawodziło nigdy, witało go entuzjastycznie i nieustannie – utwierdzało w przekonaniu, że potrafi doprawdy znakomicie opowiadać.

Z końcem 1835 roku ukazuje się jeszcze jeden zeszyt baśni: „w całości przez autora ułożona” (i znowu przeznaczona dla Jetty Wulff) *Calineczka*; niewielka i całkiem niezrozumiała dla dzieci opowiadka, oparta na motywie z Anakreonta: *Niegrzeczny chłopiec*; oraz przeróbka zamieszczonej już w tomiku z 1830 roku, także z dzieciństwa zapamiętanej baśni, pod zmienionym obecnie tytułem: *Towarzysz podróży*.

Lecz chociaż *Improwizator* nadal cieszy się nie słabnącą poczytnością, wywołuje dyskusje, liczne, pochwalne krytyki, entuzjazm – oba szczupłe zbiorki baśni budzą raczej sprzeciwy.

W piśmie „Dannora”, wychwalającym poetyckie zalety włoskiej powieści, pod adresem baśni same zarzuty: *Krzesiwo* zaprzecza wymogom tak gorliwie głoszonego przez Heiberga estetyzmu, *Księżniczka na ziarnku grochu* wydaje się mdła, nijaka, *Kwiatki małej Idy* nie wyrażają dość jasno niezbędnego przecież dla dzieci „morału”. Inny miesięcznik krytyczny ubolewa, iż autor, który zaprezentował niedawno znakomitą, poważną powieść, zaraz potem zabrał się do pisania błahych dziecinnych bajeczek. W salonach odradzają mu stanowczo dalsze tracenie czasu na takie głupstwa: do pisania baśni nie ma talentu, zresztą powinien przedtem przestudiować przynajmniej wzory francuskie i niemieckie. Edward Collin dokucza Andersenowi, że nieoczekiwanie zdzieciniał. Nawet Ingemann, który tak chwalił *Improwizatora*, w baśniach nie potrafi dostrzec żadnych wartości.

Andersen sam jeszcze z wahaniem odnosi się do tego nowego rodzaju swojej twórczości. Pisze do Chamisso:

„Kopenhaga, kwiecień 1835

Drogi Panie Profesorze!

Przesyłam panu oto mego włoskiego syna – *Improwizatora*, lecz umówi on po niemiecku, tak że rodzina pańska również zdoła go zrozumieć.

...Napisałem teraz także *Baśnie dla dzieci*, które właśnie znajdują się w drukarni. Mam wrażenie, że dość trafnie udało mi się oddać w nich element dziecięcości.

...Niechże mnie pan wkrótce uraduje listem, gdy przeczyta pan już moją książkę.

Zawsze z serca szczerze panu oddany

H. C. Andersen.”

A w dzień Nowego Roku pisze do Henrietty Hanck:

„Zaczynam obecnie pisać kilka baśni dla dzieci, bo trzeba pani wiedzieć, że zamierzam pozyskać sobie przyszłe pokolenia!”

I notuje w dzienniku:

„Örsted twierdzi, że jeśli *Improwizator* uczynił mnie sławnym, *Baśnie* moje przyniosą mi nieśmiertelność, ale w to, oczywiście, nie wierzę!”

Jeden Örsted... Wcale to zresztą nie przeszkadza Andersenowi w podjęciu ze zdwojoną gorliwością dalszej pracy.

7

Cały dzień pisałem. Język boli.” – brzmi w dziesięć lat później krótka notatka dziennika. Dotyczy dwóch spraw całkowicie różnych, a przecież, w nieoczekiwanym skrócie, znakomicie oddaje istotę nowego pisarstwa Andersena. On nie pisze – lecz przede wszystkim opo-

wiada na papierze prostymi, potocznymi słowami tak żywo, że czytelnik przekształca się natchmianem w słuchacza i widza:

„Był sobie raz...” „Pewnego razu...” – to klasyczne początki baśni. U Andersena – przeciwnie – od pierwszej chwili wkraczamy w sam środek akcji:

„Szedł sobie żołnierz drogą: raz, dwa! Raz, dwa! Na plecach miał tornister, a szablę u boku, bo właśnie wracał z wojny do domu.”

A jeśli nawet baśń zaczyna się w tradycyjny sposób, zaraz potem rozpoczyna się bezpośrednie odwołanie do słuchaczy: „Posłuchajmy, co się obu tym Klausom zdarzyło...” „Słuchaj!...” „Słuchajcie!...”

Nie darmo autor ich tak lubił czytać głośno: słyszał każde słowo, podobnie jak kompozytor słyszy dźwięki, nie sprawdzając ich nawet na instrumencie. A jeśli wydawało; mu się nie dość wyraziste i celne, mocował się z nim, szukał, wybierał tak długo, dopóki nie znalazł najodpowiedniejszego, które nie dawało się już zastąpić żadnym innym. Nie darmo w dzieciństwie tak lubił deklamować i śpiewać, a później tak uparcie ćwiczył w szkole baletowej przy drążku: jego słowa nacechowane są swoistym, im jedynie właściwym rytmem. Nie darmo też tak przepadał za kukiełkami i prawdziwym teatrem: postaci, całe zwroty jego opowieści poruszają się żywo, niczym lalki na scenie, kierowane ręką ukrytego za kulisami autora, który zresztą często filuternie wyziera zza kulis, dorzucając krótki komentarz, pełen typowo duńskiego „Lune” – humoru, pozornie tylko dobrodusznego, lecz w istocie pełnego ironii, złośliwości, nawet sarkazmu.

Młodzieńcza, wyłącznie emocjonalna jeszcze, wylewnie beztraska żywiołowość narracji, tak celnie przez Goethego określona „*Lust zum fabulieren*”, zostaje z biegiem lat zastąpiona coraz bardziej świadomą, poważną, żmudną pracą. To nie „improvizator”, nie ambitny dyletant, ufnie polegający na wszechpotężnej sile twórczego natchnienia. Triumfuje wprowadzając „naiwnością swoją nad zawilóściami sztuki”, kieruje się coraz bardziej „własnymi pomysłami”, lecz z każdym rokiem wyraźniej kształtuje swoją indywidualność twórczą, staje się pisarzem celowo i umiejętnie dokonującym wyboru.

Ileż lęków nękało go przez całe życie! Bał się nie tylko niewyrozumiałych krytyków i niezyczliwych ludzi. Od najmłodszych lat prześladowała go paniczna trwoga, że jak dziadek dostanie pomieszania zmysłów albo że u progu literackiej kariery w stolicy dosięgnie go nagle tajony dotąd wstydliwie cień nieślubnej siostry. Odważnie wdrapujący się na pokryte ledwo zastygłą lawą zbocza Wezuwiusza, on, jeden z najwybitniejszych podróżników swojej epoki, bał się psów (nawet małych!), bał się przeciągów i ognia (często w popłochu zawracał z ulicy, przekonany, że przed wyjściem zapomniał zgasić świecę w swoim pokoju), zabierał w drogę zwój grubej liny na wypadek pożaru w zajeździe, żeby móc wydostać się z położonej na piętrze izby. Lękał się morza: podróżując statkiem znosił za każdym razem istne tortury na myśl, że lada chwila kadłub statku gotów przełamać się wpół, nieustannie spodziewał się katastrofy. Bał się chorób: tak czato dręczącego bólu zębów, zatrucia (w obawie przed trychynamami nigdy nie jadał szynki!), malarii, częściej i groźnej w owych czasach epidemii cholery, pochowania żywcem w letargu. Wśród pozostałych po nim papierów zachowała się kartka, którą przed zaśnięciem umieścił kiedyś przy łóżku: „Zasnąłem. To nie letarg. Zaczekajcie z pogrzebem.” A gdy zaczęły kursować pierwsze pociągi, choć często i chętnie z nich korzystał, potrafił kilka godzin za wcześnie przyjeżdżać na dworzec, przerażony, że z pewnością się spóźni, a gdy już szczęśliwie znalazł się w wagonie, znowu go ogarniał strach, że na pewno wsiadł do niewłaściwego pociągu i jedzie w odwrotnym, niż zamierzał, kierunku.

Hipochondryk, psychastenik, mizantrop? Wiele uczonych nazw znała ówczesnie i wynalazła jeszcze później nauka dla określenia wszystkich tych, czasem śmiesznych, najczęściej niemiłych, wręcz nieznośnych cech natury neurastenicznej, labilnej, dualistycznej, rozszczepionej, nadmiernie wrażliwej. Ale ów dziwak, niezmiernie trudny w codziennym pożyciu,

spontanicznymi swymi reakcjami budzący zniecierpliwienie otaczających go statecznych ludzi, jednego nie lękał się nigdy. Nie lękał się pracy. Niebywałą jego pracowitość porównać można z pisarską pasją Balzaka. Przez długie dni i godziny z nieustępliwą wytrwałością szlifował szorstki, często oporny, niepodatny jeszcze surowiec rodzimej mowy. I zdołał wydobyć z niej nie znany dotąd blask, barwę i bogactwo.

Tom młodzieńczych wierszy z 1830 roku zakończony był ludową baśnią, zapamiętaną z Odense. W pierwszej, ówczesnej wersji obciążają ją jeszcze wszelkie cechy pretensjonalnego pseudoklasycyzmu:

UMARŁY

„...Pierwszej nocy ulokował się w stogu siana i spał tam, niczym księżę we wspaniałej swojej sypialnej komnacie... Księżyc wisiał na sklepieniu niebios niczym ogromna lampa ar-gandzka, płonąć nieporuszoną światłością. Jan spał, gdyż nie musiał drzeć już z lęku, że świeca w owym lichtarzu dopali się albo wywróci, podpalając błękitne sklepienie lub zwiewne zasłony z chmur nad jego głową, a nazajutrz zbudził go chór radosnych muzykantów...”

Pięć lat później powstała druga wersja:

TOWARZYSZ PODRÓŻY

„...Pierwszej nocy musiał położyć się w stogu siana, bo nie miał innego posłania. Ale to mu się podobało. Nawet sam król, myślał sobie, nie ma lepiej... Księżyc był wspaniałą nocną lampą, zawieszoną wysoko na błękitnym suficie, od takiej lampy nie zapalały się firanki; Jan mógł więc spać całkiem spokojnie, toteż spał, a kiedy się obudził, słońce stało już wysoko na niebie, a wszystkie ptaki dookoła śpiewały: «Dzień dobry, dzień dobry! Nie wstałeś jeszcze?»»

Wydane osobno w 1838 roku *Kalosze szczęścia*, będące swoistą odmianą *Pieszego podróży do Amager*, opowieść innego już rodzaju, w którym z czasem celować zaczął autor *Baśni*, gdzie fantazja łatwo, niemal niepostrzeżenie łączy się z realnym życiem, początkowo zaczynały się także inaczej

„Do jednego z domów w pobliżu Kongens Nytorv sproszono gości, licznych gości, żeby, jak to czyni wielu, otrzymać w zamian abonamentowe bilety, zapraszające do innych.”

A potem:

„W Kopenhadze, w jednym z domów przy Östergade, niedaleko centralnego placu Kongens Nytorv, odbywało się wielkie przyjęcie. Przyjęcia takie należy wydawać co pewien czas, żeby pozbyć się tego obowiązku i być w zamian także zapraszonym przez innych.”

Niezapomniane zakończenie *Nowych szat cesarza* zostało, jak na ogół wiadomo, zmienione ostatecznie przez autora dopiero w korekcie. Początkowo baśń ta (motyw dwóch krawców szyjących „niewidzialne” szaty został zresztą zaczerpnięty z jakiejś hiszpańskiej bajki – lecz kogóż to dzisiaj jeszcze może obchodzić prócz skrupulatnych historyków literatury?), kończyła się błado i konwencjonalnie:

„Tę szatę muszę doprawdy wkładać zawsze, ilekroć będę szedł w procesji lub występował w zgromadzeniu ludowym – powiedział cesarz i całe miasto mówiło o jego wspaniałych, nowych szatach.”

I ostry kontrast definitywnej wersji:

„Patrzcie, przecież on jest nagi! – zawołało jakieś małe dziecko.

– Boże, słuchajcie głosu niewiniątka – powiedział wtedy jego ojciec i w tłumie jeden zaczął szeptem powtarzać drugiemu to, co powiedziało dziecko.

– On jest nagi, małe dziecko powiedziało, że jest nagi !

– On jest nagi! – zawołał w końcu cały lud. Cesarz się zmieszał, ponieważ wydawało mu się, że jego poddani mają słuszność, ale pomyślał: «Muszę wytrzymać do końca procesji.» I wyprostował się jeszcze dumniej, a dworzanie szli za nim, niosąc tren, którego wcale nie było.”

Z odnalezionego nie tak dawno rękopisu *Opowieści o matce* (powstałej w 1848 roku) wynika, że Andersen pierwotnie zakończył ją pocieszającym happy–endem, najwyraźniej przeznaczonym dla dzieci:

„I głowa opadła jej na piersi. A wówczas ustami dotknęła warg dziecka, leżącego na jej kolanach i pogrążonego w głębokim śnie. Słońce padało na jego policzki, tak że wydawały się rumiane, a matka rozejrzawszy się, spostrzegła, że znajdują się oboje w ich małej izdebce; skowronek w klatce wyśpiewał, jakby czuł, że wnet nadejdzie wiosna, a śmierci w izbie nie było. Matka złożyła ręce, pomyślała o cieplarni śmierci, o przyszłości swojego dziecka i potworzyła znowu: «Niech się dzieje wola boża»”

Cały ten idylliczny obrazek został w następnej wersji skreślony. Zamiast niego poeta dał jedno tylko końcowe zdanie:

„A śmierć z jej dziecięciem w ramionach odeszła do nieznannej krainy.”

Okres wyczerpanej pracy nad baśniami przypada na czas, gdy Andersen nie tylko musiał znosić obojętność lub ataki krytyków i borykać się z powszednimi kłopotami, lecz pisał jeszcze wiele prac innego rodzaju: wierszy, dramatów, powieści. Różne rodzaje literackiej twórczości uprawia zresztą niemal przez całe życie. A w ciągu następnych ośmiu lat, mimo trafnej od początku oceny Örsteda, traktuje, na równi ze swymi współczesnymi, pisanie baśni jako raczej marginesowe zajęcie.

W 1836 roku, zachęcony powodzeniem *Improwizatora*, pisze następną powieść, o tytule złożonym tylko z inicjałów: *O. Z.* Tytuł ów jest dwuznaczny: zawiera zarówno początkowe litery imienia i nazwiska głównego bohatera, Ottona Zorstrup, jak i skrótową nazwę więzienia w Odense, którego cień tajemniczo pada na tę postać. Podobnie jak *Improwizator* jest to pomieść „z kluczem”. (O *Improwizatorze* pisał autor: „Każda postać jest wzięta z życia, k a z d a; żadna nie została wymyślona, znam i znałem je wszystkie” – nawet niewidoma dziewczyna, którą spotkał w Paesturn, posłużyła mu za model). Zorstrup – to znów sam Andersen (którego myśli krążą także z niepokojem wokół losów siostry, zaginionej bez śladu), baron Wilhelm – to Edward Collin. Akcja tym razem została przeniesiona do Danii: do Kopenhagi, Slagelse, Odense, arystokratycznych dóbr na południu Fionii, i zawiera również znakomicie podpatrzone sceny z życia stołecznych mętów lumpenproletariackich. („Obraz ulicznego błota kopenhaskiego, ukazany w mydlanej bańce” – jak to określił autor w jednym ze swoich listów.) Jakże nie wierzyć w mściwość złych mocy? Zaledwie kilka lat później, w 1842 roku, notuje Andersen, z niepokojem w dzienniku:

„Siedziałem w klubie, źle czułem się w teatrze, pełen głębokiej melancholii; przyszedłszy do domu zastałem list od córki mojej matki; przeżyłem oto wszystko, co opisałem w *O. Z.* Gorączkowałem; noc była okropna. Zmysłowość i rozpacz opanowały wszystkie moje myśli.”

Lęk, lęk przed widmami, upiorami dzieciństwa, od których uciekał jak najdalej, o których ani jednym słowem nie wspominał w późniejszych, coraz pogodniej stylizowanych relacjach i

autobiografiach. Lęk przecież w zasadzie nie usprawiedliwiony. Przyrodnia siostra, choć żyła w nędzy z przygodnym jakimś towarzyszem niedoli, który zresztą później ją porzucił, zarabiała na życie praniem i jak ustalili późniejsi badacze, nie stoczyła się na żadne „manowce”, czego tak bardzo obawiał się Andersen. Nie pozostało także więcej dowodów na to, że usiłowała później jeszcze domagać się od niego wsparcia lub pomocy.

W 1837 roku powstaje kolejna powieść o ironicznym tytule: *Tylko grajek*, znowu wymierzonym w niełaskawych krytyków – inny wariant literacko przemienionej autobiografii. Lecz oba utwory są już znacznie od *Improwizatora* słabsze i wyraźnie nacechowane znamionami wielkiego pośpiechu, w jakim wyrastały pod piórem autora.

Epikiem, twórcą powieści psychologicznych nie stanie się Andersen nigdy. Im bardziej drobiazgowo usiłuje opisać swoich bohaterów, im skrupulatniej wdaje się w szczegóły i detale, tym gorzej na tym wychodzi. Zatraca wątki, gubi się w nadmiarze nagromadzonych materiałów, grzęźnie w psychologicznych zawiłościach, mąci jasny pierwotnie zarys kompozycji, niecierpliwi, nuży i nudzi samego siebie i wszystkich swych czytelników. Nie potrafi już z najpierwszą, niepowtarzalną świeżością ukazać własnych przedziwnych losów – tematu, który urzekł go od najmłodszych lat.

Krytycy, po sukcesach *Improwizatora*, mimo to życzliwie przyjmują i następne pozycje. Autorowi tego tylko trzeba: w przyjaznej atmosferze natychmiast lżej oddycha i z nową energią przystępuje do roboty. W tym samym roku powstaje jeszcze dramat – wspomnienie o Riborg: *Spotkania i rozstania*. Ambicje Andersena znów wybujały niepomiernie. Najpierw w liście do Henrietty Hanek, a później już przy wszelkich innych okazjach wyjawia je szczerze: zamierza zostać najlepszym duńskim powieściopisarzem. – Skromny jak zwykle! – szydzi grono młodych Collinów.

Ale Chamisso przesyła słowa serdecznej zachęty:

„5 sierpnia 1838

Niezmiernie ucieszył pan zmęczonego, starego człowieka swoją powieścią *Tyko grajek*. ...Oto znowu pełna, cudowna i wspaniała poezja lat dzieciennych niezrównana. Nikt tu nie zdoła pana naśladować w tych naszych zheglizowanych, okropnych czasach. W Niemczech należy pan z pewnością do najbardziej lubianych pisarzy.”

Dowody popularności rosną tymczasem i w kraju. Twórcę *Improwizatora* zaczynają pozdrawiać nawet nieznajomi na ulicach i w sklepach. Może już sobie pozwolić na to, żeby go czesał fryzjer, może nareszcie ubrać się dobrze, wygodnie i – modnie. Nosi teraz płaszcz z aksamitną podszewką, niebywale szerokie pantalone, i z radością opisuje Henriecie Hanck tę swoją wreszcie rozpogodzoną egzystencję:

„Żadna zima nie minęła mi jeszcze tak spokojnie i szczęśliwie jak ta [1836]. *Improwizator* pozyskał mi szacunek ludzi najlepszych, najszlachetniejszych, a nawet pospolity tłum większy respekt mi okazuje; nie znam już też, dzięki Bogu, trosk o żywność, a ostatnio mogłem doprawdy przyjemnie ułożyć sobie życie. Wydawcy gazet przesyłają mi pisma, Reitzel książki i kopiersztychy; siedzę sobie w szlafroku i kolorowych pantoflach, nogi podciągnawszy na sofę, żelazny piecyk mruczy, maszynka syczy na stole... Wspominam w takich chwilach biednego chłopca, który w drewnianych chodakach biegał po Odense, a wtedy serce we mnie mięknie i błogosławię dobrotliwego Boga.”

Sielanka, iście biedermeierowski obrazek. Gdzież „ciemne, brzydkie poddasze”, na którym muzy przesiadują przy artyście? Ale mimo tak pastelowych barw, mimo licznych przekładów dla teatru, mimo oszczędnej gospodarki znów grożą troski materialne. Niechętnie, z wyraźnym skrępowaniem wyjawia je staremu Collinowi:

„Tyle spraw ciąży mi na sercu, smuci głęboko, muszę panu o nich opowiedzieć, ale ustnie zrobić tego nie potrafię!... Jestem biedny i odczuwam moje ubóstwo bardziej niż najędzniejszy żebrak, gnębi ono mój umysł, odwagę mi odbiera.”

Zwierzenia utrzymane w tym tonie zajmują kilka sporych stron. Collin odpowiada krótko: „Niechże pan będzie dziś wieczór dobrej myśli i zaśnie spokojnie. Jutro porozmawiamy i wspólnie zastanowimy się nad znalezieniem pomocy. Pański C.”

Stary radca i tym razem pospieszył z finansowym wsparciem. Pozornie oschły i szorstki, znacznie lepiej niż młody Edward rozumiał wrażliwą naturę poety, z biegiem lat odczuwał też zapewne podziw dla jego upartej ambicji, pracowitości i – talentu. Umiał ponadto trzeźwo kalkulować i obecnie dobrze już wiedział, że – mówiąc słowami Andersena – pomóc warto: „To się wróci!”

Sören Kierkegaard w 1837 roku zerwał stosunki z ojcowskim domem. Dwa lata przedtem już w dwudziestą drugą rocznicę swych urodzin, przeżył straszliwy wstrząs. Nienaruszalny dotąd ojcowski autorytet runął. Kierkegaard dowiedział się, że ojciec jego jest grzesznikiem, bluźniercą, skazanym na wieczne potępienie i pokutę. Przed trzema laty kara boska spełniła się zaledwie w połowie: po ciężkiej, długiej chorobie zmarła żona Michała Kierkegarda, a z siedmiorga dzieci pozostało przy życiu zaledwie dwóch synów: najstarszy i najmłodszy. Ale i ów pierworodny, Piotr Chrystian, gdy później zostanie duchownym, okaże się tak bliski choroby umysłowej, że – rzecz niespotykana! – zrzeknie się biskupstwa, uroiwszy sobie, że popełnił niewybaczalny grzech przeciwko Duchowi Świętemu. Jego z kolei syn, zamknięty niebawem w zakładzie dla obłąkanych, zwięźle określił rodzinną sytuację: „Mój stryj to Albo – albo, mój ojciec I tak i owak, a ja jestem Ni to – ni sio.” Inny bratanek Syrena Kierkegarda po licznych atakach nerwowych popełnia w końcu samobójstwo. Upiorna, niesamowita atmosfera panuje w pięknym domu przy kopenhaskim ratuszu.

Siły własnego umysłu ratują najmłodszego z synów przed zatraceniem się także w mroczkach chorobliwej melancholii. Z domu się wyprowadza. Wynajmuje pokój na mieście, stołuje się w gospodzie. W jednym z jej zacisznych, głębiej położonych pokoików zbiera się młodzież na długie, zapalczywe dyskusje. Hertz w jednej ze swoich powieści opisał później wszystkich członków owego klubu, pod zmienionymi wprowadzicie nazwiskami. I Kierkegaard ukazywał potem niektórych z nich w swoich dziełach. Lecz tymczasem nic jeszcze nie publikuje. Wykłada łacinę w wyższych klasach szkoły, do której sam niegdyś uczęszczał – pragnie finansowo uniezależnić się od ojca, który jednak przyznaje mu dość wysoką pensję, a ponadto bez słowa protestu sypła spore należności u krawców, fryzjerów, restauratorów (filozof egzystencjalista lubił wcale dobrze zjeść i wypić) i – księgarzy. A Kierkegaard nadal spędza przedpołudnia na ulubionych wędrówkach po ulicach Kopenhagi, wieczory w teatrze, salonie Heibergów – gdzie zawsze jest mile widzianym, wysoko cenionym gościem – lub innym albo zagląda do klubu, gdzie zjadliwie dokuczają swym współtowarzyszom. „Łagodny olbrzym” Andersen najczęściej wysłuchiwać musi uszczypliwych uwag, wygłaszanych skrzeczącym, zawsze jakby z lekka schrypniętym głosem Sörena. Nic dziwnego, że nie czują do siebie szczególnej sympatii. Pozostali członkowie klubu także zresztą podziwiają świetną inteligencję i niezwykłą erudycję Kierkegarda, ale sarkastycznych jego dowcipów boją się jak ognia. W 1837 roku wychodzi trzeci zeszyt *Baśni opowiedzianych dla dzieci: Mała syrena i Nowe szaty cesarza*. Andersen, rozgoryczony dotychczasową obojętnością krytyków i publiczności, opatruje ów zbiorek przedmową, w której grozi, że jeśli te nowe utwory spotkają się z równie chłodnym przyjęciem – przestanie je pisać w ogóle. W odpowiedzi jeden tylko recenzent „Kopenhaskiej Poczty” zdawkowo pochwalił *Calineczkę i Małą syrenę*, ani słowem nie wspominając o *Nowych szatach cesarza*, i pouczył jednocześnie autora, że oburza się niesłusznie: trudno wymaga od poważnych, dorosłych ludzi, żeby interesowali się dziecinny bajeczkami!

Z pomocą przychodzi żywe słowo. Aktor Fister odczytuje *Nowe szaty* ze sceny Królewskiego Teatru.

Baśń robi natychmiast furorę w całym mieście. I na przekór opinii dostojnego recenzenta skromne zbiorki zaczynają stopniowo cieszyć się coraz większym powodzeniem, także za granicą, zwłaszcza w Niemczech, gdzie dwa lata później pojawi się już pierwsze wydanie *Baśni*.

„Niektórzy z rodaków moich sądzą – pisał w swych *Stadiach* Kierkegaard – że być pisarzem w Danii to skąpy jedynie kawałek chleba... No, cóż – kraj nasz jest małym krajem. Lecz czyż w Grecji poślednią rzeczą było należenie do rady, chociaż musiało się nawet dokładać na ten cel pieniędzy? Załóżmy, że tak by właśnie było, założmy, że tak by pozostało i że taki w końcu byłby los pisarza w Danii, iż musiałby rocznie płacić pewną sumę za trud istnienia jako duński pisarz. No, dobrze: a jakżeby się to przedstawiało, gdyby ludzie za granicą mogli powiedzieć: «W Danii kosztowna to jednak sprawa być pisarzem, dlatego też jest ich tam nie-słychanie mało; ale dzięki temu nie posiadają również wcale tego, co my, cudzoziemcy, nazywamy grafomanią. Jest to zjawisko tak dalece nie znane na duńskiej ziemi, że w mowie ich nie ma nawet wyrażenia na jego określenie.»”

Andersen – inaczej. W przedmowie do trzeciego zbiorku baśni wyjawia otwarcie:

„W małym kraju pisarz jest zawsze człowiekiem ubogim: dlatego sława jest tym złotym ptakiem, o którego schwytanie powinien szczególnie się starać. Okaże się, czy go schwytam, opowiadając baśnie.”

Wkrótce potem wyjeżdża po raz pierwszy do Szwecji. Kraj ten, mimo bliskiego sąsiedztwa, nie był dobrze znany ani szczególnie bliski Duńczykom: z dawnych epok i krwawych zatargów przetrwało u obu narodów „coś w rodzaju dziedzicznej nieufności”. Nie znano też prawie wówczas w Danii szwedzkiej literatury. Andersen, już na pokładzie parowca, którym wyruszył („...w podróży mam zawsze szczęście – pisał i przeważnie spełniają się wówczas wszystkie moje pragnienia”), spotkał wybitną szwedzką powieściopisarkę, Fryderykę Bremer, którą od dawna pragnął poznać. Zaprzyjaźnili się, korespondowali odtąd przez całe lata. Örsted dał mu ponadto list do znakomitego chemika, Berzeliusa, odkrywcy selenu i toru, zamieszkałego w Upsali.

Pod wpływem tej podróży powstała *Pieśń skandynawska*, sławiąca kolejno każdy z narodów Północy. Niepoprawni kpiarze kopenhascy powtarzali wprawdzie: „Zaraz widać, jak dodatnio wpłynęli na niego Szwedzi!” Ale pieśń śpiewano później często w Towarzystwie Skandynawskim, które niebawem powstało w duńskiej stolicy, sąsiedzkie stosunki stawały się z czasem coraz lepsze, uprzedzenia zanikały.

Zagranicznym znajomym i przyjaciółom znacznie łatwiej zresztą ocenić zarówno osobę, jak i twórczość Andersena. W podróży, zawsze spragniony nowych wrażeń, nieustannie ciekaw ludzi i świata, jest na ogół w doskonałym nastroju, ożywiony i pełen werwy. Dzienniki, notatniki, listy pęcznią w tych okresach od znakomicie podpatrzonych scenek, anegdot, humorystycznych uwag, dowcipnych obserwacji. Szwedzi, mile przyjmujący duńskiego przybysza, „nakładają niedzielne miny”.

Niebywałą szybkość komunikacji kolejowej ilustruje rozmowa Andersena ze współpasażerem, który, wyglądając przez okno, stwierdza: „Wjechaliśmy teraz do księstwa Köthen”, sięga po tabakierę, częstuje również Andersena, a gdy obaj solennie kichnęli, na pytanie: „Jak długo będziemy jechać przez Köthen?”, odpowiada tonem światowca: „O, wyjechaliśmy stamtąd już wówczas, gdy pan kichał!”

Natomiast po powrocie do Kopenhagi natychmiast ogarnia Andersena znowu melancholia, smutek, przygnębienie. Na każdej stronie dziennika powtarzają się wówczas notatki: „słaby”, „rozdrażniony”, „podniecony”, „z gorączką”, „z zawrotami głowy”, sąsiadujące nieraz z patetycznymi inwektywami z pewnością w nie zamierzonym, komicznym kontraście:

„Wstałem o pół do dziesiątej, wspaniałe słońce, spraw Panie, aby jego promienie rozjaśniły także i moją duszę, chrześcijańskiemu światu na pożytek i Bogu na chwałę! (Stolec miałem dość rzadki.)”

Lecz obcy, mimo że mogą ich śmieszyć lub niecierpliwie dziwić „tyczkowatego Duńczyka”, jego przesadny patos, egocentryzm, naiwność, chępliwość, snobizm, znacznie trafniej od rodaków potrafią ocenić także istniejące obok wszystkich tych wad zalety: prostotę, bezpośredniość, bogactwo wyobraźni, niezwykłą wrażliwość, piękno poetyckiego języka. Za granicę ponadto docierają przeważnie tylko najlepsze prace Andersena: cenione przez współczesnych powieści, świetne szkice z podróży, wiersze, a przede wszystkim baśnie.

Rodzima krytyka, zmuszona do oceny całego, bardzo nierównego pisarskiego jego dorobku – zwłaszcza dramatów, niemal zupełnie nie znanych poza Danią – ma zadanie nierównie trudniejsze. Konflikty się mnożą, nieporozumienia rosną. Zmęczony tymi nieustannymi scysjami Edward Collin pisze otwarcie w jednym z listów:

„Doskonale potrafi się pan porozumieć z Danią, a porozumienie to byłoby jeszcze o wiele lepsze, gdyby w Danii nie było teatru: *hinc illae lacrimae!* Ten przeklęty teatr! Czyż to cała Dania, a p a n czyż nie jest czymś więcej niż tylko autorem teatralnym?”

Przeszło trzydzieści prac napisał Andersen dla duńskiej sceny – niestety, niemal zawsze ze znikomym rezultatem. *Spotkania i rozstania*, w których także pokładał mnóstwo nadziei – grano zaledwie trzy razy. *Hinc illae lacrimae...*

Surowy Kierkegaard znieść już nie może tych nieustannych biadań wydelikaczonego „dziecka szczęścia”. Debiutuje w 1838 rolą malutkiej książeczki, o pozornie niewinnym tytule: *Z papierów człowieka jeszcze żyjącego – wydał wbrew jego woli S. Kierkegaard; o Andersenie jako powieściopisarzu, ze stałym uwzględnieniem ostatniej jego książki: „Tylko grajak”*. Ale mistyfikacja ta, jak i późniejsze – Kierkegaard od tej chwili aż do 1846 roku wydaje swoje dzieła pod najróżniejszymi pseudonimami: Wiktor Eremita, Johannes de Silentio, Quidam, Johannes Climacus, Anticlimacus, Frater Taciturnus – nie zwodzi nikogo. Rozprawka zawiera druzgocącą krytykę Andersenowskiej powieści, a ponadto napisana jest stylem tak trudnym i na heglowską modłę zawiliwym, że cała Kopenhaga, zaśmiewając się po cichu z tego najmniej spodziewanego ataku, głośno dowodzi, że przeczytać tę pracę od początku do końca zdołało dwóch tylko ludzi: Andersen – i sam autor.

Zasadnicza teza krytyki wyłożona jest jednak jasno, w sposób zrozumiały dla wszystkich. Kierkegaard to również wielki samotnik, ale samotnik z wyboru, pełen intelektualnej pasji, wnikliwej dociekliwości, spragniony raczej palmy męczeńskiej niż doczesnej sławy i pokłasku tłumów. Za pięć lat stolica Danii dozna zresztą i z jego powodu nie lada szoku: elegancki perypatetyk nie tylko zacznie pić, hulać, zaciągać długi, wyprawiać awantury i karygodnie zaniedbywać swój, nienaganny dotąd, wygląd, ale po dwóch miesiącach, bez żadnej wyraźnej przyczyny zerwie nagle swe zaręczyny z młodziutką Reginą Olsen, po czym na pół roku prawie ucieknie do Berlina, pisząc tam lwią część pierwszego i dla całej, przyszłej jego twórczości niezmiernie doniosłego dzieła: *Albo – albo*. Osobliwy ów tytuł jest jednocześnie wyznaniem przekonań autora, odnotowanym przez niego w tym właśnie okresie w dzienniku: „A l b o oddać się dzikim uciechom – a l b o absolutnej religijności.”

Nic dziwnego, że bezkompromisowy filozof ani rusz nie może się pogodzić ze łzawo-filantropijną tezą powieści o losach utalentowanego Chrystiana (!), syna ubogiego krawca („W pewnym bardzo bogatym, wielkim mieście chińskim... żył krawiec... bardzo ubogi”, brzmi początek baśni *Z 1001 nocy* o Aladynie z czarodziejską lampą...) z południowej Fionii, który jedynie dlatego nie został wielkim i sławnym muzykiem, ponieważ społeczeństwo nie pospieszyło mu z pomocą. Andersen pisze: „Geniusz to jajko, wymagające ciepła i zapłodnienia przez szczęście, inaczej staje się zbukiem.”

Kierkegaard odpowiada z pasją: „Geniusz jest jak poryw burzy, który oprze się wszelkim wichrom, jak pożar, który powiem wiatru jedynie w jeszcze gwałtowniejszy płomień się zamienia!” A szczęście? Cóż szczęście – gorzko rozważa filozof, przeświadczony, że ludzie wiecznie poszukują prawdy i właściwej życiowej drogi. Na kartach dziennika, który był jedynym w istocie powiernikiem najtajniejszych jego przeżyć i myśli, zanotował w owym roku krótki wierszyk, jedyny chyba, jaki w całym swym życiu napisał: ilustrację własnej tezy, że zarówno religia chrześcijańska, jak i filozofia są martwe, niczym mięt sobie wzajemnie nie zagrażają:

Pewien trup spotyka w parku
Trupa, co łopatę dźwiga,
Sam już grabie niósł na barkach:
Któryż z nich ma pierwszy zmykać?

Życie „estetyczne” nieuchronnie prowadzi do zguby. Lecz życie etyczne również do szczętnie już wyjaławiło. Pozostaje jedynie droga odnowy religijnej. Gruntownej, rzetelnej, całkowitej. Bo w jakież inny sposób zdoła człowiek przez okres krótkiego swego istnienia zrealizować zadania wieczne i wyrazić wielokształtność bytu, jeśli nie będzie poszukiwać prawdy z pełnym zaangażowaniem całej swojej osobowości?

Przy innej już okazji dosadnie i lapidarnie określa Kierkegaard zasadniczą różnicę pomiędzy autorem *Baśni* i sobą: „Widzicie, Andersen potrafi ułożyć baśń o kaloszach szczęścia, ale ja umiem opowiedzieć bajkę o butach, które cisną.” Trudno o lepsze sformułowanie. Lecz nie dość na tym. Nie licząc się z mimozowatą naturą swojego przeciwnika, Kierkegaard nazywa go jeszcze wzdorliwie „jęczyduszą”. O, tego już za wiele! W dniu ukazania się złośliwej broszury dziennik Andersena wyjawia:

„Irytujący list od Wulffa i zaraz potem krytyka Kierkegarda. Edward dał mi proszek uspokajający.”

Krótkotrwałą ulgę przyniósł proszek zbolalej autorskiej duszy. I chociaż Andersen tym razem nie zasiadł do pisania pełnego gniewu i żółci listu, podobnego do litanii wymówek, jaką z Rzymu, po konfliktach z racji *Agnete* przesłał młodemu Collinowi, zemścić postanawia się także i w tym wypadku. Tylko inaczej: tak, żeby publiczność, zabawiająca się obecnie jego kosztem, również zdołała się przekonać o celności jego repliki.

Pociechę znacznie skuteczniejszą okazała się inna wiadomość. Fryderyk VI przyznał mu niewielką roczną pensję. Zły nastrój pierzcha w mig. I Andersen z radością donosi Ingemanowi:

„Kopenhaga, 5 czerwca 1838

Byłem wczoraj u króla, żeby mu podziękować: przyznał mi dwieście talarów rocznie. Mam więc już teraz wreszcie małe chlebowe drzewko w moim poetyckim ogrodzie i nie muszę wyśpiewywać pod czyimi bądź drzwiami, żeby zdobyć okruszynę chleba...”

Spotyka go jeszcze innego rodzaju satysfakcja: „Spotkałem w Kopenhadze Meislinga – notuje. – Przepraszająco uściśnął mi rękę, mówiąc z żalem i życzliwością, że dawniej mylił się w ocenie mojej osoby i nieodpowiednio mnie traktował. Były to miłe słowa zgody...” Cóż, kiedy koszmar szkolnych lat przekształcił się już w trwały uraz: powraca po nocach, zakłóca sen, prześladować będzie tak srogo traktowanego niegdyś ucznia aż po ostatnie lata życia.

Pojawiają się następne zbiorki *Baśni opowiedzianych dla dzieci* – wśród nich *Dzielny ołowiany żołnierz*, *Dzikie łabędzie*, *Latający kufer*, *Bociany*. I ciągle jeszcze żywe pokrewieństwo z fantastyką hoffmannowską przejawiają powstałe również w tym czasie opowieści wędrującego po niebie i w różne kąty świata zagląającego księżycy: *Obrazkowa książka bez obrazków*, która największą poczytnością cieszy się... w pięknie ilustrowanych wydaniach.

Andersen przystępuje tymczasem do pracy nad nowym dramatem. Temat zaczerpnął ze współczesnej nowelki francuskiej pisarki madame Reybaud: *Les épaves*. Rymowanym wierszem opowiada o smutnych losach Mulata – pariasa, który w końcu zdobywa jednak wolność, szczęście i rękę białej dziewczyny. Słowem, znowu – tym razem w egzotycznej –oprawie – powtarza Aladynowski mit i własne dzieje.

Lecz z teatrem, jak zwykle, są kłopoty. Molbech, pełniący również funkcje cenzora teatralnego, bezapelacyjnie odrzuca sztukę: wiersz wydaje mu się banalny, a całość pozbawiona jakiegokolwiek idei. I Heiberg długo stawia opór. Gdy wreszcie, po żmudnych pertraktacjach, postanawiają jednak *Mulata* wystawić, Hanna Luiza raczy wprawdzie przyjąć główną rolę, ale marszczy przy tym wzgardliwie swój zgrabny nosek: mówcie sobie, co chcecie – to nie jest autor dramatyczny!

11 sierpnia 1838 roku – wiadomość smutna: po długiej chorobie płuc umiera wierny przyjaciel Chamisso.

17 września 1838 roku – wiadomość radosna: po wieloletniej nieobecności powraca do kraju Bertel Thorvaldsen. Dzień jest deszczowy, mglisty. Mimo to cała Kopenhaga wyległa do portu. Owacje, delegacje, kwiaty, gęsto stłoczona ciżba wznosząca okrzyki. Potem – uroczyste akademie, pamiątkowa księga pełna okolicznościowych poematów (najnudniejszy i najdłuższy Oehlenschlägera. Andersen także wziął udział w tym zbiorowym hołdzie, porównując Thorvaldsena w dość konwencjonalnym wierszu do Jazona, który w zwycięskiej wyprawie zdobył złote runo Sztuki), karykatury w pismach: wizerunki „boskiego” Bertela, który przybył do Danii wraz z całym swoim potężnym dorobkiem – przewóz posągów, na specjalnym statku, trwał wiele tygodni – i ozdobnej barki w stylu „pompejańskim”; w której wypłynęli na spotkanie Thorvaldsena pisarze duńscy. Chuda, wielka sylweta i przesadnie wyolbrzymiony nos Andersena górują nad wszystkimi.

Ekscentryczna i energiczna baronowa Stampe zaraz zagarnia Thorvaldesena do swego uroczego majątku Nysø w południowej Zelandii. W domku nad stawem urządza mu pracownię, otacza go najtroskliwszą, choć mocno egzaltowaną opieką. Wśród arystokracji duńskiej coraz modniejsze staje się obecnie zapraszanie artystów pod swój dach. Andersen również często bywa w Nysø. Po rozgłosie, jaki przyniósł *Improwizator*, nie brak mu zaproszeń i do innych dóbr. Wykorzystuje je skwapliwie. Nie tylko przez snobizm. Snobizm ów jest zresztą obustronny: hrabiowie, baronowie, książęta podejmują go wspaniale, wożą na przejażdżki, podsuwają ulubione potrawy. Cieszy się z tego jak dziecko. Śpi w pałacowej wieży „w najbardziej interesującym pokoju, na szerokim, staroświeckim łożu z czerwonym adamaszkowym baldachimem i długimi firankami”, gdzie podobno straszy („ale dotychczas nie widziałem jeszcze żadnego ducha, choć uważałem pilnie, zwłaszcza pierwszej nocy”). Odpoczywa, grzeje się w tej atmosferze dobrobytu, uznania i jakże mu zawsze miłych komplementów. Wpada natychmiast we wspaniały humor: żartuje, płata figle.

„Korytarz wiodący do mojego pokoju obwieszony był portretami sztywnych arystokratów: wszystkie wydawały się już nieco zapleśniałe. Przedwczoraj wpadłem na pomysł obmycia wilgotną ścierką tylko oczu każdego z nich. Pojęcia nawet nie macie, jak zaczęli nagle wytrzeszczać ślepie! Jedna z pańienek, która niespodziewanie wzrok ku nim podniosła, porządnie się przestraszyła!”

Jeździ na Fionię do Lykkesholm, do Glorup, odwiedza na Zelandii Nysø i Bregentved, a w późniejszych latach bywa też częstym gościem w Basnäs i Holsteinborgu, którego właścicielka, hrabina Mimi Holstein (znał ją jeszcze jako małą dziewczynkę, córkę admirała Zahrtmanna), staje się z czasem równie entuzjastyczną jego opiekunką, jak baronowa Stampe dla Thorvaldsena.

Lecz oprócz chwil wytchnienia i znakomitych warunków do pracy właśnie tam, na wsi, znajduje zawsze grono chętnych słuchaczy, którzy tylko czekają na to, żeby zechciał im „tro-

chę głośno poczytać”. Nie zna większej przyjemności. W ciche wiejskie przedpołudnia i długie wieczory przeprowadza przed tym audytorium generalne „mówione” próby swoich baśni. Bo stosunek jego do słowa bynajmniej nie jest estetyczny, jak tego żąda Heiberg z gromadą swoich zwolenników; przeciwnie, na wskroś materialny. Ten urodzony opowiadacz działa nie asocjacjami, lecz samą słowną substancją, szczególnie dla niego żywą.

Edward Collin wspomina: „...Potrafił ożywić nawet najbardziej suche zdanie; nie mówił: «Dzieci usiadły na wóz i pojechały», tylko: «Wsiadły potem na wóz – Do widzenia, tato! Do widzenia, mamó! – Rozlegało się trzaśnięcie z bata: trach, trach, i aniś się obejrzał, a już ich nie było.» Ci, którzy później słyszeli go czytającego baśnie, także z trudem tylko potrafili wyobrazić sobie żywy nurt tych opowieści... Nie myślał wówczas jeszcze wprawdzie o wykorzystaniu ich inaczej niż tylko dla zabawy... lecz jeśliby miano je drukować, musiałyby oddawać jego sposób mówienia, jakakolwiek inna forma byłaby nie do przyjęcia. Wcale zresztą nie chciał, żeby dzieci same je czytały, tylko żeby dorośli odczytywali je im głośno lub opowiadali własnymi słowami, zachowując, o ile możliwości, Andersenowski tok narracji.”

Na początku jest więc słowo. Tak powszednie, dobrze znane, niemal zgrzebne, że wydaje się prawie nieprzydatne dla innego celu oprócz potocznej relacji. Słowo żywe. Gdzie i jak je znaleźć najłatwiej, pisał później w swoich *Studiach na drodze ludzkiego żywota* Sören Kierkegaard: „...nie u specjalnego nauczyciela, lecz mimochodem, u pierwszego lepszego człowieka, u nieznajomego, z którym nawiążemy rozmowę, u byle kogo, z kim zetknie nas przypadek. I to, czego próżno poszukujemy w książkach, nagle staje się jasne, jakby oświetlone błyskawicą, gdy posłyszemy służącą, która plotkuje z inną; wyrażenie, w którego poszukiwaniu dręczyliśmy daremnie własny mózg, które na próżno staraliśmy się znaleźć w słownikach, którego nawet w Słowniku Akademii Nauk nie sposób było wyszperać – słyszymy na spacerze – użył go prosty żołnierz – nie mając bynajmniej pojęcia, jak wielkim jest bogaczem. I podobnie jak ktoś, kto spacerując po wielkim lesie i podziwiając wszystko dokoła tu zerwie gałązkę, ówdzie liść, a niekiedy schyli się nawet, żeby podnieść kwiat czy drobny listek, po czym z kolei ducha ptasiego śpiewu – i my przechodzimy pośród rzeszy ludzkiej, zdumieni cudownym darem mowy, podchwytyjąc od któregośkolwiek z przechodniów to jedno, to drugie wyrażenie i nie będąc na tyle niewdzięczni, żeby zapomnieć, komu je zawdzięczamy.”

Mimo wszelkie istotne różnice: wieku (Kierkegaard był osiem lat młodszy od Andersena), temperamentu, usposobienia i celów życiowych, ci dwaj zajadli antagoniści uzupełniali się niekiedy doskonale.

Słowa Andersenowskich opowieści zaczynają zresztą z czasem odbiegać również od tradycyjnych, pierwotnych schematów. Bohaterowie klasycznych baśni wyruszają zazwyczaj na podbój królestwa, ręki pięknej księżniczki, skarbów, docierają na mgliste i nieokreślone „krańce świata”. Ileż bardziej konkretne w swojej wymowie są obrazy, kształtujące się ze słownej substancji u Andersena. Żołnierz w *Krzesiwie* mógł za znalezione w czeluści tajemniczego drzewa złoto „...kupić całą Kopenhagę, wszystkie świnki z cukru od przekupek przy straganach z ciastkami, wszystkich ołowianych żołnierzy i wszystkie baciki i konie na biegunach, jakie tylko były na świecie”. Prawda – zarówno w tej pierwszej baśni, jak i później w *Towarzyszu podróży* przestrzega jeszcze Andersen magicznej cyfry trzy: przed żołnierzem pojawiają się trzy psy, dobry towarzysz podróży daje Janowi, który pragnie zdjąć zły czar z pięknej księżniczki, trzy łabędzie pióra, każe mu też trzykrotnie zanurzyć ją w misce wody, ale fantazja poety w swoisty sposób zmienia konwencjonalny obraz. Zamiast znanego zakończenia o hucznym weselu, w którym nieodmiennie musiał brać udział również sam narrator, przy weselnym stole w *Krzesiwie* zasiadają – trzy psy, wytrzeszczając oczy (pierwszy miał oczy jak filizanki, drugi – jak młyńskie koła, trzeci zaś – jak okrągła Wieża w Kopenhadze). Kupiec w *Latającym kufrze* jest tak bogaty, że może „całą ulicę i jeszcze jedną małą ulicę wybrukować srebrnymi monetami”, a lekkomyślny jego syn, który „z banknotów robił lataw-

ce”, „doprowadził się ostatecznie do takiej ruiny, że zostały mu już tylko „cztery szylingi, para pantofli i stary szlafrok”. I te realistyczne, celne, drobne, zabawne i jednocześnie groteskowo–ironiczne szczegóły tworzą niepowtarzalnie wyraziste charakterystyki wszystkich bohaterów.

Jeszcze jeden – niezmiernie ważny – powód kusi ponadto Andersena do częstych wyjazdów na wieś. Pisze w liście:

„Tu, w Bregentved, żyję jak gdyby w samym sercu Danii, ludzie są tutaj łagodni i mili, a lasy takie, jakich jeszcze nigdzie nie widziałem. Nade wszystko lubię te wielkie, pełne słońca zielone polany w samej głębinie lasu... mogę tam chodzić całymi godzinami w milczącej zadumie, mam jednak nadzieję, że nie są to stracone godziny: wywierają na mnie wpływ podobny jak światło słoneczne na płytkę dagerotypu: wchłaniam prawdziwy obraz i utrwała się on we mnie.”

Tego potrzeba mu koniecznie: wielogodzinnych samotnych spacerów wśród srebrzystych bukowych pni, zieleni łąk, blasku słońca. Obcowania z przyrodą, do której – inaczej niż większość współczesnych mu pisarzy – przywykł od najwcześniejszego dzieciństwa i której prawdziwy urok umie oddać także najprostszymi słowami:

„Jakże pięknie było na wsi! Lato w pełni! Żółciło się żyto, zielenił owies, siano na łąkach ułożono w stogi, bocian chodził na długich czerwonych nogach i paplał po egipsku, nauczył się bowiem tego języka od swojej matki. Wokół łąk i pól ciągnęły się wielkie lasy, a w lasach leżały głębokie jeziora – tak, na wsi było doprawdy prześlicznie!”

Nie tylko *Brzydkie kaczątko* – wiele innych baśni powstawało podczas tych tygodni spędzanych na wiejskich wywczasach i prawie każda z nich zawiera opisy krajobrazów i przyrody, jakich nie tylko nie zna baśń ludowa, ale jakich nie spotykano dotąd również w literaturze.

Twórca Słownika Duńskiego, uczony malkontent radca Molbech, pyta z niesmakiem: „Kiedyż tem Andersen nauczy się wreszcie poprawnie pisać w ojczystym języku?” Nigdy nie zdoła zrozumieć, że sprawa przedstawia się odwrotnie: właśnie Duńczycy uczą się od Andersena poznawać mowę ojczystą w zupełnie odmienionej postaci. A poprawnym estetom, napastliwym krytykom, dociekliwym badaczom przekazał sam autor najbardziej trafną charakterystykę swojej twórczości:

„– Czy zdałeś sobie kiedykolwiek sprawę z tego, dlaczego kwitniesz i jak się to kwitnienie odbywa? Dlaczego właśnie tak, a nie inaczej? – pytał ślimak różanego krzewu.

– Nie – odpowiedział krzak róży. – Kwitnę w radości, inaczej nie umiem... Z ziemi płynęła ku mnie siła, czułem szczęście, coraz to nowe, wzrastające szczęście, dlatego musiałem nieustannie kwitnąć: to było moim życiem, inaczej nie mogłem.”

„Czy mamy – brzmi zakończenie tej baśni – zacząć to opowiadanie raz jeszcze od początku? Nie zmieni się przez to wcale.”

8

Trzeciego grudnia 1839 roku przy Kongens Nytorv, na gmachu teatralnym, rozlepiają afisze. Dzisiaj odbędzie się premiera nowej sztuki Jana Chrystiana Andersena: *Mulat*.

„Oryginalny, romantyczny dramat. W roli Horatia, Mulata – Holst, w roli pana de la Rebelliere, właściciela plantacji na Martynice – Kragh, w roli Eleonory, jego żony – Madame Nielsen, w roli Cecylii, ich wychowawicy – Frue Heiberg, w roli...”

Ulicami z tętentem przelatują konne sztafety. Afisze spieszenie oklejają na krzyż czarnymi paskami papieru. Ludzie skupiają się w gromady, szepczą w podnieceniu. Nad miastem rozlega się nagle posepny dźwięk dzwonów.

3 grudnia 1839 roku zmarł dobry król Fryderyk VI. Wiele zdziałał dla ludu, wprowadził prowincjonalne rady z przedstawicielami wszystkich stanów, usilnie starał się dźwignąć gospodarkę po ciężkich latach wojennych zniszczeń. Chłopi proszą o pozwolenie niesienia jego trumny aż do potężnej gotyckiej katedry w Röskilde, gdzie spocznie wśród innych królewskich grobów. Mieszkańcy Kopenhagi owinęli kapelusze pasmami krepy. Milknie muzyka, milkną śpiewy w klubach studenckich. Gdy z balkonu królewskiego pałacu ogłaszają smutną wieść zebranym na placu tłumom, po chwili głuchoj ciszy rozlega się gromkie: Hura! ku czci wstępującego obecnie na tron Chrystiana VIII. Król umarł – niech żyje król!

Ale nikt chyba nie smuci się głębiej niż Andersen. Czuje się niepocieszony. Premierę *Mulata* przeniesiono na 3 lutego 1840 roku. A tyle nadziei łączył z tą sztuką! Dręczony niepewnością przez całą ostatnią noc nie zmrużył oka! Zwłoka ta mieć będzie z pewnością najgorsze skutki!

Obawy okazały się płonne, rozpacz przedwczesna. *Mulat*, wystawiony na otwarcie Królewskiego Teatru po dwóch miesiącach żałoby narodowej, odniósł olbrzymi sukces. Widownia huczała od oklasków i okrzyków, król zaprosił autora do swojej łóży, obsypując go komplementami. Niemala zapewne była w tym wszystkim zasługa „Muzy epoki”, nadal gorąco uwielbianej przez publiczność. Lecz i w następnych latach dramat ten często jeszcze wracał na scenę: dwudziestu jeden przedstawień nie doczekała się żadna inna sztuka Andersena.

Zachęcony powodzeniem pisze z kolei pozornie tylko błahy wodewil *Komedia wśród zieleni*. Pozornie: bo przyszedł wreszcie czas na porachunek z Kierkegaardem. Występujący w owej sztuce fryzjer Dalby (Kierkegaard przez pewien czas usiłował maskować swój niski wzrost spiętrzonym czubem wysoko zaczesanych włosów) posługuje się mową dość zawilą:

„Sublimatu radości życia, wywalczanego i wynikającego z sumy życiowych przeżyć uafania do świata, innymi słowy: zweryfikowanej kongruencji wymogów objawienia i serca z osiągnięciami życiowymi, które nie *ex mathematica pura* dowiedzione, lecz *de profundis* utrudnione zostają, nie przyswoilem sobie; jest jednak jakaś trwałość w spokoju, jakim darzy mnie filozofia.”

Kopenhaga się śmieje. Kierkegaard się krzywi: poznaje w tych słowach parodię fragmentu swojej krytycznej książeczki. Ale nie reaguje na ten atak. I Andersen nie zaczepia go już nigdy więcej.

Mulat święci triumfy także za granicą, o co niewątpliwie zatroszczył się sam autor, umiający dbać o należyłą reklamę dla swojej twórczości. Na tydzień przed premierą jedzie do Szwecji. I w Lund przeżywa radosną niespodziankę: gromada studentów zbiera się pod jego oknem, śpiewa mu serenadę, wznosi wiwaty, wygłasza pochwalną mowę na jego cześć:

– Gdy własna ojczyzna i wszystkie inne kraje będą panu składać hołdy, niechże pan nie zapomni, że pierwszy hołd złożyli studenci z Lund!

Nie zapomni z pewnością. Najdokładniej zanotował każde słowo. Lecz cóż z tego? W Szwecji entuzjazm, w Niemczech rosnąca popularność nie tylko powieści i baśni, ale i *Obrazkowej książki bez obrazków*. A w rodzimej Kopenhadze horyzont znowu się chmurzy.

Andersen pisze dramat własnej tym razem inwencji: *Mauretanka*. Lecz cierpliwość Frue Heiberg wyczerpała się już ostatecznie. Bezceremonialnie oświadcza, że ani myśli przyjąć głównej roli w tej nowej sztuce. Primadonna, sławna, świetna aktorka może sobie pozwalać na fochy. Zna się przy tym prawdziwie na teatrze i powszechnie wiadomo, że bez jej aprobaty

na sukces nie ma co liczyć. Heiberg uwielbia ją bezgranicznie i bynajmniej nie zdradza ochoty na łagodzenie narastającego konfliktu. Sam zresztą jest już mocno rozdrażniony: Andersen na prawo i lewo rozpowiada o rosnącej swojej sławie, hordzie szwedzkich studentów, pochwalnych recenzjach niemieckich. Małżonek „Muzy epoki” dokucza mu zjadliwie:

– Gdy wyruszę do Szwecji, musi pan pojechać ze mną, żeby i na mnie spadł odblask wszystkich tych sukcesów!

– Niechże pan jedzie z małżonką – rewanżuje się Andersen. – Znacznie łatwiej o to wtedy będzie! Lecz i on traci panowanie nad osobą. Urządza Frue Heiberg potężną awanturę. To błąd. Fatalny błąd. A zaraz potem popełnia błąd jeszcze większy: drukuje *Mauretankę*, opatrząc ją przedmową, która, jak później samokrytycznie stwierdził, „aż nadto wyraźnie ujawniała mój chorobliwy nastrój”. Ostro napada na krytyków, wypomina im pochwały, jakimi zagranica obsypuje jego twórczość, powodzenie *Mulata* i nawet fakt, że sztuka ta okazała się dochodowa dla kopenhaskiej kasy teatralnej, gwałtownie usiłując przeforsować przyjęcie *Mauretanki* na scenę. Zapewnia jednocześnie, że o losach tego dramatu dowie się już „po tamtej stronie Alp”, gdyż niebawem wyjeżdża, „po części dlatego, żeby zapomnieć o tych czy innych drobnych przykrościach doznanych w kraju, po części zaś, żeby na nowo zebrać siły i dokonać czegoś lepszego”.

Pismo „Faedrelandet” („Ojczyzna”) stwierdza z ubolewaniem: „Pan Andersen przypomina wielu ludzi, których los mógłby być podobny do szczęśliwego losu tureckiego baszy, lecz którzy sami stwarzają sobie niepotrzebne kłopoty; tak oto i pan Andersen chodzi i męczy się wyszukiwaniem osób, które mógłby uważać za swoich wrogów... Od chwili gdy zaczął pisywać tragedie, jest nieustannie w złym humorze; naiwność, życzliwość, dobroduszość, jakie dawniej cechowały tego pisarza, znikły niemal bez śladu.”

Mauretankę wystawiają wreszcie z końcem roku w Królewskim Teatrze. Ale – bez Hanny Luizy. I tylko trzy razy...

Andersena nie ma już wówczas w Danii. Mimo to cała Kopenhaga znakomicie bawi się jego kosztem. Heiberg również postanowił się zemścić za niedawne kłopoty i przykrości. Napisał złośliwy wodewil: *Dusza po śmierci*. Pokutująca dusza trafia w nim do piekła i dowiadyuje się, że do żelaznego repertuaru diabelskiego teatru należą... *Mulat i Mauretanka*. Niejasne wiadomości o tym, jak „przepysznie” wykpieno go znowu w kraju, docierają do Andersena w Rzymie. Przejmuje się tak okropnie, że całkiem serio rozważa, czy doprawdy warto jeszcze dalej żyć. Wspominając później ów okres w *Baśni mojego życia*, stwierdza zresztą:

„Odznaczałem się osobliwą zdolnością do zatrzymywania się przy mrocznych stronach życia, do wynajdywania goryczy i karmienia się nią wyłącznie i w całkiem szczególny sposób potrafiłem dręczyć samego siebie.” Ale włoskie słońce, szybko płynący czas i wzrastająca odległość, jaka dzieli go od rozgniewanej dyktatorskiej pary, wspomagają wreszcie przezwyciężyć tę głęboką melancholię. W ruchu, w pędzie, w drodze czuje się zawsze najlepiej:

„Niedawno powróciliśmy z niewielkiej podróży, a już myślimy o większej. Dokąd? Do Sparty! Do Myken! Do Delf! Istnieją przecież setki miejsc, których wspomnienie sprawia, że serce uderza żywiej z ochoty do wyjazdu.”

W październiku 1840 roku wyrusza w podróż najdłuższą: Niemcy, Włochy, Grecja, Smyrna, Konstantynopol, wraca przez Morze Czarne i Dunaj, Wiedeń i Pragę.

Ale podróżnika... „po uciążliwej drodze nie czeka gospoda z wygodnymi łózkami” „...podłogi w pokojach wyglądały jak na pół rozkopany bruk, pod sufitem latały nietoperze, a smród:..” A jedzenie? „Zupa to woda posypana pieprzem i okraszona stęchlą oliwą... nieświeże jajka i pieczone kogucie grzebienie. Nawet wino było niedobre i miało posmak lekarstwa. Na noc zastawiano drzwi kuframi i jeden z podróżnych musiał pełnić wartę, gdy inni spali... Dokuczało gorąco, komary bzykały i gryzły, żebracy na dworze jęczeli przez sen.” Nic

dziwnego, że autor tych realistycznych opisów wzdycha, udręczony: „Gdybyż to było można podróżować bez ciała?”

A przecież odbył dwadzieścia dziewięć dłuższych i krótszych takich wypraw, odwiedzając nie tylko niedalekie Niemcy czy Włochy, lecz zapuszczając się również w odległe kąty świata. I chętnie służy innym nagromadzonymi podczas tych włóczęg doświadczeniami: „W podróży z całą pewnością potrzebny rozsądek (bynajmniej nie poezja!) – musiałem trzeźwo myśleć i, dzięki Bogu, nie zapomniałem nawet najmniejszego drobiazgu.” Zawczasu zawsze przygotowuje starannie cały ekwipunek, sprawnie pakuje kufry, skrupulatnie oblicza wydatki („...zauważyłem, że najtaniej wypada jazda ekstrapocztą”). Po najbardziej nawet błahych targach z krytyką – proszki, jęki, jeremiady. W podróży – bez słowa protestu, w najlepszym zdrowiu znosi straszliwe niewygody, brud, okropne jedzenie, bezdroża, kwarantanny, skwar i ulewne deszcze, nie odstrasza go nawet całkiem realne niebezpieczeństwo „zbójców na drodze”, często jeszcze czyhających w odludnych miejscach. Wybiera trasy trudne, uciążliwe, częstokroć całkiem odmienne od tych, którymi zwykli wówczas jeździć wytrawni wędrowcy. Edward Collie pisze ze szczerym podziwem:

„Diabelny ma pan doprawdy talent podróżniczy; niewielu chyba potrafiłoby za pańskim przykładem radzić sobie tak, jak właśnie pan w tej drodze, i choć nie jest pan odważny, przyznać trzeba, iż posiada pan silną wolę, co równie wiele warte, a świadectwo to wystawia panu niżej podpisany, który nie zwykł panu schlebiać!”

Nie, odważny nie jest. A przecież... Z Konstantynopola zamierzał wracać „przez Marze Czarne i Dunaj, ale w całym kraju wybuchły zamieszki, mówiono, że wymordowano kilka tysięcy chrześcijan. Towarzysze podróży, z którymi mieszkałem w hotelu, zrezygnowali z planu powrotu Dunajem... i wszyscy mi tę drogę odradzali... Ciężko walczyłem ze sobą. Nie należę do ludzi odważnych, czuję lęk zwłaszcza wobec drobnych niebezpieczeństw, lecz w obliczu większych i wówczas, gdy wiem, że mogę coś zyskać, mam silną wolę, która z latami jeszcze się umocniła; mogę drzeć nawet, mogę się bać, a przecież zrobię to, co uznam za najszlachetniejsze. Nie wstydzę się przyznawać do tej mojej słabości; wydaje mi się, że jeśli człowiek dobrowolnie wychodzi właśnie wrodzonemu lękowi naprzeciw, postępuje słusznie... Noc była trudna... walczyłem ze sobą, wyobraźnia moja malowała mi najstraszliwsze wypadki. Rankiem... zdecydowałem się. Z chwilą zaś gdy raz już powezmę decyzję, mam niewzruszoną wiarę w Opatrzność i spokojnie poddaję się swemu losowi. Nic złego mnie nie spotkało, podróż przeszła szczęśliwie... i w dwudziestym czwartym jej dniu dotarłem do Wiednia.”

Bynajmniej nie wszyscy współcześni odnoszą się do tych wyczynów z uznaniem i podziwem. Mierny duński poeta H. P. Holst daje w owym czasie zgoła inną charakterystykę tego wytrwałego podróżnika:

„Bóg jeden wie, co on tam zamierza robić w Grecji i Konstantynopolu, gdyż doprawdy trudno spędzać czas w sposób równie śmieszny i głupi jak on. Nic nie widzi, niczym się nie rozkoszuje, niczym nie cieszy nic innego nie robi, tylko pisze. Kiedy go widuję w muzeach, niezmordowanie machającego ołówkiem, żeby zapisać wszystko, cokolwiek kustosz opowiada o posągach i obrazach, zamiast im się przyjrzeć i napawać się ich pięknem, wyda je mi się zawsze podobny do administratora jakiegoś wielkiego spadku, który w pocie czoła, z najskrupulatniejszą pilnością odnotowuje każdy ułamek, każdy strzęp, a mimo to nieustannie żyje w strachu, że mógł jednak przegapić to lub owo, co nie trafi już do katalogu (czyli powieści).”

„Odyseizm” Andersena, ów nieustanny i coraz bardziej pogłębiający się z biegiem lat pęd do podróży, włóczęgi, zmiany miejsca, otoczenia, środowiska bywa przez niektórych także już późniejszych, współczesnych nawet badaczy uważany za objaw niemal patologiczny. Czy słusznie? Losy wielu innych pisarzy i artystów potwierdzić mogą raczej tylko przecież, że

należał po prostu do gromady wiecznych wędrowców, istniejących we wszelkich epokach i krajach, gnanych nieustannym niepokojem i nieodpartą potrzebą ciągłego przenoszenia się z miejsca na miejsce. Ten sam „jaskółczy niepokój” kołatał w Mozarcie, każąc mu już po okresie wielkich artystycznych podróży, jakie odbywał w dzieciństwie i wczesnej młodości, zmieniać stale i bez żadnej widocznej potrzeby mieszkania w Wiedniu, nakłaniał Gerarda de Nerval do przedziwnych, długich wędrówek wśród jesiennej pluchy po mrocznych zaułkach Paryża, pędzi) przez świat Ibsena i Dickensa, Londona i Conrada, Joyce’a i Hemingwaya. Ruch budzi w nich wszystkich nieodpartą potrzebę dalszego ruchu, kontynuowali uparcie swoje wędrówki, najczęściej nie poszukując wcale jakiejś utraconej czy wymarzonej tylko Itaki. Przyczyny wyzwalające bezpośrednio tę potrzebę były, oczywiście, u każdego odmienne, indywidualności najróżniejsze, ale wspólna cecha pozostawała ta sama. Andersena, oprócz mitu aladynowskiego, urzekał późniejszych latach los Ahaswera, Wiecznego Tułacza – napisał o nim nawet poemat.

Wybitny znawca życia i twórczości duńskiego poety, zmarły niedawno Paul V. Rukov, tłumaczył osobliwości jego psychiki tym, iż: „należał on do istot, które w cywilizowanej, kulturalnej epoce zachowały jeszcze najgłębsze cechy ludzi pierwotnych. Przejawiał niezwykle aktywność, jaka cechuje mieszkańców krajów niecywilizowanych... inteligencję typową dla człowieka prymitywnego, zdolnego raczej do tworzenia całkiem nowych pojęć niż do posługiwania się tymi, które dla każdego są już dostępne, ogromną wrażliwość zmysłów... widział, smakował, wyczuwał wszystko... emocjonalne jego życie odznaczało się gwałtownością, która przerażała zarówno współczesnych, jak i jego samego... miał wreszcie i religijność człowieka pierwotnego.” Życie duńskiego „naiwnego geniusza” było już i długo jeszcze będzie ponętym tematem dla wielu uczonych, badaczy, specjalistów. Ale Andersen sam chyba najlepiej wyjaśnia konieczność wieloletnich swoich wędrówek:

„W podróży muszę od rana do nocy być w ruchu, muszę patrzeć, patrzeć i jeszcze raz patrzeć! Nie można przecież wówczas robić nic innego, jak zgarniać w jedno całe miasta, narody, góry, morza i wchłaniać je myślami; nieustannie chwytac, nieustannie gromadzić, brak nawet czasu na zanucenie piosenki! a zresztą wcale nie mam wtedy na to ochoty! choć wiem, że później to nastąpi! w środku kipi to wszystko, fermentuje, a potem, gdy znowu znajdę się w poczciwej Kopenhadze, gdy fizycznie i duchowo zaczną mi aplikować zimne okłady, wszystkie te pędy wykielkują i rozkwitną!”

„W poczciwej Kopenhadze”, do której mimo wszystko powracał tak wiernie, znalazł się w sierpniu 1841 roku. A kolorowym bukietem kwiatów, jakie rozkwitły w rezultacie tej wschodniej podróży stał się *Bazar poety*. Książka ta, której poszczególne części dedykował swoim przyjaciołom i protektorom (opis Węgier – Lisztowi, Austrii – Thalbergowi, Włoch – hrabiemu Rantzau–Breitenburg, który przez długie lata mieszkał w „słonecznej Italii”) w soczystości barwnych, pełnych życia obrazach ukazywała „wielki bazar”, jakim w istocie był dla tego niestrudzonego wędrownika cały świat, tłumaczona była na wiele obcych języków, przyniosła też autorowi „najprzyzwoitsze honorarium”, jakie dotychczas otrzymał w Danii. Ale dedykacje stały się powodem niemiłych przytyków: „Dopatrywano się w nich – notuje rozżalony autor – nowego dowodu mojej próżności, twierdząc, że pragnę popisywać się wielkimi nazwiskami, wymieniając różne wybitne osobistości jako swoich przyjaciół.”

Z nagromadzonych bogactw nie trwoni nigdy ani okrucza. Reportażowy opis Paryża, który jeszcze w 1833 roku przesłał Wedwardowi Collinowi, przeniósł potem niemal w całości do drugiej części swojej powieści *Tylko grajek*. W podobny sposób wykorzystywał zawsze i skrętnie inne podróżnicze relacje, notatki, listy, dzienniki. *Z Bazaru poety* wiele przenosi do następnych zbiorów baśni. *Związek przyjaźni*, *Róża z grobu Homera*, *Świnia z brązu* to także pisarski plon wschodniej podróży. Przy okazji, opowiadając w tej książce swój sen podczas kwarantanny w Orsova, odpłacił za niedawną napaść Heibergowi: śniło mu się, że trafił

do piekła, gdzie przekonał się, iż wykzione w Kopenhadze jego sztuki cieszą się istotnie w diabelskim repertuarze niebywałym powodzeniem. Lecz oto Belzebub postanowił z kolei wystawić także wodewil Heiberga. I dopiero wówczas potępieńcy zaprotestowali zgodnym chórem: co zanadto, to niezdrowo. „Nawet piekło może okazać się zbyt gorące – wszystko musi mieć swoje granice!”

W ciągu wielu lat koczowniczego życia wypróbował Andersen wszystkie chyba ówczesne środki lokomocji. Wędrował pieszo, jeździł konno, próbował – ze zmiennym zresztą szczęściem – utrzymywać się grzbietach osłów i mułów (w Hiszpanii, gdy uparty kłapouch niespodziewanie ruszył z kopyta, przerażony jeździec wrzasnął: „Spadam! Spadam! – nie zleciał jednak: stanął na ziemi – osioł przemknął pomiędzy jego długimi nogami). Podróżował ekstrapocztą i zatłoczonym zwykłym dylizanssem, żaglowcem, łodzią i statkiem parowym, a także – jako jeden z pierwszych – koleją. W *Bazarze poety* opisuje ów nowy wynalazek, niepewnie szukając określeń, jakie jeszcze w języku duńskim nie istniały, pragnąc należycie wyrazić wszystkie zalety tak znakomicie przyspieszonej komunikacji:

K o l e j z e l a z n a

„Ponieważ wielu moich czytelników nigdy jeszcze nie widziało żelaznej kolei, spróbuję najpierw wytłumaczyć im to pojęcie. Weźmy zwyczajną szosę: może ona biec prosto, może zakręcać, to obojętne, równa tylko być musi jak podłoga, dlatego też rozsadzamy każdą górę, jaka jej stoi na przeszkodzie, budujemy na mocnych słupach most nad bagnami i głębokimi dolinami, a gdy już mamy przed sobą gładką drogę, kładziemy tam, gdzie przebiegałyby koleiny wozów, żelazne szyny, które koła wagonów będą mogły objąć. Zaprzęgamy teraz na przedzie maszynę parową: siedzi w niej majster, który potrafi nią kierować i umie także ją zatrzymać, a później wóz, pełen ludzi lub bydła, łączymy żelaznymi łańcuchami z następnym wozem i wyruszamy... Sam po raz pierwszy w życiu ujrzałem taką kolej... Nie przeczę, iż doznawałem przedtem uczucia, które chciałbym określić mianem gorączki kolejowej, a które doszło do zenitu, gdy wkroczyłem do wspaniałego budynku, z którego wyjeżdża rząd owych wozów. Panował tam tłok: podróżni biegali z kuframi i workami, syczały i szumiały maszyny, z których dobywała się para. Za pierwszym razem człowiek nie bardzo wie, gdzie się obrócić, żeby niespodziewanie nie zleciał na niego taki wóz czy kocioł parowy, czy też skrzynia z bagażem, lecz mimo wszystko stać można całkiem bezpiecznie na wystającym balkoniku, a wozy, do których trzeba wejść, czekają rzędem tuż obok, niczym gondole przy brzegu... wygląda to wszystko jak zaczarowane... wszystko zdaje się mieć nogi! a jeszcze para i syk, i tłok, żeby zdobyć miejsce, i odór łoju, i rytmiczny łomot maszyn, gwizd i sapanie wypuszczanej pary wzmacniają owo wrażenie, jeśli zaś, jak już wspomniałem, jest się tam po raz pierwszy, człowiek myśli, że zaraz się wywróci, połamie ręce i nogi, wyleci w powietrze lub zostanie zmiażdżony, gdyż nastąpi zderzenie z innym szeregiem wozów; sądzą jednak, że takie myśli przychodzą do głowy tylko za pierwszym razem...

Rozlega się gwizdek sygnałowy – ale nie brzmi on pięknie, ma wiele wspólnego z łabędzim śpiewem świni, której właśnie nożem podryniają gardło; wsiadamy do najwygodniejszego pod słońcem wozu, konduktor zamyka drzwi i klucz chowa do kieszeni, ale możemy opuścić okno i napawać się świeżym powietrzem...

Pierwsze uczucie to bardzo łagodne drgnięcie wozów i oto już napięły się łańcuchy, które je łączą; gwizdek sygnałowy rozlega się ponownie i rozpoczyna się jazda, ale powoli, pierwsze kroki są tak ostrożne, jakby dziecinną rączką ciągnęła mały wózek. Szybkość niepostrzeżenie wzrasta, ale ty czytasz sobie książkę, oglądasz mapę i właściwie nie wiesz jeszcze, czy jazda już się rozpoczęła, bo wóz sunie niczym sanie po gładkim, ośnieżonym polu. A później wyglądasz oknem i dokonujesz odkrycia, że oto pędzisz jakby niosły cię galopujące

konie; a potem jedziesz jeszcze szybciej, wydaje ci się, że fruwasz, lecz żadnych przy tym wstrząsów, żadnego ciśnienia powietrza, nic z tego, co wyobrażałeś sobie jako rzeczy niemiłe.”

Romantycy roztkliwiają się nad przeszłością, Kierkegaard nie dostrzega nic dobrego ani w teraźniejszości, ani w przyszłości. Andersen – przeciwnie: entuzjastycznie wita rozwój techniki i dagerotyp, parostatek, telegraf, kolej żelazną. Sumiennie notuje swoje obserwacje, stara się przekazać je jak najwierniej, ale potrafi także wybiec myślami bardzo daleko poza granice czasu historycznego. Jakże to będzie za tysiąc lat?

„Za tysiąc lat będzie można latać na skrzydłach pary nad oceanem! Młodzi mieszkańcy Ameryki chętnie odwiedzą starą Europę... Na pewno tak przyjadą za tysiąc lat!...”

Okręt powietrzny przepełniony jest podróżnymi, bo podróż taka trwa krócej niż jazda mierzem. Drut elektromagnetyczny, ułożony na dnie oceanu, już przetelegrafował, ile osób liczy powietrzna karawana... Wstąpią na ląd Europy w kraju Szekspira, jak nazywają go pięknoduchy. Inni zwą go krajem polityków, krajem maszyn... Potem kanałem podmorskim jadą do Francji.

Potem parowiec powietrzny przepływa nad krajem, z którego wyruszył Kolumb... gdzie Calderon śpiewał swoje dramaty falującym wierszem...

A teraz przez powietrze, nad morzem, do Italii, gdzie leżał niegdyś stary, wieczny Rzym. Miasto wymarło. Kampania stała się pustynią, z kościoła Świętego Piotra pokazują jedynie resztki samotnie stojącego muru, ale nie wiadomo, czy to mur prawdziwy.

Do Grecji teraz – przenocować w bogatym hotelu na szczycie Olimpu, żeby móc powiedzieć, że się tam było...

– Jak wiele jest do oglądania w Europie! – mówi młody Amerykanin. – A my widzieliśmy to wszystko w osiem dni. Można tego dokonać, jak wykazał wielki podróżnik – tu wymienia nazwisko jednego ze współczesnych – w znanym swoim dziele: *Europa w osiem dni!*”

Te niemal katastroficzne fantazje snuje już znacznie później – w 1852 roku. A tymczasem wydaje nowy niewielki tomik *Baśni opowiedzianych dla dzieci*. Jest wśród nich historia świnopasa i głupiej królowej, opowieść o grycy i różanym elfie, pojawia się także mały Ole Luköje, który –

„cichutko chodzi w samych tylko pończoszczkach, cichutko otwiera drzwi i – plusk! delikatnie pryska dzieciom w oczy drobnymi kropelkami... A gdy już śpią, siada sobie Ole na łóżku... a pod każdą pachą ma parasol: jeden, pokryty obrazkami, otwiera nad grzecznymi dziećmi – drugi za to wcale nie ma obrazków – otwiera go nad niegrzecznymi, które budzą się rano po nocy bez snów.”

Ole przychodzi co wieczór. Przez cały tydzień. I co wieczór opowiada nową baśń.

Oto zmęczony bocian spadł na pokład statku. Chłopiec okrętowy zaniósł go do kurnika, pomiędzy kaczki, indyki i kury. Bocian czuł się niezmiernie onieśmielony.

– Co to za jeden? – pytali wszyscy.

Bocian opowiadał. O gorącej Afryce, piramidach, strusiach. Ach, jakże go wyśmiewa całe towarzystwo w kurniku!

– Oczywiście, że jest głupi!

– A jakie ma śliczne, cienkie nóżki! Po czemu płaciłeś łokieć?

Bocian udawał, że nie słyszy.

„– Mógłbyś się pośmiać razem z nami – zwrócił się do bociana indyk – bo to było bardzo zabawnie powiedziane. A może uważasz, że nie ma z czego się śmiać? Ach, ach, jakież on ograniczony. Trzeba będzie bawić się bez niego!”

Bawią się bez niego. A raczej często – jego kosztem. Motyw długonogiego bociana, brzydkiego kaczątka, ołowianego żołnierza, poślacanego bąka, małej syreny, dziewczynki z zapalkami, starego samotnika w pustym domu... Setki razy zidentyfikują go później z osobą

samego autora. Z jego dziwaczną, chudą postacią i nadmiernie wrażliwą psychiką. Wyszpe-
rają nawet wszystkie, nieważkie jak bańka mydlana i przemysłnie, jak dziecinna psota, utajo-
ne „zemsty” i drobne, małe „porachunki”. Dedykacje i portrety. Reminiscencje i zręczne ka-
rykatury. Podwójne dna – jak choćby w *Latającym kufrze*, gdzie jedna baśń ukryta jest w
drugiej. I to, że przeznaczona była dla zarozumiałego Heiberga. I to, że autor miał skrytą na-
dzieję, iż głośno czytać ją będzie „Muza epoki”, co figlowi doda jeszcze pikanterii: tę baśń o
przemądrzałych zapalkach, które tak szybko spłonęły. Łatwo przecież rozszyfrować te dzie-
cinnie prostymi słowami opowiedziane historyjki, wraz z całą ich naiwną symboliką. I ba-
śniowy antropomorfizm: z jednej strony tępe, napuszone, głupie kwoki, kaczkę, indory, wró-
ble, krety – a z drugiej... morał, złota myśl. Wiadomo, co autor zamierzał.

Lecz już Ole Luköje snuje całkiem innego rodzaju opowieści:

„...Chcę pokazać ci mojego brata, nazywa się tak samo... ale nikogo nie odwiedza częściej
niż tylko jeden raz w życiu... bierze go na swego konia i opowiada mu baśnie. Zna jedynie
dwie: jedna jest tak piękna, że nikt na świecie nie może sobie wyobrazić piękniejszej, a druga
tak okropna i przerażająca, że trudno to opisać!... Teraz zobaczysz mojego brata... Niektórzy
nazywają go śmiercią...”

Nie takie to proste. Tematyka baśni niespodziewanie się rozszerza. Umowność ich staje
się stopniowo coraz bardziej wieloraka. Cienka powierzchnia zabawnej anegdoty, zrozumia-
łej, nieskomplikowanej, dostępnej nawet dla dzieci. I znacznie głębiej ukryte warstwy: iro-
nicznej satyry, gorzkiej groteski, żadnymi pozorami pociechy nie osłoniętego już tragizmu.
Wiele Andersenowskich baśni mówi o śmierci. Mało która kończy się pogodnie, beztrąsko,
optymistycznie.

Znalazł wreszcie nie tylko własną formę, ale i treść. Własny wyraz dla swego pisarstwa. I
znalazłszy je, dostrzegł jednocześnie niebezpieczeństwo ukryte w dawnym podtytule:
„opowiedziana dla dzieci”. Nie – te szczupłe zbiorki, pojawiające się teraz już regularnie
przynajmniej raz do roku, na Gwiazdkę, bynajmniej nie są przeznaczone tylko dla dziecinne-
go pokoju.

„Chwytam jakąś myśl – pisze – przeznaczoną dla dorosłych i opowiadam ją dzieciom,
pamiętając przy tym jednak, że ojciec i matka również się przysłuchują, a im trzeba podsunąć
coś, nad czym będą się musieli zastanowić.”

Nie chce być kontynuatorem tradycyjnych ludowych opowieści. Nie jest również – jak
bracia Grimm – jedynie zbieraczem dawnych motywów, choć gdy mu przyjdzie na to ochota,
beztrosko zapożycza je zewsząd. Chce być sobą. Po ośmiu latach wahań i niepewności obrał
drogę, którą będzie już szedł konsekwentnie. I pisze do Ingemanna:

„Zdecydowałem się na pisanie baśni. Pierwsze, które wydawałem, były przeważnie daw-
nymi, które słyszałem jeszcze jako dziecko i przekształciłem na swój sposób, lecz te, które
stworzyłem sam, na przykład: *Małą syrenę*, *Bociany*, *Stokrotka*, zostały przyjęte ze znacznie
większym uznaniem, i t stało się dla mnie bodźcem. Odtąd będę mówił już własnym głosem.”

Wydany w 1843 roku zbiorek ma tytuł zmieniony: *Nowe baśnie*. Nie tylko jednak uznanie
czytelników i rosnąca popularność tych poetyckich miniatur sprawiają, że Andersen postana-
wia przemawiać od tej chwili „już własnym głosem”. Zmiana ta dokonuje się pod wpływem
nowych przeżyć, które nadają kierunek dalszemu życiu człowieka i poety.

Mieszczkańska Kopenhaga z rosnącą nieufnością obserwuje Andersena. Egocentryzm, nadmierną wrażliwość, przechwałki i dziwactwa gotowa mu wybaczyć. Lecz nieustanne jego włóczęgi po świecie, brak solidnych podstaw, na których opierano egzystencję: stałego, intratnego zajęcia, domu, rodziny – zdumiewa, niepokoi, budzi już niemal zgorzniecie. To jedyny artysta żyjący wyłącznie z własnej twórczości, jeśli nie liczyć, skromnej zresztą, rocznej pensji z królewskiej szkatuły. Ale pensje takie otrzymują również i inni pisarze, bynajmniej nie rezygnując z wysokich, dochodowych stanowisk. Trudno doprawdy znaleźć wytłumaczenie dla cygańskiego trybu życia tego autora, cenionego przecież z każdym rokiem bardziej nie tylko za granicą, ale i w kraju. Nadal odwiedza dobra przeróżnych arystokratów i znajome domy, opowiada fantastyczne swoje historie, przynosi dzieciom zeszyty pełne zabawnych obrazków (Agnete, córeczka Luizy Lind, ma ich już całą kolekcję), sporządza choinkowe wycinanki przy stole Ørstedów. A później znowu znika na długie tygodnie i miesiące.

W stołecznych salonach krążą wprawdzie niekiedy plotki, w których nazwisko Andersena łączy już to z młodzianką komteską Matyldą Barck, która jednak niebawem umiera, już to z tancerką Lucyllą Grahn, występującą w balecie o *Dzielnym ołowianym żołnierzu*, już to z interesującą, miłą i mądrą córką Ørsteda, Zofią. Ale żaden fakt nie potwierdza tych kolejnych wścibskich domysłów.

Ten arcydziwak nie ma nawet nadal własnego kąta. Mieszka od 1838 roku w eleganckim Hotel du Nord. Centrum stolicy: wygodnie i blisko do teatru. Dwa lata później, powróciwszy właśnie ze Szwecji, przegląda z ciekawości listę gości hotelowych i znajduje na niej nazwisko: Jenny Lind. Dwudziestoletniej dziewczyny, którą za parę lat cały świat zacznie nazywać „szwedzkim słowikiem”, nikt jeszcze nie zna. Bawi w Kopenhadze przejazdem, z ojcem. Andersen przecież ją odwiedza. Nic naturalniejszego: powraca z jej ojczyzny – to wystarczy. Sztywny, konwencjonalny do przesady Heiberg nigdy by się nie odważył na coś podobnego, nie ma daru nawiązywania znajomości w sposób tak bezpośredni jak zagadujący zupełnie nie znanych ludzi na ulicy wieczny perypatetyk Kierkegaard ani zawsze chciwy nowych wrażeń Andersen. Młodzianka panna Lind jest zresztą także nieco zdziwiona. Przyjmuje duńskiego pisarza, o którym nie słyszała nigdy w życiu, bardzo uprzejmie i – bardzo chłodno. Po wymianie paru zdawkowych frazesów nie pozostaje nic innego jak się pożegnać. Andersen wkrótce zapomina o tym spotkaniu. Wizyta była banalna. I panna wydała mu się nieciekawa.

Jesienią 1843 roku Jenny Lind przyjeżdża znowu. Ogromnie boi się wystąpić w Kopenhadze: poza Szwecją nigdzie jeszcze nie śpiewała. Bourmonville, twórca znakomitego baletu przy Królewskim Teatrze, rozpaczliwie szuka argumentów i pomocników w trudnej misji przekonania artystki. A któż przemówi wymowniej od Andersena?

Drugie spotkanie odbywa się już w zupełnie innej atmosferze. Jenny wiele się dowiedziała o duńskim poecie w Szwecji od swojej przyjaciółki Fryderyki Bremer. Andersen dopiero co wrócił z Paryża. Heine czytał *Improwizatora*, lecz przede wszystkim obsypywał pochwalani *Baśnie*, wręczył w dowód przyjaźni ich autorowi rękopis jednego ze swoich wierszy; Wiktor Hugo dał mu bilet na najnowszą swoją sztukę: *Les burgraves* (Andersen nie bez satysfakcji donosił przyjaciółom duńskim w liście, iż „podczas spektaklu owej sztuki gwizdano tak donośnie, że wprost trudno było zrozumieć, co mówią aktorzy!”), podpisy przeróżnych znakomitości gęsto zapełniły karty nowego podróznego albumu. Poznał słynną aktorkę Rachel, jowialny ojciec Dumas oprowadzał go po teatrach, Alfred de Vigny, nie żałując fatygi, wdrapał się osobiście na wysokie piętro przy rue Richelieu, przynosząc mu swoje dzieła, w salonie pewnej hrabiny poznał nie tylko potężnego Balzaka (z którym przez cały wieczór zamieniał porozumiewawcze miny, krzywiąc się pocieszenie, gdy gospodyni nie patrzyła w ich stronę, bo wytworne towarzystwo było zblazowane i nudne niemiłosiernie!), ale także panią Reybaud, autorkę noweli, której temat wykorzystał, układając *Mulata*. Odświeżony więc, uszczę-

śliwiony, w radosnym nastroju powrócił do cichej Kopenhagi. I zupełnie innym wzrokiem spojrzął teraz na tę szwedzką dziewczynę, wcale niepodobną do tak wielu znanych mu „panienek z dobrych domów”. Jenny Lind pochodziła zresztą z ubogiej rodziny. Olśniewająca jej kariera miała także nieco baśniowy początek. Jako dziecko siedziała pewnego razu na oknie, śpiewając piosenkę... kotu. Lecz pod oknem przystawali na ulicy przechodnie, słuchając niezwykłego głosu. Tancerka Opery Królewskiej zatrzymała się również. A później zabrała małą śpiewaczkę wprost do dyrektora. Od tej chwili Opera wychowywała ją i kształciła.

Ulega namowom. Śpiewa w Kopenhadze Alicję w *Robercie Diable* i chłodna, wybredna, niełatwa publiczność szaleje: kryształowy, dźwięczny sopran wzbudza nieopisany zachwyt. Sala huczy od oklasków, deszcz kwiatów spada na scenę.

Brzydka jest i piękna jednocześnie. Smukła, o włosach barwy bursztynu, przyciężkim, jakby nieco sennym czole, zgrabnie osadzonej szyi i szarych oczach, które w chwilach wzburzenia lub przejęcia gwałtownie ciemnieją. Łagodna, bezpretensjonalna, pełna dziewczęcego wdzięku, głęboko i nieco dziecinnie religijna, z niezmierną powagą traktująca swoje artystyczne powołanie.

Na bankiecie pożegnalnym w Hotel Royal artystka dziękuje Bournonville'owi za życzliwą opiekę: „Był dla mnie jak ojciec w Danii, tej mojej drugiej ojczyźnie.” Baletmistrz w żartobliwej odpowiedzi stwierdza, że wobec tego wszyscy Duńczycy zechcą teraz być jego dziećmi, żeby stać się braćmi Jenny. „O, nie, tylu braci nie chcę” – broni się młoda śpiewaczka. I nieoczekiwanie zwraca się do Andersena: „Może pan zechce być moim bratem?” Podchodzi do niego z kieliszkiem szampana: spełniają oboje ten toast braterstwa.

Romantyczny, nieobowiązujący gest? Niechby nawet nic więcej – ale te słowa wypowiedziane zostały przecież publicznie i zwrócone do człowieka, który jak nikt inny chciwie łaknął każdego, bodaj najdrobniejszego przejawu zwykłej ludzkiej życzliwości, tłumacząc go sobie w sposób bardzo odbiegający od pospolitych konwenansów.

„Opuściła Kopenhagę: biały pocztowy gołąb jął latać pomiędzy nami, była mi nieskończenie droga i spotykaliśmy się jeszcze... widywaliśmy się w Niemczech i w Anglii – można by napisać o tym cały poemat, księgę serca...”

Można by. Zapewne. Gdyby... Bo karty tej książki zapisywane były jedną tylko ręką. Mimo że tym razem miłość nie ma już absolutnie nic wspólnego z literacko stylizowaną mistyfikacją. Mimo że Andersen dopiero z czasem wysublimuje ją i przeniesie w idealne sfery wspólnej artystycznej drogi i platonicznej przyjaźni. Mimo że przede wszystkim pod jej wpływem, o niej i dla niej powstają najpiękniejsze baśnie: *Brzydkie kaczątko*, *Słowik cesarski*, *Anioł Pański*, *Pod wierzbą*. I mimo że prawdą jest także z pewnością to, co ich autor napisał później w *Baśni mojego życia*:

„Dopiero dzięki Jenny Lind zrozumiałem, na czym polega świętość sztuki, od niej się nauczyłem, że trzeba zapomnieć o sobie w służbie wyższych idei! Żadne książki, żadne osoby nie wywarły na mnie przez długi czas lepszego, bardziej uszlachetniającego wpływu niż Jenny Lind i dlatego jest rzeczą naturalną, że tak długo i żywo muszę się zatrzymywać nad wspomnieniem o niej.”

Ale *Baśń mojego życia* – autobiografia spisana najpóźniej – nie zawsze tylko relacjonuje, apoteozuje lub zręcznie „zaokrągla”. Przemilcza także wiele. A w tym wypadku emfaza; górnolotnymi ogólnikami przesłania „rzecz naturalną”: prawdziwe, wielkie, pełne namiętności uczucie.

Pozornie tylko są jak stworzeni dla siebie. Oboje z ludu, oboje już świadomi swej drogi artystycznej, naturalnością i prostotą zwalczający sztuczność w sztuce. Ona – śpiewając ludowe pieśni. On – opowiadając poetyckie swoje baśnie. Oboje zdobędą już wkrótce ogromną, światową sławę. Oboje będą jeszcze często spotykać się w wielkim świecie, otoczeni podzi-

wem, obsypywani kwiatami, pochwałami, słowami najwyższego uznania. Obok siebie iść będą jeszcze długo. Razem – nigdy.

Andersen rozpaczliwie walczy o wzajemność Jenny. Nie jest to już miłość niema, tajona w głębi serca, jak niegdyś uczucie do Luizy Collin. Przeciwnie: tym razem szuka wszelkich sposobów, żeby wyrazić ją jak najpełniej. Najpierw, przy wyjeździe, już na statku, wsuwa jej do ręki list, który „powinna zrozumieć”. Zrozumiała aż nadto dobrze: nie odpowiedziała wcale.

Gdy po pewnym czasie spotykają się znowu,omal nie dochodzi do oświadczeń podczas wiejskiego spaceru, ale przezorna Jenny, przeczuwając niebezpieczeństwo, przerywa nieporadne i nieśmiałe słowa swego adoratora rzeczową uwagą, że – zanadto oddalili się od towarzystwa: należy przyspieszyć kroku i dogonić je. Przy innej okazji pyta ją Andersen ze smutkiem, czy go nienawidzi. „Ach, skądże – rozważnie odpowiada młoda śpiewaczka – żeby znienawidzić, trzeba przecież najpierw pokochać.” Tym razem on woli nie pojmować zbyt wymownego znaczenia tych słów. Waha się, dręczy, łudzi się jeszcze. Pisze listy i otrzymuje życzliwe, zawsze tylko życzliwe! – odpowiedzi, w których często jest mowa o Bogu i o doniosłym, najwyższym wyrzeczeniu wymagającym posłannictwie artysty. Przynosi lub przesyła drobne upominki i bywa nawzajem obdarowywany miłymi drobiazgami: do końca życia zachował dagerotyp i popiersie Jenny, i małe, podręczne lusterko, które mu kiedyś ofiarowała. Decydująca rozmowa odbywa się wreszcie dopiero w grudniu 1845 roku, w Berlinie. Lecz odpowiedź Jenny jest jasna, nieodwołalnie ostateczna:

„...Nie mogę zbudować mego gniazdka w pałacu ani w nim zamieszkać – powiedział słowik do chińskiego cesarza – ale pozwól mi przylatywać od czasu do czasu, wtedy gdy będę miał na to ochotę; wieczorami usiądę na gałązce za oknem i zaśpiewam ci pieśń, która napęlni cię radością i dobrymi myślami... Jedno tylko musisz mi przyrzec.

– Wszystko! – powiedział cesarz...

– Nie mów nikomu, że masz małego ptaszka, który ci wszystko mówi. Tak będzie najlepiej. I słowik wyfrunął przez okno.”

W dziwny sposób powracają tu motywy pierwszej miłości do Riborg Voigt. Bo Jenny Lind także wyjdzie później za mąż za „uczciwego człowieka” – pianistę Ottona Goldschmidta, po czym, w pełnym rozkwicie swej artystycznej kariery, wycofa się ze sceny i sal koncertowych, oddając się już tylko radościom macierzyństwa i spokojnego życia rodzinnego. Andersen? Nieważne chyba nawet, że taki jest dziwaczny, śmieszny, brzydki. Młoda śpiewaczka potrafi docenić i szczerze podziwia wielki talent poety, ale w tym przeczulonym neurasteniku, który od najmłodszych lat tak wstydliwie odwracał się od wszelkiej „nieprzystojności”, który całą siłą woli nieustannie przez lata dławił porywy własnej natury, chłonnej, namiętnej, zmysłowej, dostrzega z nieomylną intuicją przede wszystkim to, czym był w istocie, czym w pewnym sensie przez całe życie miał pozostać: wielkie dziecko. „*Sie, Kind!*” – powie mu kiedyś pobłaźliwie, po niemiecku, jakby obcą mową chciała złagodzić fatalne znaczenie tych słów, gdy znowu zacznie uskarżać się przed nią na gorzką swoją samotność. Nie kocha go i nigdy nie zdoła pokochać miłością taką, jakiej on wreszcie zapragnął i jakiej zaznać nie zdoła, łączącą nie tylko dusze, ale i ciała. Cóż pozostaje? Znow obietnica siostrzanej tylko przyjaźni, dyskusje o mistycznych wzlotach na skrzydłach sztuki, listy, spaceru i miłe gawędy, w których słowa płyną tak wartko i potoczyście jedynie po to, żeby ani na chwilę nie zaległo milczenie. Ale miłość?

Ta dziedzina życia jest odtąd dla Andersena zamknięta ostatecznie. Nigdy już nie spróbuje zbliżyć się do żadnej kobiety. Nigdy nawet nie wspomni o pragnieniu założenia rodziny. Identyfikacja z mitycznym bohaterem, pozornie tak zupełna i baśniowo prawdziwa, tu zawiodła całkowicie. Współczesny Aladyn nie zdobył ręki pięknej księżniczki. Więcej nawet – na

zawsze wyrzekł się blasku i ciepła czarodziejskiej lampy. I wtedy – dopiero wtedy – zdobył świat.

Czterdzieste lata bowiem są w jego życiu okresem najbogatszym, twórczo najpełniejszym. Liczne podróże zaczynają z każdym rokiem bardziej przybierać charakter triumfalnych pochodów. Najpierw w Niemczech. Z Weimaru pisze do starego radcy Collina:

„Ta krótka podróż... jest doprawdy jak sen – i ten mój pobyt tutaj. Nigdy nie przypuszczałem, że tak jestem lubiany we wszystkich większych miastach tutejszych. Nie piszę tych stów w hotelu, nie, lecz w uroczym, bogatym domu barona Beaulieu Marconnay... który prosił, że bym u niego spędził te kilka dni zamiast siedzieć w jakiejś gospodzie. Przeprowadziłem się dzisiaj rano, mam dwa bogate, wytwornie urządzone pokoje, wiele wybitnych osobistości składa mi wizyty, na dzisiejszy wieczór zaprosił mnie wielki książę, a jutro będę jadł obiad u następcy tronu... Pan przecież źle mnie nie zrozumie i panu tylko mogę powiedzieć, że jako pisarz ceniony jestem w Niemczech bardziej, niż można to sobie wyobrazić!”

Weimar. Gdy w 1831 roku po raz pierwszy jechał do Niemiec, żył tam jeszcze sędziwy Goethe. Ale młody, nikomu nie znany duński poeta nie odważył się wówczas pojechać do stolicy niemieckiego romantyzmu, „skąd tyle światła spłynęło na świat”. Nie śmiałyby chyba tam wyruszyć, nawet gdyby zaopatrzone go w najlepsze listy polecające. W ciągu tych niespełna piętnastu lat uniwersalnym listem polecającym stała się dla niego własna twórczość. Następca tronu weimarskiego, Karol Aleksander, przyjął go z tak wielkim szacunkiem i życzliwością, że odtąd przez wiele następnych lat Weimar stanie się dla niego ulubioną przystanią, do której często i chętnie będzie powracać.

Jedzie do Drezna. Potem odwiedza w Berlinie Tiecka, Humboldta i składa jeszcze ponadto... trzydzieści innych wizyt. Bez listu polecającego decyduje udać się do mieszkania braci Grimm. Mówiono mu – i sam zresztą sądził – że „jeśli go kto zna w Berlinie, to oni”.

Drzwi otwiera służąca, pytając, z którym z dwóch braci chce się widzieć.

– Z tym, który więcej napisał – odpowiada Andersen.

– Bardziej uczony jest pan Jakub – wyrokuje służąca, prowadząc go do pokoju. Ale niespodziewana wizyta okazuje się przykra i kłopotliwa dla obu stron. Jakub Grimm stwierdza z zażenowaniem, że nigdy dotąd nie słyszał nazwiska swego gościa, nie zna absolutnie żadnych jego utworów. Próżno Andersen wymienia kolejne tytuły swoich powieści i baśni – gospodarz, coraz bardziej zmieszany, potrząsa jedynie przecząco głową.

– Ale cóż pan sobie o mnie pomyśli – wybucha w końcu zrozpaczony Andersen – że przychodzę tak do pana jako całkiem obcy człowiek i sam wyliczam panu wszystko, co napisałem? Musi mnie pan przecież znać! Istnieje w Danii wydany niedawno zbiór baśni różnych narodów, dedykowany panu i zawierający też przynajmniej jedną z moich baśni.

Życzliwy, ale na równi z Andersenem speszony Jakub Grimm znowu bezradnie kręci głową:

– Być może. Ale ja nie znam tego zbioru. Nie czytałem go. Niemniej cieszę się bardzo, że mam oto okazję poznać pana. Czy mogę pana zaprowadzić do mego brata Wilhelma?

– Nie, dziękuję – wycofuje się urażony Andersen i żegna się czym prędzej.

W tym samym jeszcze miesiącu sytuacja się odwraca: Jakub Grimm odwiedza Kopenhagę i rewizytuje Andersena – najniefortunniej w świecie, gdyż duński pisarz pakuje się właśnie i spieszy ogromnie (czy też może udaje nadmierny pośpiech), bo wyjeżdża. Przy następnych spotkaniach traktują się już wprawdzie jak starzy znajomi i Andersen czyta nawet Grimmom swoje baśnie. Gdy tylko jednak ktoś przy nim wspomni, jak życzliwie i dawniej już przyjmowano go w Berlinie, wzdycha żałośnie: „Ale Grimm mnie nie zna!”

Pod datą 16 października 1843 roku Fryderyk Hebbel zanotował w swoim dzienniku:

„...pisarz Andersen. Postać długa, rozdygotana, lemurowato pokrzywiona, o niebywale brzydkiej twarzy.”

Lecz Robert Schumann, który skomponował do wierszy Andersena kilka pieśni, pisze w podróznym jego albumie:

„14 kwietnia 1845

O ile mogę jeszcze zrobić w Niemczech cokolwiek dla pana – to proszę, żeby uczynił mnie pan swoim sekretarzem – zostanę nim z radością.”

Poetka i powieściopisarka Ida Hahn–Hahn, uważana w owych czasach za „niemiecką George Sand”, daje natomiast taki wierszowany portret duńskiego przybysza:

ANDERSEN

Elfów i wrózek pełno tu jak w ulu,
Kwiatów, chochlików rozbawionych wielce:
Lecz nad tym wszystkim – ileż w duszy bólu,
Lecz pod tym wszystkim – jakże smutne serce.

Stary Collin, z głębi swej racjonalistycznej duszy głęboko pogardzający wszelkim snobizmem, kąśliwie mimo wszystko kwituje entuzjastyczne relacje weimarskie:

„Ja tam nie mogę się pochwalić przebywaniem w gronie księżniczek i książąt ani nie mam zwyczaju człogać się z ich dziećmi po podłodze.”

Próżne słowa. Pod tym względem Andersen nigdy się nie zmieni. Z nużącą prawie monotonią nadal odnotowuje skwapliwie w dziennikach, wspomnieniach, listach każdy uścisk dłoni, zamieniony z wielkimi tego świata, każdy komplement, każdą pochwałę. Ten wnikliwy obserwator nie potrafi przy tym ani jednym zdaniem scharakteryzować nie tylko królów i książąt, którzy mu składają hołdy, ale również współczesnych artystów, choć zna ich tak wielu i z każdym rokiem poznaje coraz więcej. Prowadzi jedynie skrupulatny rejestr tych spotkań i słów uznania. Olśniewa go odkrycie, że wyniosły Olimp, niczym w teatrze, zawieszony jest na sznurkach (zetłale sznurki przetarły się już zresztą niebezpiecznie, wkrótce zaczęną pękać), i zniża się ku niemu lub – efekt w istocie jest ten sam – najlaskawiej i jakże łatwo pozwala jemu stanąć na pozornie niedostępnym swoim szczycie. Jemu – synowi szewca–łacıarza i ubogiej praczki. Dziwnemu geniuszowi, który przeszedł tak niesłychanie wiele „przeciwności”, lecz wreszcie zdołał przecież schwytać złotego ptaka sławy. Z wyspy Föhr, dokąd został zaproszony przez duńską parę królewską, pisze do Edwarda Collina:

„Przed dwudziestu pięciu laty przyjechałem do Kopenhagi jako mały, nikomu nie znany chłopiec – a dzisiaj z królową piłem czekoladę, a przy stole siedziałem naprzeciw niej i króla...”

Collinowie nigdy tej euforii nie pojmą, pobłażliwym uśmiezkiem kwitują przesyłane coraz częściej opisy wystawnych przyjęć i eleganckich wieczorów, których największą atrakcją stanowi – głośnie odczytanie przez Andersena kilku baśni, choć rok później jeszcze dobitniej i jaśniej usiłuje wytłumaczyć dawnym swoim protektorom wartość odnoszonych obecnie triumfów: „Zaszczyt wam przecież przynoszę – oto moja próżność!” I dopiero gdy w kolejnym przyplynie melancholii znowu zaczyna się żalić, że w kraju całkiem już o nim zapomniano, Jonasz Collin odpisuje z właściwą mu szorstką życzliwością:

„Tu, przy Amaliegade, zawsze serdecznie o panu myślimy, choć nie zawsze wyrażamy to w słowach.” Cóż, kiedy odbiorca owego listu właśnie serdecznych słów spragniony jest zawsze najbardziej!

I z Heibergami pora wreszcie zawrzeć pokój. Z notatki w dzienniku wynika wprawdzie, iż Andersen poczuł się „niezwykle osłabiony” rozmową, którą przeprowadził z dyktatorską parą, lecz wymiana zdań była szczerą i znakomicie przyczyniła się do oczyszczenia atmosfery. Andersen wiedział doskonale, że Heiberg, mimo uszczypliwych uwag, jakich nie szczędził mu w recenzjach, nie przeczytał dotychczas żadnej jego powieści. Ostatnio zaś, w wierszu pt.

Dania, srogi krytyk wyszydził jego zachwyty nad Dardanelami w *Bazarze poety*. Ależ on podziwiał piękno Bosforu – Dardanele nie spodobały mu się wcale!

– Czyżby pan i *Bazaru* dotąd jeszcze nie czytał? – pyta podejrzliwie Heiberga.

„Estetyczny” dyktator nigdy się nie odznaczał dyplomatycznymi zdolnościami:

„– A więc to o Bosforze była tam mowa? – zapytał z właściwym sobie uśmiechem. No, wie pan, zupełnie o tym zapomniałem, zresztą ludzie też tak dokładnie z pewnością tego nie pamiętają, a szło po prostu o to, żeby jakiś cios jednak panu zadać.

Wyznanie to zabrzmiało tak naturalnie, tak charakterystycznie, że musiałem się uśmiechnąć – notuje dalej Andersen – i... nie mogłem się na niego gniewać.”

W wyniku pamiętnej rozmowy sojusz został ostatecznie zawarty i do otwartej wojny więcej już nie doszło. Drobne, chytrze przemyślane, podjazdowe wycieczki – to rzecz inna. Niemalą satysfakcję sprawił wkrótce potem Andersenowi sukces kolejnej jego komedii, którą przesłał teatrowi – anonimowo. Do sekretu dopuszczeni byli tylko Collin i Örsted. Bywalcy salonów usiłowali na wyścigi odgadnąć nazwisko autora: może Hertz, może młody Hostrup? Nie ulega przecież wątpliwości, że gdyby Andersen taką rzecz napisał, przechwalałby się na każdym kroku, nie umiając dochować tajemnicy. Recenzenci jednogłośnie chwalili „nowy”, świetny talent.

„Nie chciałaś prawdziwego księcia, nie poznałaś się na róży i słowiku, a świniopasa całowałaś, żeby dostać grającą zabawkę! Masz teraz za to!” – śmiał się dawny świniarek z głupiej, gardzącej wszystkim, co prawdziwe, księżniczki.

Jan Chrystian Örsted był pierwszym, który dostrzegł szczególne właściwości poetyckiego talentu Andersena. Najwcześniej potrafił też nieomylnie ocenić wartość pierwszych już baśni i znaczenie, jakie ta właśnie forma literacka miała posiadać dla ich autora. Od wczesnych, trudnych i głodnych lat okazywał swemu imiennikowi serdeczne zainteresowanie: zapraszał go często do siebie, podtrzymywał na duchu listami w okresie szkolnej udręki, prowadził z nim długie rozmowy i dyskusje. Wielki fizyk sam zresztą przez wiele lat pisał dzieło, które opublikował dopiero pod koniec życia. Nie wzbudziło entuzjazmu. Pisarze utyskiwali, że za wiele w nim „systemu”, a za mało – poezji, filozofowie natomiast sarkali, że jest – zbyt literackie. *Duch w przyrodzie* – bo tak nazwał Örsted swoją rozprawę oparty był na tezach filozofii monistycznej. Iluzoryczna jest sprzeczność pomiędzy duchem i przyrodą, między światem realnym i nierealnym. Prawa przyrody – to idee boskie, a rzeczywistość sama jest cudem. Andersen poznał tę pracę ulubionego swojego mistrza i największego przyjaciela już po powrocie z pierwszej swojej wielkiej podróży i po napisaniu nieszczęsnej *Agnete*. Örsted pragnął wówczas dopomóc mu w stworzeniu podstaw światopoglądowych i pokazał ów rękopis. Niedoszły student filozofii przeczytał dzieło, przyjmując je tyleż entuzjastycznie, co bezkrytycznie, godząc się z wszystkimi jego tezami. Sam wprawdzie nie czuł potrzeby formułowania jakichkolwiek teoretyczno-filozoficznych zasad własnej twórczości, choć nasłuchawszy się zarzutów o powierzchownym, niepełnym swym wykształceniu, całe noce spędza nieraz nad uczonymi dziełami, pochłania dzieje literatury, mitologię, historię, studiuje *Filozofię historii* Hegla – nie zdradzając się z tym zresztą („bo gdybym zaczął o tym mówić, wytykano by mi zaraz brak innych jeszcze wiadomości...”). Tym chętniej podziela poglądy Örsteda. Od najmłodszych, najwcześniejszych lat czuje dla niego podziw, niemal uwielbienie. Wiele baśni dedykuje wybitnemu swemu przyjacielowi, często też porównuje w nich siebie z osobą mistrza. Znakomity uczony, odznaczający się wielką kulturą, wrażliwością i – co znacznie rzadsze – nieprzeciętnym poczuciem humoru, był niezrównanym ich odbiorcą, słuchaczem i czytelnikiem. Był także umiejętnym literackim doradcą. Z biegiem lat jednak uczeń oddalił się od mistrza, idąc coraz dalej własną drogą.

Baśnie odbiegają zarówno od tradycyjnych, jak i romantycznych pierwowzorów. Aladynowi w najtrudniejszych chwilach pomagała zawsze skutecznie czarodziejska lampa. Bohate-

rom dawnych mitów albo ludowych baśni zwycięstwa też na ogół przychodziły bez trudu. Lecz bohaterowie opowieści Andersena muszą na swoje zwycięstwa ciężko nieraz zapracować, ponosić ofiary realne, bolesne. Mała syrena oddaje własny język za zdobycie upragnionych ludzkich nóg. Eliza w *Dzikich łabędziach*, nawet gdy już ją mają spalić na stosie, do ostatniej chwili nie wypuszcza z rąk roboty: rycerskiej koszulki, którą plecie z włókien pokrzywy. I powszechnie życie pozostaje nim nawet w baśni. Rybak i mała pomywaczka w *Cesarskim słowiku* słuchają wprawdzie z zachwytem jego śpiewu, ale później muszą wracać do pracy i zapominają o cudownym ptaku. Student w *Kaloszach szczęścia*, spragniony dalekich podróży, gdy spełnia się jego marzenie i budzi się wciśnięty pomiędzy pasażerów dyliżansu, bynajmniej nie czuje się uszczęśliwiony: boli go głowa, kark mu zdrętwiał, a nogi, ciasno uwięzione w butach, pieką i puchną.

Motywy autobiograficzne powracają w baśniach nieustannie: *Czerwone trzewiczki* – to wspomnienie wyrzutów, jakie niegdyś trapiły małego konfirmanta w Odense; w *Królowej śniegu* kwitnie po wszystkie czasy ubogi ogródek Anny Marii: ustawiona koło rynny na dachu skrzynka ze szczypiorkiem i pietruszką; najpiękniejszą poetycką miniaturą własnych losów autora, ileż prawdziwszą i wymowniejszą od wszystkich, później przez niego wypisywanych *Baśni życia*, jest *Brzydkie kaczątko*, najbardziej chyba znane i zawierające *in nucleo* zasadnicze wyznanie wiary swego twórcy: „;...Nie zaszkodziło wcale łabędziowi, że urodził się na podwórku wśród kaczek, skoro wyklął się z łabędziego jaja.” Historia miłości porcelanowej pastereczki i kominiarczyka, której tak był przeciwny groźny, gruby, również porcelanowy Chińczyk, ma także swoje realistyczne tło. Młodziutka Jonna Drewsen zapalała nieco egzaltowaną sympatią dla dziwnego przyjaciela domu. I przez niego, w łożu teatralnej, poznała syna baronowej Stampe. Lecz miłość młodej pary natrafia na poważne przeszkody ze strony energicznej baronowej. Andersen, któremu Jonna zwierzyła się z tych kłopotów, podjął się roli mediatora: jeżdżąc często do Nysø przemycał liściki zakochanych, perswadował i łagodził, z dobrym zresztą rezultatem: Jonna niebawem została młodą panią Stampe. Któż wie, czy właśnie w Nysø nie słuchano kiedyś głośniejszej lektury tej baśni i czy ktokolwiek z zainteresowanych nie zdołał w niej rozpoznać swego mocno zmienionego portretu?

Thorvaldsen za każdym razem, gdy tylko Andersen pojawi się w domu baronowej, domaga się nowych baśni. Sam pracuje niestrudzenie i przy łada okazji zapalczywie kłóci się ze swoją protektorką. Pewnego przedpołudnia zastał ich Andersen dyskutujących nad strojem Piłata na projekcie powstającej właśnie wielkiej płaskorzeźby: *Droga na Golgotę*. Szata wydaje się rzeźbiarzowi nieodpowiednia – raczej egipska niż rzymska. Zwraca się z tymi wątpliwościami do wchodzącego do pracowni Andersena, który potwierdza: strój istotnie trzeba zmienić.

– I mnie się tak wydawało – mówi Thorvaldsen, zgniatając natychmiast dopiero co uformowaną glinę w bezkształtną masę.

– Z pańskiej winy – wybucha rozpaczą nieznośnie afektowana baronowa – zniszczone oto zostało nieśmiertelne dzieło!

– Zaraz możemy stworzyć nowe nieśmiertelne dzieło – beztrząsco odpowiada rzeźbiarz, zabierając się znowu do roboty.

Nie znosi wszelkiej przesady, obca mu jest najzupełniej romantyczna poza melancholii i rzewnego smutku. Często jako anegdotę powtarza rozmowę, jaką na ten temat odbył z twórcą owej pozy, Byronem, którego popiersie rzeźbił w Rzymie:

„Pozując siadł naprzeciw mnie, ale zaraz przybrał minę absolutnie różną od zwykłego swojego wyrazu. Niechże pan siedzi spokojnie – powiedziałem – i nie stroi takiej miny. – Ależ ja zawsze tak wyglądam odparł Byron. – Tak? – odpowiedziałem tylko, a później wyrzeźbiłem go tak, jak chciałem, i gdy popiersie było już gotowe, wszyscy twierdzili, że uchwyciłem jego znakomicie; jedynie sam Byron, kiedy je zobaczył, oburzył się niesłychanie:

– Wcale to i do mnie niepodobne, w rzeczywistości wyglądam na znacznie bardziej nieszczęśliwego. – za wszelką cenę chciał koniecznie uchodzić za takiego okropnego desperata” – kończył nieodmiennie z humorem Thorvaldsen.

Sam woli rubaszne żarty i tęgi łyk wina, nie stroni od klubu studenckiego, którego został honorowym członkiem. „Studenckie życie Kopenhagi różniło się zresztą znacznie od życia studentów w miastach niemieckich – pisze w *Baśni* mojego życia Andersen.

...W klubie... spotykali się studenci i profesorowie, nie robiono żadnych różnic pomiędzy młodszymi i starszymi ludźmi nauki. W klubie tym można było znaleźć gazety i książki z różnych krajów, raz w tygodniu któryś z pisarzy odczytywał najnowszy swój utwór, niekiedy urządzano także koncert albo zabawne jakieś przedstawienie, tu powstawały poniekąd pierwsze ludowe komedie duńskie, których tematem było zawsze aktualne wydarzenie, wykorzystywane w sposób niewinny, lecz dowcipny i rozweselający... Profesorowie na równi ze studentami wykonywali poszczególne role, ja sam również występowałem tam kilkakrotnie, przekonując się przy tej okazji, że mój lęk przed pojawieniem się na scenie był znacznie większy od talentu, który, być może, posiadałem w tej dziedzinie. Ponadto napisałem i zaadaptowałem dla tego klubu kilka sztuk, uczestnicząc w jego pracach w taki właśnie sposób.”

Thorvaldsen spotyka się też często z Andersenem w teatrze, bo i autor *Baśni* doczekał się już wreszcie miejsca na zaszczytnych zielonych fotelach, przeznaczonych dla najwybitniejszych osobistości. Jednego tylko wieczoru – 22 marca 1844 roku – gdy sędziwy rzeźbiarz umiera nagle podczas przedstawienia na atak serca – nie ma u jego boku przyjaciela. Widzieli się jeszcze poprzedniego dnia: żartowali jak zwykle, śmieli się, rozmawiali o powszednich sprawach. Andersen, dowiadując się nazajutrz niepojętej nowiny od kelnera hotelowego, uszom nie chce wierzyć. Biegnie do kopenhaskiego mieszkania Thorvaldsena: zastaje jego zwłoki na łóżku, przy którym rozpaczliwie szlocha baronowa Stampe, pokój jest niewielki, duszny, zatłoczony obcymi, pełen naniesionego mokrego śniegu, topniejącego w kałużach na podłodze. Wstrząśnięty Andersen układa pożegnalną pieśń żałobną, do której Hartmann komponuje muzykę: studenci śpiewają ją podczas pogrzebu, nad otwartym grobem.

W podobnie nieoczekiwany sposób spadnie na niego dwa lata później wiadomość o śmierci wieloletniej serdecznej powiernicy, Henrietty Hanck, która ledwo zdołała zadebiutować w literaturze dwiema nowelami.

Przyjaciele odchodzą – nagle i niespodziewanie. Zawistni, zjadliwi krytycy pozostają. W 1845 roku – samym, w którym jako dowód uznania dla pisarskich zasług Andersena podwyższono jego roczną pensję ukazuje się powieść Carstena Haucha *Zamek nad Renem*.

Głównym bohaterem powieści jest literat – wariacki megaloman. Nieustannie sam się wszystkim przedstawia, stale głośno czyta swoje utwory, żąda od rodziców, żeby przysyłali do niego swoje dzieci, którym chce opowiadać przeróżne fantastyczne brednie, przy lada słowie krytyki wybucha donośnym płaczem, wreszcie – z piersią usianą orderami i z laurowym wieńcem na skroniach, zostaje wśród szyderczych okrzyków tłumu odwieziony w rodzinnym swoim mieście do domu wariatów – przeświadczony zresztą w obłąkańczym samouwielbieniu, że oto wiozą go, żeby koronować na największego poetę świata.

Napaść była wyjątkowo brutalna, obrzydliwie niesmaczna. Ale sponiewierany autor zareagował na nią tym razem w zdumiewająco odmienny niż dotąd sposób. W liście do Ingemanna – sąsiada i dobrego znajomego Haucha – przyznał otwarcie:

„Słusznie czynią ci, którzy twierdzą: «To Andersen!» Tu [w tej powieści] ukazane zostały doprawdy wszystkie moje słabe strony naraz... I nic nie mogę zrobić nic powiedzieć: to fala, której muszę pozwolić nad sobą przepłynąć... Niechże pan najserdeczniej pozdrowi Haucha ode mnie...”

Zmieniona taktyka dała znakomity rezultat: wkrótce już w jednym z najpoczytniejszych pism kopenhaskich ukazał się wielki artykuł o wybitnych literackich wartościach prac Ander-

sena. Autorem artykułu był – Carsten Hauch. Zgrabny ów manewr nie świadczył, oczywiście, o jakiejś zasadniczej zmianie w nadal przewrażliwionej – szczególnie we wszystkim, co dotyczyło jego osoby i twórczości – psychice Andersena. Lecz podkreśla wymownie cechę, jaką zachował od najmłodszych, dziecinnych lat: ujawniając szczerze własną słabość, potrafił zawsze rozbrajać nawet najgroźniejszych przeciwników.

Znów jedzie do Berlina. Częste podróże w tych latach to nie tylko nadal żywa chęć gromadzenia coraz to nowych wrażeń ani nawet pragnienie ucieczki z uprzykrzonej, zaściankowo zatęchłej atmosfery „pocziwej Kopenhagi”. To przede wszystkim okazja do spotkań z Jenny Lind. I ona odbywa teraz triumfalne pochody przez kraje i miasta. I jej sława, rośnie z każdym rokiem. Ludzie całymi nocami gromadnie wyczekują u drzwi teatrów, żeby zdobyć bilet na jej występ, recenzenci prześcigają się w zachwytach. A on niepoprawnie nadal łudzi się jeszcze, że może coś się odmieni w ich wzajemnych stosunkach. Zwycięsko przeszedł już przecież przez tak wiele prób. Może i tu dokona się jakaś nagła, szczęśliwa zmiana. A później, rozżalony jak dziecko, wspomina żałośnie:

„Jenny Lind była w Berlinie... Ja zaś... przekonany byłem najgłębiej, że jeśli również tam przyjadę, spędzę wieczór wigilijny w jej towarzystwie... nie przyjąłem na ów wieczór żadnych zaproszeń... lecz gdy nadszedł – nie byłem zaproszony do Jenny Lind, siedziałem zupełnie sam w hotelu; czułem się tak ogromnie opuszczony, otworzyłem okno, patrzyłem na wygwieżdżone niebo – to była moja choinka – i tak rzewnie było mi na duszy; inni nazwaliby to może sentymentalizmem, lecz oni znają nazwę, ja znam nastrój.”

Ów nastrój opuszczenia i smutku zmienił się szybko. Nie wigilijny wprawdzie, lecz sylwestrowy wieczór spędził „przybrany brat” u szwedzkiej śpiewaczki jako jedyny gość – jeśli nie liczyć nieodzownej „damy do towarzystwa”, z którą niezwykle dbająca o nieskazitelną swoją reputację Jenny niemal się nie rozstawiała. Zapalono świece na choince, przygotowano upominki i uroczystą kolację, po której jeszcze Jenny – tylko dla niego – „odśpiewała wielką arię i kilka ludowych pieśni”. Jakże nie wiele potrzebował, skoro to niemal dziecinnie balik przypominające spotkanie natychmiast go pocieszyło, uszczęśliwiło, podniosło na duchu. Krótkotrwała i złudna okazała się ta pociecha. Bo tej właśnie zimy berlińskiej doszło pomiędzy nimi do decydującej rozmowy i „księga serca” została nieodwołalnie zatrzęsnięta. Wpływ Jenny mimo to pozostał przez wiele jeszcze lat niezwykle silny. Stawiała sobie samej surowe wymagania artystyczne i z powagą – odrobinę egzaltowaną – żądała również od swego „przybranego brata”, żeby nieustannie i coraz bardziej doskonalił własną twórczość. Z czasem Andersen zajmuje jednak wobec Jenny postawę już nie wielbiciela, lecz raczej rozkapryszonego dziecka, domagającego się natarczywie specjalnych względów. Starszy od niej o piętnaście lat i obdarzony sporą dozą autoironii, czuł zapewne często śmieszność tej pozy, lecz niewiele się o to troszczył, skoro dzięki niej mógł nadal, w znacznie swobodniejszy nawet niż dotąd sposób, apelować do życzliwości swojej ukochanej i spowiadać się jej ze wszystkich, prawdziwych i urojonych, smutków, zgrzytów i kłopotów.

Relacja o samotnie spędzonej w Berlinie Wigilii jest zresztą nieprawdziwa. Dementują ją notatki dziennika: Andersen zaledwie parę godzin spędził wówczas w hotelowym pokoju, patrząc na wygwieżdżone niebo, a resztę wieczoru – przy choince w domu jakiejś pani Zimmermann, w licznym gronie gości, którym czytał nawet swoje baśnie. Drobnymi takich mistyfikacji, przeinaczeń, upiększeń, przestawień znaleźć można zwłaszcza w autobiografiach – mnóstwo. Lecz czyż to istotne? Tonacja zasadnicza pozostaje zawsze nie zmieniona: tak bardzo pragnie, żeby ludzie byli dla niego dobrzy, żeby go lubiano, tak gorąco i nieustannie szuka potwierdzeń, że istnieje przecież ktoś, kto go „nie wyszydza i nie odpycha...”

Jedzie dalej: do Weimaru, Jeny, Drezna, Lipska. W Pradze z trudem przeciska się do pociągu przez zwarty tłum, zalegający perony – dramat tego życia toczy się na realnym świecie – jest rok 1846 – i właśnie wyprawiają wielkie transporty wojska do Polski. Dołącza tę ob-

serwację do innych uzbieranych w podróży („polityka to rzecz nie moja”). W Wiedniu znowu spotyka się z Grillparzerem, słucha koncertu Liszta, wreszcie – pociągiem i dyliżansem – dociera nad Adriatyk. I pisze z drogi:

„Z Anglii dochodzą głosy niezwyklego uznania dla moich dzieł, w Niemczech przygotowują ozdobne ich wydanie... Nie mogę przecież być tak absolutnie nic niewart, jak się to większości ludzi u nas wydaje.”

Czy cieszy się tylko blaskiem rosnącej swojej sławy? Raczej – i zapewne nie bez wpływu Jenny – zaczyna teraz coraz częściej zastanawiać się nad problemami etycznymi, nad sprawą wielkiej odpowiedzialności artysty. Pisze:

„...Jest coś wzniosłego, lecz jednocześnie przerażającego w tym, gdy się widzi, jak własne myśli rozchodzą się szeroko pomiędzy ludzi, strach niemal przejmuje, że oto należy się do tak wielu. Wszystko, co szlachetne i dobre, staje się błogosławieństwem, ale zło, błędy nasze ujawniają się wówczas również i mimowiednie nasuwa się pragnienie: Boże! nie daj mi nigdy napisać ani jednego słowa, za które nie mógłbym złożyć przed Tobą rachunku.”

Lipski wydawca, C. B. Lorck, Duńczyk z pochodzenia, przygotowuje pierwsze niemieckie wydanie zebranych dzieł Andersena (w Danii ukaże się podobne dopiero siedem lat później), z delikatnymi rycinami, których autorem jest młody oficer duńskiej marynarki, Wilhelm Pedersen. Prosi o przesłanie wstępu i Andersen obiecuje napisać autobiografię w formie jeszcze jednej baśni. Ale w Neapolu, gdzie zaczyna spisywać tę *Baśń mojego życia bez zmyśleń*, panują wściekle upały i robota opieszale posuwa się naprzód. Płaczą, myślą się fakty, daty. Czy doprawdy ich nie pamięta, on, obdarzony pamięcią tak znakomitą, zwłaszcza w odniesieniu do wszystkiego, co dotyczy jego własnej osoby? Czy – niektórych przynajmniej – już pamiętać nie chce? Edward Collin podjął się niebagatelnej przysługi: poprawia każdy z przesyłanych mu kolejno arkuszy rękopisu. Andersen jest uszczęśliwiony.

„Dzięki, dzięki! – woła pełen radosnego uniesienia w liście – nigdy nie zapomnę panu tego dowodu braterstwa – to uścisk, to pocałunek, to toast braterski wszak rozumie pan, co mam tu na myśli? Dziękuję!”

Potomni będą mniej skorzy do wylewnych podziękowań, bo pedantyczny młody Collin starannie wygładził w nadsyłanych tekstach wszystko, co wydawało mu się zanadto odbiegające od konwencjonalnych i ogólnie wówczas przyjętych literackich schematów.

Zbliża się już połowa tego stulecia, które z każdym rokiem staje się mniej romantyczne: bure dymy przesłaniają łagodne sielskie pejzaże, czarne węże kolejowych wagonów pełzają w ślad za nimi – nieporadne jeszcze, z każdym przecież rokiem liczniejsze i szybsze. Wprawdzie fakultet medyczny Bawarii uznał, że sam widok tak szybko poruszających się wozów nieuchronnie musi grozić niebezpieczeństwem poważnych chorób mózgu, i domagał się osłonięcia kolejowych torów po obu stronach drewnianymi płotami wysokości co najmniej pięciu stóp. Wprawdzie stary Ludwik Tieck, z pogardą traktując techniczne nowinki, wezwany do Poczdamu, udał się na audiencję do króla powozem, który... przez całą drogę jechał obok szyn niedawno przeprowadzonej linii kolejowej. Ale czasu cofnąć się już nie da. Błękit nieba przesłaniają coraz gęstsze zasięki rozedrganych telegraficznych drutów, od 1842 roku działa już regularna linia parostatków kursujących przez ocean pomiędzy Bremą a Nowym Jorkiem, od ćwierćwiecza przeszło ręczna prasa drukarska zastąpiona została sprawnie i ileż szybciej pracującą prasą mechaniczną. W ślad za tym ostatnim wynalazkiem i słowo straciło wiele z dawnej swojej mocy, powagi, wdzięku. W gazetach króluje felieton – spieszna, terminowa, dziennikarska robota nakłania do lekceważenia kunsztownego toku narracji i wymogów stylu. Zdyszany, z każdym rokiem bardziej rozpędzony staje się historyczny czas. I dziejowy horyzont oprócz kolejowych i fabrycznych dymów zasnuwają ciężkie chmury. Rozlega się pomruk groźnej wiosennej burzy.

Czyż i nie tą zmienioną atmosferą wyjaśnić można rosnącą popularność baśni Andersena? Autor ich w owe lata doprawdy nie musi już rozglądać się w poszukiwaniu chętnych, którym mógłby „choć trochę głośno poczytać”. Zaproszeniom ledwo może nastarczyć. Po niedawnej wizycie u duńskiej pary królewskiej odwiedza w Holsztynie księcia Augustenborg; rok później, gdy znowu przyjeżdża do jego zamku Graasten, tam właśnie; wśród wspaniałego książęcego przepychu, powstaje jedna z baśni, opisujących największą nędzę i niedostatek: *Dziewczynka z zapalkami*.

Zaproszony z kolei do króla pruskiego na wieczór niemal rodzinny – gdyż oprócz Humboldta i duńskiego poety obecnych jest na nim zaledwie kilka osób z najbliższego otoczenia monarchy – nie jest wprawdzie aż tak złośliwy, żeby w poczdamskim pałacu zaskoczyć swoich słuchaczy historią *Nowych szat cesarza*, ale czyta *Brzydkie kaczątko*, *Choinkę*, dwie inne jeszcze baśnie i król wręcza mu uroczyście Order Czerwonego Orła.

W Dreźnie jest gościem saskiego króla, Fryderyka Augusta II i w tym samym 1846 roku matka austriackiego cesarza, Zofia, obdarza go w dowód uznania drogocenną szpilką do krawata. Zestawienie dat, osób, scenerii – i czasu historycznego, w którym się to wszystko odbywa – zakrawa na groteskę, na jeszcze jeden temat do Andersenowskiej baśni. A przecież autor naprawdę wkracza w tym czasie do tych wspaniałych, rześcicie oświetlonych salonów, zasiada z promiennym uśmiechem wśród eleganckiego, strojnego, wytwornego towarzystwa (sprawdzając zapewne ukradkiem, dla pewności, czy nigdzie nie ma najmniejszego choćby pieska lub uchylonego okna, od którego mógłby nagle powiać złowrogi przeciąg) i żywo gestykulując wielkimi swymi rękami, rozpoczyna czytanie baśni o pięknej choince, tak dumnej ze lśniących swoich ozdób i tak niesławnie ginącej później w ogniu.

Cierniowa bywa droga sławy. Wie to dobrze. Napisze i o tym. Lecz mimo wszystko nieustanne owe hołdy, pochwały, gratulacje sprawiają mu szczerą przyjemność. Po cóż miałby jej sobie odmawiać? I ponadto przewiduje przecież nową porcję „zimnych okładów”, jakie zaczną mu aplikować mili rodacy, skoro tylko powróci do „pocziwej Kopenhagi”. Píše z drogi:

„Satysfakcją jest ani to uznanie, które w kraju z takim trudem wywalczać sobie muszę, gdyż tego, co dobre u mnie i nowe, nikt tam docenić nie potrafi.”

10

Anglia w połowie XIX wieku zdecydowanie obejmuje prymat we wszelkich dziedzinach życia. Młodziutka królowa Wiktoria wstąpiła na tron w 1837 roku. Zaledwie dwa lata później Anglia zagarnia Aden – klucz do Morza Czerwonego. W 1840 prowadzi wojnę z Chinami, rozszerza i umacnia swoją potęgę na morzach i lądach: w Indiach, w Australii. Pierwsza na świecie lokomotywa przebiegła już w 1825 roku trasę pomiędzy dwoma angielskimi miasteczkami: Darlington i Stockton w hrabstwie Durham. W 1833 opuścił stocznnię angielską pierwszy wojenny parostatek. Wynalazca młota parowego to Anglik Nasmyth, o lat przeszło dziesięć wyprzedził go w wykorzystaniu nowego źródła energii Heathcoat, wynajdując pług parowy. Spieszny łomot maszyn rozlega się w Manchesterze – potężniejącym z każdym rokiem centrum bawełnianego przemysłu. Z Anglii przenikną na kontynent przeróżne jeszcze inne wynalazki: stalowe sprężyny, zapalki, świece stearynowe. Przyrodnik William Draper w swojej *Historii intelektualnego rozwoju Europy* dowodzi, że niemi, które w ciągu jednego

tylko 1833 roku wyprodukowano w angielskich przedziałniach, można by przeszło dwieście tysięcy razy opasać obwód kuli ziemskiej.

Cokolwiek z Anglii pochodzi, cokolwiek opatrzone jest stemplem angielskiej potęgi, produkcji czy aprobaty, uznawane zostaje za rzecz najwyższej jakości, staje się synonimem dóbr trwałych – zyskuje najwyższą rynkową cenę.

W 1847 roku do tej właśnie Anglii jedzie po raz pierwszy Andersen, pisarz „małego kraju”, tak okrutnie spustoszonego w początkach stulecia przez przemoc angielską. Jedzie przez Holandię, gdzie wychodzą witać go najwybitniejsi przedstawiciele świata artystycznego. Jedzie po sławę i laury. Sam mógłby przyrównać siebie teraz do Jazona – złote runo światowego rozgłosu już na niego czeka.

Ledwo znalazł się w Londynie, wpadł w taki wir uroczystych przyjęć, zabaw i spotkań, że nawet dla jego – nieprzeciętnej przecież – wytrzymałości okazuje się to niemal zbyt ciężką próbą. Przez całe trzy tygodnie nie może zaznać ani chwili odpoczynku.

„Zapraszany byłem codziennie na obiady a kolacje, a później, nocami, na bale: wszędzie ścisk w salach i na schodach, a ponieważ cały tydzień był już z góry zajęty zaproszeniami, musiałem wychodzić również i na śniadania – trudno to było wytrzymać!” – żali się wreszcie. Baśniowa sława zatarła granice najsztynniejszych angielskich konwenansów: szewskiego syna z małego miasta na Fionii, znakomitego powieściopisarza, autora głośnych „*fairytale*” podejmuje lord Palmerston i hrabia Reventlee, Lady Blessington urządza wspaniałą wieczór na jego cześć, nieustannie musi ścisnąć setki rąk, z trudem – bardzo słabo znając język angielski – pojmuje wyszukane komplementy, jakimi obsypują go ze wszystkich stron. Smuga cienia, czarna nić melancholii i nieufności, bynajmniej jednak nie niknie w blasku tych hołdów.

„Znalazłem się obecnie z pewnością na samym szczycie uznania – pisze – lecz teraz droga musi już zacząć schodzić w dół; więcej, niż dała mi ta światowa metropolia, otrzymać już nie mogę.”

Anglia zna nie tylko *Improwizatora*, tłumaczonego przez angielską pisarkę Mary Howitt, lecz i pozostałe powieści Andersena. Oprócz baśni, cieszących się rosnącą poczytnością, także *Baśń mojego życia bez zmyśleń* pojawia się w Londynie zaledwie rok po wydaniu niemieckim. Karykaturalnie wysoka, bociana sylweta ich autora jest tutaj tak powszechnie znana, że gdy w pociągu zapomina laskę, nazajutrz odnoszą mu ją z kartką: „Własność duńskiego pisarza H. C. Andersena.” Znakomity rzeźbiarz Durham prosi, żeby zechciał mu pozować: zamierza wymodelować popiersia obojga sławnych skandynawskich gości: Andersena i Jenny Lind.

Śpiewaczka szwedzka bowiem także i tutaj odnosi triumfy i zmęczona koncertami, odpoczywa w małym domku na przedmieściu Old Brompton. Andersen składa jej wizytę i z nie małym zdumieniem przekonuje się przy tej okazji, że ukochana nie zawsze buja tylko w idealnych regionach rozważań o Bogu i zaszczytnym posłannictwie sztuki. Przejawia także zdrowy zmysł praktyczny i naradza się z londyńskimi bankierami, w jakich akcjach najlepiej lokować ogromne honoraria, jakie otrzymuje za każdy występ. W prasie angielskiej pojawia się satyryczny rysunek słowika o dziewczęcej twarzyczce, obsypanego deszczem złotych monet.

Uwielbienia dla Mammona, którego kult właśnie z Anglii zaczyna w tych czasach powszechnie ogarniać świat, nie czuł Andersen nigdy. Oszczędny i przezorny był przez całe życie, lecz ulubione włóczgi pochłaniały niemało pieniędzy, a dręczące go często przecucie rychłej śmierci odsuwało na daleki, dość niewyraźny plan myśl o koniecznym zabezpieczeniu sobie przyszłości. Praktyczną stronę coraz bardziej z biegiem lat rozgałęziających się kontraktów i pertraktacji z wydawcami sprawnie i umiejętnie przejął Edward Collin. Poeta zaś, z nienasyconą nadal ciekawością, zwiedzał, oglądał i obserwował swój kolorowy bazar – świat.

Do Henrietty Wulff

„Lixmount Trinity, 12 sierpnia 1847

Jestem w Szkocji, ojczystym kraju Waltera Scotta. Z Londynu, gdzie przebywałem długo, prawie dwa miesiące, wyjechałem jedenastego sierpnia... Dickens był w Londynie dwukrotnie specjalnie dla mnie i, niechże sobie pani wyobrazi, przywiózł mi do hotelu wszystkie swoje dzieła w dwunastu wspaniale oprawionych tomach, a na każdym z nich napisał: «Janowi Chrystianowi Andersenowi od jego przyjaciela i admiratora Karola Dickensa.»

...W Szkocji także czytają mnie wiele i podobno nazywają duńskim Walterem Scottem! Wszystko to wydaje mi się snem, ale zbudzę się w porę, gdy tylko powrócę do Danii.»

Przyjaźń z Dickensem – jak niegdyś, w młodych latach, z Chamisso – nawiązuje się natychmiast, od pierwszego spotkania. W Royal Oak, gdzie zamieszkała, czekała już na Andersena wiadomość:

„37 Albion Street, Broadstairs 30 sierpnia 1847

Drogi Panie!

Zachwycony jestem serdecznym pańskim bilecikiem. Tłoczmy się tutaj – żona, dzieci i wszyscy – w małym domku nad brzegiem morza. Niechże pan zechce nas odwiedzić – dokładnie o godzinie piątej po południu – i podzielić z nami rodzinny nasz obiad... Niezmiernie nas ucieszy spotkanie z panem.

...Gdy znów powróci pan do Anglii – co zapewne niebawem nastąpi – mam nadzieję często widywać pana we własnym moim domu w Londynie...

Pozostaję zawsze oddanym pańskim przyjacielem i admiratorem

Karol Dickens.»

Jakże angielski ów liścik: ściśle ustalona godzina posiłku, egzystencja ujęta w „solidne” ramy, z gruntu obce samotnemu, dzikiemu ptakowi z duńskiej wyspy: własny dom, żona, dzieci... Cóż za kontrast pomiędzy adresatem i odbiorcą! A mimo to – podobne wydają się ich losy.

Dickens – niski, drobny, jak iskra żywy człowieczek o bystrym spojrzeniu niebieskich oczu, szerokich ustach, zabawnie ruchliwej twarzy (gdy tylko zaczynał mówić, wykrzywił pociesznie wargi, unosił brwi, mrugał oczami). I on przeżył ubogie, gorzkie dzieciństwo. Jako mały chłopiec pracował w fabryczce pasty do butów, klucząc w drodze powrotnej do „domu”: ojciec jego siedział już wówczas w więzieniu dla niewypłacalnych dłużników. I on także próbował później kariery teatralnej. Grywał drobne role: kelnera, głuchego zakrystiana, starej kobiety. Nauczył się potem stenografii i notował debaty angielskiego parlamentu. I nagle – w ciągu zaledwie dwóch miesięcy – dwudziestoczteroletni „Boz”, bo taki pseudonim od domowego skrótu imienia własnego brata obrał, podpisując literackie swoje próby – pierwszą powieścią zdobył (tu podobieństwa już się kończą) natychmiastowy rozgłos, ogromną sławę i bezgraniczne uwielbienie czytelników.

Wiek telewizji, licznych festiwali i wielowymiarowych ekranów filmowych, wiek radia i wszędobylskiej „publicity” z trudem już chyba tylko może zrozumieć ów rodzaj dziewiętnastowiecznej nieprawdopodobnej popularności. Wyprzedzała ona w swoisty sposób o całe przeszłe stulecie rozgłos najbardziej reklamowanych gwiazd współczesnej sztuki i najbardziej rozchwytywanych „bestsellerów”.

Tysiące rąk sięgało chciwie co miesiąc w całej Anglii po niebieskie zaszyty pisma drukującego w odcinkach *Klub Pickwicka*. Pierwszy numer ukazał się w czterystu egzemplarzach, piętnasty – miał już czterdzieści tysięcy nakładu! Żadna sala nie mogła pomieścić rzesz pragnących na własne oczy zobaczyć i na własne uszy usłyszeć tego najbardziej angielskiego ze wszystkich ówczesnych Anglików. Ludzie wdrapywali się na słupy, blokowali wejścia, wślizgi nawet pod podium, na którym miało stanąć ich bożyszcze. W Brooklynie oddano Dickensowi do dyspozycji kościół, w którym z ambony czytał dzieje Oliwera Twista. Gdy przybył

do Ameryki, mroźna zima bynajmniej nie odstraszyła entuzjastów, którzy i tam nocowali koło kas na przyniesionych z domu materacach, byle tylko zdobyć bilet na spotkanie z ulubionym autorem. Okoliczne restauracje prosperowały jak nigdy, karmiąc te cierpliwie koczujące tłumy. Obrońcą ubogiego, żałośnie skrzywdzonego dzieciństwa małej Dorrit, małego Nickleby, wątlęgo, nieśmiałego, jasnowłosego Dawida Copperfielda – którego losy są najbardziej wierną kopią dziejów samego Dickensa (tu podobieństwo jest znowu niemal realne) – otacza od pierwszej jego powieści aż po ostatnie chwile życia uwielbienie nie słabnące, entuzjazm bezprzykładny.

Czas romantycznych, bohaterskich porywów minął. Gwałtowne namiętności wyrugowała pruderia, płomienny patriotyzm zastąpiła obywatelska lojalność, prawdziwy obraz świata przysłoniła gruba kotara wiktoriańskiej hipokryzji. Syty, ociążały, bogaty świat angielski najbardziej zresztą lubił w tych czasach oglądać swój wizerunek w postaci gładkiego oleodruku, gdzie w kółku rodzinnym, przy huczącym na kominku ogniu, szarzy ludzie przeżywali jedynie błahe, powszednie troski. I w końcu tak, jak być powinno – dobro zawsze zwyciężało, zło ponosiło zasłużoną karę.

Dickens jest idealnym piewcą tego właśnie świata. Widzi go wprawdzie okiem bystrego obserwatora, bez osłonek: pisze o nędzy przedmieść, potwornych więzieniach, niewolnictwie, bezlitosnym wyzyskiwaniu małych dzieci w fabrykach, lecz mimo to aprobejuje swoją epokę, apoteozuje ją niemal. Złote nici przepysznego humoru przetykają na kartach jego książek smutną pajęczynę codzienności tak, że zaczyna lśnić żywym blaskiem. Ale losy Dickensowskich bohaterów albo pobudzają czytelników do zdrowego, szczerego śmiechu, albo – najwyżej – do łagodnego uśmiechu, z odcieniem rzewnej zadumy. Granicy, za którą rozpoczyna się kłębowisko przeżyć beznadziejnie przerażających, brutalnych, tragicznych – nie przekracza nigdy.

Biskup Worcester, stawiać przeszło ćwierć wieku później, po przedwczesnej śmierci, pisarza, którego siły i zdrowie podkopały nieustanne długie podróże i męczące, coraz liczniejsze spotkania z tłumami wielbicieli, stwierdził, że wszystkie utwory Dickensa można bez obawy dać do rąk każdemu dziecku.

Andersen, w chwili gdy po raz pierwszy spotyka swego o siedem lat młodszego „przyjaciela i admiratora”, niedawno własnoręcznie skreślił niefortunny podtytuł swoich baśni: „opowiedziane dla dzieci”. – Kontrast ich twórczości tu chyba występuje najpełniej. Pesymizm, tragizm, bezwyjściowość, jakimi nacechowana jest większość jego baśni, ująć może naprawdę tylko powierzchownemu czytelnikowi albo dziecku, niezdolnemu zrozumieć nic więcej poza pozornie prościutką fabułą.

Młoda choinka marzy o coraz piękniejszych przeżyciach, ale odarta ze świecidełek, porąbana na kawałki, ginie w ogniu. Topnieje w płomieniach nieustraszony ołowiany żołnierz, pod ziemię zapada się rajski ogród, we mgle rozplywa się stęskniona mała syrena, zamarza na ulicy uboga dziewczynka z zapalkami. Nie pomagają największe ofiary: roztańczonej, próżnej dziewczynie kat ucina toporem nogi, a ona sama musi potem jeszcze długo pracować, pokutując za winę, która odpuszczona jej zostanie dopiero po śmierci, tam „gdzie nikt już nie pyta o czerwone trzewiczki”. W *Opowieści o matce* kobieta, chcąc ratować własne dziecko, na próżno ciepłem własnej piersi ogrzewa krzak cierniowy, wypłakuje oczy i oddaje swoje piękne czarne włosy za starczą siwiznę: śmierć mimo to unosi dziecko „do nieznannej krainy”. Dickens umie z ponurej szarzyzny wykrzesać słoneczne, pocieszające błyski bajki. Andersen w swoich najpiękniejszych, najbardziej fantastycznych, poetyckich baśniach – nie cofa się przed ukazaniem tragicznej rzeczywistości.

W tym samym 1847 roku napisał baśń, która nie przypomina żadnej z tych, które tworzył przedtem ani które powstaną później. Dedykowany Ørstedowi *Cień* – historia mędrca, który tworzy wielkie dzieło na temat prawdy dobra i piękna, lecz sam staje się sługą własnego cie-

nia, otoczona jest atmosferą lodowatej beznadziejności, zatapiałna w barwach ciemnych, ponurych. Autor zastrzega na wstępie, że nie zamierza kopiować dziejów Piotra Schlemihla ani żadnych innych wzorów – opowieść jest wyłącznie jego własnej inwencji.

Młody uczoney z północnego kraju, przebywając we Włoszech, wysła pewnego wieczoru do sąsiedniego mieszkania, skąd dochodzi dziwna muzyka, własny cień na przeszpiegi. Ale cień nie wraca już do swego pana. „Korzenie” jego jednak pozostały: uczonemu w drodze powrotnej wyrasta nowy cień. Mędrzec niebawem o całej tej sprawie zapomina. Po wielu latach odwiedza go chudy, wysoki, elegancki nieznajomy. Dawny cień stał się człowiekiem dzięki Poezji, do której domu niegdyś go wystano. Przekształcając się w ludzką postać przez długi czas nie podlegał prawom ciężenia. Dzięki temu mógł poznać najintymniejsze ludzkie tajemnice, docierając wszędzie, widząc i słysząc wszystko. Szantażował potem umiejętnie swoje ofiary, dorobił się w ten sposób fortuny i chce teraz złożyć okup dawnemu swemu panu, uwalniając się od niego na zawsze.

Mędrzec nie przyjmuje okupu. Żegna swojego gościa, obiecując nie zdradzać jego tajemnicy. Rok później cień odwiedza go znowu. Mędrceowi powodzi się coraz gorzej: nikt nie chce kupować jego książek ani nawet ich czytać. Cień proponuje mu podróż, w której przejąłby dawną jego rolę: zostając cieniem własnego cienia. Uczony tę propozycję przyjmuje.

Tu właśnie – po latach, przechowana, nigdy nie zapomniana, powraca sprawa niedoszłego „braterstwa” z młodym Collinem:

„Uczony pewnego dnia powiedział do cienia:

– Ponieważ jesteśmy towarzyszami podróży i wzrastaliśmy wspólnie od dzieciństwa, powinniśmy wypić na «ty».

– Przemówił pan – odparł cień, który obecnie był panem – bardzo szczerze i w dobrej intencji; postaram się mówić równie szczerze i życzliwie. Pan, jako uczoney, wie dobrze, jak dziwna jest natura ludzka. Bywają ludzie, którzy nie mogą dotknąć szarego papieru, bo robi im się słabo, inni znów nie mogą znieść skrobienia żelazem po szkłe; ja zaś doznaję podobnego uczucia, gdy słyszę, jak pan mówi do mnie: «ty», przygniata mnie to do ziemi, jak wówczas, gdy byłem jeszcze na służbie u pana. Widzi; pan, to nie duma, tylko wrażliwość: nie zniosę, żeby pan mówił do mnie: «ty». Natomiast chętnie będę «tykał» pana, żeby przynajmniej w połowie spełnić pańskie życzenie...

«Tego chyba za wiele. On mnie tyka, a ja nazywam go panem» – pomyślał uczoney, lecz nie mógł na to już nic poradzić.”

Przybywają do modnego uzdrowiska. Leczy się tam królowna, cierpiąca na osobliwą chorobę: zbyt wyraźnie wszystko widzi. Dostrzegła zaraz, że nowy przybysz nie ma cienia. Ale uwierzyła jego zapewnieniom, że towarzyszy mu cień niezwykły, któremu pozwolił przebrać się za człowieka. Królowna zakochała się w obcym przybyszu. Postanowiła jednak podać go surowemu egzaminowi, chcąc się przekonać, czy istotnie jest tak mądry, jak jej się wydawało. Przy trudniejszych pytaniach odsyłał ją zawsze do czekającego pokornie u drzwi cienia, który niezawodnie dawał zawsze trafne, rozumne odpowiedzi. Królowna już się nie wahała: zgodziła się zostać żoną człowieka, którego cień był tak mądry.

Lecz w przeddzień ślubu dawny cień zażądał od uczonego, żeby – w zamian za wysoką pensję – pozwalał odtąd nazywać się tylko cieniem, nigdy nie zdradzając, że jest człowiekiem. A ponadto, raz do roku, gdy pan ukazywać się będzie swoim poddanym na osłonecznionym balkonie – cień musi leżeć u jego stóp. Mędrzec zbuntował się wreszcie: tego już za wiele, nigdy nie zgodzi się na takie oszustwo i natychmiast wyjawia całą prawdę.

„Nikt ci nie uwierzy – powiedział cień. – Uspokój się, bo zawołam strażę.

– Idę wprost do królowny! – krzyknął uczoney.

– Ale ja pójdę najpierw! – odpad cień. – A ty pójdziesz do więzienia.”

Bez trudu przekonał ukochaną, że jego biedny cień oszalał: uroił sobie, że to on jest człowiekiem, a pan jego – cieniem. Królowa także współczuje nieszczęśnikowi: skoro do tego stopnia zatracił poczucie rzeczywistości, „prawdziwym dobrodziejstwem będzie pozbawić go tej odrobiny życia, jaka jeszcze mu pozostała”.

Wieczorem odbywa się huczne wesele: grzmią armaty, żołnierze prezentują broń i ludność wznosi wiwaty na cześć młodej pary.

„Ale uczony już tego wszystkiego nie słyszał, bo sprzątnięto go po cichu.”

Nic tu już dla dzieci. Zwięzła opowieść wydaje się niemal nie-Andersenowska. Napisana została z chłodną, okrutną prostotą. Bohaterowie jej – w przeciwieństwie do wielu innych Andersenowskich baśni – są anonimowi, w głównych swoich zarysach niemal statyczni. Postaci są gotowe, pełne, charaktery ukształtowane. Jedynie dawny cień przechodzi groźną stopniową ewolucję, przekształcając się w człowieka. Wielowarstwowa (chyba nigdy nie dość podkreślać w baśniach Andersena to właśnie spiętrzanie, nakładanie się i przeplatanie ze sobą poszczególnych warstw) wymowność mitu jest w tej ascetycznie surowej formie najpełniejsza. Umowność służy tu bowiem nie tylko treści, lecz i formie: konwencja baśni umożliwia autorowi najswobodniejsze wyrażenie własnych myśli, najbardziej wyrazistą ekspozycję problemu: egzystencjalnej bezwyjściowości, katastrofy niemożności, całkowitej niewiary w ostateczny triumf „prawdy, dobra i piękna”.

Tragiczny mit pozbawiony został ponadto tym razem nawet pociechy słonecznego krajobrazu, w którego opisach celował przecież Andersen i którym tak często – przedtem i nawet później jeszcze – rozjaśniał gorzkie swoje opowieści. Ani śladu też tutaj dziecięcego naiwnego optymizmu, odwoływania się do wszechpotężnej pomocy Opatrzności, magicznych sił, dobrych wróżek. Główny bohater to cynik, pozbawiony wszelkich skrupułów. Szantażuje swoje ofiary, zdobywa fortunę, wykorzystuje szlachetnego mędrca i sprawnie usuwa go z drogi gdy staje mu się nieposłuszny i niewygodny.

Cień w całej twórczości Andersena zajmuje szczególne miejsce. Autor tej opowieści nigdy nie stanie się pisarzem, którego – przynajmniej w potocznym znaczeniu tego słowa – uważać można za „zaangażowanego społecznie”. Daleko mu również do postawy buntownika rewolucjonisty czy choćby dydaktyka. W osobistym swoim życiu pozostanie do końca wiernym poddanym duńskiego monarchy, z niemałą – i czysto ludzką przecież – satysfakcją skrzętnie rejestrującym wszelkie dowody uznania, zwłaszcza tego, które okazują mu wysoko w hierarchii społecznej postawione osoby, i chętnie, skwapliwie przyjmującym zewnętrzne jego obawy: tytuły, order, zaszczyty, podarunki i pieniądze.

Lecz Andersen przede wszystkim jest poetą. Jedynym w swoim rodzaju. To banalne, wytarte już określenie przylega do tej twórczości jak żadne inne. I w poetyckiej swojej twórczości, której najwspanialszym wyrazem są baśnie, z czasem na wskroś już świadomie wybiega daleko poza granice wszelkich ówczesnych konwencji literackich.

„Bez namiętności nie sposób istnieć” – pisał Kierkegaard. Prawdy nie wolno rozważać jedynie obiektywnie, gdyż sami jesteśmy zbyt mocno złączeni z istniejącym światem, żeby rozważania takie mogły wystarczyć. Znowu uzupełniają się tu nawzajem ci dwaj wielcy współcześni: beznamiętne poszukiwania nie wystarczały żadnemu z nich – zbyt mocno, zbyt osobiście złączeni byli z otaczającym światem, każdy z nich był ponadto sam w swoisty sposób dotknięty „dziwną chorobą” – zbyt ostro i wyraźnie widział ów świat osądzał go subiektywnie, z pełnym zaangażowaniem umysłu, serca i talentu.

Pisarstwo Andersena z krainy romantycznych symboli, tradycyjnych ludowych opowieści i czarodziejskiej fantastyki przechodzi odtąd na rozległe obszary zróżnicowanej społecznie karykatury, kompromitacji postaw ludzkich, satyrycznej ich syntezy.

Cień ukazuje wymownie i jednoznacznie dezintegrację moralnych wartości, która stanie się przyczyną wielkiego kryzysu nadchodzącej epoki. Ideały „prawdy, dobra i piękna”, skon-

frontowane z rzeczywistością, ustają bezlitośnie obalone. Triumfuje sprytnie szalbierstwo, umiejętnie wykorzystywanie pozorów, zarozumiała ignorancja, bezpiecznie osłonięte potężnym autorytetem władza i pieniądza. Daleka, choć bardzo konsekwentna droga prowadzi od wczesnej satyrycznej miniatury o nowych szatach cesarza aż do tej opowieści, ileż głębiej i bardziej wnikliwie ukazującej te same problemy.

Rzeczywistość, jaką Andersen dostrzega wokół siebie podczas tego pierwszego pobytu w Londynie, także – mimo wszelkie hołdy – przeraża go, nuży i męczy. Kurz, zgiełk, turkot, kłęby dymu nad szarym kamiennym miastem, jaskrawy kontrast eleganckich dzielnic, wytwornych salonów, dumnie rozpartych dandysów we wspaniałych ekwipażach i czarnych, straszliwych ruder „slumsów”, cuchnących rynsztoków, kalek w łachmanach, wychudzonych jak szkielety, obdartych dzieci, rzucających przechodniom nieme, błagalne spojrzenia (żebraczka była w ówczesnej Anglii surowo zabroniona).

Rok zaledwie po tej podróży powstają następne baśnie. Obok przejmującej *Opowieści o matce*, dziejów starego domu, zabawnej satyry o zarozumiałym kołnierzyku, nowy tomik zawiera inne jeszcze utwory. Historię sytych i zadowolonych ślimaków pod łopuchowym liściem, które – dumne ze swego „urodzenia” i doskonale obojętne na wszystko dokoła, uważają się za idealnie szczęśliwą rodzinę. I – znowu dedykowaną Örstedowi – króciutką opowieść o dwóch starych czarownikach. Jeden z nich pokazuje drugiemu dziwne zjawisko:

„...wyglądało to doprawdy jak wielkie miasto, po którym ludzie biegają bez ubrania. I było straszne, ale jeszcze straszliwiej było patrzeć, jak jeden potraçał tam i popychał drugiego, jak się wzajemnie szczypali i skubali, rozszarpywali i gryźli. To, co znajdowało się na dole, musiało się wydostać na wierzch, a co na wierzchu – musiało iść na dół. «Patrz, patrz! Jego noga jest dłuższa od mojej! Trrach! Precz z nią!» – «A tamten ma za uchem guz, mały, niewinny guz, ale dręczy go on i wobec tego należy udręczyć go jeszcze bardziej.» Rzucili się więc na niego, szarpiąc na wszystkie strony i pozarli – wyłącznie z powodu tego maleńkiego guza. A inny znów siedział cichutko w kącie, niczym mała, niewinna panienka, pragnąc dla siebie jedynie spokoju i ciszy. Lecz oto wyszarpnęli teraz także i tę panienkę, rozdarli na dwoje i pochłonęli.

- To niebywale interesujące – powiedział czarownik.
- A jak sądzisz: co to jest? – zapytał Krętu–Wętu. – Czy potrafisz dojść, co to takiego?
- Przecież to łatwo poznać – odparł tamten. To Kopenhaga albo jakieś inne wielkie miasto, wszystkie one są przecież podobne do siebie. To wielkie miasto.
- To woda z rowu – odpowiedział Krętu–Wętu.”

11

„Polityka, ta wszystko pochłaniająca hiena, nie zdołała dotąd jeszcze odstraszyć Muz ani Gracji” – pocieszała się „Muza epoki”, Hanna Luiza Heiberg. Lecz historyczny czas, coraz bardziej burzliwy, zdecydowanie nie sprzyjał estetycznej idylli.

Błędne ogniki – nie, prawdziwy, gwałtowny ogień ogarniał kraje i miasta. Wichur dziejowy spieszenie przemieniał szyldy. W lutym 1848 roku, z kawiarni La Vachette w studenckiej dzielnicy Paryża padły pierwsze rewolucyjne strzały. Ludwik Filip, jako niepozorny Mr William Smith, umknął do Anglii. Wszechpotężny do niedawna Guizot za nim. Wystraszony

Metternich w kobiecych sukniach uciekł z Wiednia. A wichrem niesiony płomień niósł się coraz dalej – ogarniał Włochy, Prusy, Węgry, Polskę.

Nie oszczędził i Danii. Dotknął punktów najłatwiej zapalnych, gdzie ferment wzbierał już od dawna: księstw Lauenburga, Holsztynu i Szlezwiku na południu Jutlandzkiego Półwyspu. Ludność tych ziem była przeważnie niemieckiego pochodzenia i gdy po kongresie wiedeńskim powstał Związek Niemiecki, Holsztyn do niego przystąpił. Szlezwik, nierozdzielnie z Holsztynem złączony, wprawdzie nie należał do Związku Niemieckiego, lecz poparł separatystyczne dążenia swego sąsiada.

W Danii w ciągu ostatnich lat dwudziestu nastąpił okres gospodarczej stabilizacji. Patriarchalny absolutyzm znajdował dotychczas oparcie w mieszczaństwie, z którego pomocą został wprowadzony w 1660 roku – prowincjonalne stany miały jedynie głos doradczy. Z czasem jednak liberalne oświecone mieszczaństwo i środowisko uniwersyteckie zaczęły domagać się aktywnego udziału w rządzeniu krajem. Nowiny zagraniczne przenikały do „małego królestwa” i wzburzały umysły. Głosy krytyki rozlegały się już za panowania Fryderyka VI: żądano przeprowadzenia dalszych, dalekosiężnych reform ustroju i gospodarki, wspomniano o konstytucji. Król zdołał – przynajmniej zewnątrz – stłumić te objawy niezadowolenia. Szczególną opieką cenzury otoczono duńską prasę liberalną, zabroniono również sprzedaży postępowych gazet norweskich. Chrystian III był za młodu regentem Norwegii. I właśnie wówczas – w 1814 roku – kraj ten uzyskał już konstytucję, bodaj najbardziej demokratyczną w całej Europie. Lecz dawny regent norweski, obejmując ew własnym kraju dziedzictwo tronu, miał już pięćdziesiąt trzy lata. Młodzieńczych ideałów poniechał od dawna. W Danii dążył jedynie do zapewnienia sukcesji i nienaruszalnego od stuleci prawa absolutnej władzy.

W 1840 roku mignęła wprawdzie błyskawica, zdająca się zapowiadać istotne zmiany. Młody pisarz Meir Aron Goldsmid założył w Kopenhadze pismo, które nakładem swoim – trzytysięcznym – przewyższyło wkrótce poczytność najważniejszych dzienników. „Korsarz” – zjadliwie radykalny, wyraźnie antyroyalistyczny – wszelkimi sposobami wyszydza wielkich tego świata. Umie też zgrabnymi aluzjami omijać czujność cenzury. Zanepokojeni konserwatyści także kupują go cichaczem i chciwie czytają. Stopniowo niepokój ich zamienia się w płomienne oburzenie: natarczywie domagają się od Kierkegaarda, żeby całym swym polemicznym impetem zaatakował światoburcze pisemko. Ufają w nieomylną celność słowa osobliwego filozofa, a ponadto znają go przecież jako zawsze lojalnego dotąd obrońcę państwa i Kościoła.

Ale „Korsarz” atak uprzedza, choć niedawno jeszcze pod samo niebo wynosił pisarskie zasługi znakomitego już autora. Z końcem 1845 roku pojawia się w eleganckiej oprawie estetyczny rocznik literacki „Gea” – zwykły redakcyjny podarek noworoczny. Tym razem nie jest on taki zwykły. Zawiera nie tylko złośliwą krytykę ostatniej pracy Kierkegaarda, *Stadiów na drodze ludzkiego żywota*, lecz ponadto długi artykuł dawnego towarzysza klubowych spotkań, P. M. Möllera: *Odwiedziny w Sörö*, wymierzony rzekomo w osobę nieznanego twórcy, ukrytego pod pseudonimem Frater Taciturnus, lecz w istocie wycelowany w autora *Stadiów*. Kierkegaard podejmuje wyzwanie: odpowiada natychmiast w „Feadrelandet” drugoczącym atakiem na Möllera, ujawniające sprawę dotychczas najskrupulatniej tajoną: jego współpracę z „Korsarzem”. Zdemaskowany krytyk ponosi niemałą osobistą klęskę: nadzieje, jakie żywił na objęcie uniwersyteckiej katedry estetyki, wakującej właśnie po sędziwym już Oehlenschlägerze, rozwiewają się jak sen.

„Powolna to śmierć dać się zdeptać przez gęsi” – stwierdza melancholijnie Sören Kierkegaard. Powolna i niesławna. Goldsmid, który sam niezmiernie ceni jego pisarstwo, usiłuje jeszcze łagodzić konflikt: próbuje nakłonić Kierkegaarda do prośby o zaprzestanie dalszych na niego ataków. Lecz ustepliwość – szczególnie w sytuacji, w jakiej obecnie się znalazł – nigdy nie cechowała wielkiego filozofa. Trwa uparcie przy swoim. I w „Korsarzu” rozpoczyna

na się wściekła kampania, kontynuowana przez niemal cały 1846 rok. „Gęsi” walczą niską, nieszlachetną bronią: pospolitą kpina, brudnym oszczerstwem, wulgarną insynuacją. W każdym numerze pisma pojawiają się artykuły wyszydające Kierkegaarda na wszelkie możliwe sposoby, okrywające go śmiesznością, drwiące nawet z jego sposobu bycia, mówienia, ubrania. Największym powodzeniem cieszą się karykatury, na których znajdujący się pod ostrzałem tych niewybrednych inwektyw bohater figuruje w znoszonych, wymiętych spodniach, których nogawki są – niejednakowej długości. Lecz nie brak i zarzutów znacznie cięższego kalibru, obliczonych na bolesne, głębokie dotknięcie upatrzonych ofiary: Kierkegaard zostaje ukazany jako intelektualny arystokrata, rozrzutny bogacz, ze wzgardliwą obojętnością odnoszący się do biednych prostych ludzi, pozer, błazen.

Skandal staje się wkrótce publiczny. Kierkegaard nie odpowiada już na ataki. W dzienniku swoim notuje tylko: „Bóg świadkiem, że podle obchodzą się ze mną, znęcają się nade mną tak, jak znęca się dziecko nad kosztowną zabawką.”

Po ośmiu miesiącach tej batalii „Korsarz” zostaje wreszcie zmuszony do zwinięcia żagli. Goldsmid wyjeżdża do Niemiec, skąd wraca dopiero po paru latach, solidny już i ustatkowany. Zakłada w Kopenhadze poważny miesięcznik „Północ i Południe”, zdobywając niebawem nowych licznych czytelników. Lecz słynny zatarg z „Korsarzem” wywiera korzystny wpływ także na twórczość Kierkegaarda, który odtąd przestaje być autorem dzieł jedynie estetycznych, przechodząc świadomie do zagadnień filozoficznych i społeczno – religijnych.

W 1848 roku; w najbardziej krytycznym momencie czasu historycznego, umiera Chrystian VIII. Następca jego, Fryderyk VII, w bezradnym lęku patrzy na groźny tłum manifestujący pod oknami królewskiego pałacu. Oprócz zniesienia absolutyzmu i utworzenia nowego, liberalnego rządu manifestanci domagają się także odrzucenia żądań Szlezewiku i Holsztynu, które wysłały swoich przedstawicieli do stolicy, również pragnąc swobód konstytucyjnych. „Dania do Eideru!” rozbrzmiewa w Kopenhadze hasło. (Eider to rzeka, oddzielająca obie sporne prowincje.)

Przerażony król gotów jest do wszelkich ustępstw. Absolutyzm znika w Danii z dnia na dzień, bez jednego strzału. Lecz problem okazuje się bardziej skomplikowany. Antagonistyczne partie szukają oparcia poza granicami kraju. Narodowi liberałowie usiłują pozyskać dla swojej sprawy ruch skandynawski, zmierzający do zjednoczenia trzech północnych krajów i uniezależnienia ich od wielkich mocarstw. Stronnicy Holsztynu liczą natomiast na poparcie Związku Niemieckiego. Wybrany zostaje wreszcie nowy, liberalno – narodowy rząd, który odrzuca propozycje Szlezewiku i Holsztynu. W odpowiedzi ludność obu księstw chwytą za broń. Powstanie przekształca się natychmiast w konflikt o zasięgu europejskim. Prusy spieszą z pomocą Holsztynowi, zajmując część Jutlandii. Anglia i Rosja zgłaszają gwarancje dla Danii. Północni sąsiedzi – złączone unią Norwegia i Szwecja – wołają nie brać czynnego udziału w zbrojnym starciu. Królewskie wojska duńskie, otoczone przez powstańców w forcie Fredericia, dokonują 6 lipca 1849 nagłego wypadu, rozbijając powstańcze oddziały. Pod naciskiem Rosji – mocno zaniepokojonej poparciem udzielanym buntownikom przeciw władzy królewskiej w tak burzliwym czasie Prusy wycofują się z terenu walk. Po roku, gdy powstańcy ponownie zbierają rozproszone siły i ruszają do ataku, dochodzi do ostatecznej krwawej bitwy pod Isted, zakończonej 2 lipca 1850 roku całkowitym zwycięstwem królewskiej armii.

Lecz zwycięstwo nie przynosi rozwiązania spornych spraw. 5 czerwca 1849 roku Fryderyk VII podpisał wprawdzie akt wprowadzonej już spieszenie, podczas działań wojennych, konstytucji, ale przezornie ograniczył ją ściśle do terytorium Danii. Księstwa otrzymały konstytucję inną, znacznie mniej liberalną, którą zresztą – pod naciskiem sejmu frankfurckiego – Holsztynowi niebawem odebrano. Według tzw. „konwencji londyńskiej” z 8 maja 1852 roku,

sporne prowincje ponownie przyznano Danii. Mimo to w całym kraju nadal panują nastroje niepokoju, podniecenia i fermentu.

„Był sobie raz człowiek, który znał niegdyś wiele pięknych baśni, lecz później... żadna nie przychodziła już zastukać do jego drzwi. A dlaczego?... Bo wokół była wojna.

Bocian i jaskółka powróciły z dalekiej podróży, nie przeczuwając żadnego niebezpieczeństwa, a tymczasem zastały gniazda swoje spalone i domy ludzkie spalone również, a dobytek zniszczony... Straszne, ciężkie były to czasy.”

Andersen przeżywa je boleśnie. Na polityce nie zna się i znać nie chce. A oto... „wszystko stało się polityką”. Zdezorientowany, nieszczęśliwy, niemal obcy czuje się w tej Kopenhadze, gdzie huczy od wzburzonych dyskusji, polemik, hasel, gdzie ulice pełne są ochotników w nowiutkich mundurach. Spadają i na niego ciężkie zarzuty: częste wyjazdy do Niemiec, przyjaźń z księciem weimarskim, a także z dziedzicznym księciem Augustenborgu, Fryderykiem, który obecnie liczy na poparcie Związku Niemieckiego w utwierdzeniu swych spraw do Szlezwiku i Holsztynu, traktowane są jako dowody najczystszej germanofilii. Prawda: w Niemczech najwcześniej zaczęła wschodzić jego sława, ma tam wielu wypróbowanych przyjaciół i nie zamierza ich się wypierać, w Lipsku ukazało się pierwsze wydanie jego zebranych dzieł. Nie może – za przykładem patriotycznie oburzonego Ingemanna zdobyć się na odesłanie królowi pruskiemu tak niedawno otrzymanego orderu „krwawego” orła. Zarzucają mu brak patriotyzmu. Ależ on całym sercem kocha swój kraj, związany z nim jest jak najściślej, zawsze mimo wszelkie zatargi, nieporozumienia i przykrości za przykładem „jaskółki i bociana” powraca do Danii z długich swoich włóczęg po świecie. Umiłował i jak nikt inny umiał opisać piękno jej krajobrazów, bogactwo jej legend i dziejów, nie może tylko, nie potrafi uwierzyć w skuteczność rozwiązywania spornych problemów z bronią w rękę. Śmierć przyjaciela z lat najwcześniejszej młodości, pułkownika Lässe, który poległ pod Fredericią, nie pozwala mu również cieszyć się zwycięstwem, odniesionym przez królewską armię. Pisze wprawdzie w tym wojennym czasie wiele patriotycznych wierszy i pieśni dla żołnierzy – wśród nich najbardziej znaną: *W Danii się urodziłem* – lecz czuje się oszołomiony, wewnętrznie rozbity, głęboko przygnębiony.

W 1849 roku wyjeżdża do Szwecji. W życzliwej sąsiedzkiej gościnie, wśród nowych twarzy, nowych wrażeń czuje się wreszcie zdolny do podjęcia pióra. Pod wpływem tej podróży powstaje cykl *W Szwecji* – jeden z najciekawszych w tej dziedzinie jego twórczości – o kalejdoskopowym podtytule: *Niezliczone obrazki*. Odkrywa czytelnikom, przyzwyczajonym w tych czasach jedynie do zachwyty nad urokami słonecznej Italii i egzotyką Wschodu, surowe piękno tej północnej ziemi.

W Motala zwiedza wielki warsztat mechaniczny. Oprawdza go po nim „stary człowiek o dziwnie brzmiącym głosie”: zdezonizowany troll, dawny duch gór, który teraz stał się jego towarzyszem w wędrówce po nowoczesnym królestwie maszyn. Lecz krainą tą włada już inna postać:

„...Bezkrwisty, który zaczerpnął życie z myśli ludzkiej i dzięki niej uzyskał ciało z metalu, drewna i kamienia. Oto Bezkrwisty, któremu myśl ludzka użyczyła sił, jakich człowiek sam nie posiada. W Motala siedzi Bezkrwisty, rozpościerając twarde swoje ciało poprzez rozległe pomieszczenia i hale, a członki i części tego ciała to kółka, łańcuchy, pręty i grube żelazne druty. – Wejdz i spójrz, jak kawały rozżarzonego żelaza zostają sprasowane w długie żelazne tyki, jak Bezkrwisty przedzie owe ogniste pasma. Patrz: oto nóż rozcina ciężkie metalowe płyty, tnie je tak miękko i cicho, jakby to był papier; słuchaj, jak wali młotem, aż iskry bryzgają z kowadła! Spójrz jak łamie grube, metalowe pręty, jakby kruszył łaskę laku. Pod nogami szczękają ci długie kawały żelastwa, płyty żelazne zostają zestrugane na wióry, tuż nad tobą obracają się olbrzymie koła, a nad głową twoją biegną żywe druty i mocne, ciężkie żelazne sznury... jeśli zaś wyjdiesz stąd później na otwarte podwórze, między wielkie prze-

wrócone kotły, przeznaczone dla parostatków i kolei, Bezkrwisty i tam sięga swymi przeraźliwie długimi palcami, wszystko wprawiając w ruch. Wszystko jest żywe, jedynie człowiek stoi oniemiały i dech wstrzymuje!... Kręcisz się, odwracasz, zatrzymujesz, schylasz i sam już nie wiesz, co powiedzieć, przejęty wciąż dla myśli ludzkiej, która oto tutaj oblekła się ciałem z żelaza. A tymczasem ciężki żelazny młot potężnymi uderzeniami wału nieustannie, jakby mówił: «Banko, banko! oto wiele tysięcy talarów czystego zysku! Banko, banko!»»

Nieodrodny uczeń Örsteda nie czuje się bynajmniej przerażony na progu nowych czasów, przeciwnie: pełen jest radosnej afirmacji dla ducha, tak skutecznie działającego w przyrodzie na pożytek ludzkości. Nie dostrzega jeszcze niebezpieczeństw, kryjących się w długich, zwinnych i zachłannie chciwych palcach „Bezkrwistego”, którego obraz kreśli z takim entuzjazmem.

W 1848 roku ukazuje się następny zbiór *Nowych baśni*. I jednocześnie, po wieloletniej przerwie, wydaje Andersen tym razem w Anglii, nie w Danii nową powieść – *Dwie baronowe*. Nie zawierała – wyjątkowo – akcentów autobiograficznych, mimo że autor nie odmówił sobie przyjemności ukazania własnej osoby przynajmniej w satyrycznie naszkicowanej, ubocznej postaci zabawnego kamerjunkra. Główne bohaterki powieści pochodzą z gminu: jedna jest córką pospolitego włóczęgi, druga – dzieckiem ubogiego chłopca, krzywdzonego przez dziedzica – tyrana. Lecz dzięki osobistym, duchowym zaletom obie zdobywają szacunek i świetną pozycję społeczną. Teza na wskroś aktualna: szlachectwo ducha ważniejsze jest od „wysokiego urodzenia”. Sztywne i nienaruszalne dotychczas granice stanów i klas zaczynają zresztą zacierać się i w rzeczywistości. Arystokratyczne herby przesłoni już niebawem i w Danii dym fabrycznych kominów, a łomot maszyn i brzęk pieniędzy zamąci błogi spokój dawnych lat.

Z relacji o swojej szwedzkiej podróży przynosi Andersen wiele do baśni: *Babunia*, *Opowiadanie*, *Niema księża*, *Ptak Feniks*. I w licznych baśniach przytacza mnóstwo realistycznych szczegółów współczesnego życia. Bohaterowie ich wyjeżdżają „do wód”, czytują gazety, grają na fortepianie, chodzą do teatru i na koncerty, mają swoje muzea i uczonych. Uczeni ukazywani są wprawdzie najczęściej w krzywym zwierciadle satyry, jak ów mędrzec, mianowany „dzwonnikiem świata”, który co roku pisał rozprawkę o sowie („a każdy po jej przeczytaniu był tak samo mądry, jak i przedtem”), albo nadworny muzyk chińskiego cesarza, autor dwudziestopięciotomowego dzieła o sztucznym słowiku (tak długiego i pełnego najtrudniejszych chińskich wyrazów, że wszyscy twierdzili, iż przeczytali je i zrozumieli, gdyż inaczej nazwano by ich głupcami i deptano by im po brzuchach).

Tu właśnie sztuka staje się krytyką sztuczności, tu dokonują się porachunki z wiecznie niezadowolonymi krytykami, uświęconymi strażnikami frazesu i banału, którzy tylekroć założyli za skórę rozgoryczonemu autorowi. Ileż się od nich nasłuchał, gdy w *Bazarze poety*, opisując oglądany w Smyrnie księżyc na nowiu, wspomniął o jego pełnej, okrągłej, ciemnoniebieskiej tarczy, gdy w jednym z wierszy pozwolił sobie na opis tęczy w blasku księżyca i przy niezliczonych innych jeszcze okazjach. Doszczętnie wyzuci z poczucia humoru, pozbawieni krztyny wyobraźni, z dostojną powagą odczytywali wszystko dosłownie i ferowali swoje wyniosłe wyroki. Pisał najprościej w świecie: „Gdybym był malarzem, narysowałbym ten most, nie jestem jednak malarzem, jestem pisarzem i wobec tego muszę powiedzieć...” Lecz oni konkludowali z niesmakiem:

„Jest tak próżny, że oto sam nam opowiada, że jest pisarzem!” Cóż dziwnego, że pomstował na nich ze złością, że są „jak mokre psy, które nawet najspokojniejszy w świecie człowiek ma ochotę bić, kiedy włożą nam do pokoju i kładą się na najlepsze miejsca”.

Lecz najświetniejsze obrazy powstają pod piórem Andersena, gdy dotyka nim zwykłych przedmiotów, sprzętów, roślin i przemienia je swym poetyckim słowem. Zapewne: inne są życiowe doświadczenia kwitnącej róży, inne – ślimaka, wróbla albo kreta, inne jest pojęcie

czasu dla młodej choinki niż dla starej emerytowanej latarni. Ale zasadniczy temat jego baśni: wieczna walka „naiwnego” geniusza z sytą, beznadziejnie ograniczoną tępotą, egoizmem, zakłamaniem, zarozumiałstwem, ukazany zostaje najczęściej nie na „typowych” przykładach postaci ludzkich, lecz na bohaterach wyraźnie zindywidualizowanych. Antropomorfizm jest tu jedynie pozorny. Identyfikacja – podobnie jak w przypadku samego autora tych baśni przedstawianej postaci z cechami, które reprezentuje – na wskroś żywa i realna. Słyszając jej opowieść, widzimy ją prawdziwie, taką jaką jest – może nam przypominać nas samych lub kogoś z dobrych naszych znajomych – ale nigdy nie przypomina jedynie ilustracji do dydaktycznej odautorskiej tezy. Inną historię potrafi opowiedzieć zawiedziony wielokrotnie w miłosnych konkurach kołnierzyk, jeszcze inną – szyjka butelki, czajnik, kałamarz czy też zwykły klucz. W inny sposób przejawia niezadowolenie z niskiej swojej pozycji społecznej połama-na, sklejona lakiem i mimo wszystko za nic nie rezygnująca z fałszywych swoich ambicji popospolita igła, w inny – żelazko które wyobraża sobie, że jest co najmniej kotłem parowym, taczka wynajdująca pokrewieństwo z pięknym powozem lub dziecinny konik na biegunach, który pragnąłby się przekształcić w rasowego rumaka. Ale rewolucyjnych deklaracji ani umoralniających kazań taka postawa poety – bajkopisa nie umożliwia. I Andersen wcale wygłaszać ich nie pragnie. Okazuje raczej swoim słuchaczom – czytelnikom obraz pozbawiony – znowu pozornie tylko – wszelkich głębszych refleksji: obraz ich samych i obraz świata, na którym żyją, myśli, pragnień, uczuć, charakterystyk, postaw. Wyciąganie wniosków z tej lektury najczęściej im pozostawia. Pomawiany przez krytyków i powierzchownych czytelników o prostoduszną naiwność, w latach najpełniejszego rozkwitu swojego pisarstwa – całkowicie świadomie i nie bez pewnej kokieterii – wykorzystuje przypisywany mu nadal uparcie prymitywizm. Satyra jego wnikliwa, ironiczna, gorzka, wymierzona w wyraźnie określony cel, wcale nie była naiwnie dobroduszna, a najmniej już – infantylna.

W 1850 roku umiera Adam Oehlenschläger. Śmierć jego jest niemal symbolem: w połowie stulecia także i w literaturze otwiera się nowa epoka. Dawne gwałtowne spory z Heibergiem od dawna wygasły. I sam Heiberg zresztą stary już rozczarowany, rezygnuje z dotychczasowej dyktatury. Życie wokół przybiera formy mocno odmienne od ideału dawnych estetyków. Nie tylko w Danii.

Rok później, gdy Andersen wydaje tom wrażeń podróżniczych *W Szwecji*, Sztokholm przeżywa właśnie niemałą sensację. Redaktor literacki liberalnego pisma „Abendblatt”, prawie sześćdziesięcioletni Karol Jonasz Love Almquist, ucieka nagle do Ameryki. Iście balzackowska to ucieczka: nie tylko przed długami, lecz i przed procesem, grożącym mu z powodu wykrytych malwersacji, a nawet przed podejrzeniem o udział w otruciu znanego nieubłaganego lichwiarza.

Almquist pozostawał w młodości pod silnym wpływem mistyka-teozofa Swedenborga, nauczającego, że w Bogu cel najwyższy, ludzie zaś powinni dążyć do harmonii, nie zmaconej ziemskimi niepokojami. Młody Almquist usiłował realizować te ideały: napisał rozprawę *O znaczeniu ubóstwa w Szwecji*, dowodząc, że jedynie nie związany z materialnymi korzyściami człowiek zdolny jest zachować swobodę i młodość, ożenił się z chłopką, osiadł na wsi, lecz już po dwóch latach musiał zrezygnować z owej sielanki.

Nadal natomiast ostro krytykował istniejące wówczas w Szwecji stosunki społeczne. Tak stanowczo domagał się wyrugowania wszelkich zakłamanych konwenansów, że po opublikowaniu noweli *Można i tak*, demaskującej rozkład małżeństwa na przykładzie pewnej drobnomieszkańskiej rodziny, przyplacił to w 1839 roku utratą zajmowanego wówczas stanowiska rektora szkoły.

Apoteoza ubóstwa nie na wiele zdała się Almquistowi w codziennym życiu. Nie potrafił uporać się z otaczającą go rzeczywistością. Grząż w długach, w coraz poważniejszych kłopotach materialnych, a jego niespodziewana ucieczka ze stolicy wprawiła liberałów w nie-

mały popłoch. Po czternastu latach wrócił zresztą do Europy – pod przybranym nazwiskiem – i w rok później zmarł w Bremie. Dopiero z początkiem nowego stulecia szczątki autora *Księgi cierniowej róży*, bezkompromisowego bojownika o odnowę życia, któremu sam nie mógł sprostać, przewieziono uroczyście do Szwecji. „Bezkrwisty”, tak podziwiany przez Anderse- na duch nowych czasów, w groźny, nieubłagany sposób zatriumfował tu nad artystą.

Syn pastora z niewielkiej miejscowości Dovrefjeld, spokrewniony z najstarszymi chłop- skimi rodami Norwegii, wcześniej opowiedział się po stronie nowej epoki:

„Nie jestem pisarzem przy biurku – zwierzał się w liście do Hanny Luizy Heiberg – muszę obracać się wśród żywych ludzi i sam przeżywać to, o czym chcę pisać.”

Młody Bjørnstjerne Bjørnson początkowo działa zresztą głównie jako dziennikarz i poli- tyk. wydaje ostrą walkę romantycznym, „chorobliwie marzycielskim wędrownikom w świetle księżycy i lękom przed światłem dnia”. Lecz pisarzem – realistą staje się dopiero po powrocie ze swej podróży do Danii. 1857 roku wydaje pierwszą książkę *Synnöve Solbakken*. „Nie pi- sałem jej – wyzna pół wieku później – po to, żeby stworzyć opowieść. Walczyłem o chłop- stwo... Życie naszego narodu trzeba było koniecznie ukazać na tle historii, a chłopstwo sta- nowiło jej podstawę.” Niebawem forma noweli już mu nie wystarcza. Próbuje powieści, dra- matu. (Pierwsze jego sztuki, podobnie jak już wkrótce sztuki darzącego ją gorącym uwielbie- niem Ibsena, wystawia i reżyseruje Frue Heiberg.)

Andersen poznaje go podczas jednej z licznych podróży i już w 1863 roku nazywa „naj- większym pisarzem Północy”. Rok później Bjørnson opuszcza Norwegię na czas dłuższy. Utartym szlakiem wszystkich północnych ptaków jedzie do Niemiec i Włoch. I na niego działa ożywczo ta pielgrzymka: po powrocie z jeszcze większą pasją zwalcza wszystko, co tak niezmiernie oburza go, we własnym kraju: ciasną dewocję, niebezpieczną ograniczoność umysłów, bezmyślną chłopomanię tak modną wówczas w miastach. Lecz cechuje go nie tyl- ko postawa bojownika. Podobnie jak Andersen przeświadczony jest od najmłodszych lat o swoim artystycznym powołaniu i pełen optymistycznej wiary w przyszłość. W 1872 roku ostatnie opowiadanie, które napisał, zanim w twórczości swojej zwrócił się ku szerszym, ogólniejszym problemom – *Marsz weselny* – dedykował Andersenowi, którego poetycki i satyryczny kunszt podziwiał z głębi serca.

„Wymienić nazwisko Bjørnsona to rozwinąć sztandar Norwegii!” – mówiono patetycznie o nim. A przecież i on jest pełen sprzeczności, uwikłany w przykrą polemikę z racji odezw, w której wyzwał walczącą Danię do „zmiany sygnałów” i orientacji proniemieckiej; przez krótki czas entuzjasta pangermanizmu; gwałtownie zrywający kontakty z bliskim mu niegdyś środowiskiem idei Grundtviga, później także z chrystianizmem, którego był dawniej gorącym wyznawcą, lecz mimo błędów, porażek, konfliktów, wojujący nieustępliwie z wszelkimi przejawami stęchlizny moralnej i krzywdy społecznej. Twórczością swoją wywiera ogromny wpływ nie tylko w kraju. W ostatnich latach życia pasjonuje go zwłaszcza sprawa walki o wolność uciskanych narodów. Jeszcze na łożu śmierci zaczyna pisać poemat o Polsce, w któ- rym znów pragnie wyrazić swoją wiarę w ideał rozumnego dobra *Dobre uczynki ocalają świat* – brzmi tytuł utworu, którego nie dane mu już było dokończyć.

Henryk Jan Ibsen, zaledwie pięć lat starszy od Bjørnsona, był synem zamożnego norwe- skiego kupca w miasteczku Skien. Rodzinny jego dom stał przy rynku w dość osobliwym są- siedztwie: kościoła, aresztu, pręgierza i zakładu dla obłąkanych. Lecz piętnastoletni chłopak zrywa już wszelkie niemal kontakty z konserwatywną rodziną, mocno zubożałą po bankruc- twie ojca. Chce iść własną drogą. Pragnie zostać malarzem, lecz zmuszony zarabiać na życie, pracuje jako pomocnik aptekarza w małej mieścinie Grimstad. Gdy wreszcie po paru latach dostaje się do Krystianii, okazuje się, mimo aptekarskiego terminowania, zupełnie nie przy- gotowany do studiów uniwersyteckich. Życie pulsujące wokół interesuje go znacznie bardziej od aorystów i deklinacji: jest rok 1848. Ibsen wysyła na Węgry płomienną pieśń o wolności,

nawiązuje kontakty z radykalnymi i robotniczymi środowiskami, omal nie zostaje aresztowany podczas demonstracji ulicznej. Zakłada na wzór duńskiego „Korsarza” „tygodnik satyry literackiej i opozycji politycznej”. Lecz bojowy „Andhrimmer” żyje znacznie krócej od swego kopenhaskiego poprzednika – numery pisma ukazują się zaledwie od stycznia do września 1851 roku.

Znakomity skrzypek norweski, Ole Bull, który pierwszy, po powrocie z Ameryki, przekazał Andersenowi wiadomości o jego sławie, wschodzącej już również za oceanem, zakłada w 1850 roku w Bergen narodowy teatr norweski. Działa tam również już i Björnson. Teatr w Bergen, w przeciwieństwie do starego teatru w stolicy, ma stać się ośrodkiem norweskiej dramaturgii, zwalczać niewolnicze naśladownictwo mdłego, estetyzującego wykrygowanego stylu ówczesnego teatru duńskiego. W tym samym czasie powstaje w Kopenhadze popularny teatr „Casino”, dla którego Andersen adaptuje swoje baśnie. Ibsen także pisze dla nowej sceny w Bergen liczne sztuki. Zaprzyjaźnia się z Björnsonem. Łączą ich wspólne ideały: umiłowanie postępu i narodowej niezależności. Ale i dzieli wiele. Björnson – w przeciwieństwie do swego przyjaciela pogodnie, choć bystro patrzy na świat, jest przy tym zaradny, obrotny, praktyczny. Zdobywa dla Ibsena stypendia i zapomogi, ułatwia mu znajomość z największym w krajach skandynawskich wydawcą kopenhaskim, Fryderykiem Heglem, który odtąd wydaje jego utwory.

Lecz już sześć lat później gorąca przyjaźń zostaje gwałtownie zerwana. Ibsen nie może darować Björnsonowi zdrady sprawy jedności Skandynawii i wezwania Danii do „zmiany sygnałów”, równającej się rezygnacji ze Szlezewiku i Holsztynu. W odpowiedzi na ten jego apel pisze wiersz *Sygnaly Północy*, w którym potępia wyszydza dawnego druha, zmiennego niczym kurek na kościele. Björnson z kolei, niezależnie od dzielących ich wówczas różnic politycznych głęboko jeszcze religijny, nie potrafi pogodzić się z ateizmem Ibsena i jego mroczną, pesymistycznie gorzką powagą.

Czas zaciera te ostre różnice: po dziesięciu latach znowu podejmują wspólnie walkę. Dawną przyjaźń zacieśnia jeszcze mocniej małżeństwo syna Ibsena z córką Björnsona. A gdy w Norwegii po premierze *Upiorów* rozpoczynają się wściekle ataki konserwatystów na bezbożność, rozkładowość, niemoralność Ibsenowskiej sztuki – Björnson skutecznie i z pasją staje w obronie „pisarza – oskarżyciela”.

Ibsen – w przeciwieństwie do Andersena – wcześniej i na długo porzuca ojczyznę. Czuje potrzebę dystansu wobec tej Norwegii, gdzie tak często ogarnia go pełne gorczy zwątpienie, gdzie „budowę kościołów ciągle jeszcze uważa się za ważniejszą od budowy teatrów” i gdzie „raczej popiera się misje u Zulusów niż muzea i sztuki piękne”. Lecz choć niemal ćwierć wieku spędza we Włoszech i w Niemczech, głównie w Monachium, nie przestaje tęsknić za rodzinną ziemią. Mimo to w siedem lat po powrocie z dobrowolnego wygnania znowu narzeka: „kto w tyłu obcych krajach znajdował schronienie, w głębi serca już nigdzie nie czuje się w domu, nawet we własnym.” Ale nie traci nadziei, że młode, następne pokolenie będzie już tym, które powita nadchodzący czas godnie i bez lęku. I pracuje zachłannie, gorączkowo, nieustraszenie, jakby w przeczuciu, że wkrótce już atak paraliżu porazi go, unieruchomi, na sześć długich lat przedłuży jeszcze tylko jego istnienie w nowym stuleciu, na zmałym, niespokojnym świecie.

Andersen często odwiedzał Szwecję, w Norwegii był jednak raz tylko, pod koniec życia. Lecz umiał znakomicie uchwycić specyficzne cechy charakteru sąsiadów: groteskowo – w fantastycznym *Wzgórzu elfów*, i satyrycznie – w baśni. Szowinistyczne i skrajnie nacjonalistyczne tendencje Norwegów zostały w niej wykpione nielitościwie, ale rodaków autor bynajmniej nie oszczędził:

SZMATY

„Przed fabryką, na podwórzu, stały wielkie sterty szmat; zniesiono je tutaj ze wszystkich stron. Każda szmata miała swoją historię, każda wygłaszała osobną przemowę, ale nie sposób każdej wysłuchać. Niektóre szmaty pochodziły z kraju, inne z obcych stron. Szmata duńska leżała obok norweskiej. Pierwsza była na wskroś duńskich przekonań, druga – równie na wskroś norweskich, a kto zna uczucia obu tych narodów względem siebie, temu spotkanie to wyda się całkiem zabawne.

Poznały się wzajemnie po jednakowo brzmiącej mowie, mimo iż każdy z obu tych języków był, jak utrzymywała szmata norweska, tak różny od drugiego jak francuski od hebrajszczyzny.

– Jesteśmy szorstkie i proste jak szczyty naszych gór, a Duńczyk gada mową podobną do przesłodzonej dziecinnej kaszki i zawsze wokół sedna sprawy.

Tak mówiły szmaty; a szmaty są szmatami w każdym kraju i warte są coś jedynie pośród szmat.

– Ja jestem Norwegiem – mówiła szmata norweska – a skoro powiadam, że jestem Norwegiem, sądzę, że dość już zostało przez to powiedziane! Mocna jestem niczym prastare skały dawnej Północy, krainy posiadającej konstytucję taką jak wolna Ameryka. Każdym włóknom czuję, czym jestem, a uczuciom moim daję wyraz w granitowych słowach o spiżowym brzmieniu!

– Ale my mamy literaturę – powiedziała szmata duńska. – Czy wy w ogóle pojmujecie, co to znaczy?

– Czy pojmujemy? – odparła szyderczo szmata norweska. – O, wy, mieszkańcy nizin, gdyby was podnieść na nasze skały, dopiero w blasku naszej północnej zorzy zaświtałoby wam w głowach, wy, łachy pospolite! Gdy lód zaczyna topnieć w promieniach norweskiego słońca, przybywają do nas duńskie galary, wioząc masło i ser, wielce to apetyczny towar, a jako balast przywożą wówczas również duńską literaturę. My jej nie potrzebujemy! Najlepiej nie tykać mdłego piwa tam, gdzie tryska świeże źródło, u nas zaś bije krynica, której wcale nie trzeba było dopiero stwarzać sztucznymi wierceniami, której europejska sława nie musiała powstawać dopiero pod wpływem dziennikarskich frazesów i zagranicznych podróży pisarzy. Mówię prosto i bez ogródek, a Duńczyk będzie musiał przywyknąć i przywyknie do swobodnego tonu, jaki panuje w naszej dumnej skalistej krainie, kolebce świata!

– Duńska szmata nie mogłaby nigdy wyrażać się w ten sposób – odparł Duńczyk. – Nie leży to w naszej naturze. Znam siebie, a takie jak ja są wszystkie nasze szmaty: jesteśmy tacy dobroduszni, tacy skromni, nigdy nadmiernie sobie nie dowierzamy, ale to właśnie niezwykle mi się podoba, uważam, że to urocze! A ponadto mogę was zapewnić, że doskonale znam swoją wartość, tylko nie mówię o tym; nigdy nie będzie można zarzucić mi tak grubego wykroczenia przeciwko przyzwoitości. Miękką jestem, układna, wszystko znoszę, nikomu nie zazdroszczę, o wszystkich mówię dobrze, choć w istocie o większości innych nie da się wiele dobrego powiedzieć, ale cóż mnie to obchodzi! Śmieję się z tego po prostu, bo sama jestem tak utalentowana!

– Nie gadaj do mnie tą twoją mową, miękką jak mączny kłajster, niedobrze mi się od tego robi! – powiedziała szmata norweska, oderwała się z podmuchem wiatru od całej sterty i przeniosła na inną.

Papier zrobiono z obu, a przypadek zdarzył, że ze szmaty norweskiej powstała kartka papieru, na której pewien Norweg napisał czuły, miłosny list do duńskiej dziewczyny, a szmata duńska stała się rękopisem duńskiej ody, sławiącej siłę i wspaniałość Norwegii.

I ze szmat może powstać coś porządnego, jeśli wydostaną się z kłębowiska szmat i przemienione zostaną w rzecz piękną i prawdziwą.

Taka to historia, całkiem zabawna i bynajmniej nie obrażająca nikogo, z wyjątkiem – szmat.”

W 1851 roku otrzymuje Andersen tytuł profesora. „Królowie i możni tego świata umieją tworzyć profesorów, obwieszać orderowymi wstęgami, obsypywać tytułami – jedynie artyści, ducha, który wystrzela wysoko ponad ludzkie plugastwo, stworzyć nie potrafią” – pisał sarkastycznie Beethoven przed pół wiekiem bez mała do młodziutkiej swojej przyjaciółki, Bettiny Brentano. Andersen podczas częstych swoich podróży do Niemiec poznał Bettinę, podziwiał nie tylko niezwykłą jej inteligencję, ale także fantastyczne i niezmiernie śmiałe jak na ówczesną epokę rysunki. Ale ciec zgodziłyby się zapewne z zasadniczą tezą Beethovena, mile schlebiał mu nowy dowód uznania rosnącego w kraju. (Mieszkańcy Kopenhagi, widząc na ulicy jego charakterystyczną sylwetę, powtarzali obecnie nie bez dumy: „Oo, patrzcie, patrzcie – idzie tam ten nasz sławny za granicą orangutan!”) Szorstka, zawsze jakby wstydliwie kpiarska jest ta szczerza przecież i z każdym rokiem wzrastająca duma i życzliwość rodaków. Po dzień dzisiejszy najmniejsze dziecko w Danii wie, kto to jest „Hosi” Andersen, gdyż tak właśnie, z przytająną serdecznością, zdrobnione zostały z czasem inicjały obu imion tego jednego spośród tysięcy duńskich Andersenów.

Gdy nastroje wojenne przycichają, niespokojny wędrowiec znowu rusza w ulubioną drogę: do Niemiec i Włoch. W Weimarze ciągle jeszcze przebywa najchętniej. W latach późniejszych często wspomina dni, które niegdyś spędził wraz z Jenny Lind w tym cichym, białym, w gęstej zieleni zanurzonym mieście. Odwiedzili wówczas wspólnie groby Schillera i Goethego, poeta Rollet napisał okolicznościowy wiersz o duńskim bajkopisarzu i szwedzkim słowiku. Dawne dzieje. Szwedzki słowik śpiewa obecnie już tylko we własnym domowym zaciszu. Po paru latach odwiedził Andersen panią Jenny Goldschmidt w Dreźnie:

„Malutki jej synek patrzył na mnie wielkimi oczami i znowu postyszałem jej śpiew... śpiewała pieśń Tauberta: *«Ich muss nun einmal singen, ich weiss doch nicht warum»* która jakby sama powstawała na jej wargach...”

Pani Lind–Goldschmidt już w 1859 roku przyjmie obywatelstwo angielskie, przeżyje Andersena o przeszło dziesięć lat i umrze spokojnie w pięknym swoim angielskim majątku Malvern. Przelotny ptak rusza z Dreżna „smutny, a przecież radosny, dziwnie zadumany”, w dalszą, zawsze samotną drogę.

W 1852 roku wydał Andersen dwuczęściowy zbiór *Opowieści*, które później również dołączył do *Baśni*. Formy jego twórczości stają się coraz bardziej różnorodne, choć zawsze pozostają skondensowane i zwarte obrazki, krótkie scenki, drobne nowelki, satyryczne groteski. Oto historia plotki: wypuszczona z kurnika w świat błaha nowina o piórku, które wyrwała sobie nieuważna kwoczek, urasta do tak niebwywałych rozmiarów, że bohaterka wydarzenia, słysząc o nim, nie potrafi już nawet siebie samej rozpoznać. Historia humorysty, który czerpał natchnienie z dwóch niezawodnych źródeł: gazety informacyjnej i cmentarza. I na cmentarzu niezawodne charakterystyki: grób szczęśliwego człowieka, który „...szedł przez życie w haftowanym ubraniu... i tkwił w salonie jak kosztowna taśma od dzwonka, za którą zawsze tkwi gruby, przyzwoity sznur, spełniający całą robotę... on także miał zastępcę, wykonującego za niego całą pracę...” Grób człowieka, który przez sześćdziesiąt siedem lat dumał nad wynalezieniem dobrego dowcipu, lecz gdy go w końcu wymyślił – umarł z radości, i dowcipu nikt już nie pozna. Grób arcyskapej paniusi: była taką sknerą, że w nocy wstawiała i miauczała je-

dynie po to, żeby sąsiedzi myśleli, że hoduje koty. A dalej spoczywa wdowa, która „za życia chodziła od domu do domu czyhając na błędy bliźnich” – śpiew miała na ustach, lecz w sercu sowią żółć. Jest także opowieść o krasnoludku, mieszkającym u zamożnego kupca i pograżonym w wiecznej rozterce – pomiędzy umiłowaniem poezji, której jeść nie można, a miską smakowitej kaszy, okraszonej wielkim kawałem masła. Przyczyny jego skłóconych uczuć pojmie każde dziecko: „wszyscy przecież chodzimy do kupca – po kaszę.”

Zarzut braku patriotyzmu boli Andersena głęboko. W *Opowieściach* coraz częściej nawiązuje do dziejów Danii

„Pomiędzy Bałtykiem a Morzem Północnym leży starodawne łabędzie gniazdo, które nazwano Dania; rodziły się tam i rodzą łabędzie, których imiona nigdy nie zaginą.”

Rok zaledwie upłynął od śmierci najmilszego imiennika, przyjaciela i mistrza – Örsteda. Wymienia go obok innych „wielkich łabędzi”, które szeroko rozślawiły ojczyście i własne imię: Tycho Brahe, Thorvaldsena. I kończy dumnym akcentem:

„Niech tylko jakieś potężne ptaszyska spróbują przylecieć, żeby je zniszczyć.” To się nie może stać. „Nawet nieopierzone maleństwa staną zwartym kręgiem na brzegu, widzieliśmy przecież, jak wystawiają młode piersi na ciosy, aż krew tryska, jak bronią się dziobem i pazurami...”

Długie wieki jeszcze upłyną, niejeden łabędź będzie widziany i słyszany na świecie – zanim nastanie czas, gdy z ducha i prawdy wyrzeczone zostaną słowa: „Oto ostatni łabędź, ostatni śpiew płynący z łabędziego gniazda.”

Z ducha i prawdy. Lecz cóż jest prawda? Andersena zaczynają w tych latach nękać coraz głębsze wątpliwości religijne. W *Baśniach i Opowieściach* pojawiają się coraz częściej motywy wiary, łaski, grzechu, pokuty, spraw ostatecznych.

Ale przeniesiona w zaświaty i otoczona anielskimi chórami baśń przestaje się mienić dawanym tęczowym blaskiem. Przeistacza się w dydaktyczną powiastkę, rzewną, czasem wręcz ckliwie sentymentalną, zakończoną bogobojnym morałem. Nie ma w niej już miejsca ani na zachwyty nad rzeczywistymi cudami młodej epoki, ani na gorzki humor, celną ironię i tragizm. Andersen potrafi znakomicie wyszydzać tępych filistrów, kpić ze wszystkich ludzkich wad, przywar, słabostek, śmieszności, z przejmującą prostotą pisać o konfliktach najgłębszych, słać dzieje swego kraju i piękno przyrody. Tysiące barw ma na swojej palecie i umie mieszać je i łączyć w sposób nieraz najbardziej nieoczekiwany z prawdziwym mistrzostwem. Z chwilą jednak gdy piórem swoim pragnie budzić jedynie tony ewangelicznej pokory, gdy nawołuje do chrześcijańskiej rezygnacji i poddania się boskiej woli – baśń pierzcha, obraz blaknie, staje się nikły, płaski.

Kierkegaard, który w tych ostatnich latach swego krótkiego życia również przechodzi okres wielkiego przełomu, manifestuje go całkiem inaczej. Pozbył się ostatecznie wszelkich wątpliwości, nękających go prawie od najmłodszych lat. Zazdrości Lutrowi, którego żądania zawarte były aż w dziewięćdziesięciu pięciu tezach. Jego teza jest tylko jedna: chrystianizm przestał już być religią. I występuje do walki – gwałtownej, nieubłaganej. Atakuje Kościół, atakuje całe chrześcijaństwo za laicyzację, korupcję, pychę i obłudę. Nieustępliwie domaga się rzetelnej odnowy całego życia religijnego. Z rozpoczęciem ataku czeka zresztą taktownie na śmierć sędziwego prymasa Danii, mądrego biskupa Mynstera, prawego chrześcijanina, świetnego oratora, przyjaźniącego się jeszcze z ojcem Kierkegaarda. Czeka nawet dłużej – na mianowanie jego następcy – Martensena, uważanego powszechnie za niezwykle zdolnego i uczonego, choć Kierkegaard ścierpieć nie może napuszonej jego zarozumiałości. I dopiero w grudniu 1854 publikuje w „*Faedrelandet*” pierwszy – napisany już w lutym – artykuł, który działa na spokojną, senną i niczego nie spodziewającą się Kopenhagę niczym przysłowiowy grom z jasnego nieba.

Poruszenie jest olbrzymie, sensacją niebywała. Wielu czytelników – nie znających innych dzieł filozofa, poprzedzających to jego zasadnicze wystąpienie – podejrzewa po prostu, że nieszczęsny autor oszalał. Lecz on z całkowitą świadomością znaczenia podjętej walki prowadzi koncentrowany atak przez całe dziewięć miesięcy. Dwadzieścia artykułów w gazecie, która zamieściła wstępną zapowiedź tej świętej wojny! Przeciwnicy, oszołomieni, próbują kontrataku: pastor Bloch żąda, żeby Kościół zamknął swoje wrota przed pisarzem, który dał się ponieść tak bluźnierczej pasji. Kierkegaard sam lada chwila spodziewa się katastrofy aresztowania, może nawet śmierci męczeńskiej z rąk rozgniewanego motłochu. Ale nic podobnego nie następuje. Minister spraw religijnych Hall jest człowiekiem spokojnym, zrównoważonym i wcale nie zamierza dolewać oliwy do i tak już gwałtownie buzującego ognia.

A ówczesny premier duński Bang niedwuznacznie daje do zrozumienia, że gdyby ktokolwiek wpadł na fatalny pomysł pozbawienia wolności tego pisarza, który już tyle sławy przysporzył krajowi, on natychmiast każe uwiecznionego wypuścić. Ogół duchowieństwa też zresztą właściwie nie wie, jak reagować, bo albo w ogóle nie pojmuje, o jak podstawowe problemy toczy się ów wściekły spór, albo nie potrafi znaleźć odpowiedzi na rzeczowe, choć niezwykle ostre zarzuty. Repliki są więc blade, nijakie, nieliczne, przeważnie anonimowe. Biskup Martensen raz tylko, bardzo ogólnikowo, zabiera głos w prasie, po czym zachowuje już pełne godności milczenie.

Kierkegaard nie ustaje w walce. Po ostatnim artykule w „Faedrelandet” wydaje jeszcze dziewięć ulotek o jednakowym tytule: „Chwila”, rozchwytywanych już przez coraz żywiej uczestniczących w batalii, coraz liczniejszych czytelników. Każdy egzemplarz „Chwili”, wydawanej co dwa tygodnie, zawiera na przeszło dwudziestu stronach kilka artykułów pióra zawsze tego samego, jedyne go autora. Wrażenie wywierają wielkie – nie tylko wśród radykałów i wolnomyślicieli, lecz przede wszystkim wśród zwykłych odbiorców, a także wśród duchowieństwa. Jedni pojmują, że sami już właściwie od dawna nie należą do Kościoła, inni gorliwie opowiadają się po stronie radykalnej odnowy życia duchowego, nie brak i takich, którzy pod wpływem tej lektury porzucają protestantyzm i – przechodzą na katolicyzm.

Ostatni, dziesiąty egzemplarz „Chwili” jest już gotów do druku, gdy Kierkegaard nagle pada nieprzytomny na ulicy. Po odwiezieniu do szpitala, mówi lekarzom: „Przyjechałem tutaj umrzeć!”, i wyjaśnia, że choroba jego jest natury psychicznej, nie fizycznej i żadne leki pomóc mu nie mogą. Przychodzą na myśl groźne słowa Psalmisty: „Żarliwość domu Twego zjadła mnie.” Po czterdziestu dniach choroby – 11 listopada 1855 roku – Sören Kierkegaard umiera.

Pogrzeb jego staje się niemal gorszącą manifestacją. Egzekwie odbywają się w katedrze – niezbyt fortunnie, bo to przecież siedziba bezlitośnie atakowanego prymasa. Toteż oprócz pastora, który z obowiązku musi uczestniczyć w żałobnej ceremonii, obecny jest jedynie brat Kierkegarda, biskup Piotr, który niebawem zrezygnuje z tej kościelnej swojej godności. Lecz jest niedziela i tłum wiernych już się zgromadził w kościele. Rozlegają się coraz głośniejsze nieprzyjazne pomruki przeciwko duchowieństwu, które oto zagarnęło zwłoki człowieka, tak zaciekle z nim walczącego. Trumnę otacza wreszcie kordon studentów i żałobne obrzędy odbywają się mimo wszystko w należyтым porządku. Ale na cmentarzu znów dochodzi do głośnych protestów, nawet kłótni, i doczesne szczątki nieprzejednanego filozofa tak pospiesznie umieszczone zostają w rodzinnym grobie, że nikt nie zdążył nawet oznaczyć dokładnie miejsca, w którym je złożono.

Andersen jedynie z listów i pośrednich relacji dowiaduje się o tych wypadkach; przebywa w tym czasie w Niemczech i Szwajcarii. I właśnie przystępuje do pisania ostatniej autobiografii: *Baśni mojego życia*. Raz jeszcze – któryż to z kolei! – pragnie ukazać urzeczywistniony w osobistych swoich losach mit Aladyna, utwierdzić nie tylko czytelników, ale i siebie w wierze w wszechpotężną, magiczną łaskę dobrych wróżek i boskiej Opatrzności (co przy jego sposobie widzenia problemu na jedno wychodzi). Pisze:

„Życie moje to piękna baśń, tak bogate jest i szczęśliwe. Gdybym wyruszając w świat jako biedny i samotny chłopiec spotkał mozną wróżkę, ona zaś powiedziała mi: «Wybierz sobie drogę i cel, a potem, zgodnie z rozwojem twego umysłu i zasadami rozumu, według których wszystko na świecie dziać się musi, ja będę ochraniać cię i prowadzić!» – losem moim nie można by pokierować mądrzej, lepiej i szczęśliwiej. Historia mojego życia powie światu to, co mówi mnie: że istnieje pełen dobroci Bóg, który wszystko wiezie ku najlepszemu.”

Tyle baśń. Prawda przecież była inna. Prawda – to smutne dzieciństwo, gorzka, ambitna młodość wśród upokorzeń i lęków, koszmar szkolnych lat, opieka przygodnych protektorów. Prawda – to nieustanne konflikty z otoczeniem, życie bezdomne, niespokojne, samotne, pełne iluz daremnych pragnień i wyrzeczeń. Prawda – to także ogromna sława. Lecz zawdzięcza ją nie tylko darowi dobrych wróżek, świetnemu talentowi poetyckiemu, niezwyklej swojej chłonności, wrażliwości, akustyczności wewnętrznej. Zyskał ją przecież dzięki niebywałej pracowitości i – wbrew licznym, mylącym pozorom – umiejętności spojrzenia z ironicznego dystansu nie tylko na świat, ale i na samego siebie. Poza dziecięcej, ufnej naiwności stawać się zaczynała z biegiem lat często wygodną, ochronną mimikrą. Autor tej *Baśni życia* znał już nie tylko znakomicie starą swoją Europę i „pocziwą Kopenhagę”, znał także swych współczesnych i wiedział, czego się po nim spodziewają. Musiał jednak wyczuwać fałszywe tony w tej autoapoteozie. Toteż niesporo idzie mu robota. Żali się w liście do Henrietty Wulff:

„Praca moja tak dziwnie, skokami, posuwa się naprzód; potrafię marudzić całymi miesiącami. To okresy odpoczynku czy, jak kto woli, snu, w którym z dziećmi ducha dzieje się to samo co z żywymi: we śnie rosną. I nagle ogarnia mnie pośpiech, jakby szła o życie, jakby pozostawało mi zaledwie jeszcze tylko parę godzin, w ciągu których wszystko już musi być gotowe, a wówczas fizycznie niemal się rujnuję. Tak właśnie czułem się przez ostatnie sześć czy siedem tygodni; wydaje mi się, że lata całe tak nie pracowałem, lecz w ciągu całego tego okresu byłem pogrążony w przykrym, niemal chorobliwie ponurym nastroju. Obecnie zaczynam już dostrzegać koniec tej pracy, lecz jednocześnie kielkują we mnie nowe idee i pomysły i prąd ich porywa mnie. Biografia moja po niemiecku i po angielsku była jedynie szkicem, teraz stała się czymś więcej, stała się «ludzkim życiem». Im bardziej wyraźnie rysowała mi się podczas jej spisywania, tym pilniej starałem się skreślać, dorzucać, zaokrąglać i wydaje mi się, że chyba nigdy z tym się nie uporam. Powracam do niej nieustannie, i tak oto praca pochłania mi czas.”

Nie uporał się w istocie nigdy, mimo wszelkich, z rozbrajającą szczerością wyznanych „skreśleń, dorzuceń i zaokrągłeń” z tą przedziwną historią: prawda własnego życia uparcie nie dawała przekształcić się w baśń. I wśród notatek w dzienniku z ostatniego roku życia jeszcze figuruje zapis: „Dziś znowu pracowałem nad historią moich losów.”

Wszystko na swoje miejsce – brzmi tytuł jednej z powstałych w tym okresie baśni. Czarodziejska wierzbową fujarką zaprowadza w starym dworze nowe porządki: wicher wymiata z powozu rodzinę zarozumiałych kupców, wpycha do rowu chłopów, którzy „wyrośli ponad własne pola” i także zadzierali nosy; ubogi owczarz zasiada nagle w czeladnej izbie przy jednym stole z wytworną służbą w jedwabnych pończochach, a baronówna, której matka była jeszcze ubogą gęsiarką, zostaje niespodziewanie przeniesiona na honorowe miejsce w sali jadalnej. „Lecz historia tak nieoczekiwanie wprowadzonego ładu na pełnym zazwyczaj krzywd i niesprawiedliwości świecie kończy się mocno sceptycznym akcentem, bardzo charakterystycznym dla ówczesnej postawy jej autora: „Wszystko na swoje miejsce – może kiedyś tak będzie. Wieczność jest długa – dłuższa od tego opowiadania.”

Chudy, wysoki, długonogi człowiek pada z głośnym szlochem na gładko przystrzyżony trawnik. W rękę kurczowo zaciska gazetę. Gospodarze, dzieci, służba otaczają go zaniepokojonym kręgiem: czyżby wyczytał wiadomość o nagłej śmierci bliskiego przyjaciela? Okazuje się jednak, że tylko kolejna niezbyt życzliwa recenzja stała się powodem tej bezbrzeżnej rozpacz.

Andersen, kuśtykając, w ponurym milczeniu powraca do domu, sprzed którego niedawno odjechał wynajętym powozem. Siada, wyciąga z butów papiery, zegarek, pieniądze. Zdumionym domownikom wyjaśnia, że... nie spodobały mu się plecy woźnicy: dopatrywał się w nim rzeźmieszka, który gotów go ograbić po drodze, wołał więc niepostrzeżenie wysiąść, gdy powóz zwolnił na zakręcie, a przedtem ukrył w butach wszystko, co posiadał, choć oczywiście, mocno mu to przeszkadzało w powrotnej pieszej wędrówce.

Przybył do Gadshill na serdeczne zaproszenie Dickensa. Ale od pierwszej chwili nieporozumienia się mnożą: Co innego czytać *Baśnie*, podziwiać ich poetyckie piękno, bogactwo fantazji, ironię, dowcip, a całkiem inna sprawa wytrzymać na co dzień towarzystwo ich autora! Wybuchami krańcowo zmiennych nastrojów wprawia otoczenie w zdumienie, popłoch i zażenowanie. Wszystkie dziwactwa łatwiej wybaczają Anglicy niż brak panowania nad sobą. Ponadto dogadać się z nim prawie nie sposób: angielski zna nadal bardzo słabo.

Sam zdaje się wcale nie dostrzegać, że stał się tu przyczyną powszechnej konsternacji. Przeciwnie: jest uszczęśliwiony. I ta podróż – jak każda – jest dla niego przede wszystkim kolejną, interesującą odmianą „bazaru poety”. Z entuzjazmem pisze o Dickensie: „Jest obecnie w najlepszym wieku, ma czterdzieści pięć lat, a taki młodzieńczy, wymowny, żywy, tryskający humorem, opromieniony najcieplejszą serdecznością.” Tułacz – samotnik tego ciepła i serdeczności najbardziej łaknie. W liście do Matyldy Örsted wspomina:

„18 czerwca 1857

...Choć życie w Londynie również było bogate, pełne wrażeń i zmian, zawsze najbardziej cieszyłem się na powrót do właściwego mojego domu w Gadshill. Tak przytulny był ów mały pokój z pianinem, gdzie Dickens wraz z żoną siedział w towarzystwie gości...”

Zachwyca się krętą Tamizą, wspaniałą pogodą, ogrodem, w którym „dzikie róże pachną tak mocno i świeżo jak jabłka”.

Lecz niespodziewanymi swymi wyskokami tak mąci, tak zakłóca spokojną atmosferę wiktoriańskiego „home”, że po wyjeździe arcykłopotliwego gościa Dickens daje upust uczuciom, jakie wzbudziła jego wizyta, przyczepiając nad lustrem toaletki w gościnnym pokoju kartkę, z napisem: „*Hans Christian Andersen stayed in this room for five weeks, which seemed to the family ages*” („Jan Chrystian Andersen mieszkał w tym pokoju przez pięć tygodni, które całej rodzinie wydały się wiekami!”).

Johannes de Silentio (*alias* Sören Kierkegaard) przytacza w dziele swoim *Lęk i drżenie* cytaty z Seneki, który ów autor z kolei zaczerpnął od Arystotelesa: „*Nullum unquam exstetit magnum ingenium sine aliqua dementia*.” Innymi słowy: żaden geniusz istnieć nie może bez przejawów niejakej demencji. I pisze dalej:

„Gdyż owa demencja, cierpienie, jakie przypało w udziale geniuszowi, jest, jeśli wolno mi się tak wyrazić, przejawem zawiści bogów, genialne jego zdolności są natomiast, przeciwnie, przejawem boskiej przychylności. Stąd tedy geniusz od początku źle się orientuje w swoim stosunku do ogółu, popadając w nastawienie paradoksalne – albo w rozpacz nad swoją ograniczonością (która, w jego oczach, przekształca własną jego wszechmoc w niemoc) – szuka wtedy zabezpieczenia w demoniczności i wskutek tego nie chce uznać tej ograniczoności ani wobec boga, ani wobec ludzi, albo zabezpieczając się religijnie: miłością do bóstwa. Problem ten zawiera wiele tematów psychologicznych, którym, jak mi się wydaje, można by

całe życie z radością poświęcić – a mimo to nader rzadko słyszymy o nim choć słowo. Jakie związki zachodzą pomiędzy geniuszem a szaleństwem? Czy możemy jedno wywodzić z drugiego? W jakim sensie i jak dalece geniusz panuje nad szaleństwem swoim? Nie trzeba chyba bowiem nawet wypowiadać tego głośno, iż człowiek genialny do pewnego stopnia potrafi władać swym szaleństwem, inaczej doprawdy byłby obłąkany. Lecz do tego rodzaju obserwacji trzeba niezwykle wyostrzonych zmysłów, gdyż nadzwyczaj trudno jest obserwować umysł, który góruje nad nami...”

Zarówno współcześni, jak i wielu późniejszych biografów i badaczy eksponowało nadmiernie dziwactwa Andersena, podkreślając ich niecodzienny, patologiczny nawet – zdaniem niektórych – charakter. Nic przecież ciekawszego nad tego rodzaju anegdoty, nad te łatwe do uchwycenia i równie łatwe do przesadnego przejawienia rozbieżności, zagmatwanej, pełnej kontrastów psychiki poety z naturą normalną, nad wszystkie te odchylenia od „solidnych” właściwości pospolitych zjadaczy chleba. Czy doprawdy sam nie zdawał sobie sprawy z tych różnic?

Do rodzinnego Odense z biegiem lat zaglądał coraz rzadziej. W *Baśni mojego życia* stwierdzał ze smutkiem:

„Czułem się tam bardziej obcy niż w wielkich miastach niemieckich. Jako dziecko żyłem w osamotnieniu, nie mam więc żadnych przyjaciół z młodych lat, większość rodzin, jakie znałem, już wymarła, nowe pokolenia chodzą teraz po ulicach tego miasta – i nawet ulice się zmieniły. W ubogich grobach moich rodziców złożono już także szczątki innych ludzi, odmieniło się wszystko...”

Gdybyż naprawdę się odmieniło. Nie odmieniły się lęki i fobie, nękające go przez całe życie: świadomość groźnych obciążeń, zawsze żywe w nadmiernie pobudliwej jego pamięci i wyobraźni wspomnienia o obłąkanym dziadku, chorobliwie melancholijnym ojcu, matce alkoholice. Podczas jednej z nielicznych, późniejszych, krótkich już wizyt w zielonej stolicy Fionii odnotował spotkanie, które wstrząsnęło nim szczególnie:

„Ujrzałem przed moim oknem biednego przygłupka, miał szlachetne rysy i oczy błyszczące, ale w całym tym człowieku był jakiś zamęt, a ulicznicy wyśmiewali go i ścigali. Pomyślałem wówczas o sobie, o własnym dzieciństwie, o słabym na umyśle moim dziadku; gdybym był pozostał w Odense, gdybym poszedł tam do terminu, gdyby siły wyobraźni, które tak potężnie wówczas mnie przepelniały, nieposkromione zostały przez czas i okoliczności, lub gdybym nie był nauczył się dostosowywać do mego otoczenia, stapać się z nim w jedno, jakżeby ja sam wyglądał? Nie wiem, ale na widok tego nieszczęśliwego, prześladowanego pomyłka pod moim oknem serce zaczęła mi bić gwałtownie, a myśli moje wzniosły się ku Bogu w podziękę za łaskę i miłość, jakie mi okazał.”

Trudno o bardziej szczerze wyznanie. Późniejsze odkrycia Freuda, Junga, licznych ich następców, coraz doskonalsze metody zgłębiania ludzkiej psychiki, przyczyn i źródeł kompleksów, frustracji, alienacji, nieprzystosowania sprawiły, że przedziwna postać Andersena stanowi do dziś ciekawy obiekt dla badań naukowych. Współczesnych interesowała zresztą w równej mierze: doktor Carus w Dreźnie przeprowadzał na nim modne wówczas badania frenologiczne. A wśród pozostałych po Andersenie papierów zachowała się bez daty i osobnego tytułu – luźna kartka, przez niego zapisana i świadcząca, że sam również żywo się interesował badaniem własnej osobowości. Warto spojrzeć na kilka przynajmniej spośród prawie trzydziestu wynotowanych na niej punktów:

„Miłość do dzieci – duża
Popęd płciowy – niewielki
Miłość własna – średnia
Chęć podobania się – wielka
Ostrożność – duża

Dobroduszość – duża
Idealizm – wielki
Talent naśladowczy – duży
Poczucie słowa i mowy – duże
Humor – wielki
Zmysł lokalnej orientacji – średni
Poczucie formy – średnie
Poczucie barw – średnie
Poczucie cyfr – niewielkie
Słuch – bardzo dobry.”

I ten – odmienny od wszystkich innych – autoportret, czy raczej może szkic do autoportretu, świadczy także o stylizacji, o świadomej chęci idealizowania niektórych cech. Lecz i on, i notatka o wstrząsie doznanym w Odense świadczą o czymś znacznie ważniejszym: autor ich w i e d z i a ł. Świadomy był tego, że granice jego psychiki przebiegają w pobliżu stref już niebezpiecznych, oscylują groźnie na krawędzi przepaści, w których zatracić mógł się nie tylko wspaniały talent poety, lecz także bogata, choć nieprzeciętnie niejednolita osobowość człowieka. Dowodem prawdziwej jego genialności był właśnie fakt, że mimo wszystko „potrafił władać swym szaleństwem”: rozładowywał te groźne spięcia w sferach pisarskiej wyobraźni i nieszkodliwych ucieczkach w przeróżne swoje pozy, dziwactwa, śmieszności. Prawda – był zawsze dzieckiem z świecie ludzi dorosłych, statecznych, zrównoważonych. Lecz pragnął nim pozostać. Gdyby nie był sobą – kimże by był? Z biegiem lat starannie utrzymywał, rozwijał, umacniał ochronną pozę nieoczekiwanych reakcji, przesadnych gestów, dziecinnych kaprysów. Miał do niej prawo. W niej szukał ratunku i w niej go znajdował.

Ratował się także „miłością do bóstwa” – choć bardzo specyficzne jego pojęcia o Bogu pozostały do końca życia mieszaniną prymitywnej, wpółdziecinnej wiary w niezawodną łaskę Opatrzności, najściślejszej identyfikacji z ulubionym mitycznym bohaterem i racjonalistycznym podbudowanego deizmu. I na tym tle przeżywał zresztą poważne konflikty.

„Epoka nasza – pisał w swej *Filozofii religii* Hegel – posiada tę doskonałą cechę, iż mnóstwo wiemy o tym i owym, o nieskończonej ilości różnych rzeczy, tylko nic o Bogu. Dawniej umysł ludzki był najbardziej zainteresowany wiedzą o Bogu i zgłębianiem Jego natury. Nasze czasy złagodziły tę potrzebę, wszelkie związane z nią walki i wysiłki... Postawę taką, z uwagi na jej treść, uważać trzeba jednak za ostateczne poníženie człowieka, choć jednocześnie staje się on coraz bardziej zarozumiały, ponieważ sądzi, iż dowiódł sobie, że poníženie to jest najwyższym osiągnięciem i prawdziwym ludzkim przeznaczeniem.”

Materializm, coraz bardziej bezwzględnie ogarniający wszelkie dziedziny życia i myśli ludzkiej, niepokoi i przeraża Andersena. Píše do Henrietty Wulff:

„Człowiek staje się... jedynie ogniwem w całym gatunku – nieśmiertelność, sam Bóg nawet istnieć przestają... to okropne! Tak nie może być!”

Wpółdziecinna dawna wiara, wspierana poglądami Örsteda, który monistyczną harmonią usiłował przesłonić coraz wyraźniejsze sprzeczności pomiędzy „duchem i przyrodą”, nie wytrzymuje już konfrontacji z nowymi ideami. Ponadto pogłębiają się w tym czasie nekające poetę wątpliwości natury czysto religijnej: nie potrafi uwierzyć w nieśmiertelność duszy ani w dogmat o zmartwychwstaniu ciał w dzień ostatecznego sądu. Trapi go to niesłychanie:

„Obawiam się i boleję nad tym – wyznaje – że modlić się do Boga umiem jedynie w chwilach radości, gdy wszystko ze mną dobrze, wtedy mi On bliski... i wtedy w pokorze dziękuję Mu za te błogosławieństwa.”

„Powieść *Być albo nie być* już w tytule wyraża ówczesne rozterki autora. Główny bohater, młody Niels Bryde, pochodzący z pastorskiej rodziny, osiadł w małej miejscowości na Ju-

tlandii, przybywa do Kopenhagi. Zamierza studiować teologię, lecz przy lekturze pism Straussa i Feuerbacha traci wiarę. Zrywa z rodziną, studiuje medycynę i dopiero znajomość z młodą żydowską dziewczyną (która później umiera podczas wybuchającej nagle epidemii cholery) pozwala mu wyzwolić się od zgubnych wpływów i odzyskać wiarę w Boga – mglistą zresztą, niesprecyzowaną, nie opartą na żadnych określonych dogmatach.

Powieść była prekursorska: nikt wówczas w duńskiej literaturze nie podejmował jeszcze problemów światopoglądowych. Mimo to nie wzbudziła szczególnego zainteresowania krytyki ani czytelników. Umysły zaprzątnięte były innymi sprawami. Historyczny czas wstrząsów i przemian nadal groźnie huczał nad światem. Gdzież w nim miejsce bajkopisa? I gdzie on sam zdoła odnaleźć Baśń?

Odpowiedź przyniósł tom następny, wydany w 1858 roku, pod rozszerzonym, stale już odtąd stosowanym tytułem *Nowe baśnie i opowieści*. A raczej – odpowiedź tę zawierał jeden z sześciu pierwszych zamieszczonych w nim utworów: wigilijna opowieść *Ostatni sen starego dębu*.

W archaicznych, najdawniejszych wierzeniach wszelkie miejsca zamieszkałe mają swoje „centrum”, uświęcony ośrodek, pozostający pod szczególną opieką bóstw. W religiach Wschodu: Indii, Chin, ośrodków takich istnieje nieskończona ilość, a każdy mich uchodzi za miejsce święte, realnie istniejące, choć dla śmiertelnych niedostępne. Regiony boskie stykają się w tych miejscach ze światem rzeczywistymi. Przy potrójnym układzie przestrzeni kosmicznych: Nieba – Ziemi – Piekła – ośrodek ów jest miejscem ich przecięcia, piekło, centrum ziemi i brama niebios znajdują się na jednej osi.

Symbolem tej łączności bywa istniejąca w centrum świata góra, kolumna albo kosmiczne drzewo, korzeniami sięgające piekiel, a wierzchołkiem nieba. Wspinanie się wzwyż po jego gałęziach symbolizuje dążenie ku absolutnej prawdzie, przechodzenie od realnej rzeczywistości w świat mitu, pełen wiecznego szczęścia, swobody, harmonii.

W wigilijnej opowieści Andersena potężny dąb śni, że oderwał się od ziemi i wraz z całym lasem, ze wszystkim, „co wielkie i małe”, wznosi się ku najdalszym wyżynom pośród światłości i blasku. Podwójne zakończenie baśni: realistyczne, że wielkie drzewo zostało w tę wigilijną noc wyrwane z korzeniami przez wściekłą wicherę, i symboliczno–chrześcijańskie, zawarte w zwrotce psalmu o wyzwoleniu duszy ludzkiej przez Chrystusa – nie umniejsza wspaniałości obrazu. Tęsknota starego dębu za blaskiem i ciepłem słońca, pragnienie, żeby wszystko wokół podzielało jego szczęśliwy los, razem z nim wzlatując swobodnie wzwyż, jest nie tylko wyrazem odwiecznych ludzkich pragnień, lecz także dążeń samego autora, uparcie szukającego odpowiedzi na ostateczne pytania o cel i sens istnienia.

W twórczości Andersena pojawia się odtąd niemal niepostrzeżenie, w sposób najbardziej naturalny, Wielki Czas pozahistoryczny, pełny czas mitu.

Mircea Eliade, wybitny znawca religii Wschodu, w pracy swojej *Obrazy i symbole* pisze:

„O ile prawdą jest, że człowiek znajduje się zawsze w pewnej «sytuacji», sytuacja ta nie zawsze jest jednak historyczna, czyli uwarunkowana wyłącznie przez współczesny moment dziejowy. Człowiek integralny zna sytuacje inne poza własną sytuacją historyczną, zna np. stan snu albo snu na jawie, stan melancholii, oderwania się, rozkoszy estetycznej, eskapizmu itd. i wszystkie te stany nie są «historyczne», mimo iż są one równie autentyczne i równie dla egzystencji człowieka, jak historyczna jego sytuacja istotne. Człowiek zna zresztą ponadto różnorodne rytmy czasu, nie tylko czas historyczny, czyli własny swój czas, własną współczesną egzystencję. Wystarczy mu, posłuchać dobrej muzyki, zakochać się lub modlić, żeby wyjść z historycznej terażniejszości, reintegrując wieczną terażniejszość miłości lub religii. Wystarczy mu nawet otworzyć jakąś powieść lub być obecnym na przedstawieniu jakiegoś dramatu, żeby odnaleźć inny rytm czasu – który można by nazwać czasem stężonym – i który w każdym razie nie jest rytmem czasu historycznego. Zbyt szybko wyciągamy wniosek,

iz autentyczność ludzkiej egzystencji zależy wyłącznie od świadomości jej własnej historyczności... Im bardziej rozbudzona jest ludzka świadomość, tym bardziej przekracza ona granice własnej historyczności. Wystarczy tu przypomnieć mistyków i mędrców wszelkich czasów, a przede wszystkim Wschodu.”

Wystarczy otworzyć na którejkolwiek stronie wiele późniejszych baśni i opowieści Andersena – aby zilustrować ten cytat. Poeta bowiem w swoisty sposób przekracza przecież także granice własnej historycznej egzystencji. A zwłaszcza ten poeta, od dzieciństwa tak realnie identyfikujący się z mitycznym bohaterem, tak swobodnie poruszający się w sferach Wielkiego Czasu, tak przekornie odbiegający w twórczości swojej od tradycyjnych schematów na rzecz własnej wizji ludzi i świata, własnego obrazu poetyckiego. *Sen starego dębu*, *Podanie o złym księciu*, *Historia o dziewczynie, która podeptała chleb*, związana z najbardziej osobistymi wspomnieniami dzieciennych lat *Głębia dzwonu*, inne jeszcze, należą do tych utworów, w których zarówno narrator, jak i słuchacze (czytelnicy) przenoszą się z wyraźnie określonej strefy współczesności w rozległe, beczasowe, odwieczne obszary mitu.

Nadchodzący czas nadal jednak wydaje się Andersenowi pełen wspaniałych obietnic. Piśze:

„Narodziła się wśród huku maszyn w zapobiegliwej naszej epoce – w wielkiej fabryce współczesności... nie słyszeliśmy stuku jej kołyski, gdyż zagłuszał go turkot... gwizd lokomotyw, huk rozsadzanych skał i starych, krępujących ducha, przesądów.” Jakaż więc jest – ona – „Muza nowego stulecia”?

Nie. Niczym nie przypomina subtelnej i wykwintnej „Muzy epoki”, której czas już przeminął – Hanny Luizy Heiberg!

„Po ojcu jest dzieckiem ludu, o zdrowym rozsądku i myślach, poważnym spojrzeniu i pełnym humoru uśmiechu na wargach. Matka jej była elegancką i godną córką emigrantów, wychowaną po akademicku, pełną rokokowych wspomnień. Muza dziewiętnastego stulecia przejęła jedno, jak i drugie dziedzictwo...”

Nurek wyłowił dla niej z głębi oceanów piękne świecidełka. Kołyskę jej, niczym kołdrą, nakryto mapą niebios... Piastunka śpiewała jej... pieśni wędrownych bardów i młodzieńcze, przekorne pieśni prawdziwego poety Heinego. Wiele, zbyt wiele śpiewała jej piastunka... Muza nowego stulecia jest dzieckiem jeszcze... ma silną: wolę, choć nie wie, czego chce...

Zyje wśród nieśmiertelnej muzyki Beethovena, Glucka, Mozarta... Czytała ogromnie dużo, czytała zbyt wiele, przyszła przecież na świat w naszych czasach, a teraz trzeba. na nowo umieć zapominać i Muza nauczy się zapominać... Nosi kapelusz Garibaldiego, czytuje Szekspira i zdarzają się krótkie chwile, w których myśli, że będzie go można grać jeszcze wówczas, gdy ona dorośnie...

– A jak wygląda program nowej Muzy? – pytają uczeni nasi parlamentarzyści. – Czego żąda? Zapytajcie lepiej, czego nie żąda!

Nie chce występować jako upiór minionych czasów! Nie pragnie kleić dramatów z resztek teatralnych wspaniałości ani świetnymi draperiami liryki przesłaniać braków teatralnej architektury! Nie dzieli na części zdrowej ludzkiej mowy ani jej później nie skleja w sztuczny dźwięk dzwonu, w którym pobrzmiwają przypoehlebne tony trubadurów. Nie pragnie metrum wiersza przedstawiać jako szlachcica, a prozy jako mieszczanina. Stoją one obok siebie, równe dźwiękiem, wyrazem i mocą... Pieśń jej – zarówno wierszem, jak i prozą – będzie zwięzła, jasna i bogata! Każde uderzenie serca narodów jest tylko jedną literą w ogromnym alfabecie postępu, lecz ona traktuje każdą z owych liter jednakowo, z miłością, układa z nich słowa, słowom nadaje rytm i tworzy z nich hymn współczesności.

Kiedyż nadejdzie pełnia tego czasu?...

Wkrótce już runie chiński mur, europejskie koleje żelazne dotrą do zamkniętego archiwum europejskiej kultury – prądy obu kultur zetkną się! Może zahaczy wówczas głębokim głosem

wodospad, a my, starzy, zadrżymy słysząc ten głos i odgadniemy w nim Ragnarok – zmierzch starych bogów. Zapominamy, że stare czasy i ludy muszą zniknąć i że z każdego z nich pozo- stanie zaledwie jeden niewielki obraz, zamknięty w pigułce słowa i niczym kwiat lotosu, pływający na strumieniu wieczności...

Cała siła pary, cały ciężar terażniejszości to tylko dźwignia! Majster–automat i jego pra- cowici czeladnicy, potężni władcy naszej epoki, to tylko służba, czarni niewolnicy, którzy ozdabiają salę, przynoszą skarby, nakrywają stoły do wielkich uczt, na które Muza przyniesie cudowną lampę twórczości – bogate serce ludzkie, w którym goreje boski płomień.

Bądź pozdrowiona, Muzo nowej poezji! Pozdrowienie nasze dojdzie do ciebie tak samo jak hymn śpiewany przez robaka rozciętego na dwoje lemieszem pługa, co orze bruzdy w czas nowej wiosny i miazdzy nas, robaki, po to, żeby dla nowego pokolenia zdołało wyrosnąć błogosławieństwo.

Bądź pozdrowiona, Muzo nowego stulecia!”

Ostatni już raz snuje Andersen rozważania o przyszłości pełne tak radosnego entuzjazmu. Najbliższe lata przynoszą mu wiele ciężkich, bolesnych przeżyć.

Sydpaa – na południe – ciągnęło jak dawniej tego niespokojnego mieszkańca chłodnej Północy. Od Lipca 1862 do kwietnia 1863 odbył jeszcze jedną wielką podróż. Zwiedził Hisz- panię, dotarł do północnej Afryki i przez Francję wrócił do kraju. Raz jeszcze nasycił oczy, serce i pamięć ciepłem południowego słońca, przepychem egzotycznych barw. Po powrocie wydał tom *W Hiszpanii*, utrwalając każdy zapamiętany obraz:

„Zapach róż unosił się tam jak w poematach z dawnych czasów, czyste wody spadały z tym samym jeszcze szumem i szelestem prastare, potężne cyprysy, niemi świadkowie tego, co głosi legenda i pieśń, wystrzelały świeżymi gałązkami w przesycone słońcem powietrze...”

Krótkotrwałą pociechą okazała się nawet ta podróż, bogactwo nowych wrażeń, rozjaśnione słonecznym blaskiem piękno dalekich krajobrazów. W życiu osobistym z każdym rokiem bardziej rośnie wokół niego pustka, odchodzą bezpowrotnie ludzie najbliżsi, z którymi żył się od długich dziesiątków lat.

W 1858 roku, we wrześniu, zginęła podczas podróży do Ameryki na płonącym statku „Austria” najdawniejsza, najserdeczniejsza przyjaciółka, Henrietta Wulff. Rok później umie- ra młody Wilhelm Pedersen pierwszy ilustrator *Baśni*. W 1860 roku zmarł tak niegdyś groźny krytyk, dyktator estetyzmu, Jan Ludwik Heiberg. W 1862 śmierć zabrała życzliwego, zawsze rozsądnego doradcę, Ingemanna. W poprzednim – 1861 roku – odszedł na zawsze sędziwy patriarcha, Jonasz Collin. Więzy, które przez tak wiele lat ściśle złączyły Andersena z „do- mem domów” przy Amaliegade, rozluźniły się teraz niemal całkowicie.

Nigdzie nie znalazł trwałego schronienia, nigdzie w istocie nie zapuścił korzeni. Wiódł nadal życie koczowniczo bezdomne, niespokojne, zawsze samotne. Mimo że w tych właśnie latach znalazł krąg nowych przyjaciół. Poznał przez Bournonville’a rodzinę maklera giełdo- wego, Henriques: salony jej były ośrodkiem życia muzycznego ówczesnej Kopenhagi. Siostra pana Henriques, Dorota, była żoną bogatego kupca, Moryca Gersona Melchiora. I w jej domu odbywały się co czwartek wieczory towarzyskie, których Andersen stał się niebawem stałym uczestnikiem. Dla tej nowej stołecznej elity nie był już parweniuszem, wpółwiejskim przy- błędą. Przeciwnie: wszyscy czuli się zaszczyceni, uszczęśliwieni, mogąc gościć u siebie sławnego na cały świat pisarza. Prześcigali się w okazywaniu mu podziwu, szacunku, uwiel- bienia, nikt spośród nich nie znał, nie pamiętał i nie wspominał dawnych gorzkich lat, jakie szewski syn z Fionii przeżywał w duńskiej stolicy.

Poszczególne dni tygodnia, podobnie jak podczas tych dawnych lat, przeznaczone były nadal na odwiedziny w bliżej zaprzyjaźnionych domach. Lecz zmienił się czas, zmienili się ludzie, nawet – adresy. W poniedziałki bywał Andersen u młodych Collinów – Edwarda i Henrietty, we wtorki u Drewsenów, środy spędzał u owdowiałej pani Ørsted i jej córki Ma-

tylady, czwartek – do niedawna jeszcze przeznaczony na wizyty u Jonasza Collina, był obecnie dniem gościny u Melchiorów, w piątki odwiedzał drugą córkę Wulffa, panią Idę Koch, w soboty – Luiżę de Neergaard, w niedzielę dom Henriques. Często też wyjeżdżał do niedalekiej pięknej posiadłości Melchiorów „Rolighed” (Odpoczynek).

Dalsze gwałtowne zmiany nastąpiły w tych latach i w Danii. W listopadzie 1863 roku zmarł niespodziewanie Fryderyk VII. Bismarck, nowy reprezentant Prus, postanowił natychmiast wykorzystać dogodną okazję. Sprowokował agresję Związku Niemieckiego przeciw małemu królestwu. Dawne błędy Duńczyków zemściły się teraz dotkliwie. Ukołysany pozoramami sennego spokoju kraj przeceniał znaczenie zwycięstw, odniesionych ostatnio w walkach o Szlezwik i Holsztyn. Przekonanie, że Dania może nadal liczyć na pomoc silnych gwarantów sprzed lat piętnastu, doprowadziło do lekkomyślnego zaniedbania prac fortyfikacyjnych i szkolenia armii. Toteż gdy Prusy i Austria zażądały autonomii dla obu spornych księstw – Duńczycy, pewni poparcia Anglii, odmówili. W odpowiedzi na tę odmowę wrogie wojska przekraczają granice Danii, a źle wyposażona, nie przygotowana, zaledwie czterdziestotysięczna armia duńska stawia, mimo wszystko, rozpaczliwy opór, słusznie przewidując, że do pomocy może jej teraz już tylko przedłużenie okresu zbrojnej walki.

W maju 1864 roku następuje chwilowe zawieszenie broni. Na międzynarodowej konferencji w Londynie przedstawiony zostaje projekt podziału Szlezwiku. Ponieważ do żadnego porozumienia nie dochodzi, działania wojenne zostają ponownie podjęte w czerwcu. Wróg zajmuje Jutlandię. Cóż, że flota duńska odnosi pod Helgolandem zwycięstwo nad Austriakami? Zdziesiątkowane wojsko, spustoszony kraj zmuszają do rychłego zawarcia pokoju. W Wiedniu, w październiku 1864 roku, jednym pociągnięciem pióra obrócone zostają wniwec wszystkie krwawe ofiary: Holsztyn, Szlezwik i Lauenburg przechodzą w ręce Austrii i Prus:

Pierwsze wielkie zwycięstwo Bismarcka. Nie tylko nad bohatersko walczącym małym królestwem, także nad innymi krajami, które nie ośmielają się już odtąd wątpić w rosnącą złowrogą potęgę Prus. Niebawem i Austria zostaje zmuszona do rezygnacji ze swojej części wojennego łupu. A gwaranci? Dwa lata później, przy podpisywaniu pokoju w Pradze, Napoleon III podsuwa projekt, którego skuteczność zdołał już sam wypróbować we Francji: dołączenia do traktatu specjalnej klauzuli, na mocy której północna część Szlezwiku mogłaby wrócić do Danii po – przeprowadzeniu plebiscytu. Półśrodki, puste, papierowe słowa. Bismarck ani myśli respektować owej klauzuli, a już wkrótce, po 1870 roku, nie ma nawet potrzeby udawać, że kiedykolwiek zamierzał z nią się liczyć.

Andersen tym razem ani przez chwilę nie wierzy w zwycięstwo. Przewiduje, że Dania musi ponieść straszliwą klęskę, z rozpaczą myśli nawet, że język duński będzie już można odtąd słyszeć jedynie – w Norwegii. Ów rok 1864, rok porażki i utraty złudzeń, jest w niestrudzenie pracowitym życiu poety okresem milczenia i pustki. Nie publikuje ani jednego zbioru baśni, opowieści, wierszy. Odrzuca zaproszenie do Norwegii, nie chce „bawić się, gdy cały kraj cierpi”. Zrywa kontakty z niemieckimi swoimi przyjaciółmi, a dwa lata później, w Holandii, odmawia czytania baśni w języku niemieckim. Pogrążony w smutnych, ponurych rozważaniach, ostatecznie wiary jednak nie traci. Pisze – jakby wbrew sobie:

„Jest zima, dmie wichur ostry jak miecz wykuty przez karły, lecą płaty śniegu, wydaje się nam, że padają tak już od tygodni, a śnieg piętrzy się jak olbrzymia góra nad wielkim miastem, jak ciężki sen zimowej nocy. Wszystko skryło się pod śniegiem i znikło, jedynie złoty kościelny krzyż, symbol wiary, unosi się nad śnieżnym grobem... Dzikie łabędzie przylatują, szumiąc skrzydłami, i śpiewają o wszystkim, co wspaniałe, wielkie, a co wykwita z ludzkich serc i myśli tam, na dole, w mieście spoczywającym pod śnieżną powłoką.

Nie ma tam śmierci, panuje życie; przemienia się ono w tony, które brzmią jak dźwięki kościelnych organów, jak głosy ze wzgórza elfów, jak pieśni Osjana, jak grzmiący łopot skrzydeł Walkirii. Jakaż harmonia przenika do naszych serc, podnosi nasze myśli: to śpiewa

ptak ludowej pieśni i w tej samej chwili spada z wyżyn gorące tchnienie boskie, śnieżna góra rozstępuje się, świeci nad nią słońce, nadchodzi wiosna, przylatują ptaki, nowe pokolenia przejmują te same, rodzime tony.

Posłuchaj skargi roku: potęga zimowej zawieruchy, ciężki sen zimowej nocy, wszystko znika, wszystko wzlatuje wzwyż we wspianym śpiewie ptaka ludowej pieśni, ptaka, który nigdy nie umiera.”

13

Podróże nie ustają: Szwecja, Holandia, raz jeszcze Hiszpania i Portugalia, Paryż, do którego w okresie wielkiej wystawy, w 1867 roku, powraca dwukrotnie:

„Właśnie otwarto światową wystawę w Paryżu. Zbiegli się tam ludzie ze wszystkich stron ziemi. Na piaskach Pola Marsowego wzniesiono przepyszny pałac, fata morgana, a całe pole zmieniono na najwspanialszy ogród. Musiałem tam pojechać, musiałem ujrzeć ów pokaz baśni naszej epoki!”

Czuje przecież, że ciąży mu czas. Niepożyte dotąd siły zaczynają słabnąć. Od 1851 roku zabiera już ze sobą na te włóczęgi po świecie „towarzyszy podróży”: jeździ z nim Jonasz, syn Edwarda Collina, albo młodzi pisarze: William Bloch czy Mikołaj Bögh, których często niecierpliwi, dziwi i śmieszy przesadny niepokój i zrzędlivość starzejącego się Andersena. Podróże w owych latach przybierać zaczynają zresztą coraz bardziej charakter turystycznych już tylko wycieczek. Zanika dawna chciwa chłonność i wrażliwość na barwy świata. I wreszcie, po raz pierwszy w życiu, ów ptak wędrowny czuje potrzebę znalezienia własnego gniazda. 28 października 1866 roku przeprowadza się na Lille Kangemsgade 1. Od fotografki, panny Torry Hallager, wynajmuje tam mieszkanie, złożone z dwóch pokoików i przedpokoju. Musi więc – również po raz pierwszy w życiu, teraz, gdy ma już przeszło sześćdziesiąt lat! – sprawić sobie meble, co wprawia go nieomal w popłoch:

„Oto mam mieć obecnie całe gospodarstwo i łóżko, własne łóżko, to mnie przeraża! Meble przytłoczą mnie przecież do ziemi – łóżko i fotel na biegunach, nie mówiąc już o obrazach i książkach! Gdybym przeprowadził się do hotelu, miałbym, tak mi się przynajmniej zdaje, swobodniejsze skrzydła, ale oto mam własne gospodarstwo za całe dwadzieścia pięć talarów miesięcznie!” – utyskuje w liście do młodego Jonasza Collina.

A do Hartmanna, który niegdyś skomponował muzykę do ciągle jeszcze popularnej jego opery *Mafia Kirsten*, pisze prawie z gniewem:

„...Mam oto gospodarstwo, stałem się ślimakiem w skorupie. I niechże pan sobie wyobrazi: mam teraz także własne łóżko, z którym będę się musiał przeprowadzać! Sto talarów musiałem wydać na nie i będzie ono z pewnością moim łóżem śmiertelnym, a jeśli do tej chwili nie wytrzyma, nie było wcale warte tej sumy!”

Fatalne łóżko, mimo wszystko, nie wytrąca go aż tak dalece z równowagi, żeby zrezygnował z humorystycznego popisu domu, w którym właśnie zamieszkał:

„Na parterze znajduje się jedna z najpopularniejszych w całym mieście kawiarni, na pierwszym piętrze restauracja, na drugim – lub na trzecim, gdzie i ja się gnieźdźę, mieszka także lekarz, a nade mną znajduje się atelier fotograficzne. Można się więc przekonać, że jedzenia i picia mam w pobliżu pod dostatkiem, na brak towarzystwa również nie potrzebuję

się uskarżać, nie umrę bez pomocy lekarskiej, a fotografka zdoła zachować mój wizerunek dla potomności. Oto, co można nazwać dobrym mieszkaniem!”

Wizerunek dla potomności. Od pierwszego, wpółdziesięcinnego jeszcze autobiograficznego wstępu do *Młodzieńczych prób* niezliczone razy, w najprzeróżniejszych odmianach i wariantach, dążył do najpełniejszego utrwalenia go i przekazania światu.

Spośród zachowanych portretów Andersena najwcześniejszy, malowany przez C. A. Jensena w 1836 roku, ukazuje w sposób jeszcze na wskroś konwencjonalny jego długą nordycką twarz o grubych rysach, wysokim czole, wielkich uszach, w połowie tylko przysłoniętych włosami, długim, krzywym nosie, uważnie, jakby wyczekująco spoglądających oczach, wydatnych, pełnych wargach w nieśmiałym uśmiechu i energicznie zarysowanym podbródku. Podobizn, rysunków, rzeźb, sylwetek powstawało z biegiem lat coraz więcej. W 1850 roku sporządzono dagerotyp. Andersen już w 1839 roku pisał do Guldberga:

„Co pan powie na wynalazek Daguerre’a? Ja jestem zachwycony. Jakże łatwo będzie w przyszłości odtwarzać słynne posągi, obrazy i najpiękniejsze na świecie widoki!”

Lecz w jeszcze większy zachwyt wprawia go dokonana w 1860 roku fotografia. Zdjęcia dokonał fotograf w Monachium, Hanfstängel. I Andersen pisze o tej swojej podobiznie:

„Byłem absolutnie zdumiony i zaskoczony, że słońce zdołało użyczyć mojej twarzy takich pozorów piękna. Schlebia mi to niesłychanie, chociaż to tylko fotografia. Przekonacie się, że to jedyny portret, który próżność moja zechce przekazać potomnym. A młode damy, oglądając go, będą powtarzać: «Jakże się to stało, że on się nie ożenił!»”

Tragiczny to wizerunek: włosy mocno już przerzedzone nad wydatnym czołem, oczy zapadnięte głęboko, ostro sterczące kości policzkowe i potężny nos, usta gorzkie, twarz zmierzowana, spustoszona, ascetyczna. A przecież piękno jej, pełna powagi godność – wcale nie są pozorne, Edward Brandes tak opisywał Andersena w ostatnich latach życia:

„Był to wówczas człowiek wysoki, postawny, piękny dzięki swym wyostrzonym, uduchowionym rysom. Poruszał się z niezmierną elegancją, a wobec ludzi, nawet całkiem nieznanymi czy dopiero początkujących pisarzy przejawiał niezwykłą wagę i życzliwość... Głos Andersena był czysty, giętki, głęboki: z łatwością natężał go lub ściszał. Czytał nie w sposób dramatyczny, nie jak aktor... Widać było, że każde słowo dialog, zdanie wyczuwał swymi wrażliwymi nerwami. W głosie tym pobrzmiewał jakby czysty i głęboki dźwięk dzwonu.”

I to także poza – wystudiowana starannie, narzucona własnej impulsywnej naturze, po trochu teatralnie komediancka, odrobinę kpiarska nawet, a raczej przede wszystkim, względem samego siebie? Cóż to szkodzi! Tak właśnie pragnął utrwalić zewnętrzną swoją postać w ludzkiej pamięci, takim pozostać we wspomnieniu – legendzie, która w tych latach zaczynała się już wokół niego kształtować. Inny ze współczesnych mieszkańców Kopenhagi, Emanuel Hansem również wspomina ów życzliwie uprzejmy stosunek Andersena wobec obcych nawet osób:

„Nie znałem żadnego innego człowieka, który by potrafił tak wiele wyrazić w ukłonie jak on, gdy spotykało się go na ulicy, zwłaszcza na znaczniejszy dystans, na przykład przy Kongens Nytorv, gdzie często przechodził, idąc ze swego mieszkania... do Królewskiego Teatru. Gdy zdarzało się, że dostrzegł mój ukłon, nie ograniczał się w odpowiedzi do zdjęcia kapelusza, lecz ruchem uroczystym, na całą długość ramienia, opisywał nim wielki łuk, kiwając mi jednocześnie głową z wyrazem tak wielkiej sympatii, że później długo jeszcze przyjemnie wspominałem tę chwilę.”

Najmniej chyba pochlebny, choć z pewnością wiarygodny opis ówczesnego wyglądu duńskiego bajkopisa dał kalifornijski celnik, John Ross Brown:

„Stała przede mną postać wysoka, chuda, niezgrabna, koścista – człowiek, który przeżył już najlepsze swe lata, lecz jeszcze niestary, o żywo błyszczących oczach, twarzy pokrytej siecią drobnych zmarszczek, ruchliwej i wyrazistej, a pośrodku tej twarzy sterczał ogromny,

wystający, zrzędzeniem losu nieco krzywo osadzony nos, w asyście dwóch mocno wystających kości policzkowych, pod którymi policzki były głęboko zapadnięte. Niezliczone zmarszczki i bruzdy kryły się w kącikach wielkich jego ust, jamy szerokiej, głębokiej, nieregularnej, którą z łatwością można by uznać za paszczkę jakiegoś potwora, pożerającego dzieci, gdyby nie łagodny, słoneczny uśmiech, przyczajony w kącikach i wyraz niezmiernej życzliwości, przeblaskującej z każdej zmarszczki i bruzdy.”

Z tym samym miłym, choć zamsze trochę ironicznym, odrobinę filuternym uśmiechem schylał się nieraz zapewne, z nożycami w ręku, nad arkuszem papieru. Wycinanki Andersena to osobny, rozległy temat; od najmłodszych lat zajmował się ich sporządzaniem, doszedł w tym kunszcie niemal do perfekcji, obdarowywał nimi przy lada okazji znajomych i dzieci w zaprzyjaźnionych domach. Wycinał je najczęściej ze złożonej na pół kartki, tak że w rezultacie powstawał twór symetryczny, groteskowy, fantastyczny, chociaż bynajmniej nie pobudzający do śmiechu – raczej niesamowity. I dziesiątki razy pośród elfów nieoczekiwanie wyrastających z rozłożystych konarów drzew, zwiewnych postaci małych tancerek, zastygłych w klasycznej, baletowej pozie na bocianich gniazdach, krasnoludków, bliźniaczo zrosniętych ze sobą spiczastymi czubami długich czapek powraca karykaturalnie wyolbrzymiona, chuda, wysoka postać: długoreka, długonoga, o wielkim, sterczącym nosie. Główny bohater tych licznych scenek (bo i tutaj nim pozostał) ukazany bywa zazwyczaj w sposób zjadliwie szyderczy: czy gdy zgina się w niezdatnym ukłonie przed baśniowymi istotkami, trzepoczącymi na arcydziwnym drzewie, czy kiedy stoi jedną nogą na grzbiecie okazałego łabędzia, a drugą podnosi w niedwuznacznym zamiarze wymierzenia swemu, stojącemu naprzeciw, sobowótrowi, tęgiego kopniaka. Jedna z późnych już delikatnych, niemal koronkowych wycinanek, kryje wśród masek, duszków, kwiatów i najróżniejszych innych motywów – dwie niemile wyszczerzone trupie czaszki. W ostatnich latach życia, gdy pisać mógł już tylko z wielkim trudem, Andersen zajmował się również wycinaniem i naklejaniem starych ilustracji z pism i gazet. Dorota Melchior otrzymała od niego w prezencie wielki parawan, ozdobiony w taki właśnie sposób według ówczesnej mody – lecz całkiem oryginalnego kompozycyjnego pomysłu autora.

Dziwaczną postać, przesadne gesty, kapryśne usposobienie, dziecinną próżność i nadal nadmiernie drażliwą ambicję Andersena znali wszyscy. Mało kto wiedział, że ów brzydki samotnik i wielki, światową sławą otoczony pisarz zachował przez całe życie proste, dobre, współczujące ludziom serce. Z ogromnej jego korespondencji widać, jak żywo uczestniczył we wszelkich troskach i przeżyciach swoich przyjaciół. Ale umiał równie gorliwie zabiegać o pomoc nawet dla obcych, organizować doraźne składki i zbiórki. Przesyłając w 1844 roku tom *Nowych baśni dla dzieci* Matyldzie Örsted, opatrzył go dedykacją: „Czworo biednych dzieci prosi panią o opiekę. Że jej warte – zaświadcza H. C. Andersen.” Obca mu była najzupełniej powierzchowna i pokazowa, tak modna wówczas filantropia. Ale dobrze pamiętał własne młode lata: głodne i trudne. I tam gdzie widział prawdziwą nędzę, umiał ulżyć jej szybko, skutecznie, bez niepotrzebnych słów.

Katastrofalny rok 1864 stał się dla Danii zbawiennym wstrząsem. W szeregach zwolenników Grundtviga – które w tych latach wzrosły niezwykle rzucono pozytywistyczne hasło „odzyskania intensywną pracą rąk i umysłu wewnątrz kraju tego, co zostało utracone na zewnątrz”. Praca od podstaw: planowa, rozumna. Dawni wychowankowie pierwszych Volke Højeskole – istniejących do dnia dzisiejszego uniwersytetów ludowych, gdzie obecnie na wykłady uczęszcza młodzież nie tylko ze wsi, ale i z miast – stają się przedstawicielami nowego chłopstwa, odczytanego już, odznaczającego się coraz większą kulturą życia codziennego, świadomego swoich celów. Garną się do ruchu spółdzielczego, który rozwija się coraz szerzej. Z czasem stają się przywódcami chłopskiej lewicy w duńskim parlamencie, zwalczając

nieustępliwie przez dwadzieścia lat konserwatywną politykę właściciela wielkich dóbr ziemskich, premiera Estrupa.

Odżyły znowu miasta, rozwijać zaczął się handel i przemysł. W 1857 roku wprowadzono ustawę o wolności rzemiosł. Już dziesięć lat przedtem Jakub Chrystian Jacobsen, który w młodości gorliwie uczęszczał na wykłady Örsteda w kolegium inżynierskim, zakłada w Carlsberg, na przedmieściu stolicy, nowy browar: podwaliny piwnego przemysłu Danii. Nie tylko przemysłu: Carlsberg, którego dochody rozrastają się z biegiem lat do olbrzymich rozmiarów, prócz praktycznych realizuje i wyższe cele. Staje się samodzielną, prywatną fundacją, dysponującą ogromnymi sumami, rozdzielającą naukowe i artystyczne stypendia, zasiłki, nagrody, czynnie popierającą rozwój rzeźby, malarstwa, architektury, konserwacji zabytków i... sztuki ogrodniczej, z której słynie Dania. Karol Fryderyk Tietgen, syn stolarza z Odense, otwiera w tymże 1857 roku w Kopenhadze pierwszy prywatny bank. W latach sześćdziesiątych zakłada Tietgen również Wielkie Północne Towarzystwo Telegrafu i Andersen przesyła z tej okazji poetyckie pozdrowienia swemu ziomkowi – zarówno w imieniu własnym, jak i wielkiego Örsteda.

„*Det moderne gennembrud*” – to nazwa historycznego przełomu, jaki w tych latach dokonuje się w duńskiej kulturze. W 1864 roku Hanna Luiza Heiberg schodzi ze sceny. Nie ze sceny życia wprawdzie – żyła do 1890 roku – lecz z teatralnej, na której przez dziesiątki lat odnosiła tak wspaniałe triumfy. Ostatnim przedstawieniem, w jakim bierze udział – taktownie, oczywiście, tym razem już nie w tytułowej roli, którą niegdyś olśniewała publiczność – jest niezapomniany *Elverhøj* Heiberga, do którego muzykę komponował Kuhlau. W cień zapada piękny ogród i dom w Sakrasthuset, przez którego salony przewijało się ileż wybitnych postaci: Kierkegaard i Andersen, J. P. Jacobsen, młody Björnstjerne Björnson i płomienny Ibsen, którego *Związek młodzieży* wystawiała po raz pierwszy Frue Heiberg w Królewskim Teatrze Kopenhagi. Porzuciła aktorstwo, lecz nie wyrzekła się teatru: reżyserowała sztuki nowych twórców. Odpłacali jej gorącym uwielbieniem. Ibsen napisał na jej sześć *List rymowany*, porównując jej działalność do wielkich przepływających na horyzoncie żaglowców. Hanna Luiza w długie samotne godziny spisuje teraz pamiętniki, które wydane zostaną dopiero po jej śmierci: *Życie, przeżyte we wspomnieniach*. „Skłamanie we wspomnieniach” kpią niepoprawni czytelnicy. Cóż to szkodzi? I – kto, wspominając, nie przeinacza, nie ubarwia i nie „poprawia” prawdy – choćby tylko dla pocieszenia samego siebie? Czas popularnych niegdyś wodewilów i zapalczywych dyskusji estetycznych przeminął. Nowa epoka nie muz potrzebuje – lecz trzeźwych przywódców.

Jerzy Brandes, pochodzący z kupieckiej rodziny żydowskiej młody krytyk, śmiało sięga po tę rolę. Otrzymał stypendium uniwersyteckie, odbył klasyczną pielgrzymkę do Francji i Włoch. Przywiózł z niej realne zdobycze: na każdym kroku dostrzegał fakty, potwierdzające własne jego przekonanie, że idee wielkiej rewolucji francuskiej zwyciężyły już w całej Europie oprócz rodzinnej Danii. Zagłębia się w pismach filozofów – czyta chciwie Kierkegarda, ale i Taine’a, Renana, Hojna Stuarda Mila, którego zresztą poznaje osobiście i nawet tłumaczy niektóre jego dzieła. W młodości przyjął z gorącym entuzjazmem idee heglowskiej lewicy i przekonany o niepowstrzymanym postępie ludzkości, spieszenie chce mu torować drogę. Czuje się powołany do zbudzenia wreszcie swego sennego, opóźnionego w rozwoju, zaściankowo – prowincjonalnego kraju. Potwierdza mu tę konieczność Ibsen, widzący dla siebie podobne zadania w Norwegii.

„Dania – woła Brandes – pozostała przynajmniej o czterdzieści lat w tyle za całą Europą!” Gorączkowo usiłuje naprawić te zaniedbania. Żąda „prawa do niezależnych poszukiwań i wiary w ostateczne zwycięstwo niepodległej myśli”. Gwałtownie atakuje bujający w obłokach idealizm. Domaga się od współczesnych, żeby zajęli się otaczającą ich rzeczywistością, służyli nowoczesności, postępowi, a nie ciemności i reakcji.

Rozważania te i hasła bynajmniej nie są tylko teoretyczne. Nowy przywódca niebawem przystępuje do przekształcenia ich w czyn.

3 września 1871 roku rozpoczyna swą niezwykłą kampanię. Pojawia się na uniwersytecie, wygłaszając pierwszy wykład o współczesnej literaturze. W cichej, spokojnej Kopenhadze wre nagle jak w mrowisku. Radykalna inteligencja spieszy tłumnie, konserwatyści biadają wniebogłose na niesłychane zgorszenie, jakie sieje ów „Żyd – ateista”, publicznie szargający nietykalne dotąd świętości. Zapowiedziany na wstępie program wykładów zawiera szereg cykli. W nowy, dramatyczny sposób ukazana zostaje w nich walka idei wolności i postępu z siłami reakcji w Anglii, Francji i Niemczech. O rodzimej literaturze przezorny prelegent w zasadzie prawie nie wspomina. Zbawienny szok mógłby przecież okazać się za silny. Przy okazji przypomina tylko w kilku słowach różne jej okresy:

„Zaledwie w paru miejscach teatralnej kurtyny, którą rozwijam przed moimi słuchaczami, robię niewielką dziurkę, przez którą dostrzec można stosunki panujące w Danii” – stwierdza Brandes oględnie. Lecz mimo tej ostrożności wrażenie jest olbrzymie. Jerzy Brandes, długowieczny jak Grundtvig (zmarł dopiero w 1927 roku!), na następne dziesiątki lat przejmuje ster kulturalnego życia Danii.

Wykłady na uniwersytecie musi wprawdzie już niebawem przerwać, płaci nawet karę, gdyż okazuje się, że – nie miał oficjalnej nominacji na profesora estetyki (katedra ta od 1872 roku pozostawała nie obsadzona) – i wyjeżdża do Niemiec. Lecz tam właśnie powstają dzieła, przynoszące młodemu krytykowi światową sławę. Píše o Kierkegaardzie, Lassalle’u, Disraelim, wnikliwie ukazuje dotychczasowe osiągnięcia literatury skandynawskiej i duńskiej: pisze o Heibergu, poetach duńskich i nowych ludziach „przełomu myśli współczesnej”. Prowadzi pracownię, ogromną korespondencję, wymienia obserwacje z pisarzami, filozofami i uczonymi swojej epoki. Brat jego, Edward Brandes, autor paru wątpliwych dramatów, ani w polowie nie dorównuje mu blaskiem talentu i dynamiczną energią. Usiłuje wprawdzie skupić jego zwolenników, stworzyć stronnictwo literackie, lecz organizacyjne te próby zawodzą: gwałtowność i nieprzejednanie radykalna postawa nowego dyktatora budzą wprawdzie zainteresowanie, jednak odstrasza od zbyt bliskich, osobistych z nim kontaktów.

Nie znajdując oparcia ani w liberalnym mieszczaństwie, ani – tym bardziej – wśród polityków swojego kraju, Jerzy Brandes u schyłku lat osiemdziesiątych odwraca się od mas. Ulega z kolei silnym wpływom Nietzschego, którego idee i postać rozświetlił swoimi pracami nie tylko w Danii, ale w całej Europie. Hołduje „radykalizmowi arystokratycznemu”, wyznaje nietzscheańskie „uwielbienie bogów”: wielcy ludzie, potężne indywidualności artystyczne – oto jedyne źródło kultury. Bezkompromisowy jak zawsze, przekształca i te poglądy w czyn. Píše biografie „tytanów ducha”: Cezara, Michała Anioła, Szekspira, Woltera, Goethego. Owocem dalszych podróży stają się spisane z końcem stulecia *Wrażenia z Polski* oraz *Wrażenia z Rosji*, gdzie odczyty jego gromadziły licznych słuchaczy i dyskutantów, a po pierwszej wojnie światowej dwie książki o jej skutkach i ostre artykuły przeciwko rasowej i narodowościowej dyskryminacji małych narodów w Europie. Orli wzrok, lwi pazur – a przecież... Pod koniec swego długiego, ruchliwego, barwnego życia stwierdza Brandes nie bez odcienia gorzkiej melancholii, że w istocie był tylko... niepoprawnym, starym romantykiem, który wszystkie swoje lata spędził na... atakowaniu romantyzmu!

Surowo oceniając współczesnych – szczególnie w rodzinnym kraju – jeszcze przed rozpoczęciem swej ożywionej działalności publicznej – przesyła jednak list Andersenowi:

„10 lipca 1869

Spośród wszystkich pisarzy, których skrzywdziła krytyka, pan należy do najbardziej pokrzywdzonych, ponieważ wskutek wulgarnych uprzedzeń najrozmaitszego rodzaju został pan narażony na lekceważenie i złą ocenę...”

I w tym samym liście zapowiada już cykl artykułów na temat *Baśni*.

Lecz Andersen odpowiedział na ów list już niemal dziesięć lat wcześniej. W 1860 roku pisał do Edwarda Collina:

„W zasadzie i z natury swojej zbyt jestem duński, żeby doprawdy odczuwać nieusprawiedliwione rozgoryczenie względem własnej ojczyzny. Jestem najbardziej duński spośród wszystkich duńskich pisarzy i sam to czuję, zawsze też będę na całym świecie, a także tutaj, u nas, uważany za pisarza najbardziej duńskiego.”

Pogodził się już z własnym krajem. Słowa uznania, których przez tak wiele lat ciągle mu nie dostawało, płynęły teraz ku niemu ze wszystkich stron świata. Ale nieustannie na nowo wzruszała go myśl, że przecież sławą swoją opromienia także kraj, z którym tak serdecznie był związany. I sześć lat później, w innym liście do Collina, powtórzył jeszcze:

„Jestem tym, któremu Bóg dozwolił ponieść drukiem przez cały szeroki świat słowa: «Dania i duńskie». Na myśl o tym rzewnie robi mi się na sercu. Absolutnie na to nie zasłużyłem!”

14

Szóstego grudnia 1867 roku, po długiej, wieloletniej przerwie, przyjeżdża Andersen do Odense. Pierścień się zamyka, spełnia się dawne proroctwo starej kabalarki: najciemniejsze zaułki miasta promienieją rześistą iluminacją: główny bohater dramatu staje oto doprawdy na najwyższym już „szczyście szczęścia”, otrzymując w tym dniu honorowe obywatelstwo rodzinnego miasta, otoczony powszechnym uwielbieniem.

Czyżby? Psotny, złośliwy chochlik wtargnął i tutaj. I Andersen w niezrównany sposób opisuje tę uroczystą chwilę: „...Jakże byłem szczęśliwy... lecz że człowiek nie śmie wlatywać wprost ku niebu, musiałem i ja także odczuć, iż jestem jedynie nędznym, ludzkim stworzeniem, zakutym w więzy pospolitych spraw ziemskich. Miałem straszliwy ból zębów, który wskutek gwałtownych wzruszeń oraz ciepła panującego w sali gwałtownie narastał... Podszedłem do otwartego okna: wszystko wokół jaśniało w blasku pochodni, plac był gęsto zatłoczony ludźmi, słowa pieśni wlatywały ku mnie; duchowo byłem wstrząśnięty, fizycznie – zrujnowany i nie mogłem rozkoszować się tą najwspanialszą w całym moim życiu chwilą. Ból zębów stawał się nieznośny: lodowate tchnienie powietrza, które wiało prosto na mnie, rozogniało go jeszcze bardziej i, zamiast się napawać szczęściem owych momentów, które nigdy już nie powrócą, ukradkiem zerkałem na drukowany tekst pieśni, chcąc się przekonać, ile jeszcze zwrotek trzeba obędzie prześpiewać, zanim zdołam wreszcie doczekać kresu tych straszliwych męczarni, które zimne powietrze zadawało moim zębom.”

„Z rzeczywistości wyrastają najpiękniejsze baśnie” – powtarzał często. I nie byłby sobą, gdyby to arcyłudzkie tło „najwspanialszej chwili życia” również nie posłużyło mu za temat. Oto zjawia się *Ciotka Fluksja*: „...*Satania infernalis!* Boże, chroń nas przed jej odwiedzinami! – Nauczę cię, jak się układa wiersze – powiedziała. – Wielki poeta musi mieć wielkie bóle zębów, mały poeta – małe... Oziębnię ich korzenie przeciagiem. Stworzę ci cierpienia we wszystkich miarach wiersza... Wspaniały koncert na organki z bębnami, trąbkami, fletem piccolo i puzonem w zębie mądrości. Wielkiemu poecie – wielka muzyka!”

Ale także nie byłby sobą, gdyby raz jeszcze – i znowu: któryż to już raz! – nie powtórzył przy tej okazji, że znów, nieodmiennie myśleć musi o „...Aladynie... który, kiedy z pomocą cudownej swojej lampy zbudował wspaniały pałac podszedł do okna, mówiąc: «Tam oto biegłem niegdyś jako ubogi chłopiec.» I mnie obdarzył Bóg taką cudowną lampą poezji, a gdy

blask jej szedł poprzez świat, gdy się nią cieszą i okazywano jej szacunek, gdy mówiono, że blask ów promienieje z Danii, serce moje było radośnie.”

Za namową amerykańskich wydawców podejmuje w 1868 roku dalszy ciąg *Baśni mojego życia*, który trzy lata później wychodzi w Ameryce, stale też myśli o wydaniu jeszcze jednej wersji duńskiej autobiografii. I pisze ją wreszcie w 1870 roku w postaci powieści, a raczej sporej noweli: ostateczną autoapateozę, baśniową ostatnią relację przedziwnych losów mitycznego bohatera, „naiwnego geniusza”. Główny bohater „Szczęśliwy Piotr” z ubogiej izby dąży niepowstrzymanie ku sławie. Staje się nie tylko znakomitym poetą, lecz także kompozytorem, aktorem i śpiewakiem. Tworzy baśniową operę *Aladyn*, odtwarza w niej główną rolę i w dzień premiery, po odniesionym ogromnym sukcesie, wśród oklasków pada martwy na scenie: serce jego nie wytrzymuje chwili tak wielkiego triumfu.

W realnym życiu autora złote lata sławy trwają już teraz nieprzerwanie: gdziekolwiek się pojawi, witają go entuzjastycznie, obsypują kwiatami, składają mu laurowe wieńce i najróżniejsze upominki. Otrzymuje tytuł radcy stanu, kilka lat później również jeszcze tytuł radcy „konferencyjnego”, płyną na jego ręce dary i setki listów ze wszystkich stron. W dzienniku pod datą 1 kwietnia 1875 roku notuje:

„...Przysłano po mnie powóz samego króla. Trap i Holten powitali mnie życzliwie. Król natychmiast prosił, żebym usiadł, wręczył mi Krzyż Komandorski Dannebrog pierwszego stopnia, rozmawiał ze mną bardzo serdecznie, często też przy tym wspominał, ile dobra i radości twórczość moja przyniosła Danii i światu.

Pięćdziesiątą rocznicę przybycia „ubogiego, nikomu nie znanego chłopca” z Fionii do Kopenhagi obchodzi Andersen w gronie przyjaciół niezwykle uroczysto: dzieci ze znanej szkoły Natalii Zahles wręczają mu w prezencie wielki srebrny liść: wspomnienie o *Szczęśliwej rodzinie* – baśni, którą napisał po powrocie z Anglii... Uroczystych okazji jest coraz więcej: bankiet, wydany w dniu siedemdziesięciolecia Andersena przez Melchiorów, gromadzi przeszło dwieście czterdzieści osób, potrawy na złożonym jadłospisie otrzymały nazwy różnych jego baśni, rozbrzmiewają toasty i pieśni, a jubilat znowu odnotowuje w dzienniku:

„...Ploug wygłosił mowę o mojej starej babce, nie tej jednak, która spoczywa pod darnią na Fionii, lecz o Danii, która jest wprawdzie babcią surową i starannie dbającą o wychowanie, lecz bardzo dumną z udanych swoich dzieci! Może nadejdzie kiedyś taki czas, gdy mój mały ołowiany żołnierzek będzie tak samo dumnie stać na straży imienia Danii, jak marmurowi apostołowie Thorvaldsena... Cóż to za wielki, wspaniały dzień! A przecież – jakże ułomne, kruche i słabe jest moje ciało, mimo że znosi wszystkie te boskie błogosławieństwa!”

Od przeszło dziesięciu już lat narzeka nieustannie na różne bóle, męczy się teraz szybko, wyraźnie podupada na zdrowiu. Bardzo go to niecierpliwą. Ciągłe jeszcze nie chce wyrzec się ulubionych włóczek po świecie. Ale wiosną 1872 roku, podczas podróży do Niemiec, chcąc w nocy poprawić pościel na łóżku, przewraca na siebie w gospodzie ciężki stół wraz z lichtarzem, odnosi poważny szok. Jesienią dręczy go przez kilka tygodni ciężki atak wątroby: żółknie, chudnie i zaniepokojeni przyjaciele wysyłają go na kurację do Galion, nad Jezioro Genewskie. Skutki leczenia obraca jednak natychmiast wniwecz krótka wycieczka do Bellagio: spłoszony koń ucieka razem z powozem, zostawiając podróżnych na pustej drodze i zmuszając ich w morderczym upale do żmudnego powrotu pieszo.

Zimą 1873 spędza w Kopenhadze: chodzi już z trudem, więc tylko siedząc przy oknie z widokiem na port patrzy „jak małe holowniki ciągną wielkie statki”. Cały pokój obwieszony jest afiszami teatralnymi – skoro nie może, jak dawniej, spędzać wieczorów w honorowym zielonym fotelu widowni, chce przynajmniej w ten sposób utrzymać żywą łączność ze sceną. W dzienniku pod datą 8 marca 1873 notuje:

„Pod wieczór przysłała mi hrabina Wanda Dannekiold–Samsøe piękny parawan. Przed rokiem, gdy sam zrobiłem podobny dla jej siostry, hrabiny Holstein, bardzo go podziwiała i

przrzekła przy okazji sporządzić taki sam dla mnie. Nie wierzyłem, że go dostanę, ale oto nadszedł... pełen kolorowych po jednej i jednobarwnych obrazków po drugiej stronie. Były one powycinane z ilustracji, przechodziły jedne w drugie, gdyż nalepione zastały w taki sposób, że całość tworzyła jeden obraz; ale było ich tak wiele, że splatały się niczym przedziwny sen... Niezwykle ucieszył mnie ten podarunek.”

Troskliwe ręce kobiet: Doroty Melchior, Teresy Henriques, wielu innych jeszcze, zmieniają teraz kwiaty w jego małym mieszkaniu, przynoszą lekarstwa, dbają o powszednie gospodarskie sprawy. Andersen wyjeżdża także często na odpoczynek do Holsteinborgu, Basnäs i zielonego „Rolighed”.

W 1870 roku utworzony zostaje komitet, zbierający składki na wzniesienie w Kongens Have, w Kopenhadze pomnika Andersena. (Obecnie stoją dwa jego pomniki w duńskiej stolicy.) Przedkładają żywemu modelowi różne projekty do oceny. Promienieje szczęściem? Skądże znowu – zżyma się i oburza! Zwłaszcza szkic wykonany przez rzeźbiarza Saabye budzi jego gwałtowne niezadowolenie:

„Nigdy chyba nie widział mnie czytającego głośno protestuje – bo przecież musiałby pamiętać, że znieść nie mogłem, żeby dzieci stały mi za plecami, włożyły na kolana albo tuliły się do mnie, gdy czytam!”

Najwięcej chyba nieporozumień, jeszcze za życia Andersena, nagromadziło się wokół jego stosunku do dzieci. Irytowały go niesłychanie brednie, jakie na ten właśnie temat wypisywała ówczesna prasa amerykańska, ukazując w cikliwie lukrowanych opowiadkach postać dobrotliwego dziadunia, który dzieciom – nawet na ulicy! – opowiada „prześliczne bajeczki”, a sam w dzieciństwie beztrąsko biegał po łąkach, goniąc barwne motyki. Z dziećmi umiał zawsze i z łatwością nawiązywać bezpośredni kontakt, mówił z nimi chętnie, prostym i zrozumiałym dla nich językiem, lubiły dziwną, chudą postać „łagodnego olbrzyma”, słuchały niezwykłych jego opowiadań. Przez kilka ostatnich lat życia prowadził też Andersen ciekawą korespondencję z małą Mary Livingstone, córką słynnego afrykańskiego podróżnika, zachowywały się krótkie zabawne jego listy do „małej Maryni”, córki państwa Henriques, i do innych znajomych malców. Ale uparcie – choć, jak wykazała przyszłość – bezsilnie i na próżno protestował zawsze przeciw banalnym przesłodzonym legendom, jakimi usiłowały otoczyć jego osobę i twórczość egzaltowane paniusie i wulgarni popularyzatorzy. W 1844 roku pisał już o *Baśniach*:

„Malcy bawili się najlepiej tym, co nazwałbym sztafajem; natomiast starszych interesowała głębsza idea utworów.”

W dzienniku pod datą 11 lipca 1874 notuje:

„List od małej dziewczynki [Abigail Tomkins] z Ameryki, z dolarowym banknotem i wczynkiem z gazety, zawierającym wezwanie do dzieci amerykańskich, żeby spłaciły mi dług, jako «swojemu» pisarzowi, i zapewniły wolną od wszelkich trosk starość. Oświadczyłem podobno, iż nigdy nie dostałem z Ameryki nawet jednego dolara; zirytowało mnie to niesłychanie, bo przecież w ostatnim roku stale otrzymuję przez Horacjusza Scuddera pewną skromną sumę!”

Przez myśl nie przeszło mu co prawda nigdy, że sam, w licznych *Baśniach życia* wyłączając mroczną przeszłość, mimowiednie przyczyniał się do powstawania niebezpiecznie uproszczonej legendy.

„Najbardziej ujmujący – wspomina go z ostatnich lat życia Jerzy Brandes – wydawał się jednak, kiedy odwiedzał mnie czasami w owym śmiesznym i bardzo wysoko położonym pokoiku, w którym wówczas mieszkałem. Wchodził, siadał na niewielkim skórą obitym taborecie, jedynym, jaki mogłem mu zaofiarować, ukradkiem zerkał na okno i, choćby było ono najstaranniej zamknięte, w nieustannej obawie przed przeciągami zawsze nieco się od niego odsuwał, po czym z górnej kieszeni ubrania wyciągał rękopis. Lecz zanim przystąpił do czy-

tania, kilku wstępными słowami przygotowywał najpierw swoich słuchaczy do tego, co nastąpi: czytał już tę teorię dwóm czy trzem osobom, bynajmniej nie najpośledniejszym w Danii, a one zachwycone były tą lekturą. Gade oświadczył, iż Andersen w całym swoim życiu nie napisał nic lepszego, a profesor Rasmus Nielsen powtarzał nieustannie: «Znakomite!» Co młodszy słuchacz domyślał się już po tym wstępie, że nie pozostaje mu nic innego, jak otrzeć łzę i w milczeniu uściskać dłoń Andersena. Ale jakżeż on czytał! Nie należy przypuszczać, że w tej malej izdebce, gdzie ledwie się mieściła wielka jego postać o zamasztych gestach, mniej sobie zadawał trudu niż gdyby czytał w jakiejś wielkiej, odświętnie przystrojonej sali. Czytał jak tylko umiał najlepiej i gotów był również dyskutować na temat różnych szczegółów, pod jednym tylko warunkiem, żeby słuchacze byli zadowoleni i wdzięczni mu za całość.”

W cechach zasadniczych zmienił się niewiele: u schyłku życia, uczczony pomnikiem, sławny na cały świat, z tą samą, niemal natarczywą skwapliwością chce zawsze choć trochę głośno poczytać! I jak dawniej, czujnie obserwuje nawet najdrobniejsze reakcje słuchaczy: żywe słowo pozostało dla niego nadal najlepszym sposobem przekazania im własnych myśli: poetycko uduchowionej, w krzywym zwierciadle satyry utrwalonej wizji świata.

Spośród mniej znanych baśni jedna jest związłym wyjaśnieniem tych autorskich intencji:

„Na oknie stał krzak róży. Niedawno jeszcze był świeży i lśniący, ale teraz zmatowiał: coś mu dolegało. Przybyli do niego na kwaterę goście i oni właśnie zzerali go; byli to zresztą goście wcale przyzwoici, w zielonych mundurach.

Porozmawiałem z jednym z tych, którzy tam się zakwaterowali: miał zaledwie trzy dni, a już był dziadkiem. Wiesz, co mi powiedział? Prawdą jest to, co powiedział, a mówił o sobie i o wszystkich, którzy tam zajęli kwaterę.

– Jesteśmy najdziwniejszym oddziałkiem spośród wszystkich stworzeń. W ciepłej porze roku rodzimy żywe potomstwo: pogoda wtedy ładna. Ledwo pojawimy się na świecie, zaraz się zareczamy i wyprawiamy wesele. W chłodnej porze roku składamy jajeczka: nasze maleństwa leżą w ciepłe. Najmądrzejsze spośród stworzeń, mrówki, dla których mamy wiele szacunku, badają nas i oceniają naszą wartość. Nie pożerają nas od razu, nie, biorą nasze jajeczka i składają je we wspólnym swoim domu, na najniższym piętrze. Tam, ponumerowane, umieszczają nas w należytej kolejności, jedno przy drugim, warstewką na warstewce, tak że co dzień jedno stworzonko może się wykluczyć z jajeczka. Później mrówki umieszczają nas w zagrodzie, przytrzymują tylnymi łapkami i doją, dopóki nie pomrzemy. Rozkoszna to śmierć! Nadały nam prześliczną nazwę: «Słodkie, mleczne krówki!» Wszystkie stworzenia o mrówczym rozumie nazywają nas w ten sposób, jedynie ludzie tego nie robią, a nas martwi to tak głęboko, że jesteśmy niemal gotowe utracić całą naszą słodycz. Czy nie zechciałby pan zapobiec tej niesprawiedliwości, nie mógłby pan zwrócić uwagi ludziom? Obrzucają nas spojrzeniem tak głupim, jakby zamierzali nas zbrukać nim jedynie dlatego, że karmimy się listkami róż, a przecież sami pożerają wszelkie żywe stworzenia, wszystko, co tylko zieleni się i kwitnie. Dają nam najwzgardliwszą, najobrzydliwszą nazwę – fe! – nie wymienię jej! Wszystko się we mnie przewraca, nie mogę jej wymówić, a przynajmniej nie wtedy, kiedy jestem w mundurze, a w mundurze jestem zawsze.

Urodziłem się na listku różanego krzewu, ja i cały nasz oddziałek żywimy się tym krzakiem róży. Lecz dzięki nam z kolei żyją stworzenia wyżej ukształtowane. Ludzie nas nie znoszą, przychodzą i zabijają nas mydlaną wodą – ohydny to trunek! Wydaje mi się, że już czuję jego zapach. To straszne, gdy myją kogoś, kto urodził się po to, żeby nie być mytym!

Człowieku! Ty, który przyglądasz mi się srogimi oczami, pełnymi mydlanej wody, zastanów się nad naszym miejscem w przyrodzie, nad naszym kunsztem składania jajeczek i wydawania potomstwa! Nam również przypadło w udziale błogosławieństwo «napełniania ziemi i rozmnażania się». Wśród róż się rodzimy, w różach umieramy – całe nasze życie jest poezją! Nie obrzucaj nas nazwą, którą sam uważasz za najwstrętniejszą, najobrzydliwszą – nie,

ja jej nie wymienię, nie chcę jej wymieniać! Nazywajże nas mlecznymi krówkami mrówek, regimentem różanego krzewu, małymi zielonaczkami!

A ja, człowiek, stałem i patrzyłem na krzew i na te drobne, zielone stworzonka, których nazwy nie chcę wymieniać, ponieważ nie chcę obrazić obywatela różanego krzewu, obdarzonego liczną rodziną w postaci zarówno jajeczek, jak i żywego potomstwa. Z mydlanej wody – którą chciałem obmyć krzew – przyszedłem tutaj bowiem z mydlaną wodą i ze złymi zamiarami – zrobię teraz piankę i zacznę puszczać bańki mydlane. A później przypatrzę się tym wspaniałościom: a nuż w każdej bańce kryje się bajka?

I bańka stała się ogromna, mieniła się cudownie promiennymi barwami, a w głębi niej zdawała się spoczywać srebrzysta perła. Bańka chybotąca, unosiła się, uleciała ku drzwiom i pękła, ale drzwi się otworzyły i na progu stanęła we własnej osobie wieszczka bajek.

No, teraz ona potrafi opowiedzieć – ileż lepiej ode mnie – o tych – nie, nie wymienię ich nazwy! – drobnych, zielonych stworzonkach.

– Mszyce, czyli wszy ogrodowe – powiedziała wieszczka bajek. Każdą rzecz należy nazywać po imieniu, a jeśli nie sposób dokonać tego inaczej, należy robić to przynajmniej w baśni.”

Autor *Baśni* uczynił znacznie więcej: nie jedno, lecz wiele różnych nazw i imion wynalazł dla spraw i rzeczy pozornie od dawna już i jednoznacznie określonych.

Kierkegaard w swoich *Stadiach na drodze ludzkiego żywota* pisał o mowie duńskiej

„Niektórzy z rodaków moich sądzą, że ojczysty ich język nie potrafi wyrażać zawiłych myśli. Pogląd taki wydaje mi się dziwny i niewdzięczny, podobnie jak dziwną i przesadną, wydaje mi się tak zazdrosna obrona naszej mowy, że zapomina się przy niej niemal o możliwościach cieszenia się nią... Osobiście czuję się szczęśliwy że związany jestem z moją mową ojczystą, związany tak, jak chyba mało kto; związany jak Adam z Ewą, ponieważ nie było wówczas jeszcze żadnej innej kobiety... Lecz i dlatego cieszę się, że tak mocno z nią jestem związany, bo... rozszerza ona duszę i łagodnymi swymi dźwiękami zachwyca serce, ponieważ jest mową ojczystą, która nie stęka i nie sapie, gdy wypadnie jej zatrzymać się przy trudnej jakiejś myśli i borykać z nią (niejeden zaś właśnie dlatego sądzi, że niezdolna jest ją wyrazić!) ...to mowa, która nie brzmi przesadnie... nie szuka daleko tego, co przecież bliskie, ani w głębiach przepaści tego, co dostępne jak na dłonie.. która staje się gorąca i pełna uczuć, gdy prawdziwy kochanek męską namiętnością swoją zdoła rozpać jej kobiecą namiętność, świadoma i zwycięska w walce myśli, gdy prawdziwy suweren wie, jak ją poprowadzić... której nie brak słów na wyrażenie tego, co wielkie, decydujące, wzniosłe, a która jednak odznacza się ujmującą, pełną wdzięku, wręcz genialną predylekcją dla różnych odcieni myśli, celności wyrazu i lekkiego tchnienia nastroju... która równie dobrze zna się na żartach, jak na sprawach poważnych...” Andersen mówi w podobny sposób:

„Ze zdumieniem przekonałem się i pojąłem, jak bogaty jest duński język w słowa wyrażające uczucia i nastroje w porównaniu z francuszczyzną: we francuskim istnieje nieraz jedno tylko słowo tam, gdzie my mamy ich całe mnóstwo do wyboru. Francuski nazwałbym językiem plastycznym, bliski jest on sztuce rzeźbiarskiej, w której wszystko jest jasne, zaokrąglone i wyraźnie określone, lecz nasza ojczysta mowa posiada bogactwo odcieni i różnorodność wyrażań dla określania rozmaitych nastrojów. Radowałem się jej bogactwem: jakże jest miękka i dźwięczna, jeśli mówi się nią tak, jak się mówić powinno!”

Wiosną 1875 roku snuje plany dalszych podróży. Jesień zamierza spędzić w Montreux, zimą w Mentonie. Oddaje nawet meble na przechowanie, zamawia u krawca ubrania podróżne, każe wydrukować dwieście nowych wizytówek (niewątpliwie ze wszystkimi, ostatnio jeszcze otrzymanymi tytułami!), spakować rzeczy, zarezerwować w pensjonatach pokoje.

Lecz sił wystarczy mu już zaledwie na przeniesienie się – z wielkim trudem – do niedalekiego „Rolighed”. Nawet i tam jednak, przykuty do łóżka, snuje optymistyczne, rozległe pla-

ny na przyszłość. Jest obecnie człowiekiem nie tylko zamożnym, lecz bogatym. Chce wybudować sobie dom, własny dom, z wielką oszkloną werandą pełną palm i zieleni, ozdobić wnętrza rzeźbami Thorvaldsena i popiersiami duńskich pisarzy. Osłabiony czuje się nieustannie, zmęczony, senny jak dziecko. 6 lipca, nie mogąc sam już pisać, dyktuje pani Melchior wiersz. Upartą pracowitość zachował niezmiennie: w ostatnich latach powstała niemal połowa 156 opublikowanych za jego życia baśni. W dzienniku pod datą 3 lutego 1875 roku figuruje notatka: „Napisałem wiersz *Kopenhaga* i rozpocząłem podobny pod tytułem *Odense*. I dzień później: „Po powrocie do domu dalej pisałem wiersz *Odense*, lecz jeszcze nie całkiem go skończyłem.” I 5 lutego: „Dziś wieczorem siedziałem długo i po północy skończyłem wiersz *Odense*.” W 1857 roku ukazał się tom *Wierszy znanych i zapomnianych* – wśród nich i najwcześniejszy: *Umierające dziecko*.

4 sierpnia 1875 roku Andersen spał spokojnie i czuwająca przy nim pani Melchior wyszła na chwilę z pokoju. Gdy wróciła, zdołała już tylko własnoręcznie dopisać w ostatnim tomie prowadzonego przez tak wiele lat dziennika:

„I oto zgasło światło! Jaka szczęśliwa śmierć! O godzinie 11 minut 5 drogi nasz przyjaciel wydał ostatnie tchnienie!”

Zmarł więc pod obcym dachem, nawet nie na tym łóżku, o którym pisząc tak wiele twierdził, że powinno stać się jego „śmiertelnym łóżem”. Szybki, lekki zgon był zresztą doprawdy ostatnim dobrym darem losu: lekarze stwierdzili później, iż Andersen cierpiał na raka wątroby. Pogrzeb niczym nie przypominał spiesznego składania do grobu zwłok wielkiego jego antagonisty Kierkegaarda: był tłumną, uroczystą, świetną manifestacją, wśród światła, kwiatów i patetycznych oracji, w których sławiono znakomitego pisarza.

Sporządzony 16 lutego 1860 roku i opatrzony licznymi, późniejszymi już, dodatkowymi dyspozycjami testament Andersena ściśle precyzował, w jaki sposób należy podzielić pozostały po nim majątek. Była to suma znaczna na owe czasy: 53 366 zduńskich koron. Pierwszy paragraf testamentu ustalał, że z masy spadkowej należy wydzielić tysiąc talarów, jako: „Stypendium imienia H. C. Andersena” i odsetki od tego kapitału wypłacać jednemu z ubogich uczniów szkoły w Odense. Stypendium to istnieje po dzień dzisiejszy.

Na skrzyżowaniu ulic we współczesnym Odense stoi wielki biały drogowskaz z czerwonym napisem: „H. C. Andersen Hus”. Lecz i bez niego łatwo trafić w tym niewielkim mieście do starej dzielnicy, gdzie jak dawniej, tłoczą się niskie, bajecznie kolorowe domki: niebieskie, żółte, zielone, niekiedy ozdobione facjatką, dolepioną pod szczytem niczym jaskółcze gniazdo. Dachy ich, kryte grubą dachówką, barwy cynamonu, opadają nisko jak zbyt wielkie czapy i nawet nie trzeba wspinać się na palce, chcąc dosięgnąć ręką ich krawędzi. W dzielnicy nie panuje jednak bynajmniej muzealna cisza. Domki są zamieszkałe. Małe okienka zastawiono gęsto doniczkami zieleni, a dzieci z piskiem i śmiechem biegają po nierównym bruku.

Dwa są domy Andersena w Odense: pierwszy, „dom dzieciństwa”, przy Munkemöllestræde, gdzie umieszczono pamiątki i dokumenty z najwcześniejszych lat, jakie spędził w rodzinnym mieście: po prawej stronie od wejścia izba, w której mieszkał z rodzicami, po lewej – gdzie w czasach jego dzieciństwa mieszkał rękawicznik z liczną rodziną – także różne drobiazgi z dawnych dni: poźółkła poduszeczka do igieł, którą zrobił niegdyś dla pani Burigeflod, list pisany ma trzy lata przed śmiercią do dobrego nauczyciela Carstena, akt konfirmacji, szkic podania do rady miejskiej, w którym prosił o przyjęcie matki do przytułku.

Naróżny dom przy Hans Jensenstræde, uważany według tradycji za miejsce, gdzie Andersen przyszedł na świat, został z czasem rozbudowany i przekształcony w muzeum obszerniejsze. Ale i tam atmosfera niczym nie przypomina uroczystych sal o wyfroterowanych jak lustro posadzkach, po których znużeni turyści tępo szurają nogami. W kilku czysto wybielonych pokojach, w szklanych gablotkach rozmieszczono w chronologicznym porządku dalsze

pamiętki. Słynny afisz z baletu *Armida*, świadectwo ze szkoły w Slagelse, pierwodruk wiersza *Umierające dziecko*, świadectwo maturalne, zasuszony bukiet od Riborg Voigt, wycinanki, szkice i rysunki z podróży, paszport z dalekiej wyprawy na Wschód, rękopisy, fotografie, notatki, listy. Na pierwszym piętrze, obok delikatnych, oryginalnych ilustracji Pedersena, biblioteka, zawierająca w dziale duńskim kolejne wydania, a ponadto zbiór dzieł Andersena w sześćdziesięciu siedmiu językach świata i ważniejsze prace o ich autorze.

Tuż koło schodów umieszczono też na piętrze sfatygowane skórzane kufry, wielkie pudło na cylindry, zwój grubej liny, z którą ów podróżnik nie lubił się rozstawać, i podręczny sakwojaż, najmniej zużyty, ponieważ Andersen otrzymał go od króla Chrystiana IX dopiero w 1873 roku.

Przy wyjściu, na stole, rozłożona jest gruba księga. Figurują w niej najosobliwsze podpisy, kreślone w przeróżnych alfabetach: drobnymi, wprawnymi literkami, niezdernymi kulfonami dziecinnymi, sztywnymi palcami ludzi nienawykłych do częstego posługiwania się piórem. Z Japonii i Ghany, Kalifornii i Niemiec, Australii i Szwecji, Bułgarii i Brazylii, z Indii, Argentyny, Stanów Zjednoczonych, Włoch, Islandii, Związku Radzieckiego, z Anglii, Polski, Meksyku i Węgier. Przy podpisach często podane są zawody tych, którzy je złożyli. Obok profesora uniwersytetu kucharz okrętowy, lekarz obok drukarza, stewardessa samolotu, szkolne wycieczki, malarz pokojowy, złotnik, gromada studentów, śpiewak, marynarze, piwowar, ślusarz, lotnik. „Baśń nigdy nie umiera.”

W drugim tomie *Historii mitologii greckiej* T. E. Thompson podaje przykład przekształcenia mitu. W okresie matriarchatu garncarstwo było czynnością sakralną, uprawianą w najgłębszym milczeniu wyłącznie przez kobiety. Lepiąc ręcznie naczynia, w których później przechowywano wodę i dary dawczyni wszelkich dóbr, Pandory, garncarki uczestniczyły w akcie twórczym. Podczas wypalania garnków bóg ognia powoływał do życia nową istotę, obdarzoną własną wolą i głosem, a rękami kobiet ulepioną z gliny i wody. I jeśli garnek w ogniu pękał – wydając głos protestu – ulatywał duch jego istoty.

W okresie patriarchatu wynaleziono koło garncarskie. Powstała pierwsza masowa produkcja naczyń, które odtąd szybko sporządzali rzemieślnicy – mężczyźni. Kobieta zaś utraciła znaczenie, jakie dawniej miała w społeczeństwie. Zaczęto nią gardzić, nazywać kusicielką, opętaną przez złe moce. Słynna „puszka Pandory” zawierała już od tej chwili jedynie przekleństwa i wszelkie zło. Mit przysł. A raczej – przekształcił się, skoro dotarł przecież aż do naszych czasów w jednej, jak i drugiej formie. Zaczął żyć własnym życiem.

Baśnie Andersena także, nawet jeszcze za życia autora, zaczęły istnieć w sposób samodzielny, już niezależny od niego. Pisał, pocieszając się: „...szczęśliwy jestem, że prace moje – nawet w złych przekładach znane są na całym świecie.” Język duński niełatwy jest dla cudzoziemców, a swoisty styl Andersenowski, tylko z pozoru prosty i nieskomplikowany, następcza przy próbach przekładu jeszcze dodatkowe trudności. Poeta tworzył własny język, często – i celowo udziwniony, niewiele przy tym się troszcząc o zawilosci logiki i składni. W dzień siedemdziesiątych swoich urodzin otrzymał Andersen wydanie *Opowieści o matce*, tłumaczonej – już wówczas – na piętnaście języków. Odtąd przekłady jego utworów – zwłaszcza *Baśni* – ukazały się w osiemdziesięciu różnych mowach świata. Początkowe zbiorowe wydanie lipskie Lorcka z trzydziestu ośmiu tomów jeszcze za życia autora rozrosło się do pięćdziesięciu. W ślad za nim posypały się niezliczone inne: niemieckie, duńskie, angielskie, holenderskie, francuskie, rosyjskie, polskie, włoskie, hebrajskie, ormiańskie, japońskie, tureckie. Wznawiane nieustannie. We wspaniale ilustrowanych bogatych tomach i szczupłych wyborach. W ozdobnych, starannych wydaniach i popularnych groszowych książeczkach.

Dziwne przechodziły – i dotąd nieraz jeszcze przechodzą – przygody. Bywa, że beztrąsko przekrecone – zostają nie tylko inicjały, ale nawet... narodowość autora, uważanego za – Szweda lub Norwega. Próby szukania pomocy i oparcia o bardziej znane języki europejskie

dają także w przekładach przedziwne nieraz skutki. W pewnym tłumaczeniu francuskim, dokonanym przy pomocy tekstu niemieckiego *Brzydkie kaczątko* przekształciło się niespodziewanie w *Zielone kaczątko* i długo w tych barwach występowało, ponieważ tłumacz pomylił duńskie „groennne” (brzydki) z niemieckim „grüne” (zielony). Równie nieoczekiwanie *Słowik cesarski* otrzymał angielski tytuł śpiewaka „poobiedniego”, bo tłumaczenie – także przy użyciu niemieckiego tekstu – nie uwzględniło sprawdzalnej w słowniku różnicy pomiędzy *Nachttisch* – nocny stolik i *Nach Tisch* – po jedzeniu, po obiedzie. Obok zabawnych nie brak smutnych, a nawet wręcz przerażająco wulgarnych adaptacji, skrótów, bezceremonialnych zmian i przeinaczeń. W jednym z wydań amerykańskich dokończono pocieszający *happy end* do smutnej *Dziewczynki z zapalkami*: dobrzy, bogaci ludzie zabierają ją z ulicy do pięknego domu, z choinką, pieczoną gęsią, słodyczami i zabawkami. Pewien tekst angielski obciążył zakończenie *Brzydkiego kaczątka* długim, wierszowanym, rozpaczliwie banalnym „morałem”. A mimo wszystko – baśń uchodzi cało.

Poczytność tych „zwięzłych i prostych” opowieści trwa nieprzerwanie – ileż większa dziś nawet niż w latach, w których powstawały. Lecz światowa ich popularność potwierdza przede wszystkim, w sposób najbardziej oczywisty, niezmienną potrzebę ludzką: pragnienie przekraczania granic własnej powszedniej egzystencji po to, żeby choć na chwilę przenieść się w zawsze żywą terażniejszość Wielkiego Czasu Baśni.

„To łatwe – mówił o swoich baśniach Andersen – każdy może je opowiadać.” Próba czasu – próba dla twórcy najtrudniejsza – wykazała, że w ten sposób jedynie on opowiadać potrafił.

ANEKS

TABLICA BIOGRAFICZNA
(według Erlinga Nielsena)

- 1805 – 2 kwietnia urodził się w Odense Jan Chrystian Andersen
- 1816 – Śmierć ojca Andersena
- 1819 – Wyjazd Andersena do Kopenhagi
- 1820/21 – Szkoła baletowa w Kopenhadze
- 1822 – Zbiór pierwszych utworów *Młodzieńcze próby*, wydany pod pseudonimem William Chrystian Walter
- 1822/25 – Szkoła łacińska w Slagelse
- 1823 – Pierwsze (wielkanocne) wakacje w Odense
- 1825/27 – Szkoła łacińska w Elsynchronie; wiersz *Umierające dziecko*
- 1827 – Powrót do Kopenhagi
- 1828 – Egzamin maturalny
- 1829 – Egzamin uniwersytecki („*philosophicum*”); *Piesza wędrówka do Amager*; debiut teatralny *Miłość na Wieży Mikołaja*
- 1830 – Wyjazd na Jutlandię; spotkanie z Riborg Voigt; tom *Wierszy*
- 1831 – Pierwsza podróż do Niemiec: spotkania z Tieckiem, Chamisso; *Fantazje i szkice, Sylwetki z podróży do Harzu...*
- 1832 – Pierwsza autobiografia *Księga życia* (wydana dopiero w 1926 roku)
- 1833 – Stypendium podróżne: wyjazd do Paryża, Szwajcarii, Włoch; spotkanie z Thorvaldsem; śmierć matki Andersena; dramat *Agnete i wodnik*
- 1834 – Włochy; powrót do Kopenhagi w sierpniu
- 1835 – Pierwsza powieść *Improwizator; Baśnie opowiedziane dla dzieci* – zeszyt 1: *Krzesełko, Mały Klaus i duży Klaus, Księżniczka na ziarnku grochu, Kwiatki małej Idy*; zeszyt 2: *Calineczka, Niegrzeczny chłopiec, Towarzysz podróży*
- 1836 – Dramat *Spotkania i rozstania*; powieść *O. Z.*
- 1837 – Podróż do Szwecji; *Baśnie opowiedziane dla dzieci* – zeszyt 3: *Mała syrena, Nowe szaty cesarza*; powieść *Tytko grajek*
- 1838 – Atak Kierkegarda na powieść *Tylko grajek*; *Nowy zbiór baśni opowiedzianych dla dzieci* – zeszyt 1: *Stokrotka, Dzielny ołowiany żołnierz, Dzikie łabędzie*
- 1839 – *Nowy zbiór baśni opowiedzianych dla dzieci* – zeszyt 2: *Rajski ogród, Latający kufer, Bociany*; *Obrazkowa książka bez obrazków*
- 1840 – Wyjazd Andersena do Szwecji: hołd studentów w Lund; pierwsze spotkanie z Jenny Lind; dramat *Mulat*; *Komedia wśród zieleni* (porachunek z Kierkegardem); dramat *Mauretanka*
- 1841 – Wielka podróż Andersena na Wschód; atak Heiberga na Andersena w sztuce *Dusza po śmierci*

- 1842 – *Bazar poety; Nawy zbiór baśni opowiedzianych dla dzieci: Ole Luköje, Różany elf, Świniopas, Gryka*
- 1843 – Podróż Andersena do Paryża; ponowne spotkanie z Jenny Lind w Kopenhadze; *Nowe baśnie*, t. I – zeszyt 1: *Anioł, Słowik, Narzeczeni, Brzydkie kaczątko*
- 1844 – Wyjazd Andersena do Niemiec; wizyta u króla duńskiego na wyspie Föhr; *Nowe baśnie*, t. I – zeszyt 2: *Choinka, Królowa śniegu*
- 1845 – Atak Haucha na Andersena w *Zamku nad Renem*; *Nowe baśnie*, t. I – zeszyt 3: *Wzgórze elfów, Czerwone trzewiczki, Skoczki, Pasterka i kominiarczyk, Holger Danske*
- 1846 – Podróże Andersena: Berlin, Weimar, Praga, Wiedeń, Włochy, Francja; *Wiersze stare i nowe*
- 1847 – Podróż Andersena do Holandii, Belgii, Anglii, Szkocji; pierwsze spotkanie z Dickensem; autobiografia *Baśń mego życia bez zmyśleń* (po niemiecku), *Nowe baśnie*, t. II – zeszyt 1: *Stara latarnia, Sąsiedzi, Igła do cerowania, Mały Tuck, Cień*
- 1848 – *Nowe baśnie*, t. II – zeszyt 2: *Stary dom, Krople wody, Dziewczynka z zapalkami, Szczęśliwa rodzina, Opowieść o matce, Kołnierzyk*; powieść *Dwie baronowe* (wydana najpierw w Anglii)
- 1849 – Podróż Andersena do Szwecji
- 1850 – Baśń sceniczna *Ole Luköje*
- 1851 – Wyjazd Andersena do Niemiec; Andersen otrzymuje tytuł profesora; pieśni i wiersze patriotyczne podczas wojny; zbiór wrażeń z podróży *W Szwecji*
- 1852 – Wyjazd Andersena do Niemiec i Włoch; *Opowieści*, zbiór I: *Historia jednego roku, Najpiękniejsza róża świata, Obrazek z wałów obronnych, Sądny Dzień, Na pewno, Gniazdo łabędzi, Dobry humor*; *Opowieści*, zbiór II: *Serdeczne zmartwienie, Wszystko na swoje miejsce, Krasnoludek u kupca, Za tysiąc lat, Pod wierzba*
- 1853 – Wyjazd Andersena na Jutlandię
- 1854 – Podróż Andersena do Niemiec i Włoch
- 1855 – Podróż Andersena do Niemiec i Szwajcarii; Autobiografia *Baśń mojego życia*
- 1856 – Podróż Andersena do Weimaru
- 1857 – Anglia: gościna u Dickensa; Weimar; powieść *Być albo nie być*
- 1858 – Podróż Andersena do Niemiec i Szwajcarii; *Nowe baśnie i opowieści*, t. I – zeszyt 1: *Zupa z kołka od kiełbasy, Szyjka od butelki, Szlafmyca starego kawalera, Coś, Ostatni sen starego dębu, ABC*; *Nowe baśni i opowieści*, t. I – zeszyt 2: *Córka króla błot, Szybkobiegacze, Głębia dzwonu*
- 1859 – *Nowe baśnie i opowieści*, t. I – zeszyt 3: *Wiatr opowiada o Waldemarze Daa i jego córkach, Historia o dziewczynie, która podeptała chleb, Strażnik Ole, Anna Lisbeth, Dziecinne gadanie, Sznur pereł*
- 1859 – *Nowe baśnie i opowieści*, t. I – zeszyt 4: *Kałamarz i pióro, Dziecko w grobie, Kurek na kościele i kogut na podwórzu, Cudowna, Opowieść z diun*
- 1860 – Wyjazd Andersena do Niemiec i Szwajcarii
- 1861 – Śmierć Donasza Collina; podróż Andersena do Francji, Włoch, Niemiec; *Nowe baśnie i opowieści*, t. II – zeszyt 1: *Dwunastu podróżnych, Żuk gnojek, Stary ma zawsze rację, Kamień modrości, Bałwan, Na podwórku, Muza nowego stulecia*; *Nowe baśnie i opowieści*, t. II – zeszyt 2: *Dziewica Lodów, Motyl, Psyche, ślimak i krzak róży*
- 1862 – Podróż Andersena do Hiszpanii
- 1863 – Tom wrażeń z podróży *W Hiszpanii*
- 1865 – Podróż Andersena do Szwecji; *Nowe baśnie i opowieści*, t. II – zeszyt 3: *Błędne ogniki są w mieście, Wiatrak, Srebrny grosz, Biskup Borglum i jego krewniak, W dziecięcym pokoju, Złoty skarb, Wicher przemienia szyldy*

- 1866 – Wyjazd Andersena do Amsterdamu, Paryża, Hiszpanii, Portugalii; *Nowe baśnie i opowieści*, t. II – zeszyt 4: *Co przechowane, nie zapomniane, Syn odźwiernego, Dzień przeprowadzki, Pierwiosnek, Ciotka, Ropucha*
- 1867 – Dwukrotny wyjazd Andersena na światową wystawę do Paryża; honorowe obywatelstwo Odense; *Wiersze znane i zapomniane*
- 1868 – Podróż Andersena do Amsterdamu, Paryża, Genewy, Ems; wrażenia z podróży *Wizyta w Portugalii*
- 186 – Wyjazd Andersena do Wiednia, Nicei; *Trzy nowe baśnie i opowieści: Rodzina Grety z kurnika, Co opowiedział oset, Co kto sobie może wyobrazić*
- 1870 – Autobiograficzna opowieść – apoteoza *Szczęśliwy Peer*
- 1871 – Podróż Andersena do Norwegii
- 1872 – Wyjazd Andersena do Niemiec i Włoch; *Nowe baśnie i opowieści*, t. III – zeszyt 1: *Szczęście znaleźć można nawet na patyku, Kometa, Dni tygodnia, Słoneczne opowieści, Pradziadek, Kto był najszczęśliwszy? Świece, Historia najbardziej nieprawdopodobna, Co powiedziała cała rodzina, Zapytaj więdźmy z Amager, Wielki wąż morski, Ogrodnik i państwo, Tańcz, tańcz, laleczko*
- 1872 – *Nowe baśnie i opowieści*, t. III – zeszyt 2: *Co opowiedziała stara Johanna, Klucz od bramy, Kaleka, Ciotka Fluksja*
- 1873 – Podróż Andersena do Niemiec i Szwajcarii
- 1874 – Andersen otrzymuje tytuł radcy konferencyjnego
- 1875 – 4 sierpnia Andersen umiera w „Rolighed” pod Kopenhagą

INDEKS NAZWISK I TYTUŁÓW

- Abor i Elwira* Andersena 37
Agnete i wodnik Andersena 106, 108, 113, 119, 141, 178
Aladyn Oehlenschlägera 15, 55
Albo – albo Kierkegaarda
Almquist Karl Jonas Love 214, 215
Anakreont 123
Andersen, aptekarz 39
Andersen z d. Nommesen (babka) 27, 28, 34, 43, 59, 262
Andersen Anne Marie (matka) 25, 26, 30 – 43, 48, 49, 59, 63, 70, 80, 113, 175
Andersen Hans (dziadek) 27, 28, 33, 38, 126, 235
Andersen Hans (ojciec) 26, 27, 30–35, 38, 41, 44, 59, 175
Andersenowie Hans i Anne Marie 25, 29, 234, 272
Anioł Andersena 169
Arnim Ludvig Joachim von 121
Arystofanes 11
Arystoteles 233
Augustenborg Friedrich, ks. 188, 209
Axel i Walborg Oehlenschlägera 16
Babunia Andersena 211
Bagger Carl 62
Baggesen Jens 12, 13, 47, 72, 86
Balzac Honore de 127, 167
Bang, premier duński 227
Barck Mathilde 165
Bastholm, pastor 59, 62, 75
Baśń mego życia bez zmyśleń Andersena 186, 191
Baśń mojego życia Andersena 42, 68, 82, 84, 90, 101, 153, 169, 179, 181, 228–230, 234, 261
Baśnie opowiedziane dla dzieci Andersena 120, 124, 135, 142, 161
Baśnie z 1001 nocy 7, 9, 16, 121, 140
Bazar poety Andersena 157 – 159, 176, 212
Beaulieu Marconnay, baron 172
Beethoven Ludvig van 222, 241
Beranger Pierre–Jean de 93
Berlioz Hector 111
Bernadotte Jean 14

Berzelius Jöns Jacob 137
 Bismarck Otto von 245, 246
 Björnson Björnstjerne 216 – 219, 255
 Björnson, córka, zam. Ibsen 219
 Blessington Margueritte 191
 Bloch, pastor 227
 Bloch Villiam 248
Bociany Andersena 142, 163
 Bögh Nikolai 248
 Bording Andreas 11
 Bosevind (Rosevind) 25
 Bourdonville August 166, 168, 244
 Brahe Tycho 9, 225
 Brandes Edvard 256, 257
 Brandes Georg 255 – 258, 265
 Bremer Frederike 137, 166
 Brentano Bettina (Elisabeth), zam. Arnim 222
 Brentano Clemens 121
 Brown John Ross 251
 Bruun Malthe Conrad 12
Brzydkie kaczątko Andersena 148, 169, 179, 188
 Bull Ole 218
 Bungeflod, pastor 37
 Bungeflod, żona pastora 37, 272
Burgraves, Les Hugo 167
Być albo nie być Andersena 258
 Byron George 111, 180, 181
 Caesar Gaius Julius 258
 Calderon de la Barca Pedro 63, 161
Calineczka Andersena 123, 135
 Carsten 34, 272
 Carus Carl Gustav 235
 Chamisso Adalbert von (Louis – Charles–Adelaide, de) 90 –94, 123, 124, 132, 143, 193
 Cherubini Luigi 103
Choinka Andersena 188
 Christian II 62, 81
 Christian IV 10
 Christian VI 13
 Christian VIII 40, 80, 149, 150, 175, 188, 204, 207
 Christian IX 261, 273
Chwila Kierkegaarda
Cień Andersena 169 – 199, 200, 201
Ciotka Fluksja Andersena 260
 Collin Edvard 57, 87 – 90, 94, 97, 99 – 102, 104, 109, 113, 119, 123, 130, 132, 138, 141, 145, 152, 158, 175, 187, 192, 197, 259
 Collin Gottlieb 104
 Collin Ingeborg, zam. Drewsen 57, 64, 94, 97, 122
 Collin Jonas 54, 57, 60, 63, 64, 67, 69, 71 – 73, 76, 88, 98, 101, 112, 118, 132, 172, 176, 177, 244, 245

Collin Jonas, syn Edwarda 248
 Collin Louise, zam. Lind 57, 87, 101, 165, 169
 Collin, żona Jonasa starszego 79, 118
 Collinowie, Edvard i Henrietta 245
 Collinowie, rodzina Jonasa starszego 57, 58, 64, 69, 75, 79, 87, 94, 95, 97, 98, 132, 175
Contes de ma Mere l'Oye, wyd. Perrault 121
 Conrad Joseph 156
 Crebillon Claude – Prosper 121
Czerwone trzewiczki Andersena 179
 Daguerre Louis – Jacques 250
 Dahlen, baletmistrz 51
Dania Heiberga 176
 Dannerskiold – Samsøe Wanda z d. Zahrtmann 263
 Dickens Catherine z d. Hogarth 193, 232
 Dickens Charles 156, 192 – 196, 232
 Dickens John 193
 Diderot Denis 121
 Disraeli Benjamin 257
Dobre uczynki ocalą świat Björnsona 217
 Draper William 190
 Drewsen Ingeborg zob. Collin Ingeborg
 Dr ewsen Jonna, zam. Stampe 122, 179, 180
 Drewsen Viggo 94, 122
Duch w przyrodzie Örsteda 177
 Dumas Aleandre, ojciec 167
 Dupom Paul 105
 Durham Joseph 191
Dusza po śmierci Heiberga 152
Dwanaście miesięcy Andersena 96
Dwie baronowe Andersena 211
Dzielny ołowiany żołnierz Andersena 142, 165
Dziewczynka z zapalkami Andersena 188, 275
Dzikie łabędzie Andersena 142, 179
Edda 10, 16, 18, 21
 Eleonora (Leonora) Christina, córka Christiana IV 10
 Elfy Tiecka 75
 Eliade Mircea 23
Elverhøj Heiberga 17, 94, 255
 Eneida Wergilego 11
Epaves, les Reybaud 142
 Estrup Jacob 254
 Eald Hans 12, 15, 56
 Falbe, aktorka 40
 Falbe, radca 39, 40
Fantazje i szkice Andersena 84, 86, 93, 96
 Feuerbach Ludwig 238
Filozofia historii Hegla 178
Filozofia religii Hegla 237
 Fister, aktor 135

Fouque Joseph 92, 93
 Franckenau Frank de 66
 Frederik III 10
 Frederik VI 13, 14, 67, 99, 140, 149, 204
 Frederik VII 207, 208, 245
 Freud Sigmund 48, 235
 Friedrich August II saski 199
 Friedrich Wilhelm IV, król pruski 188, 209
 Gade Niels 265
 Garibaldi Giuseppe 241
Garnek jutlandzki Andersena 85
Gesta Danorum Saxo Gramaticusa 8, 12
 Gluck Christoph Willibald 241
Głębia dzwonu Andersena 241
 Goethe Johann Wolfgang 63, 92, 111, 114, 121, 125, 172, 258
 Gogol Mikołaj 111
 Goldoni Carlo 111
 Goldschmidt Jenny zob. Lind Jenny
 Goldschmidt Otto 171
 Goldsmid Meir Aaron 204, 206
 Gounod Charles – François 111
 Gozzi Carlo 96, 121
 Grahn Lucile 165
Grajek Andersena 94
 Grillparzer Franz 111, 116, 186
 Grimm, bracia 122, 164, 173, 174
 Grimm Jakob 173, 174
 Grimm Wilhelm 173
 Grundtvig Nikolai Frederik Severin 18, 73, 217, 253, 257
 Guizot François – Pierre 203
 Guldberg zob. Haegh Guldberg Gundersen Niels 38
 Gyllembourg Ehrensvarð Thomasine 17, 74, 94
Hagbart i Signe Oehlenschlägera 53
 Hahn – Hahn Ida 174
Hakon Jarl Oehlenschlägera 16
 Hall Carl Christian 227
 Hallager Tora 248
 Hanck Henriette 81, 84, 96, 117, 124, 132, 182
 Hanfstangel Franz 250
Hansaftenspil Oehlenschlägera 15, 16
 Hansen Emanuel 251
 Hartmann Johan Ernst 148, 182
 Hauch Johan Carsten 182, 183
 Hauff Wilhelm 121
 Heathcoat John 190
 Hebbel Friedrich 174
 Heiberg Johanne Louise z d. Pätges 17, 51, 73, 74, 94, 95, 143, 149 – 152, 156, 203, 215, 216, 241, 255

Heiberg Johan Ludvig 17, 72 – 75, 77, 86, 94, 100, 107, 108, 113, 118, 123, 142, 145, 151, 152, 158, 163, 166, 214, 244, 257
Heiberg Peter Andreas 12, 17
Heibergowie 135, 176
Heine Heinrich 63, 84, 93, 94, 100, 105, 106, 166, 241
Hegel Frederik 218
Hegel Georg Wilhelm Friedrich 178, 237
Helweg Hjalmar 48
Hemingway Ernest 156
Hempel Sören 63
Henriques Marie 264
Henriques Martin R. 244
Henriques Therese 263
Henriques, rodzina 245
Henryk IV Szekspira 90
Herder Johann Gottfried 5
Hertz Henrik 86, 87, 100, 114, 115, 134, 177
Historia intelektualnego rozwoju Europy Drapera 190
Historia mitologii greckiej Thompsona 273
Historia o dziewczynie, która podeptała chleb Andersena 240
Hoffmann Ernst Theodor Amadeus 63, 76, 93, 121, 122, 142
Holberg Ludvig 11, 12, 39, 47, 61
Holst, aktor 149
Holst H. P. 155
Holstein Mimi 144, 263
Holstein, dyr. teatru 46
Holten 261
Hostrup Jens Christian 177
Houriet Jules 107
Howitt Mary 191
Høegh Guldberg Frederik 50 – 52, 60, 64, 250
Høegh Guldberg, pułkownik 40, 69, 80
Hugo Victor 93, 106, 107, 166
Humbolt Aleksander 93, 173, 188,
Ibsen Henrik 156, 216 – 218
Ibsen, syn 219
Improwizator Andersena 68, 118 – 120, 123, 124, 130 – 132, 191
Ingemann Bernhard Severin 54, 61, 62, 70, 73, 78, 79, 88, 90, 96, 118, 121, 123, 141, 163, 183, 209, 244
Ingemann Lucie Marie 61, 96
Iversen, drukarz 42, 43, 45, 63, 64
Iversen, żona 81
Iversenowie 81
Jacobsen Jakob Christian 254
Jacobsen Jens Peter 255
Jammers Minde Eleonore Christine 10
Jean Paul (Richter Jean Paul Friedrich) 63
Jensen Christian Albrecht 249
Joseph Bonaparte, król Hiszpanii 14

Joyce James 156
Jung Carl Gustaw 235
Jurgensowie, zegarmistrze 52, 107
Kalosze szczęścia Andersena 128, 179
Kaplica w lesie Andersena 54
Karl Alexander, ks. weimarski 172, 209
Kierkegaard, matka 134
Kierkegaard Michael Pedersen 19, 134, 135, 226
Kierkegaard Peter Christian 134, 228
Kierkegaard Syren Aabye 19 – 21, 33, 87, 134 – 136, 139 – 141, 145, 146, 150, 160, 166, 201, 205 – 207, 226 – 228, 233, 255 – 257, 269, 271
Klopstock Friedrich Gottlieb 92
Klub Pickwicka Dickensa 194
Koch Ida, z d. Wulff 245
Kolumb Krzysztof (Christoforo Colombo) 161
Komedia wśród zieleni Andersena 150
Kopenhaga Andersena 270
Kragh, aktor 149
Królowa śniegu Andersena 179
Kruk Gozziego, adaptacja sceniczna Andersena 96
Kruse Friedrich Karl 120
Krzesiwo Andersena 122, 123, 146, 147
Księża cierniowej róży Almquista 215
Księga pieśni Heinego 63
Księga życia Andersena 42, 68, 76, 82, 102
Księżniczka na ziarnku grochu Andersena 122, 123
Kuhlau Friedrich 255
Kwiatki małej Idy Andersena 122, 123
Labirynt Baggesena 13
Lassalle Ferdinand 257
Lassøe Ludwik 84, 85, 209
Lassøe Signe 87, 106
Lassøe, rodzina 64, 79
Latający kufer Andersena 142, 147, 163
Leonardo da Vinci 108
Lęk i drżenie Kierkegarda 233
Lind, adwokat 97
Lind Agnete 165
Lind Jenny zam. Goldschmidt 166, 171, 183 – 186, 191, 223
Lind Louise zob. Collin Louise Lindgreen, aktor 51, 52
List rymowany Ibsena 255
Listy perskie Monteskiusza 12
Listy upiora Hertza 86
Liszt Ferenc 111, 157, 186
Livingstone Mary 264
London Jack 156
Lorck Carl B. 186, 274
Louis Philippe 106, 203
Luter Martin 226

Madsen, stolarz 46
Mała Kirsten Andersena 249
Mała syrena Andersena 97, 135, 163
Małgorzata, królowa Danii 9
Mały Klaus i duży Klaus Andersena 122
Marmier Xavier 42
Marsz weselny Björnsona 216
Martensen H. L., biskup 226, 227
Mauretanka Andersena 151, 152
Meisling Simon 60, 62, 65, 67, 68, 71, 72, 87, 142
Meisling, żona 68
Melchior Dorothea z d. Henriques 244, 253, 263, 270, 271
Melchior Maurice Gerson 244
Melchiorowie 245, 262
Melodie serca Andersena 84
Mendelssohn – Bartholdy Abraham 111
Mendelssohn – Bartholdy Felix 111
Metternich Klemens 203
Michał Anioł (Michelangelo Buonarroti) 258
Mickiewicz Adam 111
Mill John Stuart 256
Miłość na Wieży Mikołaja albo Co mówi parter Andersena 77, 78
Mitologia nordycka Grundtviga 18
Młodzieńcze próby Andersena 58, 59, 249
Molbech Christian 77, 86, 98, 108, 142, 148
Molier (Poquelin Jean – Baptiste) 11
Monteskiusz (Montesquieu Charles – Louis) 12
Mozart Wolfgang Amadeus 156, 241
Można i tak Almquista 215
Möller Paul Martin 205
Mulat Andersena 142, 143, 149, 150, 152, 167
Müller Ludwig Christian 72, 76, 102
Mynster J. P., biskup 226
Napoleon I Bonaparte 13, 14, 34, 35, 92, 103
Napoleon III 246
Narzeczeni Andersena 83
Naręczona z Lammermooru Scotta, adaptacja sceniczna Andersena 96
Nasmyth James 190
Neergard Louise de 245
Nelson Horatio 13
Nerval Gerard de 156
Niegrzeczny chłopiec Andersena 97, 123
Nielsen Augusta Wilhelmine 149
Nielsen Rasmus 265
Niema księga Andersena 211, 212
Nietzsche Friedrich 258
Novalis (Hardenberg Georg Friedrich von) 92
Nowe baśnie Andersena 164, 211, 253
Nowe baśnie i opowieści Andersena 238

Nowe szaty cesarza Andersena 128, 129, 135, 136, 188, 201
Obrazki z podróży Heinego 63
Obrazkowa książka bez obrazków Andersena 142, 151
Obrazy i symbole Eliade 238
Odense Andersena 270, 271
Odwiedziny w Sörö Möllera 205
Oehlenschläger Adam 13, 15 – 17, 52, 54 – 56, 63, 67, 74, 76, 100, 105, 107, 121, 143, 204, 214
Olsen Regine 139
Olsenowie 55
Opowiadanie Andersena 211
Opowieści Andersena 224, 225
Opowieść o matce 129, 130, 196, 202, 274
Ostatni sen starego dębu Andersena 238, 240
O wodewilu jako gatunku dramatycznym i jego znaczeniu dla sceny duńskiej Heiberga 73
O. Z. Andersena 130, 131
O znaczeniu ubóstwa w Szwecji Almquista 215
Örsted Hans Christian 17, 54, 66, 75, 79, 85, 88, 90, 100, 124, 130, 137, 177, 178, 196, 211, 224, 237, 254
Örster Mathilde 232, 245, 253
Örsted Sophie 165, 245
Örstedowie 64, 75, 95, 165
Palmerston Henry John Temple 191
Patnatoke Oehlenschlägera 16
Parker Hyde 13
Pätges Johanne Louise zob. Heiberg Johanne Louise
Pätges, matka Johanne Louise 95
Peder Paars Heiberga 11
Pedersen Jens 24
Pedersen Vilhelm 186, 244, 273
Perrault Charles 121
Petit Louis 62
Piesza podróż od kanału Holmens na wschodni cypel Amager w 1828 i 1829 roku Andersena 76 – 79, 128
Pieśń skandynawska Andersena 137
Plough Carl 262
Plum, biskup 39
Podanie o złym księciu Andersena 240
Pod wierzba Andersena 169
Podziemne podróże Nielsa Klima Holberga 12
Pordenone Giovanni Antonio 111
Pradier Charles 105
Przedziwna historia Piotra Schlemihla Chamisso 90, 91, 197
Ptak Feniks Andersena 212
Rachel (Felix Elise) 167
Rahbek Kamma 54
Rahbek Knud Lyhne 18, 56
Rantzau – Breitenburg, hr. 157
Reitzel C. A. 113, 118, 120, 132

Renan Ernest 256
Reventlee 191
Reypaud Margueritte 142, 167
Rimkröniken 8
Rollet 223
Rousseau Jean – Jacques 92
Róża z grobu Homera Andersena 158
Rubov Faul V. 156
Rybacy Evcalda 12
Saabye August Vilhelm 264
Saxo Grammaticus 8, 18
 chall Anna Margrethe 42; 44 – 46, 50
Schelling Friedrich Wilhelm 15, 116
Schiller Friedrich 5, 6, 63, 77, 92, 97
Schlegl August Wilhelm 63
Schmidt Aloys 103
Schumann Robert 174
Scott Walter 58, 63, 96, 192
Sudder Hrace 265
Seneka 233
Shelley Percy Bysshe 111
Siboni Giuseppe 47, 49, 50, 52
Słońce elfów Andersena 56, 58
Słowik cesarski Andersena 169, 179, 275
Smollett Tobias George 63
Sörensen Anne 24, 25, 27
Sörensen Christina 25, 46
Spohr Louis 103
Spotkania i rozstania Andersena 84, 132, 139
Stadia na drodze ludzkiego żywota Kierkegaard 136, 145, 204, 269
Stael Germaine de 92
Stampe Rigmor, baronowa 143, 144, 180, 182
Stampe, syn baronowej 180
Steffens Henrik 15
Stokrotka Andersena 163
Strauss David Friedrich 238
Sveinsson Brynjolfur 10
Sveinsson, córka 10
Szvedenborg Emanuel 214
Swift Jonathan 12
Sygnaly Północy Ibsena 218
Sylwetki z podróży do Harzu i Saskiej Szwajcarii Andersena 94, 98
Synnöve Solbaken Björnsona 216
Szczęśliwa rodzina Andersena 262
Szczęśliwy Peer Andersena 68, 261
Szekspir (Shakespeare William) 37, 39, 55, 58, 90, 241, 258
Szmaty Andersena 220 – 222
Świnia z brązu Andersena 158
Taine Hipolit 256

Taubert Karl Gottfried Wilhelm 223
Thalberg Sigismond 157
Thiele Just Matthias 52, 53, 122
Thompson T. S. 273
Thorvaldsen Bertel 17, 109, 110, 143, 144, 180 – 182, 225, 262, 270
Thyberg Henriette zam. Collin 94
Tieck Ludwig 63, 75, 90, 93, 121, 172, 187
Tietgen Carl Frederik 254
Tomkins Abigail 265
Towarzysz podróży Andersena 123, 146
Tönder–Lund Laura 41
Trap 261
Tycjan (Tiziano Vecelli) 111
Tylko grajek Andersena 17, 94, 131, 132, 139, 158
Ulfeld Korfitz 10
Umarły Andersena 78, 127, 128
Umierające dziecko Andersena 69, 75, 271, 272
Upiory Ibsena 219
Vigny Alfred de 167
Voigt Christian 82, 83, 105, 106
Voigt Riborg 82 – 84, 96, 132, 170, 272
Voss Johann Heinrich 63
Waldemar IV 8, 9
W Danii się urodziłem Andersena 209
Jelhaven, nauczyciel 34
Wellington Arthur Wellesley 13
Werliin Christian 72
Weyse Christoph 47, 50, 52
W Hiszpanii Andersena 243
Wieland Christoph Martin 63, 92
Wiersze Andersena 78
Wiersze znane i zapomniane Andersena 271
Wiktoria, królowa angielska 189
Winiety duńskich poetów Andersena 96
Wolter (Voltaire, Arouet François – Marie) 63, 73, 121, 258
Wrażenia z Polski G. Brandesa 258
Wrażenia z Rosji G. Brandesa 258
Wstęp do historii narodów europejskich Holberga 11
W Szwecji – niezliczone obrazki Andersena 209, 310, 214
Wszystko na swoje miejsce Andersena 230, 231
Wulff Henriette (Jette) 5, 75, 106 – 108, 111, 122, 123, 192, 230, 237, 244
Wulff P. F., komandor 55, 141
Wulff, żona 68, 87
Wulffowie 64, 67, 75, 79, 95
Wzgórze elfów Andersena 220
Zahles Nathalie 262
Zahrtmann C. G., admirał 144
Zamek nad Renem Haucha 182
Zbójcy z Wissenbjergu 55, 58

Zimmermann 185

Złote rogi Oehlenschlägera 15

Zofia, cesarzowa 188

Z papierów człowieka jeszcze żyjącego wbrew jego woli wydał S. Kierkegaard. O Andersenie jako powieściopisarzu ze stałym uwzględnieniem ostatniej jego powieści «Tylko grajek» Kierkegaarda 139

Związek Młodzieży Ibsena 255

Związek Przyjaźni Andersena 158

Żebrak i pies Chamisso 94

Życie przeżyte we wspomnieniach Johanne L. Heiberg 255

BIBLIOGRAFIA

1. Bain R. Nisbet: *H. C. Andersen – A Biography*. Lawrence and Bullen, London 1895.
2. *Der Dichter und die Welt – H. C. Andersen, Briefe*. Gustaw Kiepenheuer, Weimar 1917
3. Leopold Magon: *Ein Jahrhundert geistiger und Literarischer Beziehungen zwischen Deutschland und Skandinavien 1750 – 1850*. Dortmund 1926.
4. Karl Larsen: *H. C. Andersens Leben ohne Dichtung*. Walter de Gruyter, Co., Berlin 1926.
5. Edith Reumert: *H. C. Andersen, The Man*. Methuen Co. Ltd, London 1927.
6. Dr Hilma Borelius: *Die nordischen Literaturen*. „Athenaion”, Potsdam 1931.
7. Fredrik Böök: *Das Leben des Marchendichters H. C. Andersen*. Fretz u. Wasmuth Verlag A. G., Zurich 1943.
8. Svend Larsen: *H. C. Andersen*. Flednstds Forlag, 1955.
9. Rummer Godden: *H. C. Andersen*. Hutchinson, London 1955.
10. Svend Dahl u. Helge Topsøe – Jensen: *Ein Buch über den dänischen Dichter H. C. Andersen, sein Leben u. sein Werk*. Kopenhagen 1955.
11. Walter Lowrie: *Das Leben Sören Kierkegaards*. Eugen Diederichs Verlag, Düsseldorf – Ködln 1955.
12. Erling Nielsen: *H. C. Andersen in Selbstzeugnissen und Bilddokumenten*. Rewohlt, Hamburg 1958.
13. Egon Friedell: *Kulturgeschichte der Neuzeit*. C. H. Beck, München 1931.
14. I. Murawiewa: *Andersen*. „Mołodaja Gwardia”, Moskwa 1961.
15. H. C. Andersen: *Das Märchen meines Lebens*. Globus Verlag, Berlin br.
16. H. C. Andersen: *Märchen* (VI Bande). Gefion Verlag, Kopenhagen – Berlin, Malmö br.
17. H. C. Andersen: *Baśnie*. PIW, Warszawa 1955.
18. Jarosław Iwaszkiewicz: *Gniazdo łabędzi – Szkice z Danii*. Iskry, Warszawa 1962.

